ŚLADY ZBRODNI

Zbrodnia **w Murzasichlu** budzi upiory z przeszłości

MAŁGORZATA I MICHAŁ

KUŹMIŃSCY



ŚLEBODA



WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

MAŁGORZATA I MICHAŁ
KUŹMIŃSCY

ŚLEBODA

WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

WROCŁAW 2015

PROLOG

A cyli to prowda, cyli nie,
zabili Janicka w dolinie.
Jakzeby to prowda nie beła
kied go moja rucka zabiła.

Ptaki rozpierzchły się w popłochu. Zwalista sylwetka zamajaczyła w gęstwinie spływającej spod Kopieńca ku potokowi.

Zatrzymał się i uniósł ciężką, kwadratową głowę. Powietrze pachniało mgłą, która snuła się w półmroku przedświtu. Przez kilka dni krążył w okolicach Hali Królowej Wyżniej. W końcu się wycofał: rejon Gąsienicowej roił się od ludzi roznoszących wszędzie swój nieznośny smród. Powędrował przez leśną przecinkę nartostrady, obszedł Kopieniec i znalazł się w okolicy Toporowych Stawów.

I czuł naprawdę silny głód.

Potok słychać było coraz głośniej, rwący i szalejący na kamieniach, bo zasilony wczorajszą burzą, która po południu przez kilka godzin łomotała w Tatry. Przeciął brukowany otoczakami szlak turystyczny i zaczął się rozglądać za jagodami. W wyższych partiach gór jeszcze ich nie było, dlatego zwlókł się tu, w dolinę, gdzie dojrzewały już teraz. Ale jak na złość nie znalazł niczego, co nadawałoby się do zapełnienia żołądka. Mruknął groźnie i podążył dalej, ku wodzie, licząc, że uda mu się złowić pstrąga albo dwa. Przystanął pod świerkiem i wypróżnił się donośnie.

To nie był dobry sezon. Najpierw wyjątkowo długa zima, potem męcząca ruja, a teraz na przemian suche i burzowe lato. I jeszcze ten głód.

Poczuł, że wiatr nagle zmienił kierunek. Zatrzymał się, stanął na tylnych łapach i zmarszczył nos, węsząc. Brunatny kolos ryknął triumfalnie, czując mdlący, słodkawy zapach, którym zawiało raptem znad strumienia. Opadł ciężko na cztery łapy i potoczył się przez gęste chaszcze podmokłej doliny.

Padlina. Może być.

Zaczął węszyć za obiecującą wonią, która mieszała się z mgiełką znad wody i zapachem deptanych pokrzyw. Znalazł się na szczycie skarpy, nad osuwiskiem wydartym dopiero co, bo tej nocy, przez wzburzony strumień. Podmyta ziemia odsłoniła źródło słodkawego odoru.

Olbrzymi półtonowy samiec, urodzony osiem lat temu w gawrze nad Suchą Wodą, zszedł po skarpie na osuwisko, zaparł się tylnymi łapami, a przednimi zaczął łapczywie kopać. Żwir i otoczaki bryzgały wokół, a niedźwiedź zarył pyskiem w ziemi, miażdżąc w zębach pomarszczone, zieleniejące już przedramię ze starym radzieckim zegarkiem na nadgarstku. Grzebał dalej. Z jamy zionącej odorem śmierci wydzierał psujące się mięso spowite w strzępy białej koszuli.

ROZDZIAŁ 1

Krakowiacek ci ja,
Krakowiacek, nie pies,
cemuz mnie ty cemu,
moje dziewce, nie kces?

W Krakowiek się rodził,
w Krakowiek się nosił,
trzy lata mi było,
ki dziwcęciuk chodził.

W Krakowie na moście
ni ma picek ino koście,
same ino ziobra,
bo bez tych je dobra.

Anka weszła na taboret i otworzyła górne drzwi szafy. Głęboko zanurzyła rękę i mocowała się chwilę, klnąc pod nosem, po czym wyciągnęła triumfalnie stary harcerski plecak, który pacnął na podłogę, wzbijając obłoczek kurzu. Stłumiła kaszlnięcie i podniosła go za szelkę.

Uzbrojona w nożyczki do paznokci zajęła się odpruwaniem z plecaka naszywek. Uśmiechnęła się do siebie, wspominając, jak je kiedyś, wiele już lat temu, z poświęceniem przyszywała. Każda naszywka miała swoją historię. Na przykład tę z celtyckim smokiem pożerającym własny ogon i logo irlandzkiego zespołu punkowego *Under the Gun* dostała od Kaśki, kiedy – ku Anki najwyższej zazdrości – ta pojechała do Belfastu szorować kible, żeby zarobić na studia.

Pod spodem płótno plecaka okazało się intensywnie zielone, odcinało się od spłowiałej reszty. Anka wygładziła odprute naszywki, powyciągała z nich nitki i schowała do pudełka z pamiątkami. Nie miała serca ich wyrzucić. Wytrzepała plecak za oknem i jeszcze raz mu się przyjrzała. Kiedy kończyła studia, schowała glany i tego weterana studenckich rajdów głęboko do szafy, a stare, powyciągane koszulki z rewolucyjnymi hasłami przeznaczyła na szmaty. Kupiła sobie buty na obcasie i aktóweczkę, z którą zaczęła jeździć na konferencje.

Do reklamówek, a następnie do plecaka powkładała pedantycznie złożone podkoszulki, spodnie, piżamę, bieliznę. Długo się zastanawiała nad letnimi sukienkami i spódnicą. W góry chodzi się przecież w traperach, dżinsach i polarze. I nie ma nic gorszego na szlaku niż słaniająca się w klapkach na obcasie pańcia z torebusią. Odłożyła sukienki z powrotem na półkę. Nie ma się tam dla kogo stroić.

Chyba że trafi się impreza, wieczorny grill, spacer w jakimś miłym męskim towarzystwie. Zdecydowanym ruchem sięgnęła po sukienki i wpakowała je do plecaka. Po namyśle dorzuciła jeszcze dwa komplety koronkowej bielizny.

Uśmiechnęła się do siebie – na prawdziwych wakacjach nie była chyba od czasów owych studenckich rajdów. Potem, na studiach doktoranckich, nie mogła sobie pozwolić na wyjazdy. „Jak się ni mo miedzi, to się w domu siedzi”, mawiała ciocia-babcia Babońka. Anka myślała, że gdy się obroni, coś się zmieni. Ale zatrudnili ją jako asystenta, płacili grosze, a jeszcze do tego musiała wysłuchiwać opowieści kolegów po habilitacji o różnych Egiptach, Marokach i Teneryfach. Kiedy ktoś ją pytał, gdzie spędziła wakacje, odpowiadała, że na Azorach. I była to poniekąd prawda,

bo na krakowskich Azorach, smutnym osiedlu z wielkiej płyty, mieszkali jej znajomi.

W końcu, w depresyjny wieczór po ostatnim egzaminie, w połowie samotnie opróżnianej butelki wina, odezwała się na Facebooku do Kaśki, kuzynki i przyjaciółki z dzieciństwa, z którą od lat nie miała kontaktu. Nie, żeby nie chciała. Po prostu tak wyszło, kontakt skończył się wraz z pewną epoką, z przejściem od trybu życia, w którym jest czas na wszystko, do trybu życia, w którym nie ma go na nic. Ale teraz od słowa do słowa umówiły się, że Anka przyjedzie do niej. Tam, gdzie jako dziecko spędzała wakacje co roku. Do Murzasichla.

Może to nie Teneryfa, ale przynajmniej nie Azory.

Zapakowała jeszcze laptopa, dorzuciła kilka książek. Dwa kryminały Jo Nesbø, materiały konferencyjne i zaczytane wydanie *Sklepu potrzeb kulturalnych* Antoniego Kroha. Przyjemnie będzie do tego wrócić na leżaku z widokiem na Tatry.

Zarzuciła plecak na ramiona i ugięły się pod nią kolana. Przez chwilę stała nieruchomo, zgarbiona pod ciężarem, łapiąc oddech. Jak człowiek był młody, to z takim ślimaczym domkiem przemierzał Gorce i Beskidy wzdłuż i wszerz. Powoli, tyłem, wycofała się z mieszkania.

Drewniane schody starej kamienicy na krakowskim Podgórzu zatrzeszczały złowrogo pod jej ciężarem. W powietrzu unosiła się zawiesina kurzu, w której przesiane przez brudne dachowe okno światło torowało sobie mleczne tunele. Ostrożnie zeszła, trzymając się poręczy. Na zewnątrz tropikalny upał nie dawał za wygraną. Brama kamienicy przy ulicy Józefińskiej pachniała nagrzanym kamieniem, gnijącymi śmieciami i kocim moczem. Anka wstrzymała oddech i lawirując wśród psich kup, ruszyła na przystanek tramwajowy.

Tytuł: Ujawniamy: studentki – prostytutki

Albo lepiej: *Szok: studentki do towarzystwa*

Skreślił. Poprawił na: *Szok: studentki – prostytutki*. I tak redaktor zmieni mu tytuł. Ale „szok” musi być.

Lead: Przyjeżdżają do Krakowa, żeby zacząć nowe życie, zakosztować wielkiego miasta.

Skrzywił się. „Zakosztować”? Kto tak jeszcze pisze? Chyba tylko „Tygodnik Powszechny”.

Spróbować życia w wielkim mieście. Zamiast tego smakują gorzką pigułkę rozczarowania.

– Jasne – parsknął głośno. – Smakują gorzką pigułkę z kwaśną miną, robiąc słodkie oczy do słono płacących klientów. Magda Gessler polskiego dziennikarstwa się znalazła.

Spróbować życia w wielkim mieście. Zamiast tego czeka je smak upokorzenia.

Uśmiechnął się do siebie.

Chociaż same tego chcą.

Autor: Sebastian Strzygoń – dopisał. Był chyba jedynym dziennikarzem zaczynającym artykuł od wpisania własnego nazwiska.

„Na początku jakoś tak wyszło” – mówi nam dziewiętnastoletnia Beata (imię zmienione).

Zawsze miał problem z wymyślaniem imion zmienionych. Dziennikarskie teksty śledcze roiły się od Ann i Joann, ale gdy chciał się bardziej wysilić, przychodziły mu do głowy tylko imiona, za które dzieci obraziłyby się na rodziców. „Mówi nam dziewiętnastoletnia Tekla”. Więc dał Agacie na imię Beata, bo się rymowało.

Poznali się przy lepkim od rozlanych drinków barze w „Pauzie”. Na ścianach wdzięczyły się rozmazane prace gwiazd krakowskiej fotografiki, a dziewczyna po przeciwnej stronie baru od dłuższego czasu męczyła to samo piwo i bardzo chciała złapać jego spojrzenie. Uśmiechnął się klawiaturą bielonych zębów, starannie kierując kąciki ust lekko w dół. Ćwiczył to regularnie, za to dołeczek po lewej stronie dostał już od genotypu w promocji. Wyglądał na zdecydowanie mniej niż swoje trzydzieści lat, nadrabiał więc całą resztą. Przygładził błyszczącą koszulę w lśniące pasy, lekko poruszył głową, żeby poprawić starannie zaczesaną na bok grzywkę, skinął na barmana i zamówił

jeszcze dwie wiśniówki na lodzie. Dla siebie i koleżanki, o, tamtej.

Rozmawiamy w jednym z renomowanych krakowskich klubów. Beata co wieczór czeka tu na klientów. Anonsuje się na kilku znanych portalach randkowych.

– No, bo ja właśnie studiuję. Zarządzanie, i w ogóle – mówiła lekko już się plącząc. – Wiesz, to jest przyszłość, mieć wykształcenie. Normalnie. A ty w ogóle to kto jesteś?

– Jestem – zawiesił głos i uśmiechnął się, znowu robiąc ten trik z kącikami ust – dziennikarzem.

– O, no weź! – pisnęła. – Ekstra!

Zawsze działało.

– A ty wyglądasz mi na idealną bohaterkę mojego reportażu.

Dopił wiśniówkę.

– A opisałbyś mnie?

Pochodzą z małych wsi i miasteczek. Wyjeżdżają do miasta, zdeterminowane presją…

Zawahał się. Za dużo sylab jak dla jego grupy docelowej. Ale z drugiej strony „zdeterminowane presją" brzmi bardzo socjologicznie. Zostawiamy.

…zdeterminowane presją społeczną. Bo trzeba mieć wykształcenie, żeby się liczyć na rynku pracy. Idą na zarządzanie, marketing, dziennikarstwo czy socjologię. Po studiach pójdą na bezrobocie. Ale na studiach trzeba z czegoś żyć. – „Dziś to atrakcyjność cielesna stanowi walutę. Młodzież widzi, że modelki, aktorki, celebrytki osiągają swoją pozycję dzięki walorom erotycznym" – mówi „Fleszowi"…

Zostawił wolne miejsce. Później się zadzwoni do jakiegoś medialnego socjologa, który na sto procent powie coś w tym stylu.

Beata ma tlenione blond włosy, tipsy i cerę koloru przesmażonej frytki. Pochodzi z małej wioski z południa Polski. Pierwszego klienta znalazła przez przypadek. Siedziała przy barze, tam gdzie teraz rozmawiamy, gdy podszedł do niej dobrze wyglądający mężczyzna. Przedstawił się jako biznesmen. Zaproponował trzysta złotych za noc.

– O Jezu! o Jezu! o Jezu! o Jezu! – piszczała. Jej duże piersi falowały na tle łuszczącego się sufitu jej studenckiego mieszkania. Nagle znieruchomiała wyprężona i wciągnęła głośno powietrze, wyczuwając precyzyjnie, że na niego już najwyższy czas. Gdy wyjęczał swoje, opadła mu na tors, zarzucając na jego twarz mokre włosy. Potem zeszła z niego leniwie, układając się tuż obok. Ciepła, ciągle pachnąca papierosowym dymem klubu i tanimi perfumami.

– Wiesz co? – odezwał się pierwszy. – Serio jestem dziennikarzem. I piszę o puszczających się za kasę studentkach.

Znieruchomiała.

– To co? – Po raz kolejny zrobił ten numer z kącikami ust. – Opowiesz mi trochę o sobie?

„Nie, nie czuję się kurwą – mówi nam Beata. – Każdy ma jakieś sposoby, żeby funkcjonować, nie? Ja się podobam mężczyznom, jestem wolna, lubię seks, a jeśli oni chcą mi za to coś podarować, to przecież się nie będę bronić, nie? Z czegoś żyć trzeba".

– Wynoś się – wyszeptała cicho.

– Nie denerwuj się, Agata. Gwarantuję ci stuprocentową anonimowość. Możesz mi zaufać. Etyka dziennikarska.

– Wypierdalaj! – wrzasnęła. Uśmiechnął się przepraszająco, wciągając spodnie. Drżącymi dłońmi próbowała zapalić papierosa, gdy dopinał koszulę. Rozpłakała się, gdy trzasnął drzwiami.

Gdzieś głęboko w Beacie czai się ta nieuświadomiona może do końca rana. Rana, którą zadała sobie sama. Pod maską pewności siebie kryje się gorzki smak upokorzenia. Prędzej czy później to do niej dotrze.

Anka odetchnęła z ulgą, kiedy zamknęły się drzwi autobusu. Poczuła na twarzy delikatny powiew

klimatyzacji. Gdy ostatnio przemierzała tę trasę, nie było jeszcze takich luksusów. W tamtych zatłoczonych do granic, zdezelowanych autobusach śmierdziało czosnkową kiełbasą i jajkami na twardo. Z magnetofonu leciało na cały regulator disco polo. Tamte pekaesy sprawiały wrażenie, jakby za chwilę miały zacząć gubić wszystkie śrubki wzdłuż wąskiej, jednopasmowej Zakopianki, która już w Pcimiu zmieniała się w drogę na zatracenie.

Tępo patrzyła w szybę, zostawiając za sobą ugotowany w upale Kraków i wyjeżdżając na Zakopiankę, ów tor przeszkód w drodze po nagrodę. Pamiętała ten odcinek na wysokości Mogilan, gdy już minie się wszystkie stacje benzynowe i McDonaldsy, gdzie droga wiedzie do wzniesienia, po czym opada raptownie w dół, a za oknem objawiają się Beskidy.

– *Wow* – jęknęło równocześnie na ten widok, z angielskim akcentem, dwóch siedzących przed nią chłopaków w jednakowych koszulkach Hard Rock Cafe Kraków. Zachodnie mieszczuchy na safari – zdążyła ich już ocenić Anka, gdy chwilę wcześniej bezskutecznie zagadywali dwie siedzące po drugiej stronie autobusu leciwe wiejskie kobiety w chustkach na głowach. Pytali je, czy noszą chustki ze względów religijnych, ale kobiety tylko coraz głośniej i wolniej powtarzały, że nie rozumieją. Teraz, gdy widok zniknął za ogrodzeniami autokomisów i lśniącymi nowością strzechami regionalnych karczm, Anglicy rozmawiali o nadziejach na *experience* prawdziwej *traditional culture*, pokazując sobie palcami gigantyczny banner z wyblakłym zdjęciem „góralburgera” za 19,99 zł. Frytki gratis.

Im bliżej gór, tym więcej było billboardów i prowizorycznych tablic. Wykrzykników, żółto-czerwonych barw i wielkich liter.

– A tu, we Pcimiu, beł dawniej taki śpetny motel z zółtym dachem. – Jedna ze starszych kobiet nagle się ożywiła. – Rozburzyli go?

– E, nie rozburzyli, ino zasłonili temi zielonymi – odparła druga, wskazując na ekrany dźwiękołchonne, między którymi, po nowej ekspresówce, autobus sunął niczym w tunelu czasoprzestrzennym. – Pewnie musieli zasłonić bez jakie regulacje unijne, bo beł za śpetny.

Pierwsza spoważniała.

– Mądre. – Pokiwała głową. – Nie jak za komuny.

– He, za telo lat, co Zakopianką jezdze, to, wie pani, widać jak sie piyknie dzisiaj Polska rozwijo – ciągnęła druga. – Ludzie sie wzięły, pani, za przedsiębiorczość, telo budujo pensjonatów i karcem tradycyjnych, widać jak się reklamujo.

Anglicy zamilkli. Anka pomyślała, że poraził ich widok pobojowiska ciągnącego się wzdłuż trasy przemarszu góralskiej przedsiębiorczości. Wpadło jej do głowy, że gdy ekspresówkę dociągną na Podhale, wszystko to też wreszcie zasłonią ekrany dźwiękochłonne. Włożyła do uszu słuchawki. Ogarnęły ją senność i wątpliwości. A może ten wyjazd to jednak wcale nie jest dobry pomysł? Z kuzynką Kaśką przyjaźniły się bardzo jako dzieci i nastolatki, ale ostatni raz widziały się wieki temu. Kaśka była od niej starsza, zawsze o te kilka lat do przodu, mogła jeździć samodzielnie na wakacje, czy do Jarocina, potem na Zachód do pracy, farbowała włosy, miała chłopaka. Ance wydawało się wtedy, że tak właśnie wygląda dorosłość. Uśmiechnęła się do siebie, do tej cichej nastolatki z rudym warkoczem, w zbyt dużych okularach. Zastanawiała się, czy po tych wszystkich latach będą miały z kuzynką jeszcze o czym rozmawiać.

Gdy się ocknęła, minęli już Nowy Targ. Ekranów nie było, ale gór też nie można było dostrzec zza tablic, afiszy, bannerów, kiosków z kapciami i serkami, wystaw gipsowych figur do ogrodu i wielopiętrowych pensjonatów udających, że są z drewna. Starsze panie drzemały, z Anglików jakby uleciał entuzjazm. Z poważnymi minami wyglądali przez okno.

– *Nice* – bąknął ten z lewej. – *Like the Alps plus advertising*[1].

Na dworcu autobusowym w Zakopanem powietrze aż falowało od upału. Stolica Podhala witała rzesze turystów wyblakłą boazerią, brudnymi oknami i lepką podłogą. Anka zmrużyła oczy i starała

się wypatrzeć znajomą postać. Poczuła się nagle jak mała dziewczynka, którą ktoś wysłał samą na kolonie. Potrącali ją i podróżni spieszący na busa, i miejscowi dzierżący kartoniki z napisem *Zimmer frei*. Nad wszystkim unosił się zapach starego oscypka wędzonego w spalinach.

– Kopę lat, młoda! – Anka podskoczyła, czując mocne klepnięcie w ramię. Uśmiechnęła się i puściła plecak, który pacnął o kostkę brukową. Kuzynki objęły się mocno.

– Świetnie cię wreszcie zobaczyć. – Poczuła, jak nienaturalnie to zabrzmiało. Ale nie bardzo wiedziała, co innego mogłaby powiedzieć.

Kaśka z jednej strony bardzo się zmieniła, a z drugiej nie zmieniła się wcale. Nosiła krótkie, lekko już przetykane siwizną, nastroszone włosy, wypłowiały podkoszulek, dżinsowe rybaczki i różowe plastikowe japonki. Nie miała makijażu, a piegi na jej nosie, policzkach i czole nadawały jej dziewczęcy wygląd. Tylko drobne zmarszczki wokół ust i oczu trochę nie pasowały do obrazu, podobnie jak żylaste i spracowane dłonie oraz cienie pod oczami.

Kaśka dźwignęła plecak Anki zupełnie bez wysiłku i zaczęła się przedzierać przez tłumek gimnazjalistów.

– Zostaw, to ciężkie, ja wezmę! – Anka podbiegła za nią.

– Ciężkie to są wory śmieci, które codziennie wynoszę po turystach. – Kaśka poprawiła na ramieniu plecak i wyciągnęła z kieszeni paczkę papierosów.

– Dalej palisz? – spytała Anka, żeby coś powiedzieć.

– Nieodmiennie od siódmej klasy podstawówki. – Kaśka roześmiała się i przytknęła zapalniczkę do papierosa. – Wsiadaj.

Anka z zaskoczeniem oglądała czerwoną toyotę RAV4 z wielkim napisem „Kompleksowe usługi góralskie Gazda". Ostrożnie pociągnęła za klamkę. Auto nie do kupienia z asystenckiej pensji, pomyślała.

– To Józka – rzuciła Kaśka, widząc jej minę. Z papierosem w ustach usiadła za kierownicą. – Z wielką łaską mi dzisiaj pożyczył. Wozi tym nudziarzy z korporacji, którzy przyjeżdżają na szkolenia i wyjazdy integracyjne. I czasem Babońkę do kościoła, jak mu pozwoli.

Kaśka zrzuciła klapki i oparła bose stopy o pedały.

– Tak na wakacje przyjeżdżasz, a bez żadnego chłopa?

Anka odwróciła się i przez chwilę patrzyła, jak toyota przedziera się przez zakorkowane Zakopane. W oddali majaczył Giewont, wyglądając nieśmiało zza bloków. Turyści jak stado baranów zmierzali w stronę Krupówek. Przez chwilę słychać było tylko szum klimatyzacji.

– Bo żadnego nie mam – odparła po chwili. – A ty?

– Witamy w klubie. Samotnych serc. – Kaśka skrzywiła się z papierosem przyklejonym do dolnej wargi. Ance od uśmiechania się drętwiały kąciki ust.

Milczenie trwało trochę dłużej niż powinno. Na szczęście wtedy Kaśka sięgnęła pod siedzenie toyoty.

– To na wieczór, będzie się lepiej gadało.

Anka otworzyła szeroko oczy, obracając w dłoni butelkę, którą podała jej kuzynka – złoty plastikowy sznurek i czerwona pieczęć wyglądały tandetnie, podobnie jak udawana banderola z napisem „Product of Łącko". Na co dzień wolała co prawda czerwone wino, ale wizja spędzenia wieczoru z Kaśką i butelką śliwowicy „Łąckiej", siedemdziesięcioprocentowego bimbru, wydała jej się nagle bardzo bliska.

Wyjechały z miasta przez rondo w Kuźnicach. Miejsce szarych bloków i wielkich pstrych domów o spadzistych dachach zajęły drzewa, majestatyczne, zielone soczystą kwasową barwą. Kaśka wyłączyła klimatyzację i opuściła szyby.

– To teraz wdychamy górskie powietrze. – Wydmuchała dym nosem i wyrzuciła peta do popielniczki.

Anka zamknęła oczy. Tak, pamiętała ten zapach i to uczucie, kiedy, wpakowawszy się do dużego fiata razem ze wszystkimi bagażami, ruszali z zakopiańskiego dworca w stronę Murzasichla. Rozgrzany w słońcu cudzy samochód pachniał obco i mdląco, a jego zapach mieszał się z wonią wilgotnej zieleni. Na serpentynach kanapka z jajkiem na twardo podchodziła jej do gardła. Potem potrzebowała jeszcze przynajmniej dnia na aklimatyzację, kiedy bolał ją brzuch i bała się ciemności, która w górach była dużo bardziej ciemna niż w mieście. Ale następnego dnia przestawał jej przeszkadzać subtelny smrodek gnojówki unoszący się od strony zagrody ciotki-babki zwanej przez wszystkich Babońką, nie wpadała w histerię, gdy wdepnęła bosą stopą w kurzą kupę albo w ślimaka i przestawała się krzywić na widok kwaśnicy. A po powrocie duszny smog Krakowa wydawał jej się zawieszoną w powietrzu zupą, jedzenie na stołówce nie miało smaku, tylko kurzych kup jej nie brakowało, bo miała w zamian gołębie.

– Zaraz zobaczysz, jak się u nas pozmieniało. – Kaśka się ożywiła. – Skończyliśmy budowę, akurat jest u nas kolonia z Poznania. Babońka nie zgodziła się przeprowadzić, mieszka dalej w swojej chałpie i mówi, że nie przesadza się starych drzew. Józek jest zły, bo to kawałek fajnego gruntu, gdzie można by postawić wiatę na grilla albo garaż dla tych jego quadów. Ale Babońka nie chce ustąpić i, znając życie, nie ustąpi. My z mamą prowadzimy pensjonat, Józek zajmuje się firmą i bawi się w te, jak to się teraz ładnie mówi, eventy. Tata, to pamiętasz, nie żyje.

Anka pokiwała głową.

– A ja – bez zmian. Jak pewnie zauważyłaś, nie wyjechałam do Stanów, robię to, co zawsze, czyli po kimś sprzątam – Kaśka mówiła, patrząc przed siebie, jakby komentowała pogodę albo stan nawierzchni drogowej.

Anka nie wiedziała, jak ma to rozumieć. W końcu Kaśka współprowadziła duży pensjonat w Tatrach. Dziwne – pomyślała i rozmarzyła się. Mieć pensjonat, robić gościom jajecznicę, kupować do pokojów bibeloty, a wieczorami serwować wino i ser w barze przy recepcji… Mogłaby tak żyć.

Zjechały w drogę gruntową i chwilę kołysały się w koleinach, wzbijając kłęby pyłu. Anka zaczynała poznawać to miejsce. Kiedyś wyglądało trochę inaczej: nie było boiska do siatkówki, na którym szalała teraz grupka dzieciaków. Pokaźny budynek z gigantycznym dachem opadającym przez trzy piętra, odkąd pamiętała, był stale w budowie. Teraz, już wykończony, pysznił się drewnianymi balkonami, z których zwieszały się pelargonie. Nieopodal pod wielkim drzewem stał otoczony niskim i powykrzywianym płotem drewniany domek, wokół którego dreptały kury.

Ale wzrok przykuwało co innego: otwierająca się spektakularnie panorama Tatr z Koszystą w roli głównej. Anka zmrużyła oczy. Uśmiechnęła się do siebie.

Zasejwował tekst i wysłał do centrali w Warszawie. Przeciągnął się na krześle, aż zatrzeszczało. Było popołudnie, w boksach siedziała spora część załogi. Z biurka obok dobiegało neurotyczne terkotanie spracowanej klawiatury Fryderyka z Działu Rozrywki, kiedyś Kultury. Po drugiej stronie Wiolka, mała czarna z działu miejskiego, mówiła komuś przez telefon ściszonym głosem, że się zdzwonią, jak wróci z Jastarni, bo teraz musi jeszcze napisać ostatni tekst przed urlopem, strasznie ważny.

– Czyja znowu będzie jutro jedynka? – huknął Strzygoń na cały newsroom.

– Bastek, przymknijże się, ja tu pracuję – podniosła głos mała czarna Wiolka. – Nad tekstem na jutrzejszą jedynkę – syknęła.

– A to się nie męcz, już zajęte.

– Ty serio myślisz, że wezmą twój tekst o studentkach dających dupy, jak ja mam tu kolejne upadające biuro podróży? I to w naszym regionie. Przecież z tego będzie materiał do wydania ogólnopolskiego na pewno, więc nie przeszkadzaj i…

Zadzwonił telefon Bastiana. Melodią *Domowe przedszkole*. Dziennikarz odebrał zamaszystym

gestem.

– No, witam, witam, redaktorze, już przeczytałeś? – wypełnił newsroom teatralnym dyszkantem. – He he, wiem przecież, że bomba. Serio? Jutrzejsza jedynka? Suuper. Pewnie że się sprzeda. A ty na wakacje nie jedziesz, tak w ogóle? No, ja na Bali, ale w październiku. I tak lepiej niż do jakiejś wieśniackiej Jastarni.

Głos Bastiana zniknął za drzwiami newsroomu, gdzie zostawił Wiolkę z palcami zamarłymi nad klawiaturą. Fryderyk z Działu Rozrywki, kiedyś Kultury, pokręcił głową, i było w tym sporo uznania. Strzygoń potrafił być świetnym śledczym, jak mu się chciało. Ale jak dostawał temat na sezon ogórkowy, to szył go ze ściemy, przy czym zwykle udawało mu się jeszcze do tego za darmo napić, pojechać w ciekawe miejsce, a podobno czasem też zadupczyć.

I na koniec robił z tego pierwszą stronę.

W pokoju na poddaszu pachniało nagrzanym kurzem i gotowanymi ziemniakami. Meble z jasnej sklejki pamiętały na pewno lepsze lata, ale wystarczały na potrzeby przyjeżdżających w góry wycieczek. Podobnie jak łazienka – mała, ale przyzwoita i dokładnie posprzątana. Widać było, że rodzina Kaleniców nie ma za dużych możliwości, ale bardzo się stara.

Kiedy wszyscy wyszli jej na powitanie, Anka poczuła się niezręcznie. Pachnąca stołówką ciotka przytuliła ją i wyściskała jak małą dziewczynkę. Miała wyblakłe oczy i zimne ręce, które cały czas wycierała w fartuch. Ubrany w markowe jeansy i obcisły podkoszulek Józek, brat Kaśki, przywitał się z nią trochę jak starszy kuzyn, a trochę jak fachowy animator, sypiąc dowcipami o ceperce i bacy. Wyszły nawet panie z kuchni, chociaż tylko uśmiechały się przepraszająco.

Największą zaletą przydzielonego Ance pokoju był balkon. A w zasadzie taras z oszałamiającym widokiem na Tatry. Anka przyniosła sobie poduszkę, rozłożyła na plastikowym krześle i usiadła z książką. Przez chwilę próbowała się skupić na materiałach konferencyjnych, po czym rzuciła je na stolik. Nie będzie tracić wakacji. Wybrała Antoniego Kroha. I już po kilku minutach lektury śmiała się jak dziecko.

Po charakterystycznym człapaniu poznał, że w jego stronę zbliża się szef oddziału regionalnego. Szybko wcisnął klawisze Command i Tab. Facebook zniknął, a na monitor wrócił przegląd agencyjnych depesz.

– No, Bastian, gratulacje zasłużone. Mocny temat – mruknął szef.

Dziennikarz odwrócił się do niego z wyrazem profesjonalnego skupienia na twarzy. Uśmiechnął się. Kąciki ust w dół.

– Dzięki. Długie i trudne śledztwo, ale się opłaciło – błysnął.

– Ale chyba komuś się nie spodobało. – Szef wyciągnął ku niemu rękę. W dłoni trzymał wydruk e-maila. – Zobacz, panienka z twojego tekstu napisała skargę.

Bastian, ani odrobinę nie zmieniając wyrazu twarzy, wziął wydruk w dwa palce. Czytał, ciągle się uśmiechając. Że zmanipulował niewinną studentkę. Że w niekorzystnym świetle przedstawił. Że wyznania intymne wymusił. Że wykorzystał.

– I co jeszcze? Że nie miała orgazmu? – warknął w końcu, patrząc szefowi głęboko w oczy. – Wstyd jej teraz i próbuje mnie obesrać.

– No – sapnął szef. – Bezczelna.

– Odpisz, że przecież jej zapłaciłem. – Bastian roześmiał się głośno i zaraźliwie. Poskutkowało. Po chwili wahania obwisłe policzki przełożonego rozjechały się szeroko, a wszystkie podbródki zatrzęsły się od śmiechu.

– Ale mówię ci, Bastian. – Szef po chwili spoważniał. – Jakby mi dziennikarz naprawdę taki numer wywinął, to byłby to jego koniec – sapnął.

– O, to teraz „Flesz” przechodzi wzmożenie moralne? – dziennikarz spróbował zażartować. – Od kiedy?

– Gówno mnie wzmożenie moralne obchodzi – zatrząsł się szef. – Ale wyobraź sobie nagłówki konkurencyjnych gazet: „Dziennikarz »Flesza« posuwa swoje informatorki”. Tak bym skurwiela urządził, że nigdzie by po czymś takim nie znalazł roboty.

– Jasne, szefie. – Twarz dziennikarza nawet nie drgnęła. Odczekał, aż kierownik doczłapie do swojej kanciapy. Dopiero wtedy wypuścił powietrze z płuc. Zaklął.

– Puk puk. – Kaśka weszła na taras, trzymając w ręce tacę, na której stała butelka śliwowicy, gigantyczny oscypek i dwie szklanki kompotówki. – Impreza idzie.

Rozsiadła się na krześle.

– W serialach bogaci ludzie z Warszawy jedzą ser i piją wino – powiedziała. – To przyniosłam ser. Podobno dobry, nie paprany.

Ukroiła sobie kawałek oscypka i włożyła do ust.

– Oglądasz seriale? – zapytała Anka i też poczęstowała się serem. Zaskrzypiał w zębach znajomo.

– Czasem lubię sobie popatrzeć w telewizorze na prawdziwe życie.

Roześmiały się obie i stuknęły szklankami.

– Już myślałam, że o nas nie pamiętasz – powiedziała Kaśka. – Kariera, uczelnia, wyjazdy zagraniczne… Zawsze cię ciągnęło do nauki. Nawet nie wiesz, jak nas wkurzałaś, gdy woziłaś ze sobą te wszystkie książki. U nas w wakacje to się łaziło po drzewach.

– A ja pamiętam, jaką mi ścieżkę zdrowia zawsze urządzaliście z Józkiem. – Anka uśmiechnęła się niepewnie, nie wiedząc, co odpowiedzieć. – Miałam potem pozdzierane kolana i obite łokcie. Ciotka zawsze nas goniła, żebyśmy nie łaziły tam, gdzie nie trzeba.

– A mnie zawsze goniła do książek. Tyle że mi się nigdy nie chciało, a tobie tak. I dlatego właśnie to ty jesteś teraz panią doktor z Krakowa. Wiesz, jaka cała rodzina jest z ciebie dumna?

Anka spuściła wzrok, żeby ukryć zakłopotanie. I zadowolenie. Ale w beczce miodu, jak łyżka dziegciu, rozpłynęły się codzienne frustracje: marna pensyjka, nigdy niewyremontowane do końca mieszkanie po ciotce i poczucie, że póki żyje stary profesor Gwizdałowski, nikt z nich, młodych i ambitnych, wyżej się nie przebije. Bywały momenty, kiedy nienawidziła uczelni, swojej kamienicy, sąsiadów, z których każdy reprezentował inną patologię, śmierdzących bezdomnym tramwajów, upstrzonych psimi kupami skwerów, wysprejowanych murów. Żaden Wawel ani stary gotycki kościół jej tego nie wynagrodzą. Kraków lubiła tylko jesienią, kiedy spadające z drzew liście przykrywały zwyczajowo zalegający na ulicach syf.

– Ty za to masz swoje miejsce – powiedziała wreszcie i ręką zakreśliła szeroki łuk. – Pamiętam, jak zawsze kochałaś góry, i patrz, masz tu teraz własny kawałek Tatr.

Kaśka przez chwilę patrzyła przed siebie, zawiesiwszy wzrok gdzieś na graniach, i pokiwała głową.

– Z paroma dziewczynami ostatnio zaczęłyśmy śpiewać po góralsku, ale tak tylko dla siebie. Odgrzebujemy stare, zapomniane przyśpiewki, na przykład z Kolberga albo która co pamięta z dzieciństwa. Gotujemy, chcemy się też nauczyć tradycyjnego haftu. Prosiłam Babońkę, żeby nam pokazała, ale nie chce, chociaż wiem, że potrafi. Mówi, że to już nikomu niepotrzebne. Ale popracuję nad nią.

– Zawsze mi tego brakowało – westchnęła Anka.

– Haftu? – Kaśka parsknęła śmiechem.

– Korzeni.

Odkąd pamiętała, zazdrościła Kaśce i Józkowi, że są stąd, a ona tylko tu przyjeżdża, że mają własne „tutaj”, własne „stąd”. Anka, choć z nimi spokrewniona, góralką nie była ani trochę. Ich

dziadkowie byli braćmi, pochodzili z Krakowa. Jeden z nich ożenił się z rodowitą murzasichlańską góralką, a ich córka, czyli matka Kaśki i Józka, wyszła za nieżyjącego już Władka Kalenicę, syna Babońki.

– Wiesz, korzenie to nie jest taka prosta sprawa. – Kaśka łyknęła śliwowicy. – Z jednej strony dają ci oparcie, a z drugiej strony trzymają cię w miejscu. Nie pójdziesz do przodu, choćbyś chciała.

– A gdzie chciałabyś pójść? Przecież tu masz wszystko.

– Wszystko i nic. – Kaśka się zamyśliła. – A pójść, to nie wiem, hen za górę, za wodę. Gdzie mnie nie znają. Gdzie można zacząć od nowa. Tobie się udało, ty robisz coś ważnego. A ja tylko sprzątam.

– Na swoim to podobno inaczej – powiedziała Anka, zaskoczona wyznaniem kuzynki.

– Na swoim! Dy przeca to syćko Józkowe! – Kaśka sięgnęła po szklankę i energicznie ją opróżniła.

– Serio?

– Tak wyszło. Jak umarł tata, to firmę przejęła mama. Pamiętasz, skończyłam studia, miałam wtedy jechać do Stanów. Z Mateuszem. Na stałe. Szukać roboty. Ale ktoś musiał mamie pomóc, zwłaszcza że Józek już w Stanach siedział. Nie mogłam jej zostawić, nie w takiej chwili. Było ciężko, wiesz, to nie był najlepszy moment na biznes. Balansowałyśmy na granicy bankructwa, urabiając sobie ręce po łokcie. A potem wrócił Józek, trzaskał zielonymi, wyciągnął nas z długów. Ale w zamian mama przepisała firmę na niego. Od tej pory to on nas zatrudnia. W ten sposób zostałam sprzątaczką. A Mateusz i tak pojechał do Stanów. Beze mnie.

Przez chwilę milczały. Anka patrzyła w szklankę i czuła, jak zaczyna kręcić się jej w głowie. Śliwowica „Łącka". To takie proste.

– Najpierw nawet pisał listy. Potem przestał. Ostatnio go znalazłam na Facebooku, ma żonę i trójkę dzieci. Same dziewczynki, śliczne mulatki. Pokażę ci potem ich zdjęcie w góralskich strojach, to padniesz. Prowadzi firmę budowlaną i ma dom na przedmieściach Chicago. A mogło to być moje życie. Do Józka nie mam żalu. Gdyby nie on, mogłoby wszystko dawno temu szlag trafić. Ale jest skurwiel kuty na cztery nogi.

Kaśka polała, tłumacząc, że śliwowicę przywożą dla letników, którzy, gdy dostają na powitanie skibkę chleba z Biedronki i banię „Łąckiej", od razu czują, że są w góralskiej gościnie, i pewnie nawet nie wiedzą, gdzie Murzasichle, a gdzie Łącko. Anka tylko udawała, że pije. Ukroiła sobie duży kawałek oscypka i przegryzła, próbując pozbyć się palenia w gardle. Powoli zapadał zmierzch, zarysy Tatr ginęły na tle ciemniejącego nieba.

– Nie mówmy już o mnie – powiedziała cicho Kaśka. – Wróćmy do udanego życia pani doktor. Opowiedz coś o tych wyjazdach, badaniach. To musi być bardzo ciekawe.

– Fajnie brzmi – mruknęła Anka. – Ale tak naprawdę to nic wielkiego. Żadne tam wyjazdy. Grzecznie w kolejce czekam na swoją szansę, ale prawie wszyscy w instytucie są w tej kolejce przede mną. A tak, to codzienna praca, orka na ugorze, młodzież coraz głupsza, a życie coraz droższe – wyrecytowała, przewracając oczami. – Gdybym tego nie kochała, musiałabym to nienawidzić. Czasem się zastanawiam, ile to jest warte. Ale gdy na zajęciach widzisz na czyjejś twarzy przebłysk inteligencji albo gdy student podchodzi po wykładzie zapytać o literaturę, to wtedy czujsz, że może to nie jest aż tak bardzo bez sensu.

Zamilkła, zaskoczona własną wylewnością. Nigdy się jej to nie zdarzało.

– Chwila, ja mam coś dla ciebie! – Poderwała się nagle z krzesła i zatoczyła na drzwi balkonowe. Złapała równowagę i wyjęła z plecaka dużą poszarzałą kopertę oklejoną motylami powycinanymi z gazety.

– Nasze stare zdjęcia. Pośmiejemy się.

– To ja też mam coś dla ciebie.

Kaśka wstała i trochę niepewnym krokiem wyszła z pokoju. Anka na chwilę została sama. Było

prawie zupełnie cicho. I prawie zupełnie ciemno. Gdy skrzypnęły gwałtownie otwarte drzwi, aż podskoczyła na krześle.

– Mam! – Kaśka triumfalnie potrząsała trzymanymi w ręce skrętem i zapalniczką. – Kumpel jest strażnikiem w TPN-ie, uprawia sobie kilka krzaków w głębi parku na własny użytek i czasem mi coś podrzuca.

– Nie paliłam trawy od studiów. – Anka trochę się przestraszyła. Nie łączyła jeszcze skręta ze śliwowicą. I przeszło jej przez myśl, co by było, gdyby ją z tym zobaczyli studenci. Pewnie zaczęliby bić brawo.

Kaśka zapaliła i zaciągnęła się głęboko. Podała kuzynce skręta i wypuściła dym przez nos. Zamknęła oczy. Anka nabrała w płuca dymu i na chwilę wstrzymała oddech. Zakręciło jej się w głowie trochę bardziej. Usłyszała bicie swojego serca.

– To popatrzmy na te foty – chrypnęła Kaśka.

Wyjęła pierwsze zdjęcie z koperty i uśmiechnęła się szeroko. Na zdjęciu byli we trójkę – Kaśka, Anka i Józek. Kaśka, z ogoloną głową po powrocie z Jarocina, wyglądała jakby uciekła z więzienia. Ubrana była w koszulkę z napisem *Punk's not dead*. Anka miała poobijane kolana i mnóstwo piegów, włosy uczesane w grzeczny warkoczyk. Józek prezentował z dumą ledwo widoczne, świeżo zapuszczone wąsy i fryzurę na czeskiego piłkarza.

– O Jezu! – Kaśka zatoczyła się ze śmiechu. – Muszę to wrzucić Józkowi na fejsa! A tu jakie mroczne klimaty. – Wyjęła jedno zdjęcie z samego dołu. – Halloween?

Na fotografii obie dziewczyny były mocno umalowane, czarny makijaż nie pasował do ich młodych twarzy. Uśmiechały się szeroko i miały szminkę na zębach, która po połowie butelki śliwowicy i wypalonym wspólnie skręcie zaczęła wyglądać jak krew.

Anka próbowała skupić wzrok na swojej twarzy, ale za bardzo kręciło jej się w głowie. Widziała tylko burzę rudych włosów, blady owal twarzy, dwie czarne dziury w miejscu oczu i czerwoną szramę w miejscu ust, jak u Jokera. Nie podobało jej się to, co zaczynało się z nią dziać.

– To chyba wtedy, jak się dorwałyśmy do kosmetyków twojej mamy. Pamiętam, że potem zabronili nam oglądać telewizję. A leciało akurat *Miasteczko Twin Peaks*.

– Tak, pamiętam! Pamiętam też, jak mnie nastraszyłaś, że jestem opętana przez Boba – powiedziała Anka zupełnie poważnie. – Bałam się jak cholera.

Kaśka wybuchnęła nieposkromionym śmiechem.

– To wcale nie było śmieszne! Opowiedziałam ci, że śnił mi się Bob, a ty mi powiedziałaś, że widocznie mnie opętał. A ja, głupia, bałam się chodzić spać przez kilka tygodni! Dobrze, że nie zaczęłam się moczyć w nocy!

Ance przypomniały się tamte emocje i na chwilę poczuła je od nowa. Wyostrzonymi przez narkotyk zmysłami usłyszała, jak trzeszczą drzewa, poruszane przez wiatr. Jedlice Douglasa. Tak się chyba nazywały w serialu. Stłumiony huk gdzieś z gór. Pohukiwanie sowy. Jak to było? Sowy nie są tym, czym się wydają. Ciemność nagle zaczęła jej przeszkadzać. Odwróciła się i zobaczyła w szybie swoje odbicie, nieostrą postać, której włosy opadają na twarz. Zamknęła oczy i policzyła do trzech. Więcej nie palę, postanowiła. Irracjonalnie czuła, że ciągle się boi. Słyszała, że Kaśka coś do niej mówi, ale nie była w stanie poskładać jej słów w sensowne zdania. Wytężyła uwagę i skupiła wzrok.

– …ale ty chyba mnie nie słuchasz. – Kaśka ziewnęła donośnie i zgarnęła tacę ze stołu. – Jutro wstaję o piątej. Nie umiem już tak siedzieć do późna, jak kiedyś.

Pożegnały się. Anka została sama. Zamknęła drzwi na balkon i położyła się w ubraniu na łóżku. Zasnęła, sama nie wiedziała kiedy.

I śnił jej się Bob.

ROZDZIAŁ 2

Umrzyj stary, umrzyj,
pochowom jo ciebie,
a na twoim grobie
potańcujem sobie.

Najprawdopodobniej nic by się nie wydarzyło, do niczego by nie doszło, gdyby nie to, że Ance okropnie zachciało się sikać.

Wczorajszy wieczór skończył się dość gwałtownie. Wczesna pobudka, podróż, szok tlenowy, wreszcie naprędce pita śliwowica, rozmowa, która stoczyła się głębiej, niż obie kuzynki mogły się spodziewać po tak długiej rozłące, wreszcie efekty trawy – wszystko to zsumowało się nieubłaganie. Anka wiedziała, że przypomina zombie, chociaż próbuje za wszelką cenę wyglądać na skupioną, uśmiecha się głupkowato, potakuje niezbornie i zmusza powieki do utrzymania choć symbolicznego rozwarcia. Zapamiętała pobłażliwy uśmiech starszej kuzynki. Ona zawsze tak ukradkiem się z niej śmiała, gdy jako małolaty eksperymentowały z piwem i papierosami.

Obudziło ją słońce. Zmarszczyła nos, czując tętnienie w skroniach. Na nocnej szafce stała szklanka żętycy. Wypiła duszkiem. Była dziewiąta rano. Przespała całą noc w ubraniu, z planowanego ataku na Czerwone Wierchy już raczej nici. Może i dobrze, bo jej akademicka kondycja, trenowana sztafetą w noszeniu teczki za profesorem i regularnymi sprintami w wyścigu szczurów, mogłaby tego nie wytrzymać.

Żętyca zadziałała i już po chwili Anka wciągnęła dres i poczłapała do kuchni. Rozumiejąca pani Władzia, kucharka, co przy mężu góralu nie takie poranki już widziała, bez słowa przygotowała jej jajecznicę na boczku i pomidorach. Anka poczuła się na tyle stabilnie, żeby zacząć myśleć o tym dniu jako o nie do końca straconym. Czerwone Wierchy odpadają, ale jakiś niewymagający spacer wydawał się na miejscu.

Było południe, gdy ruszyła w stronę przystanku. Szła nieśpiesznie, rozglądając się po wsi. Za nowymi przybudówkami, za płotami całymi w banerach, za nowym tynkiem koloru zleżałych pistacji kryło się jej Murzasichle.

Jej Murzasichle, to nostalgiczne, zapamiętane, w którym topografia zmieniała się w genealogię. Kiedyś, dawno temu, wiedziała na pamięć, bo tyle razy objaśniały jej to Babońka i ciotka Kalenicowa, że rejon pierwszej kapliczki nazywa się „u Misiagi”, wcześniej mieszkali Mulorze z Karczmy, choć karczmy przecież już dawno nie ma, że przed karczmą były Bukowiany, potem jeszcze Hajduki, Zbójniki, Michaloki, a potem w okolicach remizy Teklorze i Tadzi, powyżej kościoła Polcorze, że za kościołem szło się pod górkę „pod Kulawego”, że droga na Budzowy Wierch odchodzi zaraz przed Kiciorzem.

Jej Murzasichle, gdzie miejsca zmieniały się w opowieści wytrącone z czasu, o których nie wiadomo było, czy to jeszcze historia, czy już mit. A więc o tym, że na Capówce swoje kozy pasał legendarny Łukasz, założyciel wsi. Że Felek wrócił z Ameryki bez nogi, bo ją stracił w kopalni, i wprawdzie dostał protezę, ale ją wyrzucił i zamiast niej wystrugał sobie scugiel, bo z protezą niewygodnie mu się chodziło. Że Jędruś z Mulorzy najpiękniej po góralsku śpiewał. Że stara Felonkula była najlepszą akuszerką. Że za sklepem Maliniaczki milicjant zastrzelił kiedyś jednego

chłopaka, Wojtusia, co stanął w obronie dziewczyny. Że ten się pobudował, tamtemu się syn powiesił, a tego córka wyjechała do Ameryki.

Jej Murzasichle, gdzie przydomki i przezwiska zamieniały się w nazwiska – bo co komu po nazwiskach, gdy wszyscy są z Łukaszczyków? Wszyscy, myślała, tylko nie ona. Pod koniec wakacji czuła się zawsze, jakby była stąd. Na początku – że jest tylko gościem, obcym. „Niepilcem".

Moje to Murzasichle, myślała popijając nałęczowiankę, i nie moje.

Złapała busa na Zakopane. Bus był w swojej zasadniczej części nadwoziem Forda Transita, rozwijanym przez pokolenia lokalnych spawaczy pasjonatów w konstrukcję o nieskończonej pojemności. W środku kilkanaście osób od stóp do głów odzianych w polary, koszulki, górskie buty i inne akcesoria marki Quechua, obdarzyło pobłażliwym spojrzeniem jej harcerski plecak.

– Pan jedzie tak, żeby było blisko do szlaku przez Suchą Wodę? – zapytała nieśmiało kierowcę, starego smagłego górala, starając się ignorować drwiące spojrzenia pozostałych turystów. Wyobrażała sobie, że wytykają ją teraz kijkami do nordic walkingu. W studenckich czasach znała Tatry na pamięć. Teraz nie umiała sobie przypomnieć, czy szlak zaczynał się przed skrzyżowaniem szosy na Łysą Polanę z drogą do Murzasichla, czy już za.

Kierowca skinął głową bez słowa.

– Bo wie pan – usprawiedliwiała się – dawno tu nie byłam.

– Pani – uśmiechnął się busiarz. – U nos sie nie zmieniło.

Szlak przez Dolinę Suchej Wody uchodził za jeden z najnudniejszych. Siedem kilometrów długości, prawie trzy godziny spaceru przez las. Ance to odpowiadało. Rzadko spotykało się tu ludzi, o co w polskich Tatrach niełatwo. A ludzi miała ostatnio wyjątkowo dosyć.

Było cicho. Pachniało czystą wodą i świerkiem.

Za drewnianym mostem nad Suchą Wodą przysiadła na kamieniu. Żeby trochę posłuchać potoku i żeby wypić piwo, które przezornie zabrała ze sobą.

Już po chwili marszu zaczęła sobie zadawać rytualne pytanie: po co ludzie w ogóle to robią? Po co chodzą w góry, męczą się, kaleczą stopy, nadwerężają stawy, rozdymają płuca, wyginają grzbiety, skoro można by leżeć z książką na leżaku i patrzyć na góry z oddali. W imię czego?

Co ze mną? To przecież jedna z najlżejszych tras w Tatrach! – zdenerwowała się.

Wyjęła z kieszeni rozmiękłego batonika. Nie, nie da się zwieść zmęczeniu. Przecież na końcu tej trasy jest Hala Gąsienicowa z oszałamiającym widokiem na Orlą Perć, herbata w Murowańcu i powrót Skupniów Upłazem. Więc, kobieto, weź się w garść. Dla tego widoku warto się pomęczyć. Anka zaczęła się uśmiechać. Złapała rytm i pruła do przodu, wyobrażając sobie, że na końcu trasy czeka nie Murowaniec, lecz habilitacja. A wieczorem, jak już weźmie prysznic, rozłoży się na tarasie z książką, popełni na fejsie jakiś irytujący wpis w stylu: „Widok na Tatry, schłodzone piwo i święty spokój – bezcenne".

No właśnie, piwo… Jeszcze przed Psią Trawką dotarło do niej, że już dłużej nie wytrzyma. Że nałęczowianka i pół litra tyskiego to za dużo jak na jej możliwości.

Anka rozejrzała się i skręciła w las. Dolina Suchej Wody rozścielała się w tym miejscu szeroko, gęstym reglem i obfitymi chaszczami, co dawało jej niejakie szanse na dyskrecję. Obejrzała się. Brukowaną otoczakami ścieżkę wciąż było widać. Ruszyła w las jeszcze głębiej. Szum strumienia stawał się coraz wyraźniejszy i Anka zaczęła układać sobie w głowie, co powie strażnikowi Tatrzańskiego Parku Narodowego, który niechybnie przyłapie ją zaraz na zejściu ze szlaku. Potem wyobraziła sobie stado mrówek, jak obłażą jej stopy i pną się po nogach. I przypomniało jej się, że nawet nie ma w plecaku chusteczek higienicznych. Ma tylko bezużyteczny w tej sytuacji papierek od batona, poza tym to przecież park narodowy – nie zostawi tego papierka, ale też go nie weźmie ze sobą. Matko naturo, dlaczego tak pokomplikowałaś sprawę? – jęknęła w duchu, brnąc przez chaszcze. Znalazła się prawie nad samym brzegiem Suchej Wody. Chaszcze się tu kończyły, a

zaczynało się urwisko, najwyraźniej niedawno podmyte przez wezbraną wodę, co sugerował ciemny kolor odsłoniętej ziemi. Potok szalał na kamieniach, rozbijając się na miriady kropel w rześką mgiełkę. Anka popatrzyła w dół urwiska, ku strumieniowi.

Raptem wiatr zmienił kierunek.

Anka zmarszczyła nos i rozejrzała się niepewnie. Odór. Słodki, mdlący, unoszący włoski na przedramionach, budzący grozę w najgłębszych splotach rdzenia kręgowego odziedziczonych po pramałpie.

Zasłaniając usta i nos dłonią, postąpiła kilka kroków do przodu.

Krawędź osuwiska była świeżo rozgrzebana. Ział w niej dół. Szum potoku zagłuszyło buczenie much. W dole widniały mięsne strzępy. Gnijące, rozwleczone, poszarpane. Smród oblepiał, wdzierał się każdym porem skóry, atakował wszystkie zmysły tak, żeby już nigdy nie dało się go zapomnieć. A do zszokowanych zmysłów zaczynało powoli docierać, że strzępy, które widzą, układają się w całkiem logiczny kształt przedramienia, dłoni, nogi. I głowy. Z pomarszczoną twarzą o rozwartych, szczerbatych i martwych ustach.

Zaczęła krzyczeć. Coraz głośniej, bezbronniej, mocniej – krzyczeć.

– A coz ja im poradzę? Powiedz im, że jakbyśmy znaleźli samą dupę odrąbaną, to też by musiał lekarz stwierdzić tej dupy zgon, jasne? Doktora w karetkę i dawać go tu!

Podkomisarz jedną ręką prowadził policyjnego land-rovera Freelandera po wertepach w górę Doliny Suchej Wody, drugą ściskał komórkę. Wozem bujało wściekle. Technik na fotelu pasażera oburącz obejmował walizkę z zestawem kryminalistycznym. Na tylnym siedzeniu zieleniał wąsaty prokurator w dżinsowej kurtce, którego zabrali po drodze.

Freelander zahamował gwałtownie przed zdezelowanym UAZ-em w policyjnych barwach, który tarasował drogę przez dolinę.

– O, cześć Młody – przywitał się z sierżantem, który wybiegł mu na spotkanie. Młody, czyli Maciek Maraszek, dzielnicowy z Murzasichla, był blady i szybko oddychał. Technik zatrzasnął bagażnik, z którego wyjął drugą, jeszcze większą walizkę. Prokurator chwiejnie wytoczył się z auta. – Ty przyjechałeś do zgłoszenia?

– Tak jest, i kolega – zachrypiał sierżant. – Zwłoki są.

– Przecież czuję. – Podkomisarz Andrzej Chowaniec uniósł lekko głowę w stronę, z której wiał wiatr, i zmarszczył nos.

– No i wyglądają też kiepsko – przytaknął sierżant. – Jakby…

– Dobra dobra, prowadź na miejsce, jeszcze się naopisujesz do protokołu. Idziesz, Wojtek? – skinął na technika. Ten bez słowa dźwignął obie walizki. – Panie prokuratorze, pan też pozwoli.

Gęstwina kończyła się nad skarpą schodzącą do potoku. Odór zwłok wwiercał się w nozdrza i zatoki. Chowaniec przytknął rękaw bluzy do nosa.

– Zabezpieczyliśmy miejsce znalezienia zwłok i wstępnie rozpytaliśmy osobę, która dokonała zgłoszenia – informował sierżant.

Nieopodal skraj skarpy był wyrwany, obnażając w tym miejscu rozgrzebaną ziemię. Wokół najbliższych czterech drzew rozciągnięto biało-niebieską taśmę policyjną. Kilka metrów dalej stał drugi mundurowy z pustymi pagonami posterunkowego.

– Cozeście se tu, Młody, ogródek założyli? – Chowaniec aż przystanął. – Widziałeś to, Wojtek? Ogródek se założyli. Chłopaku! – wezwał posterunkowego. – Chyboj po taśmę i zabezpieczyć mi teren po dziesięć metrów w obie strony od zwłok i od potoku do drogi. I uważaj, gdzie depczesz. Dzwoniłeś do parku, żeby zamknęli szlak?

– Tak jest, od Psiej Trawki zamykają, do samych Brzezin.

– Dobra. Panie prokuratorze! – Odwrócił się. – Gdzie jest prokurator?

– Tam rzyga. – Technik skinął w kierunku zarośli.

– Zechce pan dokonać oględzin? – Chowaniec zanurkował w gęstwinę i nachylił się nad zgiętym wpół prokuratorem, który jedną ręką opierał się o świerk, a drugą trzymał się za obfity brzuch. Z wąsów kapały mu resztki wymiocin. – Możemy na pana poczekać. Gdyby tymczasem mógł pan jednak wymiotować z dala od miejsca zdarzenia…

– …praszam. – Prokurator machnął ręką. – Panowie, wiecie, co robić.

– Okej, Wojtek! – zakrzyknął do kucającego nad wykrotem technika i ruszył w jego stronę. – Prokuratura rejonowa w Zakopanem właśnie powierzyła powiatowej komendzie przeprowadzenie czynności… o kruca!

Urwał, spoglądając do wykrotu.

Technik wciągnął lateksowe rękawiczki i metodycznie rozkładał zestaw kryminalistyczny. Założył lampę błyskową na wysłużoną minoltę. Ułożył na trawie obok dziury skalę i lakierowany kartonik z cyfrą jeden. Zrobił pierwsze zdjęcie zmasakrowanej sterty kawałków ludzkiego ciała, częściowo jeszcze ukrytej w ziemi, a częściowo rozwłóczonej po obszernym wykrocie.

– Rozkopany grób? – zapytał Chowaniec szeptem. Żołądek miał pod gardłem. Zdławił odruch wymiotny. Oddychał płytko przez mankiet rękawa.

– Tak mi to wygląda – odparł technik.

– Zwierzęta rozgrzebały?

– No – technik skinął głową i wskazał na oddzielone od reszty zwłok ramię leżące na wierzchu, w połowie obdarte z tkanek do kości. Te były prawie zmiażdżone. – Duże zwierzątko.

– Jaki czas zgonu?

– Na oko to z tydzień będzie, ale na oko – ocenił technik. – Po robaczkach sądząc i po rozkładzie gnilnym. Ale, o!, te ślady zębów na kości są świeże, zobacz. Czyli ktoś go tu z tydzień temu zakopał, a dziś rano coś go wykopało i jadło.

– Przyczyna śmierci?

Technik odwrócił głowę i spojrzał na policjanta.

– Jaja se chyba robisz. Ściągaj tu Kraków, Jędrek, potrzebne będzie laboratorium. Sam tu nie nawywijam wiele. I to lepiej szybko – dodał, wskazując palcem na niebo – bo zaraz nam wszystko odpłynie.

Chowaniec uniósł wzrok. Chmurzyło się. Na burzę. Podkomisarz zaklął. Wezwał sierżanta.

– Młody, wołaj zero-zero, niech tu dają oddział chłopaków, żeby przeszli tyralierą z dołu wzdłuż szlaku i szukali czegokolwiek, zanim się rozpada. Strzępy ciuchów, ślady opon albo butów. Padało tu przez ostatni tydzień?

– Tak, ze trzy razy.

– No to pewnie gówno znajdą, ale niech próbują, zwłoki same się tu przecież nie zakopały, nie? I niech ściągają lab z Krakowa, na sygnale. I zapytaj, co z tym lekarzem. Gdzie jest ta osoba, która dokonała zgłoszenia?

– U nas w aucie – odparł sierżant.

– Dobra, zaraz tam podejdę.

– Jędrek! – zawołał technik znad skarpy. Policjant pobiegł do niego przez chaszcze.

– Patrz. Skarpa jest podmyta tak trzy metry w tę i w tę, i to świeżo, bo ziemia jeszcze nie obeschła – zaczął tłumaczyć. – Czyli jak ktoś denata, dajmy na to, że tydzień temu, tu zakopywał, to zrobił to jeszcze dobre dwa metry od krawędzi skarpy. Na moje oko potok w nocy podmył ziemię, odsłonił częściowo grób od strony skarpy, a duże zwierzątko poczuło mięso i rozgrzebało zwłoki. A teraz patrz. Widzisz to?

Pochylił się nad zwłokami i musnął zmasakrowane ramię.

– Przedramię po łokieć jest poszarpane i pogruchotane zębami i to są świeże ślady. Ale popatrz

z drugiej strony, na miejsce rozczłonkowania.

Chowaniec ukucnął obok technika. Przyjrzał się miejscu, gdzie ramię zostało oddzielone od tułowia. Brzegi były stosunkowo gładkie. Ramię nie wyglądało na wyrwane ani odgryzione. I na pewno nie stało się to dzisiaj.

Tak samo jak gładko oddzielona od szyi była głowa. I obie nogi w pachwinach i kolanach.

– Kruca fuks – mruknął. – Ucięte.

Anka siedziała skulona na tylnym siedzeniu policyjnego UAZ-a. Wiatr szarpał plandekę służącą za dach, niosąc od strony strumienia upiorny odór. Zawinięta była w złoty koc termoizolacyjny, którym okryli ją policjanci. Przyjechali naprawdę szybko po tym, jak w histerii usiłowała przez łzy wykrzyczeć komuś, kto odebrał numer 112, gdzie jest i co znalazła. Popijała teraz wygazowaną colę małymi łykami i czekała, w odrętwieniu, prawie bez ruchu i bez myśli. Na zewnątrz ktoś darł się do radia.

– Psa! Mam tu ciało w kawałkach! Jak mam je pozbierać do kupy bez psa do zwłok? Z Krakowa? No to niech przysyłają psa z Krakowa! A możecie też poprosić TOPR, żeby pożyczyli swojego?

Pomyślała, że jak się natychmiast do kogoś nie odezwie, jeśli jeszcze przez chwilę będzie sama, to zwariuje. Sięgnęła do kieszeni po telefon. Zawsze się śmiała ze smartfonów z aplikacją Facebooka, stukała się po głowie na widok ludzi, którzy z nich korzystali, uważała, że cierpią na komunikacyjną biegunkę. Teraz żałowała, że takiego nie ma. Przydałby się jej pozór ludzkiej uwagi. Miała tylko swoją zwykłą komórkę z internetem. „Temat do zbadania: skąd wziął się popularny mit, że na wakacjach ludzie dobrze się bawią” – napisała na Facebooku.

Chrupnęła klamka w drzwiach gazika. Anka aż krzyknęła i podskoczyła. Telefon wypadł jej z dłoni.

– Proszę się nie bać – powiedział sympatyczny facet w szarej bluzie z kapturem, z policyjną blachą na szyi. Podniósł z podłogi auta jej telefon, po który usiłowała sięgnąć, i popatrzył na nią karcąco. – Ale mam nadzieję, że nie powiadamiała pani nikogo o zajściu?

– Nie – odpowiedziała sennie. – Dzieliłam się tylko refleksją natury ogólnej.

– Podkomisarz Andrzej Chowaniec, komenda powiatowa policji w Zakopanem. Czy możemy chwilę porozmawiać?

Zamrugała oczami, jakby próbowała skupić na nim wzrok. Potem niebezpiecznie zadrżał jej podbródek.

– Jędrek? – jęknęła.

I rozbeczała się na dobre.

Osłupiały podkomisarz zerknął dyskretnie w przekazany mu przez sierżanta dowód osobisty tej kobiety. Rozdziawił usta i przyjrzał się jej. A potem, wbrew wszelkim okolicznościom, roześmiał się serdecznie.

– Anna Serafin! Ania z Krakowa!

To musiało być jakoś pod koniec lat osiemdziesiątych, jeszcze za poprzedniego ustroju, gdy mały Jędrek od Chowańców przychodził do Kaleniców, którzy mieli telewizor, żeby razem z Anią z Krakowa oglądać teleranek i *Przygody psa Cywila*. I gdy ogłosiwszy, że jak dorośnie, też zostanie milicjantem, dostał od ojca siarczyste lanie. Obrażony i zbolały żalił się rudej Ani, że w takim razie zostanie zbójnikiem. Na szczęście historia rozwiązała problem: w miejsce psa Cywila przyszedł komisarz Rex, a Jędrek mógł ostatecznie zostać stróżem prawa Trzeciej Rzeczypospolitej, choć starego Chowańca też jakoś to nie cieszyło. Natomiast z Anką widzieli się ostatnio chyba jeszcze w czasach szkolnych. Ganiał za nią po polach i sadach, cierpliwie włóczył się za nią po wsi, z nadzieją, że może w końcu da się namówić chociaż na całowanie. Oczywiście nigdy nic z tego nie wyszło.

Teraz niezbornie prosił, żeby się uspokoiła. Obiecywał, że on się teraz wszystkim zajmie.

– Co – chlipnęła, przerywając mu – się tam stało?

– Jeszcze nie wiemy, wygląda na ofiarę dzikiego zwierzęcia, dużego, pewnie niedźwiedzia – wymamrotał. – Wytrzymaj tu jeszcze chwilę – dodał szybko. – Jak tylko będę miał wolnego człowieka, odwiezie cię na dół, dobrze?

Kiwnęła głową. Uśmiechnął się do niej. Nie pamiętał, żeby w dzieciństwie kiedykolwiek widział ją zapłakaną. Tłumaczył jej, że będzie musiał jeszcze spisać oficjalne zeznanie, ale na to będzie jeszcze czas, wpadnie do niej jutro, i żeby teraz poszła odpocząć, a najlepiej się napić. Mówił dużo, myśląc o tym, jakie zbiegi okoliczności chodzą po ludziach. I o tym, że wiele się nie zmieniła.

Zanim dotarło laboratorium z Krakowa, była prawie siedemnasta. Wcześniej przyjechało dwóch strażników granicznych na quadach oraz toprowski land-rover Defender, a w nim dwóch ratowników z psem lawinowym i bardzo niezadowolony lekarz z zakopiańskiego szpitala. Tłumiąc mdłości, spojrzał w wykrot i wypisał akt zgonu z rutynową formułą, że nie można wykluczyć przyczyn kryminogennych.

Pies rozszczekał się zajadle nad potężnym łajnem. Jeden ze strażników TPN orzekł, że to niedźwiedzie. Ale na znalezienie jakichkolwiek śladów tego, kto porzucił zwłoki, nie było szans. Wokół makabrycznego grobu ślady w miękkiej glebie rozmyły deszcze. Na szlaku było jeszcze gorzej.

Rozpadał się tatrzański deszcz. Technicy z Krakowa nad miejscem znalezienia zwłok ustawili namiot i oświetlenie. Zaczęli systematycznie przekopywać, odsłaniać, kawałek po kawałku fotografować wykrot i pakować szczątki do czarnych worków.

Pies do tropienia zwłok dojechał dopiero nad ranem. Nic nowego nie znalazł. Chowaniec zacisnął szczęki i udał, że nie słyszy, jak niewyspany funkcjonariusz – przewodnik zwierzęcia – teatralnym szeptem mówi do krakowskich techników: „Daj takiemu psa policyjnego, to pójdzie z nim owiecki pasać”.

Gdy do worka na zwłoki technicy pakowali głowę ofiary, zatrzymał ich na chwilę. Wymienili znaczące spojrzenia, ale pozwolili mu się przyjrzeć. Zniszczona opuchlizną od gazów gnilnych i częściowym rozkładem, pokiereszowana przez niedźwiedzia twarz zachowała resztki znajomych rysów. Policjant przyjrzał się jej uważnie.

– Panie Jędrku! – zawołał nagle technik. – Taka ciekawostka, pan spojrzy.

Delikatnie, palcami w lateksowych rękawiczkach, rozgarnął ziemię. Chowaniec zasłonił twarz rękawem i nachylił się nad dołem.

Pośród grud czarnej ziemi błysnął metal. Wyrób o misternym, doskonale mu znanym kształcie. Złożona z zawijasów rozeta z jednej strony zakończona szpicem o kształcie rombu. Przyczepiona była do kawałka białego płótna spowijającego zmasakrowane zwłoki. Technik zrobił zdjęcia, włożył przedmiot do woreczka i podał podkomisarzowi. Ten uniósł go do światła.

Żadne tam gówno dla turystów wycinane z blaszki, tylko odlew, stara dobra robota, jak od Bigosa z Bukowiny, tego Bigosa, którego córka na Głodówce podaje wspaniałe pstrągi. Miejscami, na brzegach, pokryta patyną – tydzień w ziemi to chyba za krótko, żeby nabrała takiego wyglądu, więc musiała być zabytkowa. Chowaniec się uśmiechnął. Przypomniał sobie, że jego dziadek miał podobną, do końca życia upinał ją przy koszuli, gdy szedł do kościoła.

– Co to? Jakaś odznaka? – zainteresował się technik.

Podkomisarz wyszczerzył zęby.

– A hej, tako scygulno oznaka – wycedził przesadną gwarą. – Ba ino to oznaka, co to sprawa nie na ceperskik policjonów.

Odwrócił w palcach woreczek ze znaleziskiem. Te przedmioty kiedyś pełniły funkcję

identyfikatorów. Na ich odwrocie wybijano monogram właściciela. To wyglądało na autentyczną, starą góralską spinkę. Ofiara była więc tutejsza. Odczytał jej inicjały: „J.Ś”.

* * *

Pijoł ci ja, pijoł
w mieście gorzeline,
jesce bede pijoł,
pokiela nie zgine.

9 stycznia 1943 roku, godzina 6.40
okolice Jordanowa

Tętnienie parowozu odbijało się echem wewnątrz jego czaszki. Głowa obijała mu się o deski podłogi w rytm stukotu kół o szyny. Powoli wracały mu zmysły. Najpierw słuch, a z nim hałas pociągu i ciężkie ludzkie oddechy. Potem wzrok. Pod powieki zaczęło się wciskać mdłe światło świtu, przenikające przez deski bydlęcego wagonu. Zbudzone powonienie przyniosło najpierw zapach kurzu i słomy z podłogi, zaraz potem odór niemytych ciał, bździny i trawionej wódki. Nieubłaganie przychodził moment, kiedy poczuje przenikliwy chłód, a zaraz potem targną nim mdłości.

– Jezusicku… – Andrzej dźwignął się na łokciach. Oprzytomniał do reszty. Wokół niego pokotem leżało ze trzy tuziny chłopa poowijanych w cuchy, baranice albo i w samych tylko koszulach. Leżeli na gołej podłodze lub na zwitkach słomy, spali oparci o siebie albo o ściany wagonu.

Wagonu.

– Kany my som? – jęknął. – Jezusicku, hitlery nos areśtowali? Do lagru wiezom?

Z wolna wracał do niego ostatni przebłysk pamięci. Noc, niemieccy żandarmi w szpalerze, szczeka owczarek, trzaska styczniowy mróz, kłęby pary unoszą się z ust, a dwustu chłopa, dwustu młodych górali poubieranych jak do kościoła, w cyfrowanych portkach i białych koszulach, wlecze się środkiem Krupówek, potem skręcają w stronę dworca, i on też idzie, pod koniec pochodu, na nogach się chwieje, mrozu prawie nie czuje, ogląda się jeszcze, widzi jak z werandy hotelu „Morskie Oko” odprowadzają ich wzrokiem starsi z Komitetu, potem dogania Jaśka, chyba śpiewają, a później kłócą się z żandarmami o to całe wsiadanie do pociągu, Jasiek podaje mu rękę, wciąga do wagonu…

Ale jeśli żandarmi, jeśli wagon, to dlaczego ma takiego kaca?

– Coz się maślis? – dobiegł go szorstki głos Jaśka. – Dyćze nos hitlery nie areśtowali.

Andrzej ściągnął brwi i spojrzał za siebie. Przyjaciel siedział przy ścianie wagonu, okutany w cuchę, wyglądał przez szparę między deskami na lśniące w świcie białe, zmrożone kopy Beskidu Makowskiego. Na jego chudej, pociągłej twarzy wysmaganej halnym znać było wypitą wczoraj gorzałkę. Oczy miał podkrążone, był blady. Ale powiedział to zupełnie spokojnie i trzeźwo, nie odwracając się nawet:

– My tera syćka som hitlery.

ROZDZIAŁ 3

Jak puka jaki dziad, jałmuzne dom,
a jak będzie jaki gość, odemkne som.

Nie jest ci ja zebrak ni jaki gość,
alew jest od Boga zesłana śmierć.

Rano Anka długo stała pod prysznicem. Dwa razy umyła dokładnie głowę i wyszorowała paznokcie. Wciąż czuła ten smród, jakby przylgnął do niej i nie dawał się zmyć. Jakby ta śmierć – dzika, nieokiełznana, pozostawiająca po sobie poszarpane kawałki gnijącego mięsa – wciąż przy niej była. Żadne niuanse antropologii kulturowej, żadne rytuały przejścia, tłumaczenie biologii na język kultury i religii – nie pomagały jej pozbyć się wrażenia, że śmierdzi trupem.

Zawinięta w ręcznik wyszła na balkon i popatrzyła na góry. Wzdrygnęła się. W nocy, gdy policja przywiozła ją do Kaleniców, dostała ataku histerii. Chciała natychmiast wracać do Krakowa, teraz, zaraz. Kaśka tłumaczyła jej przez godzinę, że przecież dopiero przyjechała, że przecież w gruncie rzeczy nic się nie stało i to nie jej sprawa, że szkoda wakacji, że jak teraz wyjedzie, to już nigdy nie wróci. To ostatnie do niej dotarło. Dała się namówić. Ale teraz patrzyła na góry i czuła, że nie ma ochoty nigdzie dziś wychodzić, a już na pewno nie na samotny spacer po lesie. Może wyskoczy do Zakopanego, pospaceruje po Krupówkach i kupi sobie coś na pocieszenie. Zje gigantyczne lody, zrobi sobie zdjęcie z misiem.

Nie, nie z misiem. Ze wszystkim, tylko nie z misiem. „Dzieci lubią misie, misie jedzą dzieci” – przypomniała się jej podwórkowa wersja piosenki z dobranocki. Usiadła po turecku na łóżku i włączyła komputer. Zalogowała się na Facebooku. Parę osób polubiło jej wpis, pojawił się jeden komentarz: „Widzę, że się pani świetnie bawi, pani Aniu. Życzę udanej reszty urlopu i pozdrawiam z Costa Brava”, oczywiście doktora Sobola, bo kogóż by innego. Sennie scrollowała przez tablicę, oglądając zdjęcia cudzych dzieci, cudzych obiadów, cudzych wakacji, okraszone garstką mało zabawnych memów i wyciskających łzy akcji społecznych na rzecz głodnych lub chorych dzieci i dręczonych kobiet gdzieś bardzo daleko. Wystarczy kliknąć „Lubię to!” i już można z czystym sumieniem wrócić do problemów pierwszego świata. Facebookowa nuda podziałała na nią uspokajająco. Już miała zamknąć przeglądarkę, gdy z charakterystycznym dźwiękiem otworzyło się okienko czatu.

Sebastian Strzygoń.

Skrzywiła się. Czego on może od niej chcieć?

„Elo, mam sprawę”.

„Hej. Co tam?” – odpisała machinalnie i w tym samym momencie zaczęła tego żałować. Mogła udawać, że jej nie ma. Nie miała ochoty na *small talk*, a ze Strzygoniem w szczególności.

Znała się z nim rok, może dwa, od czasu, gdy zwrócił się do niej z prośbą o ekspercki komentarz do swojego artykułu. Pisał o młodocianych przestępcach – chodziło o agresję symboliczną, a Anka była świeżo po dobrej publikacji na ten temat. Umowa była prosta: on po fachowe komentarze do swojej serii tekstów zwracał się tylko do niej, ona chętnie interpretowała dla niego wypisywane na murach symbole osiedlowych wojen i subkulturowe kody. Temat zrobił się głośny, bo Bastian powiązał z pewną grupą kiboli sprawę głośnego wtedy w mieście zabójstwa, i Ankę zapraszano przez

jakiś czas do radia i telewizji. Załatwiła sobie w ten sposób pięć minut medialnej sławy i dozgonną nienawiść wielu kolegów z uczelni. Ale znajomość z Bastianem ciążyła na niej od tej pory jak klątwa.

„Piszę właśnie artykuł, takie tam bzdety o etycznym podróżowaniu, sezon ogórkowy, nic się nie dzieje, to odwalam chałturę, bo coś pisać trzeba, nie? Globalizacja, wielkie hotele, backpakersi, wykorzystywanie biednych tubylców, globalne ocieplenie, Costa Brava, Himalaje i takie tam. Potrzebuję jakiegoś socjologicznego »bla bla bla«, co by to wszystko wyglądało mądrzej".

„Mam takie same kompetencje do wypowiadania się na temat Costa Brava – zadudniła klawiatura – i Himalajów, jak ty do pisania o etyce. To znaczy nigdy tam nie byłam, więc nie mam nic do powiedzenia".

„W takim razie to nie musi być wcale o Himalajach, jak nie chcesz, może być ogólnie – nie dawał za wygraną. Z twojego wpisu widzę, że ty teraz też jesteś na wakacjach, tak?"

„Tak".

„A gdzie?"

„W górach".

„To już mamy punkt zaczepienia! Możemy pogadać o biednych konikach na trasie do Morskiego Oka, owieczkach do zdjęć i quadach, co robią hałas. Cokolwiek da radę, tylko rzuć jakimś terminem, jakimś zdaniem wielokrotnie złożonym, dołóż swoje dwie literki przed nazwiskiem do mojej skromnej pisaniny, plizz".

Lizus, pomyślała, ale uśmiechnęła się mimowolnie.

„Nie mam siły. Prawie nic dzisiaj nie spałam, głowa mnie boli".

„Ho, ho, widzę, że imprezka była".

„Tia, imprezka z trupem w kawałkach" – napisała szybciej, niż pomyślała.

Zacisnęła wargi i nasadą pięści puknęła się w czoło. Dziennikarz przez dłuższą chwilę nic nie odpisywał.

„Ooo, ale czad! – pojawiło się wreszcie w okienku. – Serio???"

„To wcale nie jest śmieszne, Bastian".

„Powiedz co, gdzie, jak?!"

„Trafiłam na to – zawahała się, pisząc »to«, czy nie powinna używać raczej form osobowych? – w lesie, jak chodziłam po górach. To było straszne. Podobno atak niedźwiedzia".

Po chwili milczenia okienko zadźwięczało.

„Za moment się odezwę. Poszperam po portalach regionalnych, może będzie z tego jakaś notka. Możesz wystąpić jako moje źródło".

„Nie mogę wystąpić jako twoje źródło. Jestem świadkiem, nie wolno mi". Paznokcie Anki zaturkotały o klawiaturę.

„Za późno. Jesteś moim źródłem czy tego chcesz, czy nie: P".

„Pa" – napisała i zamknęła okno czata. Do niezobaczenia, dodała w duchu.

„Poczekaj, mam kilka pytań! Wracaj!"

Zamknęła z impetem pokrywę laptopa i zabrała się do rozczesywania włosów. Zadzwonił telefon.

– Żyjesz? – zapytała Kaśka.

– Żyję – westchnęła Anka. – Ale co to za życie.

– Policja do ciebie, czekają na dole.

– Zaraz będę.

W drzwiach czekał podkomisarz Chowaniec.

– Cześć, to znaczy, hm, dzień dobry – powiedział i na jej widok odruchowo przeczesał ręką opadające na czoło włosy. – Przyszedłem, jak mówiłem, pogadać.

Anka uśmiechnęła się nerwowo i rozejrzała dookoła. Nie pomyślała o tym, że to może być Jędrek. I pożałowała, że ma na sobie wyciągnięty dres, klapki, a mokre włosy zwijają się jej w smętne strąki.

– Chodźmy na pole, tam są ławeczki. Tu mogą nas dzieci usłyszeć.

Wyszli i usiedli na ogrodowej huśtawce z widokiem na góry.

– To może zacznijmy, hm, od początku, co pani, to znaczy, co robiłaś w Dolinie… – zaczął Jędrek, zły na siebie, że tak niezbornie to wyszło.

– Przyjechałam na wakacje, tak jak kiedyś. Pamiętasz, prawda? – Anka uśmiechnęła się, sama nie wiedziała czy do niego, czy do siebie.

– Pamiętam – on też się uśmiechnął. – Długo cię nie było.

– Ano długo. Ale jak już przyjechałam, to z przytupem – przestała się uśmiechać i machnęła nogami w powietrzu. Huśtawka zakołysała się, skrzypiąc.

– No więc właśnie, przyjechałaś…

– Tak, i poszłam w góry podobnie jak tysiące innych ludzi tego dnia. Tylko najwidoczniej to ja miałam pecha.

– Co robiłaś tak daleko od szlaku?

Odwróciła się.

– Zachciało mi się siku – wycedziła. – To chyba normalne.

Jędrek przez chwilę wpatrywał się w niebo, mrużąc oczy.

– I tak po prostu natknęłaś się na ciało?

– Nie, najpierw poczułam zapach – wzdrygnęła się na samą myśl. – Poszłam za nim i znalazłam.

– Poszłaś za takim smrodem?

– Dobre pytanie, ciekawe dlaczego właściwie ludzie, gdy zwęszą niepokojący smród, czują irracjonalną potrzebę, żeby sprawdzić, co tak śmierdzi – zaczęła zupełnie innym tonem. – *Misterium tremendum et fascinans*[2]. Widzimy obrzydliwość, obiad podchodzi nam do gardła, ale nie potrafimy oderwać wzroku.

– Mówili, że zrobiłaś doktorat. To słychać – Jędrek się uśmiechnął. Ania z Krakowa zawsze trochę go przerażała. Przemądrzała miastowa, co wszędzie wlokła ze sobą książki. Wydawało mu się to nienormalne, po co czytać, gdy dookoła jest tyle ciekawych rzeczy: zwierzęta gospodarskie, które można płoszyć albo ciągnąć za ogon, drzewa, po których można się wspinać, strumyki, w których można moczyć nogi. Zawsze lubił wściubiać nos w nie swoje sprawy, podglądać, drążyć i tak mu już zostało. Jej widocznie też te książki nie przeszły. Tylko teraz je pewnie pisze, a nie czyta.

– Nic wielkiego – wzruszyła ramionami. – Ty za to, widzę, masz fascynującą pracę. *Tremendum et fascinans* w praktyce.

– E, taki tam powiatowy glina. Na co dzień zwykle przekładam papiery albo gonię za śliwowicę. Prawdziwe morderstwo, jak wczoraj, to wyjątkowa sprawa.

Uciął nagle i mentalnie ugryzł się w język. Anka podniosła głowę i popatrzyła na niego przenikliwie.

– Morderstwo? Myślisz, że miś miał jakiś motyw?

– Miś jak miś – bąknął Chowaniec, klnąc w duchu, że się wygadał. – Tylko, Anka, ja ci tego nie powinienem mówić, więc obiecaj, że mnie nie wydasz, okej? Miś się tylko poczęstował. A tego człowieka załatwił kto inny. Ostrym narzędziem. Ale to na razie zatrzymaj dla siebie, obiecaj.

Pokiwała głową. Gdyby tylko Bastian wiedział… A nie wie – poczuła grzeszną satysfakcję.

– Wiecie, kto to jest? – zapytała.

– Nie – westchnął Jędrek. – Wiemy, że był tutejszy, miał prawdziwą góralską spinkę z inicjałami „J.Ś.”. Sprawdzamy, czy ktoś taki zaginął.

Przez drzwi na podwórze wysypały się dzieci z plecakami. Patrzyli w zamyśleniu na kolorowy, przepychający się tłumek. Trudno im było uwierzyć, o czym tak naprawdę rozmawiają, siedząc na huśtawce z widokiem na Giewont.

– Ostatnia rzecz – odchrząknął. – Nie widziałaś na miejscu żadnych śladów albo przedmiotów?

Czegokolwiek, co wydawałoby ci się dziwne?

– Nic – pokręciła głową. – Z resztą jak już zobaczyłam to… jego, wiałam stamtąd jak wariatka. Rozumiesz…

– Rozumiem, pewnie przez to całe misterium – uśmiechnął się rozbrajająco. Anka zachichotała, opuszczając wzrok.

– Miło się było znowu zobaczyć, szkoda, że w takich okolicznościach. – Jędrek wstał z huśtawki.

– To koniec? Miałam nadzieję, że zapytasz, co robiłam w dniu, gdy popełniono morderstwo.

– Wiesz, to niezupełnie koniec – podrapał się po karku – bo będę cię jeszcze musiał oficjalnie przesłuchać do protokołu. Albo – dodał szybko, widząc jej spojrzenie – zrobimy inaczej. Ja spiszę ten protokół z tego, co mówiłaś, i przywiozę ci do podpisania, okej? Albo możesz wpaść do mnie do Zakopca na komendę. A potem może, jak się trochę uspokoi, to umówimy się na kawę albo spacer? Jak za dawnych lat? – Zabrzmiało to szalenie pretensjonalnie i Jędrkowi zrobiło się głupio.

– Tylko mi nie każ wchodzić na żadne drzewo! – roześmiała się. Teraz wyglądała prawie dokładnie tak, jak kiedyś. Niesforne, nieułożone rude kosmyki opadały jej na twarz, nieumalowaną i upstrzoną piegami.

– Muszę lecieć – powiedział zerkając na telefon, który zaczął wściekle wibrować. – Do zobaczenia!

Pomachała mu, ale już jej nie widział. Szedł energicznie, przyciskając telefon ramieniem do ucha i nerwowo szukając czegoś w kieszeni. Posiedziała jeszcze przez chwilę na huśtawce, podciągając kolana pod brodę. Odgarnęła z czoła włosy, które zdążyły wyschnąć na słońcu i spuszyć się dokładnie tak, jak nie lubiła.

Chowańców Jędrek. Pokręciła głową i poszła po książkę.

Tytuł: Skandal! Zakopiańska policja ukrywa prawdę

Odchylił się na krześle i zaplótł palce. Sztuka układania tytułów do wydania internetowego przypominała sztukę układania puzzli z czterech kawałków. Do dziś niedoścignionym klasykiem pozostawał dla niego redaktor konkurencyjnego portalu, który ułożył tytuł: „Ta zła wiadomość to ogromne zaskoczenie”.

Autor: Sebastian Strzygoń

Jak donoszą nasze źródła na Podhalu…

Albo lepiej: *„Flesz” dotarł do świadka, który potwierdził, że wczoraj w Tatrach, w rejonie Murzasichla znaleziono zwłoki w kawałkach.*

Błogosławił Facebooka, ten agregat niedyskrecji. Przy wczorajszej notce Anki pojawiła się lokalizacja: „użytkownik Anna Serafin w miejscowości Murzasichle”. Bez odrywania oczu od smartfona dowiadywał się więcej niż nieraz po godzinnym researchu.

Przeczytał jeszcze raz pierwsze zdanie. To brzmi jak ananas z puszki w kawałkach, westchnął.

Znaleziono zmasakrowane zwłoki. Policja nie wydała do tej pory żadnego oficjalnego komunikatu.

I szkoda, bo przynajmniej mógłby napisać choć słowo więcej o tych zwłokach. Ludzie lubią, gdy zwłoki okazują się należeć do kogoś podobnego do nich samych. Ileż wtedy emocji można wylać na forum.

Rzecznik Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie bez komentarza odsyła nas prosto do komendy powiatowej w Zakopanem, która w tej chwili prowadzi sprawę.

Rozmowa z rzeczniczką małopolskiej policji była krótka, a kobieta wiele mu nie powiedziała, chociaż znali się już trochę lat. Inna sprawa, że wolał się kumplować raczej z liniowymi gliniarzami niż z rzecznikami. Tyle że akurat na Podhalu nie pracował żaden znajomy znajomego.

Komisarz Anetka oddzwoniła po godzinie i zabrzmiała formalnie. To nie wróżyło dobrze.

– Ale skąd pan, panie redaktorze, w ogóle ma takie informacje?

– Pani komisarz chyba nie próbuje właśnie podważać wiarygodności moich źródeł? – odpalił. –

Jeśli policja coś ukrywa, to się nie spodoba moim czytelnikom.

– Panie redaktorze – zawiesiła głos z ciężkim westchnieniem – ta sprawa jest naprawdę delikatna. Ja najchętniej przekierowałabym pana do rzecznika komendy powiatowej w Zakopanem, która aktualnie i na chwilę obecną prowadzi postępowanie przygotowawcze…

– …tylko wtedy mogłoby to wyglądać, jakby chciała się pani mnie pozbyć, bo rzecznik powiatowy nie powie mi więcej niż wojewódzki, prawda? – dokończył za nią. – Zwłaszcza że w Zakopanem rzecznikiem jest zastępca szefa wydziału ruchu drogowego. Może zatem najlepiej byłoby mnie skontaktować z policjantem prowadzącym tę sprawę?

– Tylko że, panie redaktorze, ja już z nim rozmawiałam i informacje, w których posiadanie pan wszedł, są w tej chwili nieujawniane.

– Dlaczego?

– Ze względu na dobro sprawy.

– Ach, jasne. Ale ja nie prowadzę postępowania przygotowawczego, tylko piszę artykuł, póki więc nie ogłosicie tych zwłok tajemnicą państwową, nie możecie mnie powstrzymać przed ujawnieniem tej informacji.

Po drugiej stronie zapadło milczenie.

– Czy może się pan jeszcze chwilę wstrzymać? – w tonie komisarz Anetki pobrzmiewało dzwonienie łańcuszka od kajdanek.

Bastian uśmiechnął się pod nosem i zabrał się za szkicowanie wstępnej wersji tekstu do wydania internetowego, ciesząc się w duchu, że w czasach dziennikarstwa portalowego zasada sprawdzania informacji u drugiego źródła dawno już odeszła do lamusa.

Jakie informacje o zwłokach ukrywa policja? Dlaczego rzeczniczka małopolskiej policji zasłania się dobrem dochodzenia?

Nie lubił tego policyjnego słowa, brzmiało jak z pornola.

…dobrem sprawy? Co takiego wydarzyło się w górach nieopodal Murzasichla?

Zadzwonił telefon. Nieznany numer.

– Chowaniec, komenda powiatowa w Zakopanem, panie redaktorze, skąd ma pan te informacje? – zmęczony głos po drugiej stronie starał się brzmieć energicznie.

– Dzień dobry, dziękuję że pan oddzwania, panie… może pan powtórzyć?

– Chowaniec, podkomisarz.

– Pan prowadzi sprawę zwłok znalezionych w górach?

– Panie redaktorze, ale tu nie ma na razie o czym… – zapowietrzył się głos.

– Panie komisarzu – mówił Bastian, wstukując jednocześnie jego nazwisko i stopień w Google. Nic ciekawego nie znalazł, jedna notka z „Tygodnika Podhalańskiego” sprzed kilku lat o akcji edukacyjnej policji w szkołach. – Pan chce mi powiedzieć, że nie ujawniacie żadnych informacji, że objęliście je tajemnicą ze względu na, jak się wyraziła pana koleżanka z Krakowa, dobro sprawy, bo chodzi o atak niedźwiedzia?

– Tak panu mówiła?

Bastian nie odpowiedział, tylko szeroko się uśmiechnął.

– Panie redaktorze, apeluję do pana o współpracę, niech pan zrozumie, trzymamy to w tajemnicy, bo nie chcemy wywoływać paniki wśród turystów. W stosownym czasie…

– Panie komisarzu – Bastian wstał, ściskając telefon, a jednocześnie uśmiechając się coraz szerzej – pan mnie namawia do zatajenia informacji o grożącym tysiącom turystów niebezpieczeństwie? Czy ja dobrze rozumiem? Żeby nie wywoływać paniki, to znaczy co? Nie narażać na straty waszego przemysłu turystycznego? Pan sobie zdaje sprawę, że po tym, co usłyszałem, mam obywatelski obowiązek o tym napisać?

– I napisze pan bzdury – głos po drugiej stronie odezwał się dopiero po chwili. Stracił wiele

na dynamice. Zyskał na rzeczowości. – Bo pan próbuje mnie szantażować, zamiast mnie, kruca fuks, wysłuchać.

Bastian usiadł. Uśmiechać się nie przestawał. Gliniarze za bardzo kręcą i ściemniają jak na zwykłe bliskie spotkanie z misiem.

– To nie żaden niedźwiedź, panie komisarzu, prawda? – schłodził emocje w swoim głosie, jakby z sauny wskoczył do przerębli.

– Panie Strzygoń, ja czytam pana artykuły i wiem, że nie jest pan żółtodziobem. To nie jest prosta sprawa, a ta rozmowa nie jest na telefon. Mam dla pana propozycję.

– Mam przyjechać w góry? – Bastian przestał się uśmiechać.

– Daleko nie jest.

– Gdzie idziesz? – Kaśka przystanęła i odstawiła siatki z zakupami na drodze dojazdowej. Jej żylaste ramiona wydawały się jeszcze bardziej chude, gdy sięgała po papierosy do tylnej kieszeni dżinsów.

Anka poprawiła plecak na ramieniu.

– Dolina Pięciu Stawów przez Roztokę. Sentymentalny spacer.

– Bardziej uczęszczane szlaki, co? – zaśmiała się kuzynka, wydmuchując dym. – Idę do Babońki z zakupami, pójdziesz ze mną? Chodź, przywitasz się.

– Jak ona się w ogóle czuje?

– Jak to ona. Zrzędzi, marudzi, ale się trzyma.

Na podjeździe zachrupał żwir, gdy przed pensjonatem zatrzymała się toyota RAV4 z napisem „Kompleksowe Usługi Góralskie Gazda”.

– Chodź – mruknęła Kaśka. – Nie mam z nim ochoty gadać.

– Za późno – Anka uśmiechnęła się krzywo, widząc, jak Józek biegnie do nich, machając wesoło na powitanie.

– Czołem – wydyszał.

– Śmierdzisz wódą – Kaśka się skrzywiła. – Nie boisz się, że cię policja złapie?

– E tam, policja – Józek machnął ręką. – Zasiedzieliśmy się wczoraj z chłopakami. Posłuchaj, mam sprawę…

– Tak? – Kaśka wydmuchała dym, mnąc w palcach nerwowo filtr papierosa.

– Idziesz do Babońki. Weź z nią pogadaj o wernisażu. Ciebie może posłucha. Potrzebujemy jej, bez niej to będzie takie, no, niekompletne. Wiesz, jak ona potrafi opowiadać, jak się rozkręci.

– Jak nie chce, to jej nie zmuszaj – Kaśka wzruszyła ramionami. – Zresztą ona nikogo nie słucha.

– Nie zmuszam jej – Józek podrzucał zirytowany kluczyki od samochodu – tylko grzecznie pytam. Łaski nie robi, wszyscy z tego żyjemy, ja, ty, ona.

– Jasne, tylko ty trochę bardziej – syknęła Kaśka.

– Nie chcę się kłócić, siostra. Chcę mieć ten cholerny pokaz za sobą. Wiesz, jak wszystkim na tym zależy. Groń wykłada naprawdę dużą kasę, jak mu się spodobamy, to może nas będzie brał na takie eventy. On jest nowy, można go zagospodarować, tylko musimy się raz postarać. Wszyscy razem. Rozumiesz?

– Dobra, jasne, rozumiem. Pogadam z nią – westchnęła Kaśka.

Józek pomachał im jeszcze i gwiżdżąc wbiegł po schodach do pensjonatu, przeskakując stopnie.

– Co to za pokaz? – zapytała Anka, gdy ruszyły w stronę przechylonej chałupy. Wzięła od kuzynki jedną torbę, plastik wrzynał jej się w dłoń.

– Otwierają wystawę w remizie. Bohomazy góralskich dzieci z Chicago o tematyce bogoojczyźnianej. Funduje jeden biznesmen, co z Ameryki wrócił do macierzy i teraz czuje potrzebę macierzy wynagrodzić swoją nieobecność. Józek zapewnia swoje kompleksowe usługi, czyli

odstawia cepelię, a my wszyscy razem z nim. On i jego tercet egzotyczny mają grać, ja z mamą śpiewać, a babcia snuć góralskie bajania. Podobno rzeczywiście dobrze płacą, więc mu zależy.

– A tobie nie zależy?

– Zależy – westchnęła Kaśka. – Bo to kasa w końcu. Ale nie lubię śpiewać do kotleta.

I nagle, w jednej chwili jej głos się zmienił. Gdy odwróciła się od Anki i zastukała w stare, koślawe drzwi babońcynej chałupy, jej akcent nabrał przytupu, a matowy alt pojaśniał, zawibrował, zabrzmiał jakby tłumioną dotąd, a raptem wypuszczoną na wolność melodią.

– Pofolony, Babońko! Przyniesłam wom zakupy! – zawołała gwarą kuzynka, pchnąwszy drzwi.

Anka poczuła zapach starego drewna, gotowanej kaszy i suszonych grzybów. Schyliła głowę, wchodząc przez niskie drzwi i krótką sień do niewielkiej kuchni. Większość pomieszczenia zajmował piec. Potężny, węglowy piec z zapieckiem, obrzucony bielonym wapnem. Zdobiły go girlandy ponawlekanych na sznurek grzybów i wiecheć suszącego się rumianku. Na zapiecku spał wielki rudy kocur machający przez sen ogonem. W kącie tkwił poczerniały ze starości kufer, powykrzywiany kredens, stół i trzy krzesła. Na stole stał wyszczerbiony kubek z herbatą, talerz pomalowany w niebieskie wzory, a na nim pajda chleba z masłem. Przez małe okno wpadało poranne słońce, rysując przez starą koronkową firankę skomplikowany wzór na wyblakłej tapecie.

– Witojcie, witojcie. – Babońka wstała od stołu i wytarła dłonie w fartuch.

Babońka nic się nie zmieniła. Tylko skurczyła się jakby, zmalała. Na sobie miała szarą bluzkę zapiętą pod szyję, prostą spódnicę do pół łydki, podciągniętą wysoko pod piersi, na nogach, mimo upału, grube rajstopy, a na ramionach kremową chustę w duże czerwone róże. Siwiuteńkie włosy zebrała w ciasny kok z warkocza. Twarz pokrytą miała siateczką drobnych zmarszczek i grubych bruzd. Pod prawie niewidocznymi brwiami zwracały uwagę wyjątkowo przytomne, świdrujące na wylot oczy.

– Dzień dobry, Babońko, pamięta mnie Babońka? – uśmiechnęła się Anka i odruchowo złożyła dłonie na podołku.

– A co mom cie, dziecko, nie bocyć – mruknęła staruszka. – Tu goście, a ja nicego nie mom, ba ino herbate. Siednijcie, siednijcie…

– Babońko, haw som zakupy – Kaśka postawiła siatki na podłodze. – Syćko, co fcieliście.

– Kielo wom dać? – Babońka poczłapała do kredensu i zza cukiernicy wyciągnęła portmonetkę.

– Nie trza, Babońko, nie trza – uśmiechnęła się Kaśka. – Cobyście nom ino długo zyli.

Staruszka bez słowa odłożyła portmonetkę i wróciła do stołu.

– Słuchojcie, Babońko – zaczęła Kaśka. Anka chciwie chłonęła melodię podhalańskiej gwary. – A zgodzicie się nam ugwarzać niejakie wose godki w remizie? Telo ludzi bedzie, he, jo bede śpiywoć, a zagro Józek z kapelom…

– Ziajoki nie umieją groć, ino piłujom te złóbcoki, kieby to beł kloc. – Babońka siorbnęła herbaty. – Ja stara, mnie ino w chałpie grzoć stare kości.

– Babońko, bez wos to nie bedzie to samo. Józek piyknie pyto. Telo dutków za to wzion…

Babońka nic nie powiedziała, tylko spojrzała wymownie na zakupy. Zaplotła sękate palce wokół kubka z herbatą.

– Jo nic nie fce od tego smarkoca.

Na znak, że zakończyła temat, ugryzła pajdę chleba z masłem i żuła ją w milczeniu. Anka rozglądała się ukradkiem po chatce, wypatrując tego, co najstarsze, najprawdziwsze. Kufer – zastanawiała się, jakie cuda skrywa, może jeszcze resztki ślubnej wyprawy. Dzbanki i drewniane łyżki na najwyższej półce kredensu, pokryte lepkim od kuchennego tłuszczu kurzem. Ledwo odcinające się od tapety obrazki na szkle. Matka Boska o rysach twarzy gaździny spod Poronina i Ukrzyżowany o zbyt dużych dłoniach. Dookoła obrazków girlanda ze sztucznych kwiatów.

– Babońko – zaczęła cicho. – A może opowiedziałaby mi kiedyś Babońka o dawnych czasach,

o zwyczajach, jak się żyło, bo to takie ciekawe…

– Jak sie zyło? Ciyzko sie zyło! – zdenerwowała się Babońka. – Teli beła biyda, co ludzie kierpce swoje jedli. Dziecyska z głodu marły, a chłopy w jednyk portkach cołe zycie chodzili. Takie to ciekawe? To dawno beło, a dzisiej jest dzisiej. Dzisiej w zime jes ciepło w chałpie i co do garnka włozyć. I za to powinniśmy dziękować Bogu.

Anka bąknęła coś jeszcze na pożegnanie. Nie chciała urazić Babońki, poza tym zawsze myślała o sobie jako o osobie wrażliwej na międzykulturowe różnice i konteksty. A tu wywróciła się na własnym podwórku.

– Nie przejmuj się – Kaśka szturchnęła ją w ramię. – Ona tak zawsze i do wszystkich. Kiedyś przy niej ktoś powiedział, że chleb dzisiaj już nie taki, jak kiedyś. Że tamten był ciężki i słony, a ten dzisiaj to taka buła bez smaku. Babońka go obsztorcowała, że kiedyś to był dosłownie ciężki kawałek chleba, a słony dlatego, że biedacy za nim płakali. I żeby Bogu dziękować, że dziś można po chleb iść do Lewiatana, zamiast piec samemu. Teraz to niby jej tak dobrze, ale do ludzi wyjść nie chce. Zachodź do niej czasem, pomilcz trochę, to się oswoi. Ona nie lubi gadać po próżnicy. Nie przyzna się do tego, ale się ucieszy. I może ci coś jeszcze opowie.

*

Chowaniec przetarł oczy i odłożył zdjęcia. Przez chwilę widział czerwono-kremowe mroczki, przybierające w jego głowie kształty, które wczoraj przez cały dzień oglądał na fotografiach. Ręka. Noga. Twarz. A raczej krwawy ochłap ledwo się trzymający pękniętego baniaka czaszki.

Wcześniej dodzwonił się do Krakowa i wydębił nieoficjalne wyniki oględzin. Mężczyzna, w wieku około 80–85 lat, może nawet więcej, zgon przed około tygodniem, ciało rozkawałkowane, rany o charakterze rąbanym.

Miał zwłoki, miał morderstwo, a nie wiedział nic. Żadnego punktu zaczepienia. Nawet nazwiska. Wiedział tylko, że to stary góral.

W bazie nie znalazł żadnych pasujących zgłoszeń o zaginięciu. Najpierw sprawdził za ostatni miesiąc, potem sprawdzał wszystkich zaginionych mężczyzn w wieku od 75 do 90 lat. Zaskoczyło go, że było ich tak niewielu. Z małopolski – trzech. Żaden z Podhala ani okolic.

A na koniec jeszcze zadzwonił ten dziennikarz.

Skąd skurczysyn miał informacje? Chowaniec za wszelką cenę chciał utrzymać sprawę w tajemnicy. Jeszcze miał nad sprawcą ogromną przewagę: sprawca nie wiedział, że policja już wie o morderstwie. Trzeba więc było pismakowi zaproponować układ.

Komendant natychmiast zarządził, że sprawa jest medialna, trzeba jej nadać szczególny priorytet i że on osobiście chce mieć pieczę nad przekazem. W wolnym tłumaczeniu: że to on chce być w świetle fleszy, gdy jego ludzie rozwiążą tę sprawę. Próba samowolnego spacyfikowania krakowskiego dziennikarza mogła się więc dla Chowańca źle skończyć. Dlatego sporządził krótką notatkę, w której bez wdawania się w szczegóły zaznaczył, że sprawą wskutek przecieku niewiadomego pochodzenia (w nawiasie zasugerował: pogotowie? Straż TPN?) zainteresował się redaktor S. Strzygoń z „Flesza”, jednak obiecał współpracę z organami ścigania, wezwany przez niżej podpisanego do odpowiedzialności obywatelskiej. Na razie – wystarczy.

Rekonstrukcję twarzy denata, którą – opatrzoną standardowym „ktokolwiek widział, ktokolwiek wie” – mogliby posłać do mediów, Kraków zdoła przygotować najwcześniej za tydzień. Dziś rano Chowaniec zaproponował więc, że przejedzie się ze zdjęciami po dzielnicowych na Podhalu. Może któryś rozpozna, do kogo zmasakrowana twarz mogła należeć.

W kanciapie służącej za kuchnię referatu dzielnicowych w Murzasichlu sierżant Maraszek właśnie zalewał sobie chińską zupkę, przegryzając kiełbasą. Wskazał podkomisarzowi grubaśny kubek

z utłuczonym uchem pełen czarnej zalewajki z grubym kożuchem fusów na wierzchu. Chowaniec chciwie złapał naczynie w masywne dłonie.

– A co ty tak dzisiaj, Młody, bez obiadu, tylko jakieś świństwa w proszku? He?

– E, trochę się poprztykaliśmy z Helą ostatnio. No i teraz muszę sobie jakoś radzić.

– O co poszło?

Znał Młodego od dzieciaka, w Murzasichlu przecież znali się wszyscy, a jak Maciek postanowił pójść do policji, to do kogo miał iść się radzić, jak nie do niego? Będzie już rok, jak Chowaniec tańczył na jego i Heli weselu.

– O wódę – Młody wzruszył ramionami i siorbnął zupy. – Chyba przesadziliśmy z chłopakami, ale wie pan, po tym trupie w lesie trzeba się było jakoś wyluzować.

Jędrek pokiwał głową. Też by się chętnie wyluzował. Ale nie w ten sposób. Ten etap miał już za sobą.

Na paździerzowym biurku rozdzwonił się telefon.

– Jezu, zjeść nie można normalnie. Referat dzielnicowych w Murzasichlu, sierżant Maraszek, słucham – wyrecytował do słuchawki.

Chowaniec oparty o ścianę łykał kawę i obserwował, jak Młody zaciska zęby, bębni palcami w blat, kręci głową, mruży powieki i bezskutecznie usiłuje dojść do głosu.

– Rozumiem, proszę pani – powiedział wyćwiczonym, flegmatycznym tonem – ale tak jak ostatnio mówiłem, w pierwszej kolejności należy się skontaktować z właścicielem…

Przerwał i znowu zaczął zaciskać, bębnić i mrużyć.

– Jak w takim razie mam interweniować, skoro sama pani mówi, że właściciel…

Zaciskanie, bębnienie i mrużenie trwało tym razem dłużej. W końcu bez słowa odłożył słuchawkę, jakby osoba po tamtej stronie rzuciła nią pierwsza.

– Co tam, obywatele przeszkadzają w pracy? – zagadnął podkomisarz.

– Eee, nie, to znowu ta kobita od psa, Krępula z Kiecory, stara wariatka – mruknął Młody i wgryzł się w kiełbasę. – Psa mam aresztować, czy czego się ona spodziewa?

– Jakiego psa?

– Owczarka podhalańskiego – powiedział Młody z pełnymi ustami. – Takiego starego, kulawego poniekąd.

– No i co z nim?

– Nic, szczeka. I letnicy spać nie mogą, bo się niesie. Ludziom, panie Jędrku, to normalnie dzisiaj przeszkadza, że psy szczekają. A co mają robić?

– Może właściciela trzeba upomnieć?

– Poszedłem tam nawet, ale nikogo nie było. A pies rzeczywiście biega po podwórku i szczeka. Tylko co ja mogę? Psu mandatu nie wlepię. A baba od tygodnia wydzwania do mnie z pretensjami.

– Od tygodnia powiadasz? – Jędrek odstawił kawę. Zmasakrowana twarz ze zdjęcia nagle stała się bardziej znajoma. J.Ś. O kruca fuks!

– No, jakoś tak, może trochę więcej – odpowiedział Młody, drapiąc się za uchem.

– A wiadomo, czyj ten pies?

– Tego podupconego dziadka z Kiecory. Miałem się zabrać za ustalenia, ale rozumie pan, wyszła ta sprawa z trupem i…

Sierżant Maraszek przerwał i przyjrzał się bacznie minie podkomisarza.

– Oddzwoń do tej pani i powiedz, że zaraz przyjeżdżamy – powiedział Jędrek i wylał resztę kawy do zlewu. – Dopijaj zupę, Młody, i w dyrdki lecimy.

Wyskoczywszy z busa przy olbrzymim parkingu na Palenicy Białczańskiej, Anka zaniemówiła. Poprzez hektary samochodów przeciskały się wielkie białe autokary. Wypływał z nich tłum, którego

strugi łączyły się w pękatą i długą na dobre sto pięćdziesiąt metrów kolejkę.

Zgoda, tu się przecież zaczyna ceprostrada do Morskiego Oka, zawsze tu było dużo ludzi, myślała. Ale żeby aż tyle?

Stanęła na końcu kolejki, między zakonnicą w fioletowym polarze, która usiłowała zmusić do ustawienia się w pary grupę gimnazjalistów zaplątanych w słuchawki od iPodów, a rozochoconą wycieczką pracowniczą.

– No, pani Janeczko, pani to musi uważać na te góralskie bryczki, bo oni tam mają prawdziwe ogiery! – brzmiał tubalny głos wąsala, na którym ledwo dopinał się polar.

– A pan, panie Rysiu, to zawsze taki zabawny – chichotała pani Janeczka.

– No dojechaliśmy! – krzyczał do telefonu dwumetrowy bywalec siłowni w lustrzanych okularach. – No weź, kuuurwa, jakie korki na Zakopiance to kurwa, że ja pierdolę! I wypadek na wypadku, jeden to się normalnie przed nami rozjebał, mówię ci. No, ale kurwa, zajebiście jest w ogóle poza tym, Euzebiuszek cię pozdrawia, już ci go daję, Ebi, mama chce z tobą rozmawiać.

W górę ciągnęła ciżba, karminy i zielenie polarów przetykane plamami ciuchów wszystkich marek z galerii handlowych. Barierka mostu pod Wodogrzmotami była szczelnie oblepiona przez gromadki dzieciaków usiłujących zrobić sobie *selfie*. Anka przyśpieszyła kroku i skręciła w prawo, zielonym szlakiem do Roztoki, spodziewając się, że tam będzie luźniej.

Ale tędy też płynął potok ludzi. Wyprzedziła wycieczkę nauczycielek, które szły parami, a każda para omawiała palące problemy szkolnictwa, głównie płacowe. Potem próbowała zwolnić, żeby nabrać dystansu od dwóch rodzinek z dziećmi, które wcale nie były głośniejsze niż ich rodzice. Wreszcie skapitulowała i pokornie zrównała krok z orszakiem, bo dogoniły ją nauczycielki.

W okolicach polany w Nowej Roztoce zaczęła się dziwić, że zmasakrowanych ciał nie znajduje się przy tatrzańskich szlakach znacznie częściej.

W górach najbardziej lubiła uczucie, że wszystkie problemy, stresy i nerwy zostawia tam, na dole, że porzuca je daleko poniżej pasma kosówki, wspina się dużo lżejsza. Tymczasem cała ta ceperska czereda zabierała wszystkie swoje najmniejsze nawet sprawy ze sobą na szlak, żeby wykrzykiwać je do wiadomości owcom, kozicom i świstakom, a przede wszystkim jej, która chciała po prostu odpocząć. Czuła się, jakby trafiła w grupę pątników, którzy w czas zarazy ruszyli na pokutną pielgrzymkę, zawodząc swoje litanie: że w Zakopanem poszaleli z tymi cenami; że z tą Kryśką, księgową, to się żyć nie da; że przez tego Tuska to wszystko; że sprężarka do klimy oryginalna kosztuje cztery patyki; że na hemoroidy najlepsze są nasiadówki z kory dębowej; że Polacy to tylko narzekają; że nad morzem jest przynajmniej płasko; że Franiowi nie staje.

Nie zatrzymała się pod swoją kochaną Siklawą, bo się nie zmieściła na zatłoczonej półce skalnej przy wodospadzie. Zacisnęła zęby i poszła dalej, aż zza kosodrzewinowej korony wynurzyła się dolina Pięciu Stawów. Polskich – dodano jej kiedyś do nazwy, żeby Słowacy nie mieli złudzeń. Przez chwilę pomyślała, żeby coś zjeść w schronisku, zwłaszcza że kiedyś mieli tam genialną szarlotkę. Zrezygnowała, widząc dzikie tłumy w bezwzględnym boju o mielonego.

Szlak przez Świstówkę okazał się dużo dłuższy i trudniejszy, niż się spodziewała, ale widok na Pięć Stawów, kojarzący się jej z jakimś kosmicznym pejzażem, wart był zadyszki i bólu kolan. Na Morskie Oko popatrzyła tylko z góry, schodząc ze Świstówki. Nawet nie poszła nad staw, bo nie zobaczyłaby go zza pleców ludzi, tylko ruszyła od razu w dół, a czekał ją jeszcze dziewięciokilometrowy koszmar po asfalcie. Tam omal nie rozjechał jej ceprowóz obładowany radosną ekipą śpiewającą *Szła dzieweczka do laseczka*. Usiłując dojść do siebie, patrzyła, jak fasiąg, zaprzężony w wycieńczone szkapy, oddala się z efektem Dopplera, zostawiając po sobie żrący cuch końskiej uryny.

Postanowiła, że następnym razem pójdzie w góry w szczelnych, studyjnych słuchawkach z nagraniem odgłosów lasu. A później nie była już w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko

o koszmarnie obtartym wielkim palcu u lewej nogi.

Miało już zmierzchać, gdy dowlokła się z przystanku busa pod pensjonat. Wyprostowała się czujnie i przystanęła. Na stopniach przed bramą ktoś siedział. Przyjrzała się tej postaci uważnie, z nadzieją, że to się nie dzieje naprawdę.

Pomachał jej radośnie i ruszył w jej stronę. Ubrany w czarną wiatrówkę North Face'a i trekkingowe spodnie w kolorze dojrzewającego banana. Na nogach miał nowiutkie trapery Salomona, dzierżył bordowy plecak z przytroczonym aluminiowym termosem i składanymi kijkami do nordic walkingu. Chociaż twarz częściowo przysłaniały mieniące się tęczowo sportowe okulary, to jednak poznałaby wszędzie tę charakterystycznie dziecinną buźkę i uśmiech kota z Cheshire. Sebastian Strzygoń!

– Jesteś wreszcie! – wykrzyknął, jakby byli tu umówieni co najmniej od roku.

– Co ty tu robisz?

– Mówiłem ci, że jesteś moim ważnym źródłem – wyszczerzył zęby. – Przyjechałem obadać sprawę tych twoich zwłok.

– Jeszcze ty dla odmiany? Proszę, śmiało, zrujnuj mi wakacje do reszty! – jęknęła.

– Ej, ale o co ci chodzi? Ja się tylko przyszedłem przywitać – zrobił skrzywdzoną minę. – Nie bój się, nie chcę ci się dokwaterować. Załatwiłem sobie pokój w hotelu kawałek stąd – obrzucił pensjonat Kaśki takim spojrzeniem, jakby zaproponowano mu nocleg na sianie w stajni.

– Ty sobie nawet nie myśl, że będę „twoim źródłem" – powiedziała. – Nie masz pojęcia, przez co ja przeszłam. Wiesz, jak wyglądają tygodniowe zwłoki? Wiesz?

– Czekaj, zaraz mi powiesz, tylko wyjmę dyktafon.

– Bastian! – krzyknęła, podnosząc wskazujący palec jak surowa nauczycielka.

Uniósł pojednawczo dłonie.

– Dobra, pani doktor, dobra. To inaczej. Spotykamy się zupełnie przypadkiem w pięknej, górskiej miejscowości. Starzy znajomi. Ja tu jestem służbowo, ty na wakacjach. To chyba dasz się przynajmniej zaprosić na piwo?

Odetchnęła głęboko. Zastanowiła się.

– Dobrze. Wieczorem. Jak mnie tu w ogóle znalazłeś?

– Jestem w końcu dziennikarzem śledczym – napuszył się. – A tak serio, po prostu się domyśliłem, że tu będziesz. Sprawdziłem twój profil na Facebooku i zobaczyłem, polubiłaś stronę tego pensjonatu. Banalne.

Westchnęła. Czyli znowu sama sobie go ściągnęła na głowę.

– No, telo zem dzwoniła, co mi wrescie fajnego policjanta przisłali, nie takiego śpika – wykrzyknęła Krępula z Kiecory, zezując na sierżanta Maraszka. Stara wariatka od psa okazała się zażywną gaździną w podomce. Aż pokraśniała, gdy Chowaniec przedstawił się jej stopniem i przydziałem do komendy powiatowej. – Bo to juz nie idzie wytrzimać. Sceko gadzina zatracono i sceko, jakby diabła uźrzała. A mie sie goście skarzom, co hałas to oni majom w mieście i jak jadom na wakacje, to fcom mieć spokój. No.

Gaździna w fartuchu wypowiedziała swoją kwestię i zaplotła ręce na brzuchu pod masywnymi piersiami.

Jędrek pokiwał ostrożnie głową.

– Rozmawiała pani z właścicielem?

– Z tym starym waryjokiem? Ba on to nawet „dzień dobry" nie godo! – kobieta załamała ręce. – I ja mom za nim lotać?!

– A widziała go pani w ciągu ostatnich kilku dni? – zapytał Jędrek staranną, wręcz przesadnie poprawną polszczyzną. Jakby mu gwara ciążyła. Za nim stał Młody i starał się uniknąć wzroku

kobiety.

– A co mnie on obchodzi? Jo go haw nie wyglądom. Ale prowda, co go nie widzioła ostatnio.

– Przejdziemy się tam – Jędrek dał sygnał do odwrotu.

– Dobrze, dobrze – gaździna się rozpromieniła. – Dobrze, ze pon oficer przijechoł, bo bym juz nie dopytoła pomocy. Ja juz licyć zacełam kielo bez te gadzine straciłam dutków. Od tygodnia kompletu ni mom. To dlatego. Jo wiym. Jo powinnam do sądu pozwać. A o tobie, śpiku, to jesce ojcowi twojemu nagodom! – pogroziła, już z daleka, sierżantowi.

Maraszek nabrał powietrza i już się miał odwrócić, gdy Chowaniec położył mu rękę na ramieniu.

– Zostaw – mruknął. – Nikt nie jest gliniarzem we własnym kraju. Sprawdzisz sobie przy okazji, czy płaci za wywóz śmieci. Teraz mamy ważniejsze sprawy.

Nieco dalej odchodziła od asfaltu w prawo leśna droga. Koleiny szybko zamieniały się w rozmoknięty, błotnisty dukt, skosem przecinający podmokłą łąkę. Niepokojąco brzęczały komary, zapach mokrej trawy i butwiejącego drewna wiercił w nosie.

– Szczeka – powiedział Młody.

– Słyszę – mruknął Jędrek.

Na końcu duktu, tuż przed ścianą lasu, którego granicę wyznaczał wartki strumień, znajdowało się obejście. Drewniany płot chwiał się na wietrze. Porastało go dzikie wino. Zza wyrośniętych malinowych chruśniaków ledwo widać było chałupę. Gontowy dach przysiadł mocno, a ściany z ciosanych bali porastał obficie mech.

Maraszek pchnął furtkę, która wisiała smętnie na jednym zawiasie. Wychudzony owczarek podhalański podbiegł do nich z podkulonym ogonem, nie przestając ujadać.

– To o ciebie ta cała awantura? – Jędrek poklepał go po grzbiecie. Psisko zaskomlało cicho. Miało posiwiały pysk i wygłodniałe oczy. Pod płotem stała buda, obok niej kilka pustych misek.

– Masz jeszcze gdzieś tę kiełbasę? – zapytał Jędrek sierżanta. – Daj mu. Biedne bydlę ledwo żyje z głodu.

Maraszek wysupłał z kieszeni resztkę serdelka i rzucił w stronę budy.

– Masz. I zamknij się na chwilę.

Jędrek rozglądał się po obejściu. W kącie, pod uginającym się od zdziczałych śliwek drzewem piętrzył się stos żelastwa. Zarośla wysokiego po pas łopianu, porzeczek i agrestu tworzyły nieprzystępną dżunglę. Pod miedzuchem leżało porąbane drewno. W pieniek wbita była siekiera.

Zapukali. Stare, wyżarte przez wodę i halny drzwi wydały z siebie głuchy łoskot. Nikt nie odpowiadał.

– Jest tam kto? Policja! – zawołał Jędrek. W środku nic się nawet nie poruszyło. Szarpnął za klamkę. Drzwi poruszyły się odrobinę. Pies zerwał się i podbiegł do nich, łykając w biegu resztki kiełbasy.

– Proszę otworzyć! Policja! – powtórzył Jędrek i naparł na klamkę. Pies oparł się łapami o drzwi i zaskomlał cicho.

Coś puściło i drzwi otwarły się, skrzypiąc.

– No proszę. Otwarte było. Przytrzymaj psa – rzucił Jędrek do sierżanta i ostrożnie wszedł do środka. – Jest tu kto?

Po prawej stronie od sieni znajdowała się kuchnia. Prosty, zbity z desek stół, przy nim dwa krzesła. Na piecu stały garnki. Jędrek podniósł pokrywkę i skrzywił się na widok kożucha pleśni pokrywającego ziemniaki. W zlewie znalazł obtłuczony talerz z zaschniętymi resztkami jedzenia, dwie szklanki i jedną literatkę do wódki. Na dnie zlewu zalegały ziarenka zaschniętych fusów po kawie. Panował zaduch. Na stole leżał „Flesz” otwarty na drugiej stronie. Na sfatygowanym kredensie stało kilka zdekompletowanych filiżanek, kubków i puszka po kawie.

– Lavazza? – zdziwił się Młody. – Chyba więcej warta niż ta chałupa!

– Nie dotykaj! – syknął Jędrek, widząc, jak sierżant wyciąga rękę po puszkę.

Po lewej od sieni znajdowała się izba, przesiąknięta stęchlizną, zapachem długo niewietrzonej pierzyny i starego człowieka. Łóżko było rozgrzebane. Jędrek ostrożnie otworzył szafę. Wisiał w niej smętnie samotny wytarty garnitur i wyjedzony przez mole kożuch.

Podkomisarz Chowaniec zmarszczył brwi. Na dnie szafy zalegało kilka puszek po dyskontowym piwie, dwie butelki bez etykiet, a w koncie jeszcze jedna. Zakręcona, z resztką alkoholu na dnie.

– Patrz, Młody, kruca – zawołał Jędrek. – Kawa to jeszcze nic.

– Nieźle! – Młody gwizdnął przez zęby. – Johny Walker, zielony.

Wrócili do kuchni. Podkomisarz szukał wzrokiem ramek ze zdjęciami rodzinnymi, pamiątki ślubnej, jakiejkolwiek fotografii, na której mógłby zobaczyć właściciela chałupy. Poza świętym obrazkiem z ludźmierską Gaździnką Podhala nad drzwiami kuchni nie było jednak nic.

– Ja zobaczę jeszcze na zewnątrz – powiedział młody i szarpnął za klamkę. Wtedy pies prześlizgnął mu się między nogami i szczekając jak oszalały, wdarł się do chaty.

– Co narobiłeś!? – krzyknął Jędrek. – Ślady pozaciera!

Pies biegał po kuchni, popiskując. Raptem rzucił się pod stół. Z nosem przy ziemi zaczął drapać łapami podłogę. Młody złapał go za skórę na karku i odciągnął. Krzesło przewróciło się z głuchym trzaskiem łamanego drewna, na podłogę sfrunęła płachta gazety.

Jędrek pochylił się nad podłogą i zmarszczył czoło. Ciemna plama na tle poczerniałych desek była słabo widoczna, ale jednak tam była. Wstał i rozejrzał się jeszcze raz po izbie. Podniósł gazetę i przyjrzał się dokładnie pierwszej stronie. Dwie sczerniałe już plamy nie wyglądały jak farba drukarska. Wyglądały jak coś zupełnie innego.

ROZDZIAŁ 4

Ni moz ci to, ni mo
jak górolskij ślachcie,
jak portek nie stanie,
nosi zadek w płachcie.

Anka zamknęła za sobą drzwi i przez chwilę rozglądała się po pomieszczeniu. Woń drewna zmieszana z zapachem gotowanej kapusty, grillowanego oscypka i panierki po chwili przestała jej przeszkadzać. Z głośnika grało góralo-polo. Ktoś pomachał do niej od stolika pod ścianą. Odmachała Józkowi, który sączył piwo w towarzystwie dwóch brzuchatych panów. Zmrużyła oczy i wreszcie go zauważyła. Siedział pogrążony w lekturze menu, jakby studiował bardzo ważne materiały śledcze w języku obcym. Znowu miał na sobie bananowe spodnie, podkoszulek Nike, a plecak położył koło siebie na ławie tak, żeby widać było logo Salomona. Anka rozgryzła w zębach niewidzialne ziarenko, westchnęła i ruszyła w jego kierunku.

– Cześć, Bastian.

– Musisz mi chyba przetłumaczyć tę kartę, bo nic nie rozumiem. Na przykład, co to jest moskol z omastom cosnkowom? – Nachylił się nad stołem i pokazał jej palcem pozycję w menu.

– Nie mam pojęcia – westchnęła Anka.

– Dzień dobry, co podać? – Kelnerka we wzorzystej spódnicy, białej bluzce i ze sznurem plastikowych korali zmaterializowała się przy ich stoliku.

– Eee, ja poprose kwaśnicę i placki po zbójnicku. I piwo – powiedział Bastian i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– A dla mnie grillowany oscypek z żurawiną i wino – dodała Anka.

– Grzane? – kelnerka zerknęła na nią znad notesu.

– Nie, normalne.

– A to nie mamy.

– Co tak słabo? Tylko oscypka bierzesz? – Bastian rozparł się na ławie.

Nie chciała się przyznać, że wzięła oscypka, bo był przystawką, znacznie tańszą niż reszta dań.

– A ty, od kiedy seplenisz?

– Nie seplenię, przecież tak się gada po góralsku, każdy to wie. W ogóle strasznie fajnie, że tu jestem, serio jest cool, trafiają się sensowni ludzie, a nie tylko luzerzy, których nie stać na normalne wakacje. – Bastian mówił z pełnymi ustami, zagryzając chleb ze smalcem, który przyniosła im kelnerka. Anka starała się na niego nie patrzeć. – Poznałem wczoraj w moim hotelu dwóch gości, jeden jest didżejem, a drugi jakimś inżynierem, ekspertem od czegoś, nie pamiętam dokładnie, doradza biznesmenom w sprawie jakiejś tam energii odnawialnej, coś mówił o gorących źródłach. Aż się zdziwiłem, przecież TPN to nie Park Yellowstone.

– No coś ty – parsknęła Anka. – Przecież geotermia to teraz na Podhalu nowy hit. Wszyscy budują aquaparki, cepry z Warszawy przyjeżdżają moczyć tyłki w ciepłej wodzie, jakby identycznych basenów nie mieli u siebie, a dutki się sypią.

– No popatrz – Bastian kiwnął głową, przeżuwając skórkę chleba. – W każdym razie ten drugi, ten didżej, to nawet coś tam miksuje z góralską kapelą, zawsze myślałem, że to żenada. Jak to się mówi: chamstwo, drobnomieszczaństwo i góralska muzyka. A to nawet fajne, puszczał mi na komórce.

Kelnerka przyniosła zamówione dania i Bastian na chwilę przerwał słowotok. Anka dziubała oscypka, żeby dwa plastry wysuszonego sera starczyły na dłużej. Basitan wsuwał, aż mu się uszy trzęsły, popijając solidnie piwem.

– No – powiedział, gdy skończył i wytarł usta serwetką. – To jesteśmy tutaj, mamy trupa, mamy świadka, czyli ciebie…

– Jacy „my”? – przerwała mu. – Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego!

– Spokojnie, proszę tylko, żebyś mi opowiedziała, co widziałaś. I może jakiś fachowy komentarz, że to w kulturze góralskiej typowe cośtam świadczące o czymśtam. Konkrety sobie sam załatwię, mam źródła w policji. To może być duża rzecz. Szczególnie że sezon jest ogórkowy i za krwisty materiał szef mnie ozłoci.

– Masz źródła w policji? – zapytała Anka, bawiąc się kubkiem.

– No, niezły jestem w te klocki, ledwo zacząłem, a już sobie przymanipulowałem jednego koleżkę stąd. Przyjdzie tu zaraz, bo się umówiliśmy na piwo, pokonspirować trochę. Muszę go tylko wypatrywać, bo nawet nie wiem, jak wygląda. Nazywa się Chowaniec, więc pewnie trudno go znaleźć, he, he.

Anka poczuła przypływ adrenaliny. Jędrek nie może jej zobaczyć z Bastianem, bo się wyda, że to ona go tu ściągnęła.

Ale było za późno. Bastian nagle wyszczerzył się w uśmiechu i wstał.

– Domyśliłem się, że to pan. Poznałem po spodniach, tak jak pan pisał – powiedział Jędrek i podał Bastianowi rękę.

– Aniu, to jest właśnie pan komisarz…

– Cześć, Jędrek – Anka przerwała Bastianowi, uśmiechnęła się przepraszająco i poderwała się z miejsca.

– No witam, Aniu – powiedział sztywno Jędrek. Skuliła się pod jego wzrokiem.

– Ja już pójdę – wymamrotała Anka, nerwowo grzebiąc w torebce, żeby wymacać portfel. Wszyscy troje wciąż stali.

– Ania, nie szukaj, zapłacę za ciebie, mówiłem ci przecież, że stawiam – przerwał jej Bastian.

– Nie, nie trzeba, chwila, zaraz się dokopię, tylko…

– Nie ma takiej opcji. Ja płacę – Bastian tylko się śmiał. – Najwyżej zapłacisz następnym razem, skoro z ciebie taka kobieta wyzwolona.

– Następnym razem? – powtórzył Jędrek i popatrzył na Ankę. – Kobieta wyzwolona? – uniósł brwi.

Anka wypadła z zaduchu karczmy na świeże powietrze i głośno zaklęła, aż kilku mężczyzn, którzy wyszli zapalić, zamilkło z wrażenia. Ze wszystkich możliwych towarzyskich kombinacji trafiła na najbardziej kłopotliwą. I jeszcze była wściekła na siebie, że tak tchórzliwie zwiała.

Poza tym, gdyby wiedziała, że Bastian zapłaci za jej obiad, to zjadłaby coś normalnego, a nie mikroskopijną przystawkę za 9,90 zł. Kopnęła z całej siły kamyk na drodze, wcisnęła ręce w kieszenie polaru i ruszyła w drogę powrotną.

Ciemna nocka nad górami,
świeci księżyc nad szczytami,
drży powietrze nad drzewami,
góral poznał Halkę swą.

Lekko wsparłszy się na sośnie
w oczy patrzy jej miłośnie,
popłynęły w świat donośnie

tęskne słowa pieśni tej…

Z głośników snuły się tony keyboardu i bekliwy głos. Policjant usiadł ciężko. Kazał sobie podać sok pomidorowy z pieprzem, wywołując zdumienie kelnerki.

– To po co mi się pan kazał fatygować na łono przyrody? – zagaił Bastian. – Nie można było przez telefon?

Chowaniec spojrzał na niego spode łba.

– Pan jesteś dziennikarz, ja jestem gliniarz – odparł. – Nigdy nie wiadomo, kto słucha naszych rozmów.

Bastian się roześmiał, ale szybko przestał, widząc po minie policjanta, że ten chyba nie żartuje.

– Rozumiem, że pan komisarz ma dla mnie jakąś propozycję.

Przez chwilę policjant nic nie odpowiadał. Obaj sięgnęli po szkło. Bastian wziął głęboki łyk piwa, Chowaniec sączył sok przez słomkę, wciągając policzki.

– Ja powiem krótko – rzucił wreszcie. – Mamy tu brutalne morderstwo, próbę ukrycia zwłok, taka sprawa, jakiej Podhale od dawna nie widziało. Jak pan o tym teraz napisze, to morderca się dowie, że my wiemy.

Bastian popatrzył na niego uważniej.

– Pan się pytał, czy mnie chodzi o ruch turystyczny. Mnie, panie redaktorze, ruch turystyczny to telo tu obchodzi, co zesłorocny śnieg. Dla mnie co innego jest ważne. Morderca wciąż wierzy, że ukrył zwłoki i jest bezpieczny. To nam daje przewagę, on może zrobić głupi błąd. Więc ja pana nie powstrzymam, pisz se pan, co pan chcesz. Ale jeśli masz pan trochę oleju w głowie, to poczekaj.

Bastian popatrzył na niego jeszcze uważniej.

– I wtedy, jak ustalimy sprawcę, artykuł będzie znacznie ciekawszy.

– Wyłączność?

Policjant zajrzał do szklanki z sokiem.

– Panie redaktorze, to nie jest serial w TVN – powiedział. – Mogę panu obiecać, że zadzwonię do pana, zanim rzecznik komendy wyda oficjalny komunikat. Ale pod warunkiem.

Bastian popatrzył na niego z całym dostępnym sobie natężeniem uwagi.

– Że nigdy nie rozmawialiśmy, nigdy się nie spotkaliśmy w tej karczmie.

– W jakiej karczmie? – odparł natychmiast Bastian. Uśmiechnęli się obaj.

– Anka to panu nadała, co?

Dziennikarz nawet nie drgnął. Tylko uniósł brwi.

– Jaka Anka? – zapytał w głąb kufla z doskonale obojętnym wyrazem twarzy.

Dopił. Uścisnął gliniarzowi dłoń. Wyszedł.

Góralko Halko
Krasny leśny mój kwiecie
tobie jednej na świecie
powiem co to jest żal…

Jędrek zawiesił wzrok na pustym kuflu Bastiana. Potem uniósł oczy i przez długość sali lustrował zestaw butelek za barem. Dotknął kufla, przesunął palcem po wilgotnym szkle, rysując zygzak. Podeszła kelnerka. Zacisnął zęby. Zamówił sok.

Szybkie kroki Anki zachrobotały w ciemności na żwirze. Zatrzasnęła bramkę mocniej niż było trzeba. Zauważyła pomarańczowego świetlika papierosa.

– No co tam, siostra? – usłyszała niski, lekko ochrypły głos kuzynki. – Randka ci się nie udała?

Anka zatrzymała się, otworzyła usta, zamachała rękami i opuściła je bezradnie. Papieros rozświetlił w mroku półuśmiech Kaśki.

– Chodź – zakomenderowała kuzynka.

Półka z winami w Lewiatanie wyglądała jak zwykle półka z winami w Lewiatanie. Varna, sofia, kadarka, szato i grzaniec. Kaśka sięgnęła pewnie w głąb dolnej półki i wydobyła zakurzoną butelkę o niepozornej etykiecie. Po kłótni przy kasie, gdy każda upierała się, że to ona zapłaci, Anka wróciła po jeszcze jedną.

Ulicą Sądelską z rzadka przejeżdżał samochód, powolnym krokiem przechadzały się parki letników w różnym wieku, przetoczyła się grupka podchmielonych małolatów w sportowych bluzach. Nagle ktoś zastąpił dziewczynom drogę. Anka aż pisnęła.

Kaśka westchnęła.

Stał przed nimi pomarszczony, chudy jak szczapa, wionący serwatką i moczem staruszek o zapadniętych oczach. W przyciśniętych do piersi dłoniach miął czapkę i patrzył przepraszająco. Sponiewierana brązowa marynarka przetarta na łokciach wisiała na nim jak na zbyt małym wieszaku. Mężczyzna ukłonił się nisko i zaintonował trzęsącym się głosem:

Idzie woda, idzie,
kamykami rusa,
kocham cie, dziewcyno,
boś poćciwa dusa,

po czym wyciągnął przed siebie nadstawioną czapkę. Anka odetchnęła. Trochę rozbawiona przedstawieniem, a trochę własnym lękiem – bo przypomniała sobie tego poczciwinę i czasy, gdy się go bała naprawdę. Sięgnęła do kieszeni, w której plątała się samotna pięciozłotówka, i wrzuciła ją do czapki. Kaśka skarciła ją wzrokiem. Staruszek uśmiechnął się bezzębnie i podniósł na Ankę wzrok, zbliżając się do niej. Ta cofnęła się odruchowo.

– Idźze prec, Romuś, idźze! – fuknęła na niego Kaśka i pociągnęła kuzynkę za sobą. – A ty nie dawaj mu dutków, siostra, bo się od ciebie nie odklei.

– To był Głupi Romuś, nie? Ale się biedak postarzał.

Dziwnie jej teraz we własnych ustach zabrzmiał ten wioskowy, niepoprawny politycznie przydomek nieszczęśnika. Przez całe dzieciństwo przechodził jej przez gardło bez zająknięcia. Wołali na niego „Głupi Romuś”, tak jak wszyscy, drażnili się z nim z daleka i zmykali, zakładali się, kto się odważy podbiec do niego, stanąć z rękami pod boki, wrzasnąć: „Głupi Romuś głupi – to takie strasydło – jak wyjdzie do pola – boi sie go bydło!”, a potem wiać, gdy reszta dzieciarni zwijała się ze śmiechu w krzakach na widok wymachów rąk i podskoków Romusia goniącego za śmiałkiem. Mężczyzna żył z doraźnej pomocy ludzi, plątał się od zagrody do zagrody albo nocował po szałasach. Nigdy nic nie mówił, ale zawsze nucił fałszywie stare przyśpiewki, których nikt inny już nie pamiętał. Wszędzie go było pełno, a najpełniej pod sklepami, w których asortymencie figurował mózgotrzep.

Szły teraz przez wieczorne Murzasichle.

– Pozmieniało się tu, nie? – rzuciła Anka. – Kiedyś to była prawdziwa wieś – dodała, widząc pytające spojrzenie kuzynki.

– A dzisiaj niby jaka? – Kaśka zabrzmiała szorstko.

– No, są quady zamiast wozów drabiniastych, automaty z zabawkami zamiast baniek na mleko, siatka zamiast drewnianych płotów no i wszystkie te bannery. Zobacz – zaczęła wyliczać. – Wypożyczalnia sprzętu narciarskiego, kijków do nordic walkingu, góralska pizza, podhalański kebab.

Kaśka nie odpowiedziała od razu.

– Anka, kto tu by wyżył z roli? – odparła w końcu. – Przecież tu nawet buraki nie chcą rosnąć. Nie opłaca się. Młodzi robią tak jak Józek: zganiają z pola krowę i wpuszczają quady, bo turyści tak chcą, a z turystów się żyje. Chcą, żeby oscypek nie walił owcą? To dostaną oszukany i jeszcze się będą cieszyć. Chcą góralską pizzę? Nie ma sprawy. Chcą, żeby świątek się uśmiechał? Proszę bardzo.

Teraz to Anka nie odpowiedziała od razu.

– No, ale co zostaje – ważyła słowa – z prawdziwego Murzasichla?

– Prawdziwego, znaczy jakiego? – żachnęła się Kaśka. – Z dyskretną nutką gnojówki i sraczem na podwórku?

– Nie, sorry – Anka się zmitygowała. – Po prostu znika coś ważnego, nie masz takiego wrażenia? Takie Murzasichle Babońki.

– Tobie łatwo mówić, jak sobie siedzisz w Krakowie, robisz karierę uniwersytecką i chciałabyś, uczona pani etnolog, żebyśmy żyli tu jak w muzeum – parsknęła kuzynka. – A my tu musimy za coś przeżyć.

– No, chyba biedy nie klepiecie – mruknęła Anka pod nosem. – Spróbuj sobie przeżyć za pensję adiunkta.

– Co mówisz?

– Nic – wycofała się Anka. Pierwsze wspólne wino po latach to kiepski moment na kłótnię.

– U nas i tak jest ładnie – Kaśka też się wycofała. – Pojedź sobie do Bukowiny.

– Wiem, z Murzasichlem nie jest tak źle. Problem chyba w tym – Anka się rozglądała, próbując nazwać to, co widziała wokół – że właśnie próbuje być zbyt ładne. Ale nie bardzo pamięta, że słowo „ładne” oznaczało kiedyś „użyteczne”. I że wywodzi się od słowa „ład”.

– A ty myślisz, że ja o tym nie wiem? – Kaśka mówiła już spokojniej. – Wezmę cię do moich dziewczyn, o których ci mówiłam. Próbujemy gotować żarcie z czasów Babońki, ale z tego nie ma dutków. Dutki są z podhalańskiego kebaba. Kiedyś było Murzasichle Babońki, teraz jest Murzasichle Józka.

– A twoje? – zapytała Anka. – Jakie jest Murzasichle Katarzyny od Kaleniców?

Katarzyna od Kaleniców wzruszyła ramionami.

– Chodźmy pić to wino.

Na szczęście, pomyślała sobie Anka, wciąż jeszcze można było odejść kawałek w bok i w dół, w pola, w stronę lasu. Tam wciąż jeszcze rosła łąka. Na przykład taka, jaka zaczynała się zaraz za domem Babońki. W świetle księżyca majaczyły kopy siana, rozstawione na zboczu w stanie jakiejś niewiarygodnej równowagi, jakby pod pachnącą, suchą powłoką kryły się skomplikowane żyroskopy. Pod stopami chrzęściło ściernisko, hałasowały świerszcze, w nosie wiercił sienny kurz, ziemia była nagrzana, noc ciepła, a na horyzoncie góry rysowały się na tle nieba jeszcze czarniejszym od niego odcieniem. Księżyc świecił bezczelnie.

Kuzynki usiadły na ziemi pod kopą siana. Kaśka wydobytym z kieszeni szwajcarskim scyzorykiem sprawnie otworzyła butelkę i podała Ance. Sama zapaliła.

– Ten piękny, co dziś na ciebie czekał pod bramką, to kto?

– Dupek – odparła natychmiast, wycierając z ust wino rękawem polara. Popatrzyły na siebie i wybuchnęły śmiechem. Anka pokrótce opowiedziała o Bastianie i o tym, jak nieostrożnie sprzedała mu historię o zwłokach i jak w ten sposób podpadła Jędrkowi Chowańców. Butelka krążyła sprawnie między nimi. Wino schodziło szybko.

– Chowaniec to się kiedyś w tobie kochał. – Kaśka pociągnęła głęboki łyk. – Nawet Babońka się śmiała, że będzie z tego kiedy wesele.

– No i się przeliczyła. – Anka przejęła butelkę. – Trzeba było, zamiast w Indian, bawić się w doktora – dodała poważnie. I znowu się głośno roześmiały.

– A był ktoś w twoim życiu tak na serio? – Kaśka zapalała kolejnego papierosa.

– Tak, nazywał się Przewód Doktorski. A teraz tkwię w toksycznym związku z Uniwersytetem. Totalna patologia, mówię ci. Zaniedbuje mnie, wykorzystuje i nie daje pieniędzy.

– Ale tak nigdy z nikim? – Kaśka nachyliła się do niej.

– Nie no… – Anka wypiła. – Coś tam było. Ze dwóch takich mniej przelotnych. Z jednym kilka miesięcy mieszkaliśmy razem zaraz po studiach. Aż go pewnego niedzielnego poranka wywaliłam za drzwi, jak stał.

– A ostatnio?

– Co ostatnio?

– Kiedy ostatnio byłaś z facetem, co się głupio pytasz? – Kaśka szturchnęła ją łokciem i zabrała się za otwieranie drugiej butelki.

– Jezu, nie pamiętam – odpowiedziała Anka po chwili, i aż się poderwała. – Serio. A ty?

– Nie ma o czym mówić – odparła Kaśka, nie odwracając się. – Tobie w mieście to dobrze, możesz sobie faceta wystawiać za drzwi w niedzielny poranek. A jakbyś go tutaj tak wystawiła, trafiłby prosto na tłum idący do kościoła i miałaby o czym cała wioska gadać przy obiadku. Jak jesteś babą, to możesz albo wyjść za mąż, albo siedzieć grzecznie na przyzbie i grule obierać. Co innego chłopy.

Anka parsknęła i pociągnęła z prawie pustej butelki. Czuła, jak zapada się w stóg siana, widziała jak niebieski firmament wyraźnie przyspieszył. Zobaczyła nad górami spadającą gwiazdę. Parsknęła.

– Ale tak nigdy z nikim? – uśmiechnęła się, rewanżując się pytaniem. Kuzynka popatrzyła na nią z góry.

– No co ty. Dy roz kiela cos jaki fajny ceper ku pensjonatowi przyjedzie. A kie barz fajny, to mo kompleksowe usługi góralskie.

Śmiały się długo. A potem jednocześnie na długo zamilkły.

– We wsi już się mówi o tych twoich zwłokach – mruknęła wreszcie Kaśka spośród siana. Anka uniosła się gwałtownie na łokciu.

– Co wy tak wszyscy o tych „moich zwłokach”?! To nie moje zwłoki, ja żyję, halo!

– Dobra, przepraszam – chichotała Kaśka. – Ale słyszałam dziś, jak mówili, że miastowa od Kaleniców je znalazła.

Ankę zamurowało.

– Skąd ludzie to wszystko wiedzą? – jęknęła.

– A ja wiem? – odparła kuzynka. – Może ktoś cię widział z Chowańcem? Może ktoś zna kogoś, kto ma w rodzinie kogoś, kto pracuje w policji? Tu wszyscy mają oczy otwarte, kochana, mówiłam ci. Oni zawsze wiedzą. Wszystko. O, chyba że cała wieś zawrze milczące porozumienie, że coś jest tajemnicą. Wtedy pary z ust. Oscypki fałszowane? Chłopy baby biją? Ksiądz pije? Słowa nie usłyszysz.

– Ja tylko chcę mieć spokojne wakacje – jęknęła Anka. – Wiesz, chodzić po tych góralskich lasach, w promieniach słonecznych opalać się, te sprawy. Daj zapalić, dobra?

– Ty palisz?

– Nie. Ale daj.

Słodkawy dym snuł się ku gwiazdom, wino szumiało w uszach, niebo zataczało koślawe kręgi, gwiazdy powoli dwoiły się w przymrużonych oczach. Anka leżała płasko na szorstkim ściernisku. Było zupełnie cicho, gdzieś z doliny nadlatywał tylko rytmiczny rechot żab. Przez tę ciszę popłynęło raptem ciche nucenie, przechodzące w śpiew półgłosem, który z nuty na nutę stawał się głośniejszy, głębszy, ścielił się na zboczu, ku potokowi, rubaszny i rzewny zarazem, hardy i czuły. Kaśka śpiewała. Tak, jak tylko ona umiała.

Dy, ja sobie nie wierzyła,

co by mi ta lubość,
co by mi ta lubość
zaszkodziła, zaszkodziła.

Anka wstrzymała oddech, zgasiła papierosa w ziemi, zamknęła oczy. Jutro znowu nie pójdzie w góry, będzie kac jak malowany. Ale jeśli o nią chodzi, może tu, pod tym stogiem, zostać i do rana.

Dy, ona mi przecie szkodzi,
bo mnie mój Janiczek
bo mnie mój Janiczek
precz odchodzi, precz odchodzi.

W wysłużonym, rdzewiejącym przy nadprożach oplu zapanowała ponura cisza. Jędrek wrzucił dwójkę, silnik zipnął i podjął wspinaczkę za ciężarówką pod górę w Naprawie. Za Lubniem dwupasmowa Zakopianka kończyła się nieubłaganie, niczym metafora planów drogowców. Tak, z małymi przerwami koło Rabki, a potem Nowego Targu, będą się turlać aż do Zakopanego.

Prokurator milczał, bo drzemał. Jędrek milczał, bo był zły, przygnębiony i miał mętlik w głowie. Zły był na wczorajszy wieczór, na dziennikarza, a zwłaszcza na Ankę. Przygnębiony, bo wracali właśnie z krakowskiego Instytutu Medycyny Sądowej, gdzie odbyła się identyfikacja zwłok z Doliny Suchej Wody. Pozytywna.

A mętlik w głowie miał względem sprawy.

– No kruca fuks! – krzyknął, wciskając hamulec, gdy wielki jak czołg, lśniąco czarny crossover wbił się tuż przed nich, uciekając w ostatniej chwili przed czołówką na przeciwnym pasie, którym pod górkę i na zakręcie wyprzedzał kolumnę aut.

– Bidny ten Mietek Śleboda, nie? – zagaił prokurator.

Jędrkowi nie chciało się gadać. Gdy rano zajechali pod Instytut na ulicę Grzegórzecką, Mieczysław Śleboda już tam czekał. Przyjechał od razu, zaraz po nocnym telefonie od Chowańca. Był po pięćdziesiątce, ubrany w sztruksową marynarkę wypchaną na łokciach i niemodną koszulę. Podali sobie ręce bez słów. Mężczyzna miał poszarzałą twarz, nastroszone wąsy, był nieco przy kości, ale kwadratowa szczęka i wydatny nos zdradzały góralski gen. Garbił się i kurczowo zaciskał palce obu splecionych dłoni. Gdy podszedł do nich lekarz z Instytutu, Jędrek spojrzał na mężczyznę pytająco. Ten skinął głową. Weszli.

– Mieczysław Śleboda, syn Jana, urodzony w Murzasichlu, ostatnio zamieszkały w Radomiu… – prokurator zaczął odczytywanie protokołu; trwało to nieznośnie długo – …przystępuje jako jedyny ustalony krewny do identyfikacji – zawiesił w końcu głos.

– Najpierw okażemy panu przedmioty znalezione przy ciele – powiedział cicho lekarz. – Może wystarczy.

– Przedmioty? – Mieczysław Śleboda wreszcie się odezwał.

– Właściwie przedmiot.

Lekarz na blacie z nierdzewki położył plastikowy woreczek. Znajdowała się w nim spinka pokryta patyną.

Nikt się nie odzywał. Śleboda przestał zaciskać palce. Znieruchomiał. Potem zrobił krok do przodu i jeszcze mocniej się zgarbił, pochylając się nad blatem.

– Pamiętam z dzieciństwa – jego ochrypły głos przerwał ciszę. – Ojciec miał taką. Zakładał na święta i na pierwszego maja.

– Miał taką, czy właśnie tę? – wtrącił prokurator.

Znowu milczenie.

– Nie wiem – zabrzmiała w końcu głucha odpowiedź.

Chowaniec bez słowa odwrócił spinkę. Śleboda skurczył się wyraźnie.

– Tak. To ta sama – szepnął, wpatrzony w widniejący na odwrocie monogram.

– Przystępujemy zatem…

– Panie Mieczysławie – przerwał prokuratorowi lekarz. – Zwłoki są w bardzo złym stanie. Jeśli pan prokurator nie wyrazi sprzeciwu, przedstawiłbym panu najpierw fotografię twarzy.

Prokurator nie wyraził sprzeciwu, ale entuzjazmem też nie zapałał. Lekarz wyjął z teczki odbitkę formatu A4. Położył ją na blacie obok spinki.

Śleboda drgnął. Pochylił się nad zdjęciem. Skurczył się, drgnął znowu. Popatrzył na lekarza, na Jędrka. Skinął głową. Odwrócił się.

– Czy rozpoznaje pan osobę na zdjęciu jako pana ojca, Jana Ślebodę? – zapytał prokurator.

Milczenie. Znowu skinienie głową.

– Mamy w takim razie pozytywną identyfikację. Protokołuję, że zwłoki należą do Jana Ślebody, lat 88, ostatnio zamieszkałego w Murzasichlu…

Jędrek przyspieszył, wjeżdżając na kawałek dwupasmowej drogi pod Chabówką. Docisnął i wyprzedził lśniąco czarnego crossovera, którego, jak zauważył, rzucało po prawym pasie, bo kierowca pisał esemesa. Myślał o kilku słowach, które zamienił z Mieczysławem Ślebodą na korytarzu Instytutu.

– Proszę pana, muszę pana w najbliższych dniach przesłuchać, dobrze by było, żeby pan przyjechał do nas na komendę do Zakopanego – zaczął.

– Wie pan, że ja tam z ćwierć wieku nie byłem – odparł mężczyzna po dłuższej chwili. Chowaniec uniósł brwi. – Wyprowadziłem się tak szybko, jak tylko mogłem. Z ojcem nie miałem kontaktu przez cały ten czas, więc nie wiem, co ja panu mogę zeznać – machnął ręką i urwał.

Jędrkowi pytania zakłębiły się w głowie jak ryby w saku. Ale wszystkie się rozpierzchły, gdy tylko spróbował po któreś sięgnąć. Też jak ryby, zresztą.

– Dlaczego? – zapytał tylko. Tamten milczał.

– Miał pan z ojcem konflikt?

Chwila ciszy.

– Nie chciałem go znać – wyszeptał wreszcie.

– Czy ojciec pana był konfliktowy? Miał jakichś wrogów?

Śleboda prychnął. Pokręcił głową.

– Naraził się komuś? – drążył Chowaniec, czując, że to zły moment. Widział, że Śleboda niewiele mu teraz powie.

– Naraził? Ostatnio? To odludek był przecież od dawna – odparł. – A zresztą, skąd ja mam wiedzieć.

– To są bardzo ważne informacje. Ktoś mógł go chcieć…

– Panie! – wybuchnął Śleboda. – Możemy nie teraz?

– Okej – podkomisarz westchnął. – Na kiedy się umówimy?

– Dziś zatrzymam się tu, w Krakowie, u znajomych, jutro dojedzie do mnie żona z córką – znowu mówił niemal szeptem. – I we troje pojedziemy do Murzasichla. Trzeba to będzie teraz wszystko jakoś – przerwał – jakoś… nie wiem… pozałatwiać, pogrzeb przecież… Pan mi powie, co się stało? Powie pan?

Wtedy Jędrek skinął potakująco głową. Teraz już nie miał całkowitej pewności. Jeśli Śleboda był konfliktowy, to mógł komuś podpaść, a ten ktoś go stuknął. Ale jeśli faktycznie był takim odludkiem? Krępula z Kiecory nazwała go wariatem, co to nawet „dzień dobry” nie powie. Kto mógł mieć motyw, żeby go porąbać?

– Kruca jego mać! – warknął, gdy czarne monstrum nagle wyjechało zza niego, kiedy już miał

wyprzedzać ciężarówkę z meblami. Jędrek odbił kierownicą w prawo, a tamten wóz zawył i wystrzelił do przodu, prawie zrzucając na pobocze poloneza jadącego z przeciwka.

Więc może napad rabunkowy? Najpierw chciał odrzucić tę ewentualność, w końcu kto by chciał obrabować dziada spod lasu. Potem przypomniał sobie, że ten dziad spod lasu pijał drogie whisky. A wreszcie, gdy zabrali się do przeszukiwania chaty pod lasem, gdzie wcześniej odkryli ślady krwi, sprawa skomplikowała się jeszcze bardziej.

Technik Wojtek znowu miał co robić. Najpierw obejrzał uważnie tkwiącą w pieńku na podwórzu siekierę. Zawyrokował, że to może być narzędzie zbrodni. Ale żeby szczególnie nie liczyć, że odciski palców zachowały się na drewnianym trzonku pozostawionym na zewnątrz, na deszczu.

Potem sklął Chowańca i Maraszka za wpuszczenie psa, za przewrócone krzesło i zrzuconą gazetę. Dzielnicowy Maraszek, skruszony jak uczniak, opisywał dokładnie, jak co stało, zanim bydlę zatracone wpadło do kuchni. A Chowaniec przyglądał się bacznie szklankom, literatce i puszce Lavazzy.

– Wojtek – zawołał technika. Ten odwrócił się, klęcząc na podłodze, w miejscu, które wskazał owczarek. Może nie takie do końca zatracone to bydlę, bez niego nic by nie mieli. – Dziadek mieszkał sam, a tu są dwie szklanki, pewnie po kawie, bo w zlewie są jeszcze fusy. Gościa miał?

– Pewno tak. I to kulturalnego, bo podłogę po sobie umył. Tyle że niedokładnie umył, krwi dużo było, między deskami podłogi jest z kilo galaretki – mamrotał technik. – Za to szklanki pozmywał. Niedobrze.

– Panie Jędrku! – sierżant Maraszek wskazał na popielnik.

Tkwiła w nim butelka po wódce. Prawie całkiem zagrzebana, ale popiół osypał się na tyle, że uwidoczniły się charakterystyczne niebieskie litery. Wciśnięto tam pękatą litrową flaszkę po absolucie. Niezła była u dziadka impreza. Technik Wojtek pochylił się nad butelką, delikatnie, przytrzymując za sam skraj denka, wyciągnął z popielnika, przyjrzał się jej bacznie.

– Zbierzesz mi ślady DNA z tej butelki? – zapytał Chowaniec technika.

– Zbiorę ci, zbiorę, ale i tak ci prokurator nie da na analizę.

– I odciski, okej? Z butelki, może spróbuj jeszcze z blatu, z puszki kawy…

– Z psa też? – technik popatrzył na Chowańca spode łba. – Ty weźże nie ucz ojca, jak się dzieci robi, dobra?

Podkomisarz przyglądał się butelce. Zaczął się skłaniać ku wersji, że dziadek, chociaż odludek, jednak z kimś się umówił na drogą flaszkę, a potem się po pijanemu pokłócili – może i o tę flaszkę? – i poszło na ostro. Odnotował, że kawy były dwie, ale literatka tylko jedna.

Wersja z napadem rabunkowym schodziła właśnie na dalszy plan, gdy Chowaniec wszedł do szopy za miedzuchem. Zapalił latarkę. I zgłupiał.

Później policjanci wynosili to wszystko przez dobrą godzinę. Telewizor LCD, mikrofalówkę, pralkę, automatyczny ekspres do kawy, telefon komórkowy, kosiarkę spalinową… A wszystko w nowiutkich, zakurzonych tylko trochę, nietkniętych kartonach, zapakowane fabrycznie. W szopie przystawionej do murszejącej chaty pod lasem znaleźli sprzęt przynajmniej za kilkanaście tysięcy.

Więc może dziadek był paserem? A spotkał się z dostawcą albo kupcem, pokłócili się i skończyło się jatką?

Chowaniec myślał intensywnie, próbując jednocześnie wyprzedzić tira.

– Wacek, a zrobimy jeszcze testy DNA tej krwi z podłogi? Porównalibyśmy z DNA zwłok i młodego Ślebody, co? – odezwał się nagle, wybijając prokuratora z drzemki.

– A po co? – burknął tamten. – Przecież mamy identyfikację.

Policjant westchnął. Prokurator wyprostował się na fotelu.

– Co ty mi tu, Jędrek, chcesz CSI urządzać? – zamachał rękami. – Skąd ja ci wezmę po osiem stówek na każdy ślad? Wiesz, jaki ja mam budżet? Na chuja ci to? Masz przecież odciski palców

zdjęte, nie? Rusz się najpierw z dochodzeniem, ustal coś, wersje jakieś, to pogadamy, jak to będzie niezbędne. A na wydatki mnie nie naciągaj, dobra? Uważaj!

Chowaniec wcisnął hamulec do dechy, zatrzymując się tuż przed crossoverem, który gwałtownie hamował przed przejściem dla pieszych.

– Co to jest, warszawiak jakiś? – jęknął prokurator.

– Nie, nasze blachy ma, KTT, zakopiańskie – warknął podkomisarz. Adrenalina buzowała mu w żyłach coraz bardziej. Żadna z wersji śledczych nie trzymała się kupy, prokurator skąpi, jego ludzie jęczą, bo kazał im wydzwaniać po hurtowniach i sprawdzać numery seryjne wszystkich tych fantów, a do tego jeszcze Anka ściągnęła mu na głowę pismaka.

Anka! Taki numer mu wywinąć. Po wszystkim, co ich łączyło.

Gówno ich łączyło przecież.

Kruca fuks.

Zbierało się w nim. Pod czaszką, która zaczynała pulsować namolnym bólem. W pięściach, w kłykciach. Adrenalina rozchodziła się w nim falami.

Zaraz trafi go szlag i komuś przydupcy.

– Teraz to mu przydupcę! – wrzasnął i dodał gazu. Otworzył szybko okno i wystawił na dach koguta. – Przydupcę mu normalnie! Widziałeś, Wacek?

Prokurator popatrzył na niego zdumiony.

– Migacza nie włączył przy wyprzedzaniu!

Prokurator spojrzał na lśniąco czarnego crossovera, którego doganiali, potem znowu na Chowańca.

– Nazbierało mu się – dodał ciszej policjant i wydusił ze starego opla resztki mocy. Wyprzedził, ryzykując na zakręcie, gwałtownie zahamował, zmuszając tamtego do zatrzymania. Wyskoczył z auta i sięgnął po policyjną blachę.

Szyba w oknie odsunęła się powoli. Chowaniec nabrał powietrza w płuca.

– O, pan Jędruś! – zabrzmiał jowialny głos kierowcy.

Chowaniec wypuścił powietrze z płuc.

– To pan teraz robi w drogówce? – Kierowca o nalanej twarzy z dwoma podbródkami i pod starannie przystrzyżonym wąsem uśmiechał się szeroko. Powoli zdjął okulary przeciwsłoneczne.

– Nie, pomyłka – wymamrotał podkomisarz. – Szukamy przestępcy, porusza się podobnym samochodem. A to przecież pan, panie Krzysztofie – roześmiał się. – Proszę jechać, szerokiej drogi.

Podreptał do opla. Opadł na fotel. Sięgnął po koguta z dachu. Powoli zasunął okno. Ruszył.

– Udzieliłem upomnienia – powiedział, nie odwracając się, do milczącego prokuratora.

Późnym popołudniem Anka stała pod koślawymi drzwiami chałupy z poczerniałego drewna. Dom Babońki wyglądał, jakby przeniósł się tu w czasie. Trzymając pudełko ptasiego mleczka pod pachą, z wahaniem uniosła dłoń, żeby zapukać.

Przed laty przychodziła do Babońki bez pukania, posiedzieć na piecu i pobawić się z kotami. Teraz było inaczej. Niezręcznie. Co właściwie chce usłyszeć? O czym porozmawiać? Jak to drzewiej bywało? Nie miała pojęcia, jak się prowadzi konwersację przy herbacie i ptasim mleczku z kimś o trzy pokolenia starszym, i do tego prawie obcym. W dodatku ciągle jeszcze trawiła wczorajsze wino, nie była przyzwyczajona do takich ilości. W żołądku miała mętlik, w skroniach łupało ją nieznośnie.

Drzwi skrzypnęły. Anka drgnęła.

Przy futrynie ukazała się pomarszczona, poważna twarz Babońki. Kobieta ściągnęła brwi, przyjrzała się gościowi uważnie, z góry na dół. Nie uśmiechnęła się ani odrobinę, tylko zostawiła drzwi otwarte, odwróciła się i podreptała z powrotem do kuchni. Anka weszła. Uśmiechnęła się

sztywno, podała staruszce czekoladki, dygnęła idiotycznie, odchrząknęła. Czuła się po gombrowiczowsku upupiona.

Babońka drobniutkimi krokami, szurając kapciami o drewnianą podłogę, poczłapała w stronę pieca. Anka stała w kącie. Naraz staruszka odwróciła się do niej. Zmierzyła ją bacznym wzrokiem. Skinęła w stronę jedynego zydla przy stole, na którym akurat nie leżała żadna chusta, robótka, skrzynka z owocami ani kot. Sama usiadła przy piecu, pilnując czajnika.

Milczała.

Anka też.

Zagwizdał czajnik. Staruszka podniosła się ociężale, wyciągnęła z kredensu dwie szklanki w koszykach, wlała do obu esencji z imbryka, dodała wrzątku, postawiła szklankę przed Anką i wróciła pod piec.

Milczała.

Anka też.

Rudy kocur obudził się, zeskoczył z zydla, spojrzał na nią z politowaniem. Pobiegł do ustawionej pod piecem miski, pochłeptał mleka i wrócił pod stół. Anka wyciągnęła do niego rękę. Czmychnął pod piec. Babońka, jakby chciała pokazać Ance, jak się obchodzić z kotami, bezceremonialnie capnęła wyrywające się zwierzę, posadziła sobie na kolanach i zaczęła zapamiętale miętosić.

Anka się uśmiechnęła.

– Maciek – wyjaśniła Babońka.

Anka rozglądała się dyskretnie po izbie. Już poprzednio zwróciła uwagę na belkę podtrzymującą strop, zdobioną żłobieniami mocno już zatartymi, pokrytymi kuchennym brudem, i na wyblakłe święte obrazki na szkle. Nad piecem wisiał wieniec suszonych borowików. Etnograficzny efekt psuł ustawiony na parapecie radiomagnetofon z poprzedniej epoki.

Kot Maciek wywinął się wreszcie z kleszczowego uchwytu Babońki i pacnął łapami o podłogę. Anka się otrząsnęła. Na stole zauważyła porzucone tam przez staruszkę pudełko ptasiego mleczka. Odpakowała je i podeszła do Babońki, wyciągając ku niej czekoladki, a ta wzięła od razu całą garść. Anka obserwowała jej pokryte ciemnymi bruzdami chude dłonie, gdy staruszka wcinała słodycze z zapałem sześciolatki.

Milczały.

Gdy Babońka skończyła, znów się ociężale podniosła. Podeszła do kredensu. Długo sięgała po coś z głębi szafki, z której dobiegały brzęki szkła. Wreszcie wydobyła zakurzoną butelkę śliwowicy.

– Och nie, Babońko, dziękuję – Anka pokręciła gwałtownie głową, czując na plecach dreszcze. – Myśmy wczoraj z Kaśką trochę się zasiedziały nad winem i teraz… dziękuję, ale… – jąkała się.

Staruszka otaksowała jej podkrążone oczy i spuchniętą twarz. Westchnęła. Zakręciła się przy kuchni, brzęknęły emaliowane garnki, zapachniało. Warzywnie i kwaśno, aż wierciło w nosie. To było jak podany wziewnie koncentrat dzieciństwa. Żołądek Anki nagle zupełnie zapomniał o mdlącym skurczu i zareagował uczuciem przyjemnego ssania. Otulił ją ciepły zapach warzywnego wywaru na wędzonce zakwaszonego sokiem spod kiszonej kapusty i zabielonego śmietaną. Staruszka bezceremonialnie postawiła przed nią parujący talerz góralskiego barszczu. Na powierzchni zupy pełgały delikatne oczka tłuszczu, w których uwięzione były drobiny kopru.

Patrząc, jak dziewczyna wdzięcznie pochłania zupę, Babońka nalała sobie porządny kieliszek śliwowicy. Pokiwała głową.

– He, wy śpikule zatracone jedne – uśmiechnęła się lekko.

ROZDZIAŁ 5

Bodej cie piorun trzosł,
bodej cie zapolił,
jescem ci nie dała
juześ się pochwolił…

Wszystko się dało powiedzieć o Bastianie Strzygoniu, ale nie, że był oldskulowy. Dziennikarstwa też nie uprawiał według zasad starej szkoły. Z jednym wyjątkiem – uważał, że aby wyciągnąć z jakiegoś miejsca informacje, trzeba się tam pofatygować i nadstawić ucha. Gdy pojawia się „Sprawa", każde miejsce, czy to urząd, czy korporacja, czy wieś, prędzej czy później zaczyna tętnić informacjami. Takimi, których nie da się wyguglać, bo przenoszą się one po innych łączach: międzyludzkich.

– Jezus, cóż pani mówicie? – usłyszał w kolejce, próbując zza pleców dwóch kobiet wypatrzeć, czy mają w Lewiatanie mentolowe vogue'i.

– …hań go naleźli w lesie – kobieta w fioletowej podomce mówiła ściszonym głosem. – Pono beł w straśnym stanie. Straśnym. Rozcłonkowany, jak to sie mówi. Siekierom. Zupełnie.

– Jezu święty – jęknęła druga w rogowych okularach.

– No, a dziś rano przijechał jego syn, ten Mietek z Radomia. Z rodzinom.

Kobiety wyszły i przystanęły przed sklepem. Bastian kupił, co miał kupić, i też stanął na zewnątrz, całkowicie pochłonięty zapalaniem papierosa.

– …godoł, co będzie pogrzeb. Ale jakze to takiego pociupanego dać do trumny, he?

Młodsza westchnęła, pokręciła głową, starsza uniosła oczy ku niebu, zawezwały jeszcze raz czy dwa imion świętych, młodsza się pożegnała i odeszła. Starsza schyliła się po reklamówki.

– Może pani pomóc? – zaoferował się Bastian. Kobieta otaksowała go spojrzeniem, ale on już dźwigał z ziemi jej zakupy. Uśmiechnęła się więc.

– A Bóg zapłać, Bóg zapłać.

– Widzę, że pani też słyszała. Straszna sprawa – pokręcił głową.

– O czym? A, o starym Ślebodzie? – jej twarz się rozjaśniła. – Ano słysoła, Jezusie mój.

– A mówią podobno, ja tak słyszałem, że to niedźwiedź go zabił.

Kobieta wzięła się pod boki.

– Juści! Ba jako niedźwiedzie po lesie ganiajom z siekierami.

Bastian aż przystanął. Kobieta pokiwała głową, zadowolona z efektu.

– A wie pani, gdzie pana Mietka teraz zastanę? – zrobił minę, jakby po drodze planował kupić wieniec pogrzebowy i przynajmniej pół litra na stypę.

– Ano haw w Murzasichlu, u ojca w chałpie – kobieta wzruszyła ramionami. – Hoj ta chałpa staro, panie, typowo, mozna tak pedzieć, degrengolada.

– O, to świetnie, że w Murzasichlu, jeszcze się zdążę z nim zobaczyć – ucieszył się Bastian, stawiając siatki na mostku przed bramką. – To jest w tamtą stronę? – machnął w nieokreślonym kierunku.

– E, pójdziecie se asfaltem jak na Kośne Hamry i hań sie spytocie, kany jest ulica Gutowa. To za niom jesce kawałek, jak do lasu.

Bastian podziękował, jednocześnie szybko odchodząc we wskazanym kierunku, żeby zostawić kobietę sam na sam z niezadanym pytaniem, kim właściwie, do diabła, jest.

Anka wyskoczyła z busa na przystanku w Murzasichlu, gdy słońce pomarańczowiało już i dotykało koron drzew. Czuła się wyczerpana, stopy chciały rozsadzić górskie buty od wewnątrz. Ale to było prawdziwe zmęczenie. Nie takie, jak po dniu w bibliotece, nie jak po sześciu godzinach wykładów, to było zmęczenie po osiągnięciu celu.

Tam na górze, powyżej lasu, w ogóle nie myślała o wysiłku. Ludzi spotkała – jak na polskie Tatry – niewielu, słońce grzało, a dookoła rozpościerała się tylko przestrzeń, która nagle wynurzyła się znad koron regla. Anka nie pamiętała, kiedy ostatnio maszerowała gdziekolwiek z niewymuszonym uśmiechem. Ale to w końcu były Czerwone Wierchy.

Na Krzesanicy rozłożyła się na zrudziałej od słońca trawie z plecakiem pod głową. To był jej szczęśliwy dzień. Ani jednej wycieczki, tylko trochę studenterii z takimi samymi jak jej pancurskimi plecakami i trochę opalonych starszych ludzi o siwych włosach i pojaśniałych twarzach. Leżała z półprzymkniętymi oczami i myślała o tym, że pierwszy raz od dawna nigdzie się jej nie spieszy, nikt jej nie pogania, nic się nie dzieje.

No dobrze – dzieje się jak cholera, ale ona ma to gdzieś. Zostawiła to tam, na dole, niewidoczne z tej wysokości.

Na Kopie Kondrackiej zatrzymała się znowu, żeby przez chwilę nacieszyć oczy kolorowym tłumkiem, który kłębił się w kolejce na Giewont. Oglądała ich stąd jak entomolog badający wyjątkowo kolorowe owady.

Teraz cofnęła się do sklepu, żeby kupić pojednawczą flaszkę i pójść z nią do Babońki, przełamywać lody. Jak dziewiętnastowieczny etnograf w tropikach, z paciorkami i perkalem – pomyślała. Brakowało jej tylko korkowego kapelusza.

Przystanęła, gdy zauważyła chudą postać. Przy ścianie sklepu siedział w kucki Romuś. Kiwał się miarowo na piętach, pocierał skronie nasadami dłoni. Stara, przetarta na łokciach marynarka była przybrudzona błotem, na spodniach w kroku miał dużą plamę.

Przed staruszkiem leżała opróżniona małpka wiśniówki. Romuś nerwowo mantrował w kółko to samo, jakby nucił. Nagle podniósł wzrok i wycelował spojrzenie prosto w Ankę. Znieruchomiał.

– Kupić ci… panu coś do jedzenia, panie… Romuś? – odchrząknęła. Przez myśl przeszło jej pytanie, jak się do niego zwracać? „Głupi Romuś głupi – to takie strasydło…”

Jakby się uśmiechnął, nie ruszając się jednak z miejsca. To kręcił głową, to się kiwał. Wyciągnął w końcu dłonie ku Ance, poruszając wargami. Nie dosłyszała, co mówił.

– Co kupić? – zapytała, robiąc kilka kroków bliżej.

– …wooda idzie, kamykami… – zaczął ją dobiegać jękliwy falset.

– Wodę? Wodę kupić?

– …kocham cie, dziewcyno, boś poćciwa dusa… – nucił pod nosem, cichutko, nieśmiało, szczerząc do niej zarazem ostatnie dwa poczerniałe zęby. Anka zrobiła ostrożny krok w tył. Tego tylko brakowało. Głupi Romuś wyznaje jej miłość w obszczanych spodniach.

Wtedy skoczył na równe nogi. Zamachał rękami tuż przed jej twarzą. Zaskowyczał.

Powiadają ludzie
to jest zbój, to jest zbój
jak listecek suśnie
to sie bój, to sie bój!

Anka jednym skokiem dopadła drzwi sklepu i prawie zderzyła się w nich ze sprzedawczynią, która wypadła na zewnątrz z miotłą w garści.

– Romuś, głuptoku dojmentny! Bier sie stela, bo cie mietłom pizne! – wrzasnęła, aż zatrzęsła się

trwała na jej głowie. Staruszek skulił się, zasłonił twarz i rozkołysanym krokiem poczłapał ku drodze.

– sie bój… to sie bój…! – popiskiwał pod nosem, zmykając.

Anka odetchnęła głęboko i weszła do sklepu za sprzedawczynią. Przez chwilę czuła się zupełnie jak wtedy, gdy miała dziesięć lat i wiała co sił w nogach przed sprowokowanym Romusiem. Serce waliło jej jak młot.

– No, nie strachojcie sie – zagadała do niej sprzedawczyni. – Romuś to normalnie spokojny, ino ostatnimi casy jakiś inksy.

Anka wzruszyła ramionami, a jej wymuszony uśmiech miał pewnie znaczyć, że wcale się nie bała.

Po chwili, wyposażona w ajerkoniak, stanęła w progu chaty Babońki. Staruszka otworzyła. Nie uśmiechała się. Ale Ance wydało się, że patrzy na nią trochę inaczej. Babońka usiadła po drugiej stronie stołu. Wcześniej, niepytana, ukroiła Ance wielką pajdę żytniego chleba, nałożyła na nią gruby plaster bundzu i posypała szczypiorkiem. Błyszcząca skórka chleba chrupała, ośruta lepiła się do języka, rozpływając się jak krem słodko-kwaśnym smakiem. Bundz był zimny, soczysty i aż gwizdał pod zębami. Staruszka postawiła na stole ajerkoniak i kieliszek.

– Babońko – odezwała się nagle Anka z pełnymi ustami, widząc, jak staruszka zerka pod stół na jej trapery – a Babońka chodziła w góry?

Kobieta przez chwilę siedziała nieruchomo.

– A po coz? – odparła w końcu.

Anka zaniemówiła. Dobre pytanie.

– Hore to śli chłopcy z owcami, juhasi – mówiła dalej Babońka, patrząc gdzieś w ścianę. Anka miała się ochotę stuknąć w czoło. Chodzenie w góry to był przecież dziewiętnastowieczny wynalazek młodopolskich melancholików. – A tyz pony śli, ale jo zem nie chodzieła, nie. Panicka miastowa, to ty mos roboty mało. Kiebyś ty robieła telo w polu, a tyz koło chałupy i koło dziecysków, ftej byś siły nie marniła na płóne chadzanie w góry.

– Ma Babońka rację – odparła Anka po chwili. Staruszka nic nie powiedziała, nie westchnęła, nie pokręciła głową z wyrzutem. Zamilkły obie. W Ance zostało ukłucie zadane w wyjątkowo czuły punkt.

Chyba było to po niej widać. Spostrzegła, że Babońka zerka na nią bacznie.

– Tyś jes ucona? – zagadała nagle sama z siebie. Anka poczuła taki dreszcz, jak w szkole, gdy pani wywoływała ją do tablicy, a ona wszystko umiała.

– Tak, Babońko. Pracuję na uniwersytecie. Jestem etnologiem.

Nagle w oku staruszki pojawiła się iskierka.

– He, etnologiem, pados?

Przysunęła się do niej razem z zydlem, nalała do kieliszka ajerkoniaku, wypiła jednym haustem, nalała znowu, podsunęła kieliszek Ance i nachyliła się nad stołem.

– Kie bełam mała – powiedziała – przyśli roz ku nom uceni etnolodzy i pytajo tatusia, coby im pedzioł jakiesik górolskie śpiywki. A mój tatuś to scygólnie nie lubował śpiywoć, ale poziyro na nik z frasunkiem, jak kieby co se fcioł przibocyć, a po prowdzie to on ftej syćko nazmyśloł. I w te rapty jak nie zaśpiwo:

Górolu, Górolu,
dupeś se opoluł,
włózze ją do pudła,
zeby ci wystudła.

Śpiew Babońki zawibrował pod powałą, zadrgał szelmowsko, wziął oniemiałą Ankę

z zaskoczenia.

– Oni sie straśnie uradowali, zapisali syćko, a tatusiowi to tyz dali dutków i pośli pisać książki. – Zamilkła z dłońmi splecionymi na podołku i ściągając kąciki ust zerkała na Ankę z ukosa. Anka wybuchła nieopanowanym chichotem. Śmiała się długo, ocierając łzy.

Zmarszczki staruszki rozciągnęły się w uśmiechu. Anka zdołała nieco ochłonąć. Wypiła ajerkoniak i podsunęła jej kieliszek. Ta natychmiast go sobie napełniła.

– To com ci godoła, ze ino chłopcý z owcami śli hore – dodała Babońka konspiracyjnie. – To kie niekie my z inksymi dziewkami tyz potajymnie śły. – Łyknęła ajerkoniak. Mlasnęła. – No, za nimi.

– Dnia… stawił się Mieczysław Śleboda, syn Jana… – mruczał podkomisarz Chowaniec pod nosem, stukając w pożółkłą klawiaturę. Świeżo wyremontowany żółty gmach z białym portykiem przypominał raczej sanatorium niż zakopiańską komendę powiatową. Wewnątrz było duszno, za to zacisznie. Chowaniec uśmiechnął się grzecznie.

– Kiedy ostatnio widział pan ojca? – zapytał.

– Nie pamiętam.

– W przybliżeniu?

– Dwadzieścia pięć lat temu. Sześć już będzie.

– To dość niezwykłe.

Mieczysław Śleboda uniósł brwi.

– Z jakiej przyczyny tak długo nie widział się pan z własnym ojcem?

– Czy to jest przedmiotem pańskiego dochodzenia? – odciął się Śleboda. Teraz to Chowaniec uniósł brwi. Syn ofiary był prawnikiem, wiedział, jak odpowiadać. Ale dlaczego był tak poirytowany?

– Przepraszam – wymamrotał. – To osobiste sprawy. Nie chcę o nich mówić. Nie będę o nich mówił – poprawił się.

– Panie Mieczysławie, pytam dlatego, że jeśli pański ojciec był osobą konfliktową, mógł narobić sobie wrogów.

– Nie był osobą konfliktową. Był… – Śleboda popatrzył w okno – był łajdakiem.

– Czy miał kryminalną przeszłość?

– Nie miał.

– A jakieś sprawy nieznane organom ścigania?

– Nic o tym nie wiem.

– W szopie znaleźliśmy dużo fabrycznie zapakowanego mienia: lodówka, sprzęt kuchenny. To nie prezenty od pana?

Prawnik uniósł brwi.

– Nie, pierwsze słyszę.

– Nie wie pan, skąd sprzęt mógł pochodzić?

– Nie mam pojęcia.

– Czy ojciec bywał agresywny?

– Nie wiem, jaki bywał przez ostatnie dwadzieścia sześć lat – warknął Śleboda. – Nie wiem.

– Panie Mieczysławie – Chowaniec zaplótł dłonie, opierając się łokciami o biurko – pańska córka ma teraz lat osiemnaście…

– Dziewiętnaście. Co to ma do rzeczy?

– To ma do rzeczy, że skoro nie widzieliście się dwadzieścia sześć lat, to nawet własnej wnuczki nie pozwolił pan dziadkowi poznać.

– Tak.

– Aż tak go pan nienawidził?

– Nie chciałem, żeby moje dziecko go znało.

Chowaniec odrobił zadanie. Przejrzał papiery, przeprowadził wywiad środowiskowy. Dowiedział się, że późne małżeństwo Jana Ślebody rozpadło się szybko, gdy Mieczysław miał dziesięć, jedenaście lat. Ślebodowa miała trafić do krakowskiego szpitala psychiatrycznego w Kobierzynie, a syn został przy ojcu. Obserwował teraz tego mężczyznę, aż pulsującego od niezaleczonej złości. Pierwsza hipoteza Chowańca zakładała, że może stary Śleboda był złodziejem albo paserem. Ale teraz zaczął się zastanawiać nad inną.

Dziś rano przyszły wyniki sekcji. Bezpośrednią przyczyną śmierci był cios zadany tępym narzędziem w prawą skroń. Rozczłonkowanie ciała nastąpiło pośmiertnie, przynajmniej godzinę po zgonie – patomorfolog stwierdził, że rany rąbane nie krwawiły tak intensywnie, jak w przypadku podobnych ran zadanych przed ustaniem pracy serca.

Policjant przypomniał sobie izbę w chacie ofiary. Śleboda siedział przy stole, gdy zadano mu cios w skroń. Były dwie szklanki do kawy, jedna literatka, wódka. Kogoś przyjmował. Podczas tego spotkania otrzymał śmiertelny cios, który zmiażdżył czaszkę i uszkodził mózg. Padł na stół, krew ochlapała gazetę. Potem następuje godzina przerwy. Po godzinie zwłoki zostają porąbane na kawałki i zakopane w lesie. Makabra dokonuje się w chałupie Ślebody, na podłodze w kuchni, gdzie między deskami znaleźli tyle krwi.

Co to mówiło o sprawcy?

Po pierwsze, porąbał ciało po śmierci. Nie od razu, w amoku, tylko po dłuższym czasie. Jakby zrobił to po namyśle. Namyśle nad czym? Że inaczej nie da rady przenieść zwłok?

Po drugie, zabił, goszcząc u ofiary. Czyli ofiara znała sprawcę, który był kimś, kogo nawet staremu waryjokowi wypada ugościć.

Na przykład długo niewidzianym synem, w którym nagle eksplodowała pielęgnowana przez ćwierć wieku nienawiść?

– Co pan robił od pierwszego do dziesiątego lipca? – zapytał.

Mieczysław Śleboda zamarł.

– Co pan robił od pierwszego do dziesiątego lipca? – powtórzył policjant.

– Ty gnido… – warknął prawnik.

– Daty, godziny, miejsca, świadkowie – Chowaniec podniósł się z miejsca, opierając dłonie na biurku. – Szczegółowe alibi na dni, kiedy mógł zostać zamordowany pana ojciec. Nie chce pan współpracować, panie mecenasie, to pogadamy inaczej.

– Ty… ty podejrzewasz… mnie? – Śleboda był szary na twarzy.

– Zaskakująco wiele zbrodni popełnianych jest w rodzinach, panie mecenasie, a pan daje mi powody do podejrzeń.

Przesłuchiwany nabrał głęboko powietrza. Z kieszeni wyjął telefon komórkowy i podał policjantowi.

– Odpisz sobie numer do mojej sekretarki, powie ci, że zapierdalałem wtedy od świtu do nocy w biurze – syknął. – A teraz, jeśli to wszystko, to czeka na mnie żona i córka. Skargę na ciebie napiszę.

– A pisz – prychnął Jędrek. – Zwracam się zaraz do policji w Radomiu o pomoc w dochodzeniu, sekretarka jeszcze dziś zostanie przesłuchana w charakterze świadka. Pan, panie mecenasie, zawiadomi organa ścigania, czyli mnie, o każdej zmianie miejsca swojego pobytu. Stosowne pismo prokuratorskie doręczymy panu jeszcze dzisiaj.

Śleboda gwałtownie podniósł się z krzesła.

– Siadaj, jeszcze nie skończyłem – warknął Chowaniec. Odwrócił się do komputera, wyjątkowo długo spisywał protokół przesłuchania. Wreszcie wydrukował, podał Ślebodzie do przeczytania i podpisania.

Trzasnęły drzwi.

Kruca fuks jego mać.

Sięgnął po telefon.

– Chowaniec. Jak wam idzie sprawdzanie fantów?

Potarł czoło dłonią.

– To ich ciśnijcie!

Rzucił słuchawką. Komenda powiatowa w Zakopanem, która na co dzień zajmowała się lewą śliwowicą, grą w trzy kubki i pijackimi burdami po wsiach, rozgrzewała się teraz do czerwoności.

Józek ruszył i Anka poczuła, jak wciska ją w fotel.

– To co, dzisiaj już nie górskie wycieczki? – zapytał kuzyn, który chwilę wcześniej z piskiem opon zatrzymał czerwoną toyotę RAV4 na przystanku. Poczuła satysfakcję, widząc, jak czekający na busa turyści odprowadzają ją wzrokiem, kiedy wsiada do samochodu.

– Zrobiłam sobie przerwę i dzisiaj w planach mam Zakopane – uśmiechnęła się.

W planie było przede wszystkim Muzeum Tatrzańskie. Znała je dobrze, bywała tam jako dziecko i przerażały ją wtedy te wypchane zwierzęta, szczerzące kły rysie, niedźwiedzie i wilki. We wnętrzach, które wystrojem przypominały jej szkołę podstawową, z wielkimi roślinami w donicach, z drewnianymi gablotami pełnymi różności, z porozwieszanymi na ścianach schematami – paleocen, eocen, oligocen, kiedyś znała to na pamięć; ze skrzypiącym parkietem i wrażeniem, że ktoś nieustannie ją obserwuje, czuła się w jakiś przedziwny sposób dobrze. Najbardziej lubiła oczywiście ekspozycję etnograficzną. Biała izba, czarna izba. Turoń z jasełek z rozdziawionym pyskiem, wiszące sztywno na manekinach stroje i tajemnicze drewniane utensylia, których przeznaczenia nawet nie potrafiła sobie wyobrazić. Zabrali tu kiedyś z ojcem Babońkę w nadziei, że może coś poopowiada, ale chodziła tylko speszona, sycząc na każde skrzypnięcie parkietu i mrucząc pod nosem, że kto to widział stare graty do muzeum znosić.

Przypomniały jej się malowane pieczołowicie pędzelkiem wielkie tablice informacyjne. Kaligrafowali je pewnie doktoranci kilkadziesiąt lat temu. Zaczęła się zastanawiać, czy smutne panie drepczące za zwiedzającymi z sali do sali też miały doktoraty.

– Zakupy na Krupówkach, a disco wieczorem? – zarechotał Józek i zaczął majstrować przy radiu.

– Nie, raczej Harenda, Atma i Koliba – skrzywiła się Anka i wbiła wzrok w auto przed nimi.

– A co tam dają?

Anka popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Muzeum Kasprowicza, Szymanowskiego i stylu zakopiańskiego.

– Aha. No popatrz, nie wiedziałem. Dobrze, że mnie oświeciłaś.

W samochodzie zapadła cisza i robiła się już naprawdę nieznośna, gdy rozdzwonił się Józkowy smartfon, na którym pojawiło się zdjęcie kwadratowej twarzy i nazwisko „Wendelin Pysior”. Józek zaklął pod nosem.

– Tak? – odebrał ugrzecznionym tonem. Głos w telefonie rzucił coś ostro. – A musi być koniecznie dzisiaj? – Józek zrobił niezadowoloną minę. – Mieliśmy wczoraj próbę, no i tak jakoś, no wie pan, no wyspałbym się chętnie. – Józek musiał odsunąć telefon od ucha. – No dobrze, dobrze, wiem. Nie ma sprawy. Jasne. Nie ma sprawy. Oczywiście. Do widzenia.

Ze złością odłożył telefon na miejsce i potarł czoło.

– Jasne, jasne, oczywiście – mruczał. – Są tu niestety ludzie, którym się nie odmawia.

– Twój góralski ojciec chrzestny? – zapytała Anka.

– Coś w tym stylu – westchnął Józek.

– Niezłe ma imię – uśmiechnęła się pojednawczo.

– A, bo ta rodzina pochodzi z Jabłonki – odparł, jakby to wszystko wyjaśniało. – Daliśmy sobie

wczoraj z chłopakami z kapeli w palnik. Po powrocie z Zakopca chciałem się położyć i odespać trochę, bo wieczorem znowu trzeba szopkę odstawiać. A tu… – urwał, a Anka widziała tylko, jak muskuły napinają się pod obcisłym podkoszulkiem, kiedy kuzyn zacisnął ręce na kierownicy. – I tak cały tydzień.

– Gracie gdzieś w najbliższym czasie? – zapytała, żeby rozładować atmosferę.

– Tak, na weselu – rzucił krótko Józek. – Cepry się żenią w Kościelisku, ale chcą mieć kapelę góralską w kościele i przejazd wozami do knajpy, a potem jeszcze na miejscu zapewniamy koloryt lokalny.

– Żenada – westchnęła Anka i pokręciła głową.

– Dlaczego? Klient płaci, klient dostanie. Co w tym złego? Póki skrzypecki i parzenice na kształtnych góralskich tyłkach działają na miastowych, to robimy, jak płacą. Jak będzie modny ten twój Kasprowicz, to się nauczę wiersze deklamować.

– Nie szkoda wam chociaż trochę? Waszego dziedzictwa pod kotleta dla jakichś szpanerów, co sobie wymyślili góralskie wesele?

– Każdy robi, to co umie. Tobie Bozia dała rozum, to pracujesz na uniwersytecie. A mnie Bozia dała dwie rączki i Tatry. I ja tymi rączkami z tych Tater muszę wyżywić rodzinę i się w życiu ustawić.

– Uważajcie, żeby trochę z tych Tater zostało dla przyszłych pokoleń, jak już z nich wybieracie jak z kopalni.

– Wiesz co? – Józek znowu się napiął. – Sorry, ale zawsze nas wkurzało, jak tu do nas przyjeżdżałaś i czułaś się lepsza. Patrzyłaś na nas z góry, i to niby dlaczego? Że z miasta jesteś? Nie te czasy, Anka, że chłopskie syny się czytać nie uczyły. I jakie masz prawo nam dzisiaj mówić, jak mamy z naszego – przewrócił oczami i wypluł słowo jak pestkę – „dziedzictwa" korzystać? Jak masz swoje, to się nim zajmij, a nasze zostaw nam, okej?

Anka poczuła, że się czerwieni.

– Przepraszam – powiedziała cicho.

– Spoko. – Józek rozprostował palce. – Ja też przepraszam. Ponosi mnie ostatnio. Szczególnie na kacu. I jeszcze mnie ten buc zdenerwował.

– Naprawdę was wkurzałam? – zapytała po chwili Anka, wpatrując się w mijane po drodze budy z pamiątkami. Byli już w Zakopanem.

– Trochę tak. Ale bardziej to się z ciebie nabijaliśmy. Jak zużywałaś pół rolki srajtaśmy na jedno posiedzenie.

– Nie mów, że podglądałeś mnie w łazience.

– Po prostu ty zawsze szłaś pierwsza, a dla nas mało zostawało – roześmiał się Józek i zahamował z piskiem opon. – No, to masz swoją Harendę.

Anka, zaskoczona, zobaczyła przez okno willę Kasprowicza.

– Widzisz – uśmiechnął się Józek. – Nie taka ze mnie ciemna masa. Też miałem polski w liceum.

Nienawidziłby takiej roboty, gdyby nie to, że się dobrze bawił. Siedział skryty w cieniu gęstwiny już od kilku godzin, odpalał kolejne papierosy i obserwował murszejącą chatkę na skraju Starego Boru i mokradeł Kiecory.

U płotu powiewał jeszcze strzęp policyjnej taśmy. Zastanawiał się, czy na miejscu tej rodziny miałby ochotę pomieszkiwać w ruderze, w której ktoś zarąbał dziadzia. Ale prędzej czy później się tu pojawią.

Zbliżała się szesnasta, gdy na szosie zatrzymał się czerwony fiat uno. Zaparkował na początku błotnistej drogi, bo dalej nie dało się nią już jechać. Bastian wyjął z plecaka lornetkę.

– To była jedna z tych rutynowych obserwacji, gdy wydaje się już, że nic się nie wydarzy, aż tu nagle sprawy zaczynają się toczyć jak lawina – zamruczał sam do siebie pod nosem tonem

Humphreya Bogarta. – Straciłem już rachubę wypalonych papierosów, rezygnacja spływała na mnie jak jedwabny szlafrok kochanki, a od siedzenia na pieńku bolała mnie dupa. Naraz drgnąłem, gdy w zasięgu wzroku pojawił się samochód. To nie była żadna z tych gangsterskich bryk ani też nudny sedan policyjnych tajniaków. To było wysłużone auto zubożałej klasy średniej z małego miasta… Numery rejestracyjne wskazywały na Radom. A zatem to będzie syn Mietek z Radomia. Z rodziną.

Od strony pasażera ociężale wysiadł pulchny wąsaty mężczyzna w sztruksowej marynarce. Syn zabitego zatrzymał się pod płotem i stał tak przez dłuższą chwilę. Żona podeszła do niego, ujęła go pod łokieć.

Z auta tymczasem wysiadał ktoś jeszcze. Bastian zwrócił lornetkę na szeroko otwarte drzwi i zobaczył wysuwającą się z półmroku wnętrza łydkę i stopę w dziewczęcych japonkach.

– Jej niespodziewane wejście na scenę było jak striptiz w połowie sztuki Becketta. Moje skupienie wyparowało niczym złość małżonka na widok koronkowej bielizny żony – mruczał pod nosem, unosząc brwi. – Jej opalona łydka nieuchronnie wiodła mój wzrok ku udom odzianym w krótkie dżinsowe spodenki – improwizował Bastian, przesuwając powoli lornetkę w górę postaci. – Jej makijaż sugerował, że jeśli nawet jego nosicielka nie jest jeszcze w wieku legalnym, to z pewnością stara się o legalizację. Jej twarz wyrażała ponętne znudzenie i gdy stanęła przy aucie, prezentując z profilu wymiar swojej dorodności skrytej pod różową bluzeczką, zacząłem intensywnie obmyślać nowy plan, który uwzględniałby tę nową okoliczność.

Dziewczyna stała przy aucie, stukając czubkami długich paznokci w ekran smartfona i żując gumę. Bastian przełknął ślinę. Potem powoli ruszyła ku drzwiom, ostrożnie stąpając po rozmokłej ścieżce. Lornetka dziennikarza przesunęła się w dół, zatrzymując się na opiętych dżinsowymi spodenkami krągłościach.

Straumatyzowany pięćdziesięciolatek to niekoniecznie dobry rozmówca dla dziennikarza, który chce się wtrącać w jego rodzinne sprawy, pomyślał Bastian. Tymczasem nastolatka, wyraźnie niezadowolona z żałoby i nieplanowanego przyjazdu na wieś, porozmawia z nim choćby z nudów.

– To podobno pani znalazła starego Ślebodę, tam w lesie, prawda? – zapytała dziewczyna w spranym podkoszulku Quicksilvera, z mysimi włosami zebranymi w warkocz.

Anka opuściła ręce i odgarnęła z twarzy niesforny lok, który zdążył się jej przykleić do czoła.

– Nie żadna pani, tylko Anka – uśmiechnęła się. – Nie wiem, czy chcę o tym opowiadać.

Anka z zapamiętaniem odpinała żabki z przykurzonej firanki. Kaśka poprosiła ją o pomoc w przygotowaniu wernisażu, o którym od paru dni mówiło się w domu Kaleniców. W organizację imprezy zaangażowane były też dziewczyny, z którymi jej kuzynka założyła coś na kształt zespołu folklorystycznego i koła gospodyń w jednym.

Babońka w końcu się zgodziła wystąpić, ale z najwyższą niechęcią. Józek ćwiczył ze swoją kapelą zapamiętale wieczorami, chociaż wszyscy podejrzewali, że ćwiczą gardła raczej w piciu niż w góralskim śpiewie. Wirtualne zyski zostały już dawno rozdysponowane między remonty a nową wykaszarkę. Wszyscy zastanawiali się, czy będzie z tego dalsza współpraca z biznesmenem z Ameryki.

– No wiecie, to się w głowie nie mieści – ciągnęła dalej dziewczyna z warkoczem. – Ja myślałam, że takie rzeczy się dzieją tylko na amerykańskich filmach. Żeby starego, biednego człowieka tak potraktować, ja nie mogę o tym spokojnie myśleć…

– Ech, Kryśka, Kryśka. A taki tam ón biydny… – prychnęła cicho starsza, przysadzista kobieta, kładąc na stole naręcze białych obrusów.

– Ja to się nie znam, bo ja nie stąd jestem, ino z Czarnego Dunajca – powiedziała Kryśka. – Ale nikt nie zasługuje na taki los.

– Młoda jesteś, durna… – mruczała pod nosem tamta.

– A co, on zasłużył? Ciekawe jak – odcięła się Kryśka. Anka przysłuchiwała się jednym uchem, próbując się utrzymać na rozchybotanej drabinie.

– Dajcie spokój, dziewczyny – wtrąciła się trzecia, w średnim wieku, o pokrytej drobnymi zmarszczkami twarzy i z włosami ufarbowanymi na blond. – Nie ma sensu się kłócić o tego starego sietnioka.

– Baśka dobrze godo – przytaknęła jej stara i zacięła usta.

Kiej pójdziesz na zaloty,
Weź se kij ze sobą,
Obejźryj się na dwie stronki,
Kto pójdzie za tobą.

Kiej pójdzie stara baba,
Puść ją na dół wodą,
Kied pójdzie młode dziewcze,
Weź se go ze sobą.

– zaśpiewała Kryśka i pokazała starej język. Wszystkie się roześmiały i wróciły do pracy.

– Skąd ty się wzięłaś w kole gospodyń? – zapytała kuzynkę Anka. – Przecież z ciebie to zawsze był outsider. Jarocin, Siekiera…

– A bo ja wiem? – Kaśka rozłożyła ręce. – Bo z nimi się tworzy taka fajna, babska energia, czuje się, że nawet jakby wszystkie chłopy wymarły, to byśmy sobie dały radę. Taki nasz wiejski feminizm – roześmiała się. – A poza tym zawsze lubiłam muzykę, ale ostatnio się zorientowałam, że najbardziej lubię tak po naszemu.

W łojosowej grapie,
Kukułeczka kłapie,
Jo nie póde za cie,
Bo ci z nosa kapie.

– zaśpiewała na koniec, a szyba w luźnej framudze zadrżała lekko.

U matki na zrębie
Bucały gołębie,
O, ja bym męza kciała
Choć o jednym zębie.

– zawtórowała jej babka i znowu wszystkie roześmiały się w głos.

– Kto chce grzańca? – Do sali weszła blondynka z tacą kamionkowych kubków.

– Głupie pytanie! – Kryśka zeskoczyła ze stołka, na którym stała, wieszając na kinkietach dekoracje z koronki.

Anka zaplotła palce wokół kubka i poczuła, jak ciepło rozchodzi się jej w dłoniach. Łyknęła spory haust i ciepło spłynęło jej wzdłuż przełyku. A potem poczuła, że coś z tym grzańcem jest nie tak. Musiała odstawić kubek i zaczęła kaszleć.

– Spokojnie, spokojnie! Staska dolała tylko trochę śliwowicy, jak zwykle – zaśmiała się Kaśka. Starsza pani filuternie spuściła wzrok.

– Twoje otrzęsiny. – Kryśka klepnęła Ankę w plecy. – Witamy w drużynie!

Tym razem Anka poczuła, jak ciepło rozlewa jej się gdzieś w okolicach mostka.

Zawsze wydawało jej się, że jest skrajną indywidualistką i wszelkie formy przynależności grupowej nie są dla niej. Nawet jako dziecko nie należała do zuchów ani do harcerstwa, które miała za pomylony, infantylny pseudomilitaryzm – bandę dzieci ubranych jak idioci pod przywództwem idioty ubranego jak dziecko. Samorząd studentów uważała za siedlisko oportunistów. Miała nawet problem z regularnym chodzeniem na spotkanie wspólnoty mieszkaniowej.

Ale zawsze robiło jej się smutno, gdy przed świętami studenci zapraszali ją na kawę i zaczynali opowiadać, jak to w ich rodzinnej wiosce na Podlasiu, w Bieszczadach czy na Mazurach jadło się w Wigilię z jednej miski albo na Wielkanoc wynosiło święcone jajka na cmentarz. Ona mogłaby im co najwyżej opowiedzieć, że na osiedlu, gdzie się wychowała, sąsiedzi zza ściany zawsze kończyli wigilię karczemną awanturą, a na śmigus-dyngus młoda bandyterka biegała z wiadrami.

– Ludzie mówią – zaczęła z powrotem Kryśka – że ten stary Śleboda… – Anka zobaczyła kątem oka, jak Staska podniosła głowę znad obrusów i czujnie strzeliła oczami – to miał na sobie białą koszulę i spinkę góralską, jak do kościoła.

– He, do kościoła – prychnęła Baśka. – Jego do kościoła to nie wpuszczali. Pamiętam, jak Wałęsa z Maryjką w klapie wygrał wybory, to się stary Śleboda wystroił w cyfrowane portki i poszedł do kościoła. Paru chłopa się podniosło z ławek, wzięli go pod pachy i wyrzucili za drzwi. Ksiądz słowa nie powiedział.

– Ale dlaczego? – wyrwało się Ance.

– A bo ja wiem? – Baśka wzruszyła ramionami. – Nie wiem, nie mówili. Ja tylko słyszałam gdzieś, że on zdradził.

– Każdy góral babę zdradza – rzuciła Staska. – Takie są chłopy, psiekrwie. Piją, dupcą na prawo i lewo, a potem biegają przysięgać na Górkę.

– Ale ten stary Śleboda… – włączyła się Kryśka.

– A pies go drapał! Koniec godania – ucięła Staska i stuknęła kubkiem o stół.

Umilkły.

– Widzisz? – szepnęła do Anki Kaśka, wieszając świeże firanki. – Wszystkie takie same uparte jak nasza Babońka. Ciekawe, czy ja też taka będę.

– A pan Groń… – zaczęła Kryśka i popatrzyła na Staskę wyczekująco. Starsza pani nic nie powiedziała, tylko dalej rozkładała obrusy. – A pan Groń to musi być bogaty człowiek.

– Bogaty, bo z Ameryki wrócił – podchwyciła Baśka. – Tam się wszyscy dorobili. Mój były też. A potem tam został, z Jadźką z Małego Cichego. Ale pan Groń, on nie taki. Jak go posłuchać, to aż miło, jak mówi o rodzinie, o papieżu naszym, o ojczyźnie. Podobno jego ojciec był bohaterem i musiał z kraju po wojnie uciekać przed czerwonymi.

– Óne syćkie takie same – burczała Staska pod nosem. – Bohatery. Jeden warty drugiego.

– A widzieliście, jakim on autem jeździ? – Kryśce aż zaświeciły się oczy.

– A co ty się tak zachwycasz? Chciałabyś go? – zaśmiała się Kaśka. I zaintonowała:

Siwy koń, siwy koń,
Zielone popręgi,
Jak mnie nie masz kochać,
Kiedym chłopiec tęgi.

– A weź, stary dziad… – burknęła Kryśka.

– Syćkie są dziady – sapnęła Staska. – Syćkie jak jeden.

Stanęła w drzwiach kuchni, oparła się o futrynę. Ten dom ją przerażał. Zatęchły, serowy smród, nawet kibla normalnego nie ma. I w dodatku tu, na tej podłodze, zamordowano i porąbano człowieka.

A ten człowiek był podobno jej dziadkiem. Na samą myśl, że mieliby tu nocować, chciało jej się płakać.

Siedzieli przy kuchennym stole, milczeli. Mama paliła papierosy. Tata przez te dwa dni bardzo posiwiał.

– Nie chcę tu być – powiedziała. Oboje drgnęli.

– Andżela, prosiłam cię – zaczęła matka. – Czy nie możesz nawet dla własnego ojca…

– Hanno, daj spokój – szepnął Śleboda i uniósł głowę. – Córeczko, już szukałem, jest sezon, nigdzie nie ma wolnego noclegu. Ale jeszcze się rozejrzę, obiecuję – uśmiechnął się blado.

– A mogę stąd iść teraz? – jęknęła, żując zawzięcie gumę. – Tu śmierdzi.

Patrzyła tylko na ojca, ignorując matkę.

– Oczywiście, skarbie. Przejdź się. Tu jest ładnie.

Zamknęła za sobą drzwi rudery, oddychając z ulgą. Rozejrzała się. Las. Bagno. Wiocha. Przejdzie się. Może mają tu jakieś sklepy.

– Cześć – usłyszała za sobą. Aż podskoczyła.

Stał przed nią młody uśmiechnięty mężczyzna, ubrany jak z wystawy Intersportu w Galerii Słonecznej, z zaczesaną na bok grzywką. Opierał się na kijkach do nordic walkingu. On na pewno jest z miasta i to większego niż Radom.

– Jest tu jakieś kulturalne miejsce, gdzie można by posiedzieć? – zapytał. Pokręciła głową.

– Sorry, nie wiem, dopiero przyjechałam.

– Ja też – uśmiechał się, a po lewej stronie robił mu się dołeczek. – Chodzę trochę – przepraszająco spojrzał na swoje kijki. – Ale generalnie się nudzę.

Odwzajemniła uśmiech.

– To co, koleżanko, poszukamy razem jakiegoś normalnego miejsca? Bastian jestem.

– Andżelika. Z Radomia, a ty?

– Z Krakowa.

– Ale super.

W miejscu gdzie gruntowa droga łączyła się z asfaltową dostrzegł czarne BMW X6 o przyciemnionych szybach i na sportowych, równie czarnych co nadwozie, alufelgach. Nieźle się tu góralom powodzi, pomyślał. Pewnie to za te zdarte z turystów dutki. Nie miał pojęcia, gdzie ją zaprowadzić, wybrał więc własny pensjonat. Na dole była restauracja z przyzwoitym barem. Obserwował dziewczynę ukradkiem, nieco onieśmieloną, nadrabiającą miną.

– Trochę tu drogo – wyszeptała, gdy Bastian rozsiadł się przy barze i wskazał jej miejsce obok.

– Oj weź, ja stawiam – prychnął i skinął na barmankę. Zamówił „jałowcówke z tonikiem i krusonym soplem” dla siebie i „górola na Manhattanie” dla niej. Po minie poznał, że trafił w jej gusta. Głównie dlatego – rozbawiła go własna myśl – że obstawiał gusta nieskomplikowane.

– Nie spotkaliśmy się przypadkowo – szepnął, gdy ujęła słomkę w zęby. Spojrzała na niego zaskoczona. – Obiecaj, że to, co teraz powiem, zachowasz w tajemnicy. To bardzo ważne.

– Jesteś jakimś zbokiem? – wypaliła, unosząc się z miejsca. Barmanka popatrzyła w ich stronę podejrzliwie.

– Nie, czekaj – uniósł obie dłonie pojednawczo. – Chodzi o to, że moja praca jest, no wiesz, tajna.

– Jesteś z CBA? – prychnęła, podpierając czoło dłonią. – Agent Tomek, ale ja głupia jestem. Mój tata jest uczciwy, a ty możesz się…

– Nie jestem z żadnego CBA – roześmiał się i nachylił ku niej jeszcze bardziej. – Jestem dziennikarzem śledczym – dodał, patrząc jej głęboko w oczy.

To był najtrudniejszy moment. Zawahała się. Jej twarz najpierw znów się ściągnęła, przebiegła przez nią gwałtowna wątpliwość, potem wreszcie kąciki ust się rozluźniły, a brwi powędrowały w górę.

– Bez kitu, z „TVN Uwaga”? – Ależ miała wielkie, piwne oczy. Uśmiechnął się, opuszczając wzrok na drinka.

– Z „Flesza”. Pracuję nad sprawą śmierci twojego dziadka. To duża rzecz. Trzymamy to na razie w tajemnicy. Jesteś w samym środku tej sprawy – zakończył poważnie.

Nie odpowiadała. Minę miała niewyraźną.

– Ale ja nic nie wiem – zawahała się wreszcie.

Bingo. Nie powiedziała „nie”.

– Na razie nikt nic nie wie. A ja chciałbym pomóc. To na pewno dla was koszmar, prawda? – twarz Bastiana pałała troską.

– No tak. To koszmar. Wielka tragedia.

Dziennikarz wziął głębszy oddech. Trzeba wolniej i spokojniej, bo na razie dziewczyna mówi, jak powodzianin pytany przez reportera, co czuje.

– Ja się nigdy jeszcze nie wypowiadałam do mediów – dodała nagle i zaczerwieniła się.

– Słuchaj – uśmiechnął się do niej. – Dajmy na razie spokój. Jeszcze pogadamy, na razie odetchnij, wypij drinka, bo na pewno jesteś wyrąbana po podróży, nie?

– Totalnie – odparła z wyraźną ulgą. – I jeszcze, wiesz, całe te nerwy, nikt nic nie mówi, straszna zwała. A ja miałam jutro jechać na wakacje. *Fail*, totalnie. Na szczęście mam w tym roku trzy miesiące wakacji. Studia zaczynam w październiku. Zarządzanie w Radomiu. Chciałam na dziennikarstwo do Krakowa, ale się nie dostałam.

Podobało mu się, jak na niego popatrzyła.

– Fajnie jest być dziennikarzem? – zapytała.

– Gadałem z nią ze dwie godziny. Z wnuczką tego twojego trupa!

– Jeszcze raz usłyszę coś o „moim trupie”, to będzie z tego jeszcze jeden „mój trup” – wycedziła Anka, wbijając wyciągnięty palec w mostek zdębiałego Strzygonia. – Czy to jest jasne?

To przechodziło ludzkie pojęcie. Chciała tylko po pracy w remizie, po wszystkich tych dziwnych rozmowach, spojrzeniach, półsłówkach i aluzjach pójść na jeszcze jednego grzańca, poczytać książkę w kącie, odpocząć. I ledwo Anka usiadła, w drzwiach knajpy stanął Strzygoń. Wypatrzył ją, na cały głos krzyknął „jesteś!” i jednym susem dopadł jej stolika.

Pobiegł za nią, gdy na jego widok wstała i wyszła. Dorwał ją i rozgorączkowany zaczął opowiadać, że spotkał się z córką syna tego człowieka, na którego zwłoki trafiła w Suchej Wodzie i który prześladował ją odtąd jak upiór. Upierał się, że Anka koniecznie musi usłyszeć, czego się dowiedział.

Teraz stał przed nią oniemiały, jak mniejszy i skromniejszy samiec pająka, któremu samica za chwilę odgryzie głowę.

– Anka – powiedział cicho i poważnie, unosząc pojednawczo dłonie. – Myślałem, że będziesz tego ciekawa. W końcu te zwłoki… No wiesz, ty je znalazłaś, myślałem, że to by ci dało trochę spokoju, gdybyś wiedziała…

– Właśnie, Strzygoń – syknęła. – Spokoju. Ja chcę mieć spokój. Przyjechałam na wakacje, rozumiesz? Wakacje. Odpocząć sobie. A ty mi się tu zwalasz i nie pozwalasz mi zapomnieć o tym cholernym trupie!

Bastian rozejrzał się, jakby podsłuchiwał ich szwadron konkurencyjnych dziennikarzy, i nie zwracając uwagi na jej protesty, wyszeptał:

– Syn nienawidził ojca, nie rozumiesz? Oni tam wszyscy mieli nasrane w życiorys, to jest większa sprawa!

Anka pokręciła głową. Przyjrzała mu się. Strzygoniowi oczy aż świeciły, a ten dołeczek, który się pojawiał, gdy się zaciągał papierosem, mógłby być nawet słodki. Ładny, przelansowany chłopiec.

Gdyby nie był takim dupkiem, miałby zadatki na przystojniaka.

– To ty nic nie rozumiesz. – Uśmiechnęła się. – Nie chcę o tym słyszeć. Dobrze?

– Okej, okej – powiedział. – Sorry, traumę masz pewnie. A ja ci tu wyjeżdżam ze sprawami, o których ty chcesz zapomnieć.

Zabrzmiało to tak nieporadnie, że nawet ją ujęło.

– Wiesz co? – uśmiechnął się, zadeptując papierosa i sięgając do wewnętrznej kieszeni kurtki. – Olać tego trupa, słowo daję, że się już zamknę na dziś wieczór.

– To dobranoc. – Odwróciła się w stronę domu.

– Czekaj – zatrzymał ją. – Jeśli się zgodzisz na wspólny spacer, to wypalimy fajkę pokoju, która ci się pomoże wyluzować, a za to po drodze poopowiadasz mi trochę o tych góralach. Bo wiem o nich tyle, że seplenią i kochają papieża.

Anka ściągnęła brwi. Bastian trzymał w dwóch palcach wyjętego z kieszeni jointa.

Obiecała sobie ostatnio, że więcej nie będzie palić trawy. Ale dzisiaj w końcu nie piła śliwowicy.

– Masz pół godziny – powiedziała.

W miarę jak schodziło się w stronę Kiecory banerów i billboardów robiło się nieco mniej. Idąc, patrzyła w niebo. W mieście można zapomnieć, że gwiazdy naprawdę istnieją i jest ich tak dużo. Zaciągnęła się jointem nieufnie raz i drugi. Zaczęła Bastianowi opowiadać najlepsze historie ze *Sklepu potrzeb kulturalnych* Kroha, a z czasem, jak trawa zaczynała działać, mówiła coraz więcej i chętniej. Dziennikarz śmiał się i nie przerywał. Miła odmiana.

– Jak ta wnuczka się trzyma? – zapytała nagle sama z siebie. Bastian spojrzał na nią zaskoczony.

– Niespecjalnie wstrząśnięta, szczerze mówiąc. Powiedziała mi, że oni nie utrzymywali z dziadkiem kontaktu. Że, uważaj, cytuję, ojciec dziadka Jana nienawidził.

– Dlaczego?

– Twierdzi, że nie wie. Ojciec nigdy o tym mówił.

– Tutejsze baby mówią, że on zdradzał – dodała.

– Ci górale, he he, krew nie woda. Andżela, ta wnuczka, to też niezła petarda, pewnie po dziadku. Dwie godziny, kilka drinków i już mi się zwierzała z maślanymi oczkami i udkami tarła.

Anka popatrzyła na niego z wyrzutem. Zrobiło się jej przykro.

– Ty jednak jesteś nienormalny – parsknęła.

– No co? Laska serio na mnie leci – obruszył się. Miał na końcu języka pytanie, czy Anka jest zazdrosna, ale się powstrzymał. Pani doktor, pomyślał, też jest całkiem niezła, chociaż w zupełnie innym stylu, szkoda tylko, że ma taki charakterek. Kręcić z nią? To byłoby jak seks z własną nauczycielką, uśmiechnął się w duchu. Czułby się jak na egzaminie.

– W każdym razie rodzinka Ślebodów musi mieć, jako się rzekło, nieźle nasrane w życiorys. – Zmienił szybko temat.

– Ciekawe, że tak mają na nazwisko. „Śleboda” to jest w góralskiej gwarze „wolność” – westchnęła.

– Dzięki, przyda mi się to do artykułu. Tylko muszę najpierw od niej wyciągnąć, o co w rodzince poszło. To może być trop. O, a tak *à propos* – dodał nazbyt swobodnym tonem i odchrząknął – tam, kawałek dalej, skręca się do chałupy starego Ślebody.

– Niech cię szlag, Strzygoń, specjalnie mnie tu przyprowadziłeś.

– Ja? Sama zaczęłaś o nich gadać.

Popatrzył na nią najpoważniej, jak potrafił.

– Anka, ja cię potrzebuję. Jesteś ekspertem od tych wszystkich wioskowych klimatów – przyznał, rozkładając ręce.

Zamilkł nagle.

Z głębi polany usłyszeli krzyk. Dobiegał od chałupy Jana Ślebody, która teraz wyłoniła się

spomiędzy drzew, bo w jej oknach nagle zabłysły światła.

– Stój!!! – teraz było już słychać wyraźniej. – Stój!!!

Na ścieżce zamajaczyły dwie sylwetki. Krzyk był męski, gardłowy, rozpaczliwy. Krzyczał ten z tyłu, korpulentny, biegnący z wyraźnym trudem.

Ten, który uciekał, biegł chybotliwie, młócąc powietrze wymachami ramion.

Byli już blisko. Bastian i Anka rozpoznali ich w tym samym momencie. On – goniącego. Ona – uciekającego.

– Stój!!! Staać!!! Łapcie go!!! – krzyczał co tchu Mieczysław Śleboda, wyraźnie zostając z tyłu.

Bastian wyszarpnął coś z kieszeni wiatrówki i puścił się pędem naprzeciw uciekającego.

Na jego widok postać się zawahała, jakby chciała skręcić w las. Wtedy dziennikarz runął na zbiega.

Bastian był drobny i szczupły, ale tamten przeraźliwie chudy. Strzygoń powalił go i przewrócił się razem z nim. Oblepił go smród i na moment stracił orientację.

– Uważaj!!! – wrzasnęła Anka.

Tuż przed twarzą błysnęło mu ostrze. Krzyknął, zerwał się na kolana i oburącz wymierzył przed siebie wyjęty z kieszeni gaz pieprzowy. Zacisnął oczy i – pierwszy raz w życiu – wdusił kciukiem wyzwalacz.

Gardłowy wrzask przeszedł w pisk. Na ziemi wił się, skowycząc i kaszląc, człowiek w Murzasichlu zwany Głupim Romusiem. Próbował się podnieść. Wtedy nadbiegł Śleboda i przygwoździł go do ziemi.

Od strony wsi dobiegło ich wycie policyjnej syreny.

– Kruca fuks – powiedział podkomisarz Andrzej Chowaniec, wpatrując się w drzwi chałupy Jana Ślebody.

– O kurwa – zgodził się stojący obok niego Bastian.

Anka nic nie powiedziała.

Chowaniec przybiegł chwilę później, prosto z domu. Zmarszczył nos na widok skutego kajdankami Romusia, skulonego na tylnym siedzeniu radiowozu. Ten jęczał głośno, kręcąc głową, i usiłował otworzyć podrażnione oczy. Policjant uniósł z ziemi nóż. A raczej stary kozik o drewnianej rękojeści i krótkim, przyrdzewiałym mocno ostrzu. Potem zmierzył wzrokiem Ankę i Bastiana. Podszedł do Ślebody.

Wokół zbierał się tłumek gapiów z okolicy, który podążył za policjantem oraz tłumaczącym mu coś Ślebodą, gdy ci ruszyli w stronę chałupy. Ludzie szli półkolem, trzymając się lekko z tyłu, w dłoniach dzierżyli latarki. Ten i ów ściskał w garści grube polano. Ktoś zabrał siekierę. Bastian pomyślał, że brakuje im tylko pochodni i wideł. Pociągnął za sobą Ankę i wyprzedzając wszystkich, zrównał się z podkomisarzem.

Gdy stanęli przed zamkniętymi drzwiami, jazgot tłumu zamilkł jak ucięty.

– Przyłapałem go – powiedział Śleboda – jak to robił.

– Co to ma znaczyć? – zapytał policjant.

– A skąd ja mam wiedzieć? – warknął tamten głucho.

Anka szeroko otworzyła oczy. W jednej chwili przebiegły jej przed oczami zdjęcia i ryciny z etnograficznych podręczników. Bastian odzyskał już wigor i zapamiętale robił zdjęcia komórką. A syn Jana Ślebody patrzył w ziemię. Ludzie zebrani z tyłu spoglądali spode łba to na drzwi, to na niego, to po sobie nawzajem. Nikt nic nie mówił.

Na starych drewnianych drzwiach chałupy zamordowanego niedawno Jana Ślebody ziała świeżo wyrzezana kozikiem swastyka.

* * *

Byli chłopcy, byli
co się na zbój brali
jesce nie porośli
juzci na zbój posli.

9 stycznia 1943 roku, godzina 7.10
okolice Makowa Podhalańskiego

My tera syćka som hitlery.

Wszystkie oczy skierowały się na niego. Słychać było tylko stukot kół i tętno lokomotywy.

To się zaczęło, gdy z Jaśkiem pili w karczmie. Zimno, mróz tańczył po polach, chcieli się jakoś rozgrzać. A że jeść co nie było, to pili. Pić za co też po prawdzie nie było, ale szczęściem przysiadł się do nich jeden taki, obcy, nie od nich, ani z Muru, ani zza Sichły, ani z Budzowego, mówił chyba że z Szaflar, i gorzałkę postawił. Jak zaczęli gadać, to jakoś od słowa do słowa zeszło na branie kenkart. Andrzej mu na to, że wziął góralską, bo mówili, że tych z góralską nie będą na roboty do Niemiec wywozić. A Jasiek, jak to Jasiek, do gadania mało skory, dodał tylko, że góral jest, to wziął góralską.

Tamten westchnął, dolał im gorzałki i mówi, że niemiecki przemysł i rolnictwo potrzebują teraz dużo rąk do pracy, żeby utrzymać żołnierzy na froncie wschodnim, co walczą z bolszewizmem, i że jak przyjdzie do brania na roboty, to nie będą się patrzeć, czy na kenkarcie jest „G", czy nie jest, młodych będą brać równo. Ale, mówi, można się lepiej urządzić. Zamiast jechać i pracować za darmo, można dostać zasiłek, dodatkowe przydziały dla rodziny, gazdowskie życie. Starczy się zapisać do wojska.

– Coz godos – przerwał mu Andrzej. – Do świabskiej langwery? Dyć jo Polok!

Ten z Szaflar uniósł pojednawczo dłonie. Nie do niemieckiego wojska, tylko do góralskiego. Prawdziwego góralskiego wojska. Pochylił się do nich nad stołem i zaczął tłumaczyć, jak to będzie, gdy bolszewicy przyjdą w góry. Że im ostatnie portki zabiorą, baby będą gwałcić, kościoły spalą. A co, pyta, teraz z Niemcami wam źle? Baby gwałcą? Kościoły palą?

Zastanowili się i pokręcili głowami.

– Żyć dają?

– Dają.

– No widzicie. – Obcy otarł wąsy, na których rozpuszczał się szron. – Gorzołki jesce kcecie?

– Juści.

Polał. I opowiadał dalej. Że będzie żołd, prawdziwy, taki jak dla niemieckiego żołnierza, bo Niemcy przecież są dokładni i rzetelni. Że jak ochotnik krewnego ma w więzieniu albo lagrze, to przecież mu go puszczą, bo jak by to było, żeby żołnierza sojuszniczego krewny w więzieniu siedział. No i że ochotników, ma się rozumieć, zwolni się z robót w Rzeszy.

– A mie sie nie widzi – Andrzej nadstawił szklankę – cobym wolał jechać na ruski front jako do Niemiec na roboty.

– Ty sie ta, Jędruś, nie frasuj – roześmiał się obcy. – Dyć ta służba nie na ruskim froncie bedzie, ba ino u nos. A jak się fajnie bedzies sprawował, to cie poślo na służbe w góry, do dom.

Klepnął ich obu w ramiona.

– I mundury dostaniecie z parzenicami! Będziecie piykni jako pony. No, bywojcie.

I poszedł. Flaszkę zostawił. A kilka dni później jechali przez wieś ludzie od wójta. Na dzwonnicy wywiesili obwieszczenie, a potem odczytywali je przez szczekaczki.

„Führer obecnie – ogłaszali – zezwolił na utworzenie SS Dywizji Strzelców »Galicja«. Każdy członek tej dywizji będzie zrównany z żołnierzem niemieckim pod względem uzbrojenia, wynagrodzenia, zaprowiantowania i zabezpieczenia jego rodziny! Ochotnicy jako członkowie

dywizji noszą krajową odznakę…!”

– Słychos? – spytał Andrzej, spoglądając na Jaśka. Podeszli bliżej. – Dutków telo bedzie, co Niemcowi.

„Gubernator Dystryktu Krakowskiego zezwolił SS Brigadeführerowi i Generalmajorowi policji Doktorowi Wendlerowi na przyjmowanie zgłoszeń zdolnej do noszenia broni młodzieży do Dywizji Strzeleckiej »Galicja« z okręgu powiatu Nowy Targ! Młodzieży góralska! Walcz z żydowsko-bolszewicką zarazą do ostatniego tchu w piersiach w chwili decydującej o losach naszej rodziny – całego narodu! Ochotnicy stawią się dnia 8 stycznia 1943 roku o godzinie trzynastej w hotelu »Morskie Oko«…”

– Słychos? – podchwycił teraz Jasiek. Jego smagłą twarz rozciągnął lekki uśmiech. – W hotelu „Morskie Oko”. Kieby prowdziwe pony.

A w hotelu „Morskie Oko” był bal, prawdziwy bal. Najpierw ważni ludzie trochę przemawiali, ale na szczęście to byli swoi, górale, Niemcy tylko stali z boku i się przyglądali. A potem otworzyli takie wielkie drzwi, a za tymi drzwiami ukazała się ogromna sala, cała w lustrach, a wzdłuż ścian – stoły aż uginające się pod pętami kiełbasy i spyrką, i smalcem, a flaszek wódki na nich stało tyle, że Andrzej i Jasiek w życiu na raz takich ilości nie widzieli. I wszyscy chcieli z nimi pić. Przepijał do nich i śmiał się, żartował, i chwalił ich sam gazda Krzeptowski, o którym się mówi, że to góralski książę. I ważni panowie w garniturach klepali ich po ramieniu i dobrze o nich mówili, jak jeszcze nikt nigdy do nich nie gadał, i pić z nimi chcieli. I nawet przyszły gestapy z Palaców i sam straszny Niemiec Weissmann, którego się wszyscy na Podhalu tak bali, podszedł, napił się z nimi, pochwalił.

– Teroz, Jędruś – Jasiek przekrzykiwał harmider na sali, gdzie właśnie zaczęły się góralskie tańce – teroz nam już syćko niestraśne!

Tymczasem tu, w pociągu wywożącym ich zimowego poranka z Podhala w nieznane, nadszedł właśnie mroźny strach.

Andrzej zerwał się na równe nogi. Stanął chwiejnie, chwycił się za głowę. Razem z nim z podłogi podnosili się kolejni chłopcy.

– Jezu, Jezusicku… – szeptał Andrzej, przypadłszy do zaryglowanych wrót bydlęcego wagonu. Wspiął się na palce, żeby wyjrzeć przez okratowany świetlik. Pociągnął. Nic.

– Cozez jo zrobiył? Jezusicku, cozez jo zrobiył?

Żelazna łapa złapała go za gardło.

– Coz becys? – W twarz uderzył go tchnący bimbrem oddech. Potężne, zarośnięte chłopisko z bliznami na twarzy, owinięte w baranicę, nachylało się nad nim, trzymając go dłonią wielką jak bochen. Andrzej wił się rozpaczliwie. – Takoś baba? – Chłopisko wyszczerzyło szczerbate zęby. – Tako baba i do wojska kcoł? Jak ci rucki połomie…

– Puść – przerwał mu szorstki głos Jaśka. Olbrzym odwrócił się zaskoczony. Uśmiechnął się jeszcze paskudniej, odepchnął Andrzeja i roztarł kłykcie w dłoni, szykując się do bitki. Zamachnął się ramieniem grubym jak kłonica. Jasiek się zwinął, wyskoczył i nasadą dłoni uderzył go w nos. Buchnęła krew. Poprawił w brzuch. Chłopisko runęło na kolana.

Wtedy pociąg stanął.

– Kany my som!? – krzyknął Andrzej.

– Bedzie podle Makowa! – odpowiedział ktoś. – Bośmy w Chabówce pojecholi na zachód!

– W polu my stojom! – dodał chłopak uwieszony świetlika. – W polu!

– Chybojcie syćka haw! – zawołał Andrzej. Razem naparli na wrota wagonu. Strzeliły deski, chrupnęły rygle. Z sąsiednich wagonów dobiegły ich nawoływania, kotłowanina, wreszcie hurgot kolejnych odsuwanych wrót.

Zbudzony przez wartę dowódca eskorty naciągnął furażerkę i dopinając bluzę mundurową, doskoczył do drzwi wagonu. I zbaraniał. Jego ludzie wyskakiwali na torowisko, repetowali broń

i patrzyli po sobie. Wreszcie dowódca wyszarpnął z kabury lugera i wypalił w powietrze.

– *Halt!* – wrzasnął. – *Haaalt!*

Gdy wystrzelał w powietrze cały magazynek, wyrwał stojącemu obok starszemu strzelcowi schmeissera i wywalił z niego równie bezradną serię.

– *Halt!* – darł się. – *Verfluchte Goralische Scheiße! Halt!*[3]

– *Oberscharführer, was machen wir jetzt?*[4] – Przybiegł do niego wartownik z końca pociągu.

SS-Oberscharführer Wilm Kolatschek opuścił schmeissera, cisnął furażerkę w śnieg i patrzył. A przed nim rozpościerał się widok, którego nigdy miał już nie zapomnieć, o którym będzie opowiadał jeszcze wiele lat później kolegom z biura księgowego w Hamburgu i wnukom przy ognisku podczas wakacji w Tyrolu.

Oto przed nim, w miękkim świetle poranka, gdy horyzont rozmywał się jeszcze w mlecznej mgle, rozpościerało się przyprószone świeżym, krystalicznym śniegiem, rozmigotane od lodowych kryształków pole, przez które, skacząc po zaspach i chyląc nisko głowy, gwiżdżąc i rechocząc, wiało prawie dwie setki skacowanych górali w odświętnych portkach.

Andrzej zeskoczył w śnieg na torowisku.

– Jaśku! Hawtu!

Odwrócił się. Zobaczył przyjaciela, jak stoi w otwartych na oścież wrotach prawie pustego wagonu. Wyprostowany, z dłońmi opartymi na góralskim pasie. Jak żegna go skinieniem.

– Jaśku!

Pociąg ruszył.

ROZDZIAŁ 6

U nasego pana
zielony podworzec,
kto u niego służy,
mo piniędzy korzec.

Kruca, nie zgadza mi się to – Jędrek Chowaniec nerwowo wystukiwał rytm długopisem. Siedział u szczytu stołu, naprzeciw miał prokuratora, obok niego miejsca zajęli policjanci z grupy operacyjnej o błyskotliwym kryptonimie „Śleboda". W tym dokooptowani do grupy na prośbę Chowańca murzasichlański dzielnicowy, sierżant Maciek Maraszek, oraz technik Wojtek. Komendant miał strapioną minę, którą podkreślał łuk siwiejących wąsów.

Było kilka minut po siódmej rano. Sala w nowej siedzibie komendy powiatowej miała nawet tablicę multimedialną, ale Chowaniec i tak wolał ilustrować swój wywód, bazgrząc na kartkach. Wzór nie układał się szczególnie sensownie.

– Romuś mi się nie zgadza. To Śleboda junior na razie jako jedyny ma motyw – kontynuował podkomisarz. – Bardzo nie lubił tatusia, sam się przecież przyznał. Ale sprawdziłem jego alibi, sekretarka zeznała, że w czasie, gdy zginął stary Śleboda, syn siedział na okrągło w robocie. Więc wychodzi, że tego nie zrobił. A tu nagle pojawia się Romuś, żeby wyciąć swastykę na drzwiach chaty starego Ślebody…

– Wrócił na miejsce zbrodni? Podręcznikowo, nie? – wyrwał się Maraszek.

– Dokładnie, Młody – Chowaniec zgasił go wzrokiem. – Ale to się kupy nie trzyma. Po pierwsze, na miejscu zbrodni były ślady biesiadowania, a stary Śleboda przecież by takiego Romusia nie gościł, w dodatku lavazzą i absolutem. Po drugie, ślady zostały metodycznie zatarte, zwłoki poćwiartowane, wywiezione i ukryte, czyli działał tam ktoś z przynajmniej szczątkowym pomyślunkiem. A Romuś jest konkretnie cofnięty. To znaczy upośledzony – poprawił się. – Na sprawcę nie pasuje, ale musi coś wiedzieć. Tylko co?

– A co ujawnił w trakcie przesłuchania? – spytał komendant.

– Nic nie ujawnił, panie komendancie, tylko się kiwa i jęczy, z nim się w ogóle nie da gadać. Będzie trzeba ściągnąć biegłego psychiatrę. Wacek, da się załatwić areszt tymczasowy? Za uszkodzenie mienia albo, kruca, nie wiem, propagowanie symboli faszystowskich.

– No pewnie – uśmiechnął się prokurator. – Już dzwoniłem do Jureczka.

– I co sędzia powiedział?

– To, co zwykle – prokurator błysnął zębami spod wąsów. – Zapytał, na jak długo chcę.

– Tylko że potem biegły orzeknie niepoczytalność i sie syćko zdupcy – Chowaniec podrapał się za uchem.

– Spokojnie, to potrwa – odparł prokurator.

– Więc tę wersję śledczą z synem ofiary odrzucasz? – wtrącił się komendant.

– A, sam już nie wiem. Bez sensu – żachnął się podkomisarz. – Ale możemy mu przynajmniej zdjąć odciski. Tylko że – zawiesił głos – są jeszcze te fanty. Te cholerne fanty, które do niczego mi nie pasują. Ani do tej chałpy, ani do tej śmierci, ani do starego, ani do Romusia. Myślałem, że może synuś mu te dobra przysyłał, ale Mieczysław Śleboda zeznał, że nic o tych gratach nie wie. Jadźka, jak ustalenia? – zapytał aspirantkę w bluzie z kapturem.

– W toku, szefie – odparła, żując gumę. – Wysłaliśmy numery seryjne wszystkim hurtowniom i supermarketom aż po Kraków, na razie bez odzewu.

– Fanty fantami, a swastyka? – przytomnie zapytał Maraszek. – Dlaczego swastyka?

– Ale dlaczego swastyka? – zapytał Bastian, błądząc palcem po ekranie iPada. Siedzieli w ogrodzie pensjonatu Kaleniców. Anka nadstawiała twarz do porannego słońca.

– Ale skąd ja panu teraz w kilka godzin załatwię tyle owczych? – dobiegał ich rozgorączkowany głos. – Dobra, mają być, to będą, załatwię, panie Groń, załatwię, jak trza, to hipne na Rusinową, ale załatwię.

Józek zaklął, trzasnął bramką, wsiadł w rav-czwórkę i odjechał, wzburzając kurzawę żwiru.

– Anka, patrz! – Strzygoń aż podskoczył. – Zobacz!

Podstawił jej tablet pod nos. Osunęła się nieco, uniosła brwi. Parsknęła śmiechem.

Pokazywał jej hasło „swastyka" w Wikipedii. W podrozdziale *Na ziemiach polskich* widniały zdjęcia odznak pułków Strzelców Podhalańskich, do tego jeszcze kilku innych odznak oficerskich. We wszystkie wpisany był motyw swastyki.

– Brawo, Sherlocku. – Obserwowała z rozbawieniem, jak rzednie mu mina. – Gdybyś się chociaż raz pofatygował w góry, na Halę Gąsienicową, zamiast paradować w trekkingowych ciuchach po wsi, to zobaczyłbyś kamień Karłowicza z piękną swastyką. A w schronisku przeczytałbyś sobie stosowną tabliczkę, tłumaczącą ceprom, o co chodzi.

– Od tego właśnie mam ciebie – żachnął się. – To o co chodzi?

– Krzyżyk niespodziany – wyjaśniła. – Wiele ludów miało swoje swastyki, górale też. Taki znak umieszczało się na szczęście, nad progiem chaty albo na sosrębie, belce trzymającej strop. Przed wojną była na przykład nad wejściem do Muzeum Tatrzańskiego. Jest też na kamieniu postawionym w miejscu, gdzie zginął Karłowicz, ten kompozytor. A w samym Murowańcu do dziś jest mnóstwo ozdobnych swastyk. Wszyscy to wiedzą, Bastian. Ale od wojny żaden góral już krzyżyka niespodzianego nie używa, przecież to się teraz jednoznacznie kojarzy.

– Ten cały Romuś – powiedział po chwili milczenia Bastian. – Myślisz, że to sprawca, który wrócił na miejsce zbrodni?

– Przecież tak robią tylko w kryminałach.

– I tu się mylisz – wycelował w nią palcem, zadowolony jak prymus. – Mordercy wracają na miejsce zbrodni regularnie. Albo żeby się podjarać tym, co zrobili, albo żeby sprawdzić, czy na pewno nie zostawili śladów.

– Ale raczej nie, żeby zostawić wielgachny ślad na drzwiach – ucięła. – Ja go znam od dzieciństwa. Zawsze się go baliśmy, ale na niby, jak to dzieci. Ten człowiek nigdy nie skrzywdził nawet muchy. Nie wyobrażam sobie, żeby on to zrobił.

– Skurwiel miał nóż.

– Bo czymś musiał tę swastykę wyciąć, nie? – Cholera, prawda. To po co wydziarał tę swastykę? Chciał nam coś przekazać? – zapytał.

Pokręciła głową.

– On jest kompletnie niekomunikatywny. Powtarza tylko z pamięci kawałki przyśpiewek, nie mówi, nie sądzę, żeby wiele rozumiał z tego, co się wokół niego dzieje. Nie wiem, czy mógłby cokolwiek przekazywać…

– Anka! – z werandy dobiegł ich śpiewny głos Kaśki. – Idziemy?

Podniosła się z miejsca.

– Bastian, muszę iść, obiecałam. Dziś jest w remizie wernisaż, jeden biznesmen wrócił ze Stanów i robi wystawę o Polonii. Oni ją obsługują, obiecałam pomóc.

– O, to super – ucieszył się. – Na takich imprezach można spotkać dużo lokalsów w jednym

miejscu. Idę o zakład, że wszyscy będą gadać o Romusiu, swastyce i starym Ślebodzie. Przyjdę, nadstawię ucha, taką mam pracę.

Zadzwonił jego telefon melodyjką z *Domowego przedszkola*.

– Kurde, to Andżela – zgarnął iPada do plecaka. – Czegoś chce. Lecę. Dozo.

I pobiegł.

Anka rozglądała się z zaciekawieniem, gryząc przyjemnie skrzypiącego w zębach oscypka. Na wernisaż dotarły najlepsze wyroby regionalne z całego Podhala – Józek poruszył niebo i ziemię, objeździł bacówki i zorganizował stosy prawie jeszcze ciepłych oscypków i redykołek z owczego mleka. Na stołach leżały pęta wiejskiej kiełbasy o ciemnej, cienkiej jak pergamin skórce, w przekroju lśniącej od tłuszczu i galaretki. Pyszniły się wędzone w dymie jałowcowym polędwice, spyrki i boczki.

Pod ścianą muzykanci stroili instrumenty z potępieńczym wyciem. Na krzesełku za stołem siedziała Babońka. Z żylastymi dłońmi splecionymi na podołku popatrywała po sali spode łba. Kaśka i dziewczyny uwijały się cały czas, donosząc soki, szklanki, talerzyki i półmiski. Józek w odświętnym góralskim stroju prezentował się niezwykle władczo i dostojnie. W cyfrowanych portkach, białej koszuli, jasnej cusze związanej pod szyją na czerwoną kokardę, w czarnym kapeluszu z kostkami i z szerokim, bacowskim pasem, wysoki i wysportowany, wyglądał jak, nie przymierzając, Janosik.

Niektórzy goście ubrani byli w góralskie stroje: mężczyźni w cyfrowane portki, a kobiety we wzorzyste spódnice i przepiękne, malowane w róże chusty z frędzlami. Inni elegancko, jak do kościoła: mężczyźni w marynarkach, kobiety w białych bluzkach. Między stołami biegało kilkoro dzieci.

Po drodze do pomalowanej na pistacjowo remizy Anka obserwowała, jak drogą suną całe rodziny odświętnie ubranych górali, obserwowani przez zaciekawionych ceprów. Kilku podążyło nawet za góralami i stali teraz w kącie zawstydzeni, jakby trafili na cudze imieniny.

– …przecież to idiota! – łowiła jednym uchem Anka, jak żołądkował się młody mężczyzna. – Jak to dziadek mówił: sietniok czy, jak to się teraz poprawnie politycznie godo: upośledzony. Polazł tam i co? Nic. Jak się włóczy po wsi i po rowach śpi, to się nikt nie pyta, po co. Że swastykę wyciął? Przecie swastyki to w Zakopanem skinheadzi non stop malują. I co to oznacza? Tak samo nic. Pewno tylko tyle, że skinheadzi też muszą być upośledzeni.

– Może oni są narwani, ale nie są durni – przerwał mu wąsaty jegomość. – Czasem troszku broją, bo ich energia ponosi. Ale ja panu mówię, to są dobre chłopaki…

– …pani, ale to musiało wszystko kosztować! – złapała się za głowę kobiecina w czerwonej chuście zarzuconej na szerokie ramiona. – Sery, kiełbasy, podobno ciepłe danie ma być i wódka, jak na weselu!

– Bo pon Groń dutków nie pożałował – pokiwała głową jej rozmówczyni. – Pon Groń, to on ma podejście do ludzi, on wie, czego ludziom trzeba i prawdę zawsze mówi. Dobry z niego gazda.

– …a ten młody Śleboda, to może on przyjdzie? – zadumał się pulchniutki pan w koszuli opiętej na wydatnym brzuchu.

– A po co on nam tutaj? Won z Podhala, niech zabiera bety po ojcu i tyle go widzieli! – pieklił się jego towarzysz.

– Ale co on winny, że takiego ojca miał? – rozłożył ręce brzuchaty.

Anka nadstawiła tym razem ucha.

– Żydzi, jak Pana Jezusa na mękę wydawali, to powiedzieli „krew jego na nas i na dzieci nasze”. Z tymi Ślebodami tak samo jest, panie. Jedna zdrada i druga zdrada, tu krew i tam krew. I ta krew woła o pomstę do nieba!

– Witaj – usłyszała nagle Anka i odwróciła się gwałtownie. Stał przed nią Jędrek, uśmiechając się niepewnie. Miał na sobie skórzaną kurtkę i zapiętą pod szyję koszulę w kratę. Nawet z daleka wyglądał jak policjant.

– O, cześć! – szczerze się ucieszyła. Miała już dosyć pozostawania poza towarzyskimi układami ciążenia i czekała na pojawienie się kogoś znajomego. – Miałam nadzieję, że cię tutaj spotkam.

– Masz mi coś do powiedzenia? – zmarszczył czoło Jędrek.

– Nie – Anka zmieszała się. – Tak tylko chciałam trochę, hm, pobyć w twoim towarzystwie.

– Towarzystwa to ci, zdaje się, nie brakuje – skrzywił się, patrząc gdzieś ponad jej głową.

– Bastian to nikt – Anka zaczerwieniła się, aż z jej policzków zniknęły galaktyki drobnych piegów. Jędrek mimowolnie się uśmiechnął. – Taki tam znajomy.

Stali przez chwilę naprzeciwko siebie. Anka sięgnęła po oscypka. Chowaniec przeczesał palcami opadające mu na czoło kosmyki włosów.

Ich milczenie przerwało nadejście trzech jegomości w drogich garniturach.

– Jędrek, a ty nawet po godzinach w pracy świadka rozpytujesz? – uśmiechał się jowialnie jeden z nich.

– Panie komendancie – Jędrek skinął głową. – Pan też tutaj?

– Przyjaciele zapraszają, to trza przyjechać. Panie Krzysztofie, to podkomisarz Chowaniec, który prowadzi sprawę, o którą panowie pytali. Zresztą wszyscy o nią teraz pytają, prawda?

Policjant zacisnął zęby i lekko poczerwieniał.

– Jędrek, to jest pan Żur-Górzański.

– Ależ my się z panem podkomisarzem Chowańcem znamy! – Żur rozciągnął twarz w krzywym uśmiechu. I on, i komendant, wymawiając jego stopień, kładli akcent na „pod”.

– A pani jest ważnym świadkiem, prawda? – teraz uśmiechnął się komendant. – Pani…

– …doktor Anna Serafin – wyciągnęła dłoń, która zawisła w próżni.

– O, to świetnie – ucieszył się komendant. – To ja panią przeproszę i zabiorę pana podkomisarza do naszego stolika na chwilę.

– Dla dobra sprawy wolałbym nie zdradzać szczegółów na tym etapie – powiedział Jędrek bardzo cicho, przez zęby.

– Oj, daj spokój, nie bądź taki służbista! Pan Żur i pan Pysior to przecież prawie jak rodzina, prawda?

Komisarz ujął go pod ramię i odprowadził bez słowa. Jędrek odwrócił się tylko i rzucił Ance przepraszające spojrzenie. Ten z lewej, postawny mężczyzna o gładko ogolonej, kwadratowej twarzy, z przerzedzonymi już na czubku głowy włosami i srebrnymi spinkami do mankietów, to musiał być Pysior, Józkowy góralski ojciec chrzestny, pomyślała. Jak rodzina, uśmiechnęła się do siebie. Jedna wielka szczęśliwa rodzina Soprano.

Wtedy przy wejściu dało się zauważyć poruszenie. Ludzie wyciągali szyje, zapaliło się kilka dodatkowych świateł. Gruchnęła góralska muzyka. Anka rzuciła okiem w stronę kapeli – Józek grał, skoncentrowany, aż na czoło wystąpiła mu żyłka. Ludzie rozstąpili się i w stronę środka sali, gdzie ustawiono prowizoryczną mównicę, ruszył orszak złożony z postawnego mężczyzny z góralską spinką pod szyją, zgarbionej kobiety w szarej sukience i dwójki naburmuszonych nastolatków.

Muzyka ucichła.

– Witojcie! – głos miał dźwięczny, niski i nieco natchniony. – Nazywam się Wojciech Groń. Jestem gospodarzem tej wystawy. Gazdą, można by tak powiedzieć. – Powiódł po zgromadzonych wzrokiem. – Niedawno wróciłem z Ameryki, gdzie się urodziłem, bo ojciec mój z przyczyn politycznych musiał emigrować. Wróciłem, bo moje serce jest tu. Tu, gdzie moje Tatry i Podhale, ziemia, która ma w sobie dobro, odwagę, wierność, wiarę prawdziwą katolicką i umiłowanie wolności, tej naszej góralskiej ślebody.

Zawiesił głos. Miał intensywne, świdrujące spojrzenie.

– Ale trudna to ziemia, surowa i harda, jak nasze charaktery. Trudno z tej ziemi wyżywić rodzinę – przemawiał. – Dlatego od wieków górale szli za pracą, w doły. A potem do Ameryki. Ale oni o Polsce, o Podhalu nie zapomnieli. Ile to domów i kościołów się pobudowało z tych dolarów zarabianych w pocie czoła przez górali w Ameryce. Tam, na budowach, w majnach i łorkszopach, na karwasiach i na ofisach, przez lata wykuwał się nasz dobrobyt. Górale z Ameryki kochają Polskę. Ale czy Polska o nich pamięta? Wystawa malunków na szkle, które wykonywały dzieci z Chicago, a których temat to właśnie Polska, jest szansą na spotkanie ponad oceanem. To jest wystawa od nich dla was. Jak oni widzą Polskę, jak ją sobie wyobrażają. Nie dla ceprów, nie dla turystów, co przyjadą i pojadą, ale dla was, górali. Ale ta wystawa jest też znakiem, że my chcemy ich i ich sztuki pod naszym dachem. Że nasze serca żyją pod jednym niebem.

Groń cofnął się krok do tyłu na znak, że już skończył, i rozległ się huragan braw.

– Dasz jednego? – patrzyła na niego dużymi piwnymi oczami.

Podał jej vogue'a i przytrzymał zapalniczkę. Paliła krótkimi, płytkimi zaciągnięciami, trzymała papierosa prawie cały czas przy twarzy. Koza, uśmiechnął się do siebie. Kiedy po niego zadzwoniła, miał nadzieję, że powie mu coś przełomowego. Czekała na przystanku nieopodal ścieżki wiodącej do domu jej dziadka, z mokrymi włosami, w dżinsowych szortach i japonkach. Od razu dostrzegł, że miała wilgotne oczy. Poczuł skok adrenaliny. Po części w oczekiwaniu na jakąś sensacyjną wieść. Ale głównie na jej widok.

Sensacyjnych wieści jednak nie było. Szli, a ona żaliła się, że musiała nocować w tym strasznym domu, bo ojciec nie znalazł im żadnego innego noclegu we wsi, że spędziła noc na materacu w jednej izbie z rodzicami.

– Bo przecież nie mogłabym spać w kuchni, gdzie zamordowano człowieka – tłumaczyła płaczliwie. – A mój starszy to chyba nawet żadnego noclegu nam nie szukał, chociaż obiecał. Znowu od rana go nie było, dopiero teraz przyszedł, cały wściekły. Jak go mama spytała, czy załatwiał pogrzeb, to tylko się z nią pokłócił, że nie ma teraz głowy, zamknął się w izbie i cały czas gadał przez komórkę. No to matka się też wściekła, że bez przerwy gdzieś łazi, bo wczoraj też zniknął na cały dzień, i ja już nie mogę wytrzymać, Bastian!

– Nie wiesz, gdzie był, jak go nie było? – zapytał.

– No właśnie nie! – wybuchnęła. – Mieliśmy tu przyjechać, załatwić sprawy i spierdalać z tej dziury. Bastian, to jest obrzydliwe mieszkać w tej ruinie! Tam nawet sracza normalnego nie ma! Ani ciepłej wody! Komary mnie pożarły, a włosy myłam w miednicy jak jakaś patologia! Ej, mogłabym się u ciebie w hotelu umyć? – zapytała cicho, gdy usiedli na pniu, patrząc w ziemię. Złożone dłonie trzymała między przyciśniętymi do siebie kolanami.

Spojrzał na nią z ukosa. Oczami wyobraźni bardzo wyraźnie zobaczył, jak siedzi w pokoju, słuchając szumu wody pod prysznicem, jak potem Andżela wychodzi z łazienki owinięta jego ręcznikiem, jak w *Sarze* z młodocianą Agnieszką Włodarczyk. A zaraz potem odmalowały mu się przed oczami kolejne obrazy. Nagłówki gazet: „Słynny dziennikarz wyrzucony z pracy. Uwiódł świadka we własnym śledztwie". „Świadkowie widzieli, jak zwabił ją do pokoju". I tytuły w portalach: „Czy to koniec kariery śledczego z »Flesza«? Andżela Ś. (19 lat): chciałam się tylko umyć, a on…". I kpiny ludzi z redakcji. Wiolka miałaby używanie. No i jeszcze Anka. Co ona by powiedziała?

– Andżela, czy twój ojciec komentował jakoś tę aferę ze swastyką? – zapytał szybko.

Popatrzyła na niego, ściągając brwi. Zacisnęła wargi. No, jeszcze się obraża.

– Myślałam, że mnie lubisz – pisnęła. – A ty tylko chcesz wyciągnąć ode mnie te swoje informacje!

– No co ty. Ej, Andżela, no przestań. No weźże nie płacz, kurde – mówił coraz szybciej. Przysunął

się do niej. Dziewczyna dygotała. W sumie to się nie dziwił. Jakby mu ktoś kazał spać na miejscu zbrodni, w dodatku bez normalnego sracza, też by dygotał. Objął ją, dotknął jej ramienia. Opierała się przez moment. Potem ostrożnie przyłożyła głowę do jego ramienia. Musnął ustami jej skroń. Pachniała szamponem, waniliowymi perfumami i dziewczęcym potem.

Drugą dłoń położył na jej kolanie. Z rozgrzanej południowym słońcem wyschniętej trawy unosiło się buzowanie świerszczy, od boru niósł się rześki chłód, powietrze było rozleniwiająco parne i nieruchome. Uniosła głowę. Sama znalazła ustami jego usta.

Czy ja naprawdę – uśmiechnął się do siebie w myślach, całując się z nią łapczywie, jak od dawna się już nie całował, jak kiedyś, jak w liceum – czy ja naprawdę zastanawiałem się przed chwilą, co by na to powiedziała Anka?

Anka szybko się zorientowała, że obrazki góralskich dzieci z Chicago mogłyby być tematem na dobrą publikację. Wystawę otwierała duża tafla szkła, wielkości okiennej kwatery. Malowidło przedstawiało wioskę z górami w tle, nad którą pikował, zostawiając kłęby czarnego dymu, biało-czerwony samolot. W lewym dolnym rogu widać było góralską rodzinę roniącą niebieskie łzy wielkie na pół twarzy. Ance natychmiast przyszło do głowy, że to schemat zupełnie analogiczny do ludowych jasełek, w których Poniezusek też przychodził na świat w góralskiej wiosce, wśród pasterzy w ludowych strojach.

Gdy oglądała obrazek, na którym harnasie w wysokich czepcach szturmowali z ciupagami czołgi ze swastykami na burtach, poczuła dotknięcie w ramię. Odwróciła się. Stał za nią Jędrek Chowaniec, podając jej plastikowy kubek.

– Masz, zorganizowałem ci drinka – odchrząknął. Powąchała. Sok pachniał ostro wódką.

Chowaniec rzucił okiem na szklany obrazek z harnasiami i czołgami. A Anka nagle zdała sobie sprawę, że to wszystko się układa w całość.

Trup.

Swastyka na drzwiach.

Syn, który nienawidzi ojca, bo ten zdradzał. Nie, nie zdradzał. Zdradził.

I teraz kolejne słowa o zdradzie, o krwi wołającej o pomstę do nieba.

– Goralenvolk – raczej stwierdziła niż zapytała.

– Ciszej! – syknął policjant.

– Tego starego Ślebodę zabili za Goralenvolk? Tak podejrzewasz, prawda? – wyszeptała mu do ucha, opierając się lekko na jego ramieniu.

– Anka, ja naprawdę nie mogę…

– Dajże spokój! – prychnęła. – Przed chwilą pewnie referowałeś wszystko kumplom twojego komendanta, a mnie nie powiesz?

Ujął ją za łokieć i pociągnął nieco dalej, gdzie był mniejszy tłok.

– Sprawdzamy taką wersję – szeptał szybko. – Ale jak rozpytywaliśmy ludzi, czy coś wiedzą o jego przeszłości, to wszyscy mnie równo zbywali. Machają ręką, plączą się, że to stare dzieje. Normalnie, kruca fuks, omerta. A od tego przygłupa, co wystrugał swastykę, tyz nie idzie się nic dowiedzieć. Nic nie godo, ino śpiywo.

Anka uśmiechnęła się mimowolnie. Jędrek poczerwieniał.

– Przepraszam – jęknął. – Jak się denerwuję, to się zapominam.

– Nie, to ładne – popatrzyła na niego łagodnie. – Zawsze lubiłam, jak mówiłeś gwarą.

Milczeli przez chwilę.

– Ale to by wiele wyjaśniało – podjął wreszcie. – I swastykę, i nienawiść syna do ojca.

„Mieli nasrane w życiorys”? Mało powiedziane.

Bastian uśmiechnął się szeroko, gdy wchodzili do remizy. Andżela się skrzywiła. Zaduch, kiełbasa, patriotyzm i góralska muzyka.

Tam, na porębie, delikatnie zakończyła pocałunek i popatrzyła na niego szklistymi oczami. Mówił do niej szeptem, gorączkowo szukając wymówki, żeby nie iść do niego do pensjonatu, że zabierze ją na prawdziwą góralską zabawę, najedzą się za darmo, może napiją.

Na miejscu od razu się zorientował, że musieli zwrócić na siebie uwagę. Dyskretnie popilotował Andżelę w stronę grupki ceprów, zbitych w kącie przy jednym ze stołów, na szczęście ubranych równie niestosownie, co oni.

– Pójdę skołować wódkę – szepnął, zostawiając ją podpierającą ścianę.

Przystanął przy stole i, nakładając sobie na papierowy talerzyk plastry oscypka i kiełbasy, rozglądał się dyskretnie.

Elita się tu zebrała, uśmiechnął się w duchu na widok dwóch mężczyzn z marsowymi minami, przepijających do siebie przy stoliku w rogu sali. Ten gładko ogolony i szpakowaciejący to Wendelin Pysior, podhalański biznesmen, kojarzył go z wiadomości lokalnych. Drugi mężczyzna, z wąsami i podwójnym podbródkiem, to przecież we własnej osobie Krzysztof Żur-Górzański, numer jeden w podhalańskiej polityce. Nie dało się go nie znać, w czasie wyborów Żur-Górzański w gazdowskiej cusze spoglądał na Podhale z billboardów.

Pośrodku sali stał otoczony tłumkiem gości mężczyzna w garniturze z góralską spinką pod szyją. Lekko już poczerwieniały na twarzy, perorował, gestykulując żywo. Ani chybi biznesmen ze Stanów, o którym mówiła Anka.

Bastian wmieszał się w tłumek i nadstawił uszu.

Zgrupowali się pod dużym obrazkiem przedstawiającym Jezusa Miłosiernego z Łagiewnik: ubrana na biało postać z aureolą unosiła się ponad głowami górali, a na ich głowy z jego boku spływały biało-czerwone promienie. Wykonany drukowanymi, równymi literami podpis „Miej miłosierdzie dla nas i świata całego” nie pozostawiał wątpliwości.

– Dla mnie te obrazki płynące ze szczerych dziecięcych serc są najlepszym dowodem, że te serca są czyste, dobre. Góralskie. – Wojciech Groń miał mocny baryton. – Zobaczcie państwo, ile na tych obrazkach jest odmalowanego bólu. Ja ten ból, proszę państwa, znam. Mego ojca zdradzili, proszę państwa, o świcie. Ja sam wychowywałem się na obczyźnie. Bo nas zdradzono. Bo wśród góralskiej owczarni pojawiły się wilki. Co mówię, wilki. To były hieny.

Odpowiedziało mu milczenie.

– Ale sprawiedliwość zatriumfuje. – Groń nie podnosił głosu, ale każde jego słowo było ciężkie jak głaz. – Już triumfuje – zakończył.

Słowa gospodarza zawisły nad głowami gości, gęstniejąc i ciążąc. Potem z wolna zaczęły się pojedyncze rozmowy.

Bastian swobodnie płynął przez tłum krokiem bywalca salonów. Oglądał od niechcenia obrazki, przegryzał oscypki. I nie odstępował Gronia dalej niż na pięć kroków.

– A coz on tam wiy – denerwowała się zażywna starsza pani w trójkątnej kwiecistej chuście na plecach. Anka łowiła ludzkie słowa z gwaru. – Telo siedzioł w Hameryce, a teroz godo, kieby tamte sprawy znoł. A zno to syćko z opowiadań – złościła się kobieta.

– Mocie, pani, rację – przytaknął jej równolatek w białej koszuli ze spinką.

– I godo, co jego ojca zdradzili. A jego ociec to niby lepsy beł? Przecie ón beł w leśnej bandzie, a partyzanci naszych ojców napadali, kradli, chleb nam zabierali…

– Jak się syćko dziwnie plecie – westchnął jej towarzysz, w zamyśleniu muskając pióro przy kapeluszu.

Wtedy Anka zorientowała się, że z przeciwnego końca sali popatruje na nią Babońka.

Nestorka rodu Kaleniców siedziała skromnie i dostojnie zarazem, w rogu za stołem, w kwiecistej chuście naciągniętej nisko, aż po brwi. Tylko oczy miała jakby szersze. Niespokojne. Anka przysiadła koło niej.

– Córka, coz oni syćka godajom? – głos Babońki brzmiał inaczej niż zwykle. – Tu telo godajom o swastyce i zdradzaniu, i sprawiedliwości…

Anka pokręciła głową. Nie wiedziała, czy powinna. Ale opowiedziała jej wszystko po kolei, zaczynając od swojej feralnej wyprawy do Suchej Wody.

Babońka słuchała niewzruszona. Tylko kościste, pobrużdżone pociemniałymi zmarszczkami, złożone na podołku dłonie zaciskała co chwilę mocniej.

Zobaczył ją w kącie. Stała tam tak, jak ją zostawił. Raz po raz ktoś rzucał jej wymowne spojrzenie. Zwykle skierowane na jej opalone uda i szorty. Gdy wrócił, uniosła na niego wzrok. Pełen pretensji. I prośby.

– Chodź – szepnął, przechodząc koło niej. Ruszyła za nim. Wyszli z sali.

– Zabierz mnie stąd – jęknęła, gdy zniknęli w pustych korytarzach remizy. – Miało być fajnie, obiecałeś, a zostawiłeś mnie samą i wszyscy się gapili jak wieprze.

– Andżela – powiedział tonem cierpliwego opiekuna. – Tłumaczyłem ci.

– Że co? – przystanęła, biorąc się pod boki. – Tu też prowadzisz to swoje śledztwo?

– Tak! – wypalił. – I ono ciebie też dotyczy, doceń to może.

– A gówno mnie dotyczy! – pisnęła.

Bastian rozejrzał się w popłochu. Brakowało tylko, żeby zrobiła mu tu awanturę i ściągnęła uwagę wszystkich. Pociągnął za pierwszą z brzegu klamkę. Drzwi ustąpiły.

Wciągnął ją do pomieszczenia, które okazało się garażem remizy. Schowali się w szczelinę między ścianą a wozem strażackim z wielkim logo Magirus Deutz na osłonie chłodnicy i z portretem Jana Pawła II przyklejonym taśmą do przedniej szyby.

– Słuchaj – mówił szybko – przepraszam, okej? To było bardzo ważne.

– Ja – szepnęła – chciałam tylko, żebyś ze mną pobył, wiesz?

– Wiem.

– A ty zniknąłeś.

– Wiem. Przepraszam.

– Boję się.

– Wiem.

Dotknął jej policzka, czując, jakie to pretensjonalne.

Przylgnęła do niego. Gwałtownie. Chciwie. Mocno. Łapał wargami jej wargi, gdy wsuwała mu dłonie pod podkoszulek. Do kolekcji nagłówków prasowych w jego głowie dołączył kolejny: „To szok! Strażacy przyłapali dziennikarza z nastolatką”. Odnalazł dłonią jej drobną, twardą pierś. I przestał myśleć o nagłówkach.

Oparła się o burtę strażackiego wozu, rozpalona, zamykając oczy, gdy zsuwał się po jej ciele coraz niżej, aż po guzik dżinsowych szortów.

To nie tak jak zwykle, kołatało się mu w głowie, gdy zachłannie mocował się z ciasno opinającymi jej biodra spodenkami, to nie jest kolejna świnka-cichodajka, która na ciebie leci, bo robisz w mediach. To przerażona dziewczyna, która…

Przerwał na moment, spojrzał w górę i upewnił się, że Andżela nie sprawia wrażenia przerażonej. Gdy chwilę później zamienili się miejscami i to ona uklękła przed nim, przekonał się, hipnotyzowany rytmicznym ruchem jej głowy, że nie sprawia również wrażenia niedoświadczonej. A potem ujął ją pod ramiona. Wstała. Całowali się mocno, gdy oparł ją plecami o zimną burtę wozu strażackiego. Jedną stopę postawiła na stopniu. Wtuliła się w niego. Oby tylko nikt tu nie wpadł gasić

ognia, myślał, odpędzając strażackie metafory. Jedną ręką objął nagie biodra dziewczyny, drugą uniósł jej nogę, podtrzymując za udo.

Pożar ogarniał ich szybko, pospiesznie, zachłannie.

Gdy Anka dotarła do ostatnich wydarzeń, do Romusia i swastyki, zauważyła Jędrka. Przywołała go gestem. Stanął obok. Zaczekał, aż Anka skończy opowieść. Staruszka trwała bez ruchu. Oczy utkwiła nieruchomo gdzieś daleko.

Podkomisarz przykucnął koło niej.

– Pani Kalenicowa – zagadnął. – Pamięta mnie pani, prawda? To ja, Jędrek Chowaniec, z policji. Czy wie pani coś o przeszłości pana Jana Ślebody?

Nawet na niego nie spojrzała.

Jędrek odchrząknął. Odezwał się raz jeszcze.

– Kzesno matko, jo wos barz pytom – rzekł łagodnie. – Pedzcie mi o Ślebodzie.

Babońka przyjrzała się mu bacznie. Jej wargi drgnęły. Ale wtedy właśnie na scenę wskoczył Józek, porwał mikrofon i huknął, jakby zapowiadał braci Golców:

– A teroz syćkik wos pytomy o uwage! Nastoł cas na występ specjalny! Cas na tradycyjną górolskom godke, co jom powie dla wos nasa Babońka Kalenicowa!

Staruszka powoli wstała, gdy rozległy się brawa. Rozejrzała się po sali. I raptem, jakby podjęła jakąś decyzję, energicznie ruszyła ku scenie.

*

Ubrali się pospiesznie, usiedli, jedno tuż przy drugim, oparci o pękatą oponę wozu strażackiego. Milczeli.

– Mój dziadek był hitlerowcem – powiedziała nagle.

– Witojcie do nos – rzekła Babońka, z obrzydzeniem odsuwając mikrofon. Nie był jej potrzebny. – Witojcie Sichlany, Budzowiany, wy z Zokopanego i z miasta, i wy pony tyz witojcie. Troche jo tu chodziyła między wami i słuchoła co godocie. I mnie sie widzi, co wy sie syćka pytocie o jednom godke. – Tu uśmiechnęła się szelmowsko. – He, kie tak barz sie pytocie, to wam powiym.

W ciszy rozsnuł się jej głos.

– Jednego casu beł se fajny górol co sie nazywoł Sabała, gazda hyrny a statecny, ba ino krapke pysny. Roz seł se Sabała dolinom, a ftej z drugiej strony prosto ku niemu seł Djaboł. Portki i cuche mioł ten Djaboł calućkie corne, takućkom copecke cornom, a na copecce śrybnom trupiom caske. I kie Sabałe uwidzioł, to sie okrutnie rozradowoł, jaze się roześmioł popod krótkim wąsickiem.

– Telo cie Sabało sukołek, aj sukołek! – wrzescy. – Ty złodzieju, ty dłużniku zatracony, ty co ino więcyl i więcyl dutków fces, ty chytry a ozrzutny, a fołsywy, a osukańcu oscypkowy, a grześniku, a jancykryście niecysty! Juści piekło ci sie nolezy – tak mu pedzioł.

– He, niek bedzie i tak, jako fces – pado mu na to Sabała. – Ale to jesce nie dzisiok.

– To jo cie wezne siłom – gado Djaboł.

– Kie jo sie nie dom – Sabała na to.

I tak sie kwile miarkujom i swojom siłom przekwalujom, zaroz się bedom pasować. Ale kie Diaboł uźrzoł, ze Sabała jest chłop wielgi a mocarny, barz się zafrasował. Stanon i do Sabały pado:

– Cy my to jakie śpiki, coby sie my mieli prać? Cy my se to inksym sposobem ni mozemy uradzić?

– Dy mozemy – pado na to Sabała. – Jako fces, mnie haw syćko jedno.

Ftej go wzion Djaboł na barz wielgom góre, na samiućkom Świnice, i pokozoł mu calućkie Podhole i jego bogactwa. I pedzioł mu:

– Kie mi się pokłonis, dom ci ja, Sabało, jesce śtyry roki na tym piyknym świecie.

Sabała beł chłop ozwozny. Pojźroł ino cy nikt inksý nie patrzoł, i godo:

– Jako fces.

I sie mu pokłonił piyknie. Ba ino cichućko, coby Djaboł nie słysoł, jak przi tem, z przeboceniem, pedzioł:

– Jo sie nie kłaniom, ba zadek wypinom, cobyś mnie Djabole zatracony w zadek pobośkoł.

Śtyry roki nie mały cas, ale i on przeminon sie het, a Djaboł znowu przyseł do Sabały.

– Bier sie, Sabało, i chyboj! – pado. – Bo juz na cie do piekła cas!

– He, niek bedzie jako fces – pado zaś Sabała. – Ba ino jesce nie dzisiok.

– To jo cie wezne siłom – gado zaś Djaboł.

– Kie jo sie nie dom – pado mu zaś Sabała.

I zaś sie miarkujom, i zaś sie Djaboł zafrasowoł, kiej pojon, ze Sabała jest chłop wielgi a mocarny. I zaś mu pado:

– Okfiaruj mi nowiynksy podarunek, ftej dom ci ja, Sabało, jesce rok.

A na to Sabała godo:

– Bier telo, co mom nowiynksygo: moik synków, ftórzi som takućcy wieldzy a mocarni jako jo. Bier se ich do swojej diabelskiej langwery.

Djaboł sie pierwyj okrutnie rozradował, synków Sabałowych chycił i wzion do diabelskiej langwery. Ale calućki dzień nie minon, kiej Djaboł z synami przyseł nazad.

– Hej, mój ostomiły człeku, bier tyk jancykrystów zatraconyk nazod, bo mi piekło ozdupcom – godo. – Ino sie kcom z djabołami praskać, abo z nimi gorzołke pijom. Co ino ześ mi ik doł, to juz połowa piekła spraskano, a połowa niekrzeźwo.

Drugi rok minon. Djaboł uparty zaś wyseł Sabale naprociw i go cekoł na pyrci, kany Sabała chadzoł.

– Bier sie wartko do piekła, Sabało – pado. – Bo jo juz casu nimom, telo mom w piekle frasunków. Oto dźwiirza piekła juz otocone bez janielskie wojska, a samiućki ik harnaś Poniezus idzie na przodku i straśnie na nos teremtetuje.

– He, niek bedzie jako fces – pado zaś Sabała. – Ba ino jesce nie dzisiok.

– To jo cie wezne siłom – Djaboł na to.

– Hej, telośmy sie mierzyli, to sie jesce zmierzymy – tak mu Sabała pedzioł.

– Ba jako? – pyto Djaboł.

– Mnie haw syćko jedno – pado Sabała.

– Coześ ty za człek, ze zawse mos cas i zawse ci syćko jedno? – zeźlił się Djaboł. – A moze byś ty roz pomyśloł jako sie momy zmierzać?

Ftej mu pado Sabała:

– Widzi sie mi, chłopce, co ty dzisiok w piekle cieniućko śpiywos. Toz sie zmierzmy ftóry z nos cieniej zaśpiywo. Jak ty cieniyj zaśpiywos, bedzie znacyć ześ mocniejsy i bede twój, na mój dusiu. Ale jak jo cieniyj zaśpiywom, pude du domu i więcyl się mierzyć nie bedziemy.

– Barz dobrze – pado Djaboł. I zaśpiywoł tak cieniućko jako nomniyjso baba, jaz sie zatrzynsły syćkie okna i syćkie śklonecki na Podholu.

– Teroz ty śpiywoj! – wrzescy. – Słysołeś kielo jo śpiywoł, to jak telo cieniućko nie zaśpiywos, toś mój!

Sabała sie zaś fcale wartko do śpiywanio nie broł, ba se coś medetowoł.

– Cosi się obowios i nie śpiywos – pyto się Djaboł.

– Barz się obowiom – pado mu Sabała. – Toz nie wiys, ze jak jo cieniućko zaśpiywom, to ci moze od tego głowa puknąć?

– He, to jo se jom musem cymsi zabezpiecyć – zafrasowoł sie Djaboł. A ze jego corna cucha beła

płóno, chycił sie pytoć Sabały, coby mu pozycył swojom hrubom wełnianom cuche. Sabała beł człek uzycliwy, cucehy Djabłowi doł, a ten poowiłoł se ś niom łeb, ze nic nie widzioł. I pado Sabale:

– To tero śpiywoj.

A Sabała wzion ciupazke, z całej siły sie ozegnoł i piznon w Djabłowy łeb aze się oźległo. Djaboł się kopyrtnon i omglił. Ale potem kie niekie przyseł do sobie i pedzioł:

– Na mój sto prowda, aleś ty człeku cieniućko zaśpiywoł.

Odwinon cuche z głowy i oddoł Sabale. A Sabała uźrzoł, ze cucha okrutnie uciorona od djabłowej cyrwonej juhy, co sie mu z kufy puściła. Ale Sabała beł chłop ozwozny. Cuche ino odwyrtnon i dyrdke prziodzioł. Pojźroł ino, cy nikt inksy nie patrzoł.

Kiej Djaboł zaś zacon słabować, bo telo tęgo dostoł, Sabała go bechnon i zrucił dołu w przepaść. Ale Djaboł, ten plugoc zatracony, kie spadoł, chyciył sie Sabały, z przeboceniem, za jojka. A hruby beł i ciyzki, i tak Sabałe pociongnon, jaze Sabała prasnon na kolana.

I tak jest jaze do dzisiok: Sabała cuche ucioronom nosi na odwyrtke. I w górak klyncy, bo Djaboła jako wielgi ciężor mo na jojkach[5].

– Ojciec dokładnie tak powiedział: hitlerowcem. – Andżela skinęła głową.

– Kolaborantem? – Bastian aż wstał. Gorączkowo próbował sobie przypomnieć historię drugiej wojny światowej, a ostatnio miał z nią do czynienia chyba w liceum.

– No, ale chyba jakimś takim mega.

– Czekaj, co on mógł takiego zrobić: na Gestapo donosił? Żydów wydawał? – głośno myślał.

– Nie wiem, ale kiedyś słyszałam, że on miał niemiecki mundur.

– Jesteś pewna? – popatrzył na nią. – Nie, to się kupy nie trzyma. Jaki mundur? Jeszcze rozumiem tam, na Pomorzu, że ktoś, jak Tusk, miał dziadka w Wehrmachcie. Ale tu, w górach?

– Mówię ci tylko to, co słyszałam! – Andżela się naburmuszyła.

– Co jeszcze słyszałaś?

– Nic. Nikt ze mną o tym nie rozmawiał, tyle co sama usłyszałam, jak się tata kłócił z mamą. Kiedyś się pożarli, że mój drugi dziadek nie chciał nam pożyczyć pieniędzy. Tata wrzeszczał, że to stary komuch, a mama mu wypaliła, że jej ojciec był w partii, ale jego ojciec nosił hitlerowski mundur. Strasznie na siebie krzyczeli, myślałam, że się rozwiodą. Mnie mówili tylko, że dziadek był złym człowiekiem. Ale nigdy nie padały konkrety, tylko taka ściema.

– Słuchaj – Bastianowi błyszczały oczy. – Musisz mi pomóc i dowiedzieć się więcej.

– Ale jakim cudem? – pisnęła. – Ja z nimi tak na poważnie od dawna nie rozmawiam! W dupie to mam i chcę wracać do domu!

Znowu zatrzęsła jej się broda, a kąciki ust odjechały do dołu. Teraz już nie wydało mu się to seksowne, ale żałosne. Czuł, że ogarnia go ekscytacja pomieszana z irytacją. Ekscytacja, bo właśnie trafił na trop i klocuszki układanki zaczynały pasować do siebie. Zemsta, zdrada, swastyka…

Irytacja – bo zły był na siebie, że poleciał na Andżelę, dziewczę jakich pełno w dyskotekach dla studentów pierwszego roku, jak sztubak na sąsiadkę z przeszłością.

– A może jednak poszlibyśmy do ciebie? – jęknęła płaczliwie. – Do hotelu? Moglibyśmy tam, hm, kontynuować i mogłabym się wreszcie umyć…

– A ty znowu? – wypalił Bastian. – Nerwicę masz z tym myciem, czy co? Słuchaj Andżela, teraz nie możemy nigdzie iść. Muszę tam wracać. Właśnie wpadłem na ważny trop i muszę to pociągnąć.

– Wpadłeś, jasne. Dzięki mnie wpadłeś. Teraz uważaj, żebyśmy to my nie wpadli. – Zaplotła ręce na piersiach i popatrzyła na niego wyzywająco.

Bastian poczuł, jak cała krew odpływa mu z twarzy. Tak ich poniosło, że nawet o tym nie pomyślał. Mogło być sto razy gorzej, niż gdyby przyłapano go z małolatą w pensjonacie: „Znany dziennikarz zrobił dziecko informatorce”. Wyobraził sobie siebie w ślubnym garniturze

prowadzącego do ołtarza brzuchatą Andżelę, a potem w obrzyganej koszuli, z wrzeszczącym kosmitą na rękach.

– A skąd miałbym wiedzieć, że to moje? – Stanął w rozkroku i lekko wspiął się na palce. – Skoro taka chętna jesteś na zabawy bez gumki, to kto tam wie, kto cię jeszcze dyma w tym Radomiu?

Andżela nic nie powiedziała. Wstała, popatrzyła na niego poważnie. Bez uśmiechu, bez płaczliwego grymasu. Przez chwilę wyglądała, jakby była dorosła.

– Pierdol się, Bastian – powiedziała. – Nie musisz się martwić, biorę tabletki. I zapamiętaj to sobie, jesteś gnojem.

Nie zdążył nic powiedzieć, a jej już nie było. Poczuł ulgę. Poczuł, że musi się napić. Najlepiej z panem Groniem.

Józek mocno zaciskał pięść na gryfie gęśli, grożąc nimi jak maczugą. Jego twarz purpurowiała teraz nad czerwoną kokardką od cuchy.

– Czy Babka rozum postradała?! – sapał. – Żeby gości mi taką godką obrażać? Gospodarza obrażać? To mnie Babka wykończyła, wie Babka? Stara, pomylona!

Babońka hardo zaciskała usta i patrzyła mu prosto w oczy.

– Józek, jak możesz?

Kaśka złapała brata za ramię. Odwrócił się gwałtownie, strząsnął jej rękę, złapał ją za przegub. Skuliła się.

– Przestoń, smarkocu! – zadźwięczał nagle głos Babońki. – Dość!

Puścił ramię siostry. Staruszka wstała. Nie sięgała mu nawet do piersi. Ale ona teraz rosła, a Józek malał. Mierzyła weń kościstym palcem.

– Dość. Ty smarkocu chytry, gazdo farbowany. Dość.

Czuł, jak wszyscy się gapią. Babońcyna dłoń ciążyła mu, jakby czekał na razy. A za ten występ, tej starej, pomylonej, to go zaraz pan Groń ze schodów spuści.

– Czegoz wy nie rozumiecie? – powiedział słabo. – Toz na was, na was syćko robie…

Zauważył, że Wojciech Groń przygląda mu się z boku.

Wszystko stracone.

Biznesmen podszedł do nich powoli. Minął Józka, nie patrząc mu w oczy. Stanął przed Babońką, nachylił się, z rewerencją ujął szorstką dłoń staruszki i delikatnie ucałował.

– Kłaniam się nisko przed waszą mądrością, krzesna matko – powiedział na głos.

Staruszka ściągnęła brwi.

– To była godka o nich wszystkich, prawda? – dodał ciszej, jeszcze nie puszczając jej dłoni.

– O nos syćkik – odparła.

Ale biznesmen już tego nie słyszał, odwracając się ku zgromadzonym.

– Prawda, moi drodzy, przychodzi w słowach hardych – ogłosił, unosząc otwarte dłonie. – Potrzebne nam słowa prawdy.

Ujął w dłonie plastikowy kubek. Na jego znak pojawiła się znikąd jedna z dziewczyn z tacą pełną oszronionych butelek wódki.

– Na szczęście są wśród nas tacy, co pamiętają – dodał. – Pijmy ich zdrowie! No, dalej, bawmy się!

W Józka jakby co wstąpiło. Wyskoczył na środek, roześmiał się, gwizdnął na palcach, wyciął kierpcem hołubca i zakrzyknął:

– Bawimy się! Góralsko muzyka! Heej!

Bastian podniósł do ust plastikowy kubek ostro pachnący alkoholem. Popatrzył na swoje dłonie, które trochę się jeszcze trzęsły, i rozejrzał się po sali. Pod ścianą Anka z gliniarzem szczebiotali do siebie, pochyleni jedno do drugiego. Co za sielanka, pomyślał i wsunął sobie do ust kiszonego

ogórka. Lokalny establishment knuł coś przy stole w kącie, kilka dziewcząt otoczyło wianuszkiem chłopaków z kapeli, słyszał ich tubalne i piskliwe śmiechy. Wszyscy wyglądali tak młodo, świeżo, krzepko i dorodnie, że Bastianowi, który co prawda paradował w markowych sportowych ciuchach, ale omal nie musiał ich wybierać na stoisku dla dzieci, zrobiło się markotnie.

Zmrużył oczy. Polowanie czas zacząć.

Niczego niespodziewający się Groń krążył z talerzykiem w ręku, od czasu do czasu przystając i włączając się w rozmowy. Z zafrasowaniem kiwał głową, czasem dźgał oskarżycielsko palcem powietrze, rozkładał ręce ze smutkiem, uśmiechał się ze zrozumieniem. Bastian robaczkowymi ruchami zbliżał się do Gronia, aż wreszcie znalazł się na tyle blisko, by ruszyć do akcji.

– Podoba mi się pana styl – powiedział nonszalancko. – To niespotykane, jak umiejętnie łączy pan to, co najlepsze w góralszczyźnie, która dla mnie trąci trochę cepelią, z tym, co najlepsze w, *you know, American way*.

Wzrok Gronia był podejrzliwy. Nie tędy droga, pomyślał Bastian.

– Przepraszam, nie przedstawiłem się. – Wyprostował się i zaczął bardziej oficjalnie. – Sebastian Strzygoń, krakowski „Flesz". Nie mogło nas tutaj zabraknąć, to przecież wyjątkowe wydarzenie! – Wykonał szeroki ruch ręką i pokiwał z uznaniem głową.

– Hm, w takim razie bardzo się cieszę – Groń pokraśniał.

– Zrobił pan na mnie dzisiaj wielkie wrażenie – kontynuował Bastian. – Mało kto ma dzisiaj odwagę tak otwarcie mówić o tym wszystkim. Wie pan, o ojczyźnie. Teraz to, jak się mówi, *passé*. Jakby „ojczyzna" to było jakieś brzydkie słowo.

Biznesmen popatrzył na Bastiana trochę przyjaźniej.

– Wie pan, przyznam się panu do czegoś. – Bastian pochyliłby się konfidencjonalnie do Gronia, gdyby nie to, że sięgał mu mniej więcej do ramienia. – Ja jestem tchórzem. Konformistą. – Groń popatrzył na niego z góry, zaskoczony. – Płynę z prądem. Jak sam pan widzi, nie dorastam do postaci pańskiego formatu – Bastian się roześmiał. – Ale dzisiaj rozbudził pan we mnie tęsknotę za czymś wielkim, za, nie wiem, heroizmem? Patrzę na te obrazki i nie wiem, jakbym się zachował, gdyby na przykład wybuchła wojna.

– A mój ojciec to przeżył – wciął się Groń. – Wojnę, głód, emigrację. To był dopiero człowiek wielkiego formatu. Z tych prawdziwych górali.

– Górale? – kontynuował Bastian, wpadłszy na kolejny trop. – Proszę tylko spojrzeć, jak oni pana potrzebują, jak na pana patrzą. Jak na ojca. Jakby pan potrafił uczynić ich lepszymi.

Groń aż uniósł się na palcach.

– Bardzo jestem ciekaw, co człowiek o pana kręgosłupie moralnym sądzi o tym wszystkim, co się ostatnio dzieje we wsi – zaszczebiotał Bastian, zarzucając wędkę. – Wie pan, rozmawiałem już o tym z tyloma ludźmi – gładko skłamał – …a każdy mówi co innego, plączą się w zeznaniach, kręcą. Że niby był hitlerowcem… – nie wiedział jeszcze, co to u diabła miałoby znaczyć, powtarzał tylko to, co usłyszał od Andżeli, modląc się, żeby się nie wygłupić, i bacznie obserwując twarz biznesmena – …złym człowiekiem, ale przecież żył tu tyle lat, wśród ludzi… Tak wiele już słyszałem, ale dalej nie wiem, jaka jest prawda…

– Ja panu powiem, jaka jest prawda! – zagrzmiał Groń. – To się właśnie zaczyna! Sprawiedliwość zeszła z gór po zdrajców, po szatański pomiot, który splamił dobre imię Podhala. Wypełniła się zemsta i powiem panu, że czuję w ustach jej słodki smak. Coś jeszcze panu powiem. Zanim go diabli wzięli, zdążyłem tej kanalii plunąć w twarz.

– Czy dobrze rozumiem – wtrącił dziennikarz, starając się nadać głosowi jak najbardziej opanowany, profesjonalny ton – że to, co spotkało Jana Ślebodę, było dobre? Sprawiedliwe?

Groń przyjrzał mu się bacznie. Zmrużył oczy.

– Niech go piekło pochłonie – odparł i odszedł.

Bastian wymacał w kieszeni iPhone'a i wyłączył nagrywanie.

– Duszno tu, nie? Ja mam dość – powiedział Jędrek, luzując kołnierzyk.

– Jeśli chcesz mi zaproponować spacer, to wyduś z siebie to wreszcie. – Anka uśmiechnęła się, zakręcając na palcu rudy lok.

Jędrek rozejrzał się nerwowo i bąknął coś niewyraźnie.

Ubodło ją to. Zacisnęła lekko wargi.

– No i co pan o tym wszystkim sądzi, komisarzu? – zagaiła, zmieniając ton.

– Nie wiem – mruknął. – Zdaje się, że wszyscy tu wszystko wiedzą, tylko nikt nie chce nic powiedzieć. Zwłaszcza policji.

– Co ja słyszę? – Bastian zmaterializował się przy nich w jednej chwili, szczerząc się do policjanta. – To pan władza mniej, z nas dwóch, zaawansowany w śledztwie?

Anka zaklęła pod nosem. Jędrek zacisnął zęby.

– Bo ja, by tak rzec, spenetrowałem kwestię dość dogłębnie. I czegoś się dowiedziałem.

– Słucham – warknął Chowaniec.

– No, chyba pan nie mówi poważnie. – Dziennikarz napawał się własnym uśmiechem, kątem oka zerkając na Ankę. – Pan ma swoje śledztwo, ja swoje. Tak się umawialiśmy, nie?

To, co zrobił Jędrek, z daleka wyglądało jak przyjazne ujęcie pod łokieć. Z bliska bolało.

– Mów – syknął. – Albo cię przesłucham.

– Będziesz musiał mieć nakaz sądowy. – Bastian skulił się i przestał uśmiechać. – Tajemnica dziennikarska…

– Żaden problem. – Policjant był od niego o ponad głowę wyższy. – Wie pan, panie redaktorze, my tu na prowincji wszyscy się znamy, z sędzią na przykład.

Mierzyli się wzrokiem.

– Stary Śleboda był hitlerowcem – skapitulował Bastian.

– Jak to: hitlerowcem? Chyba kolaborantem? – zapytała Anka.

– Hitlerowcem. Tak mówi moje źródło. Bardzo dobre – obruszył się Bastian, rozcierając łokieć. – Że miał hitlerowski mundur.

Anka przywołała w głowie wszystko, co czytała na ten temat.

– Podejmowano takie próby – powiedziała powoli. – Komitet Góralski, oficjalny organ kolaborujących z Niemcami górali spod znaku Goralenvolku, chciał powołać góralski legion Waffen-SS chyba w czterdziestym trzecim. Ale większość ochotników zwiała, zostało kilku. A jeszcze wcześniej, na początku wojny, wymyślili góralską służbę wartowniczą na Wawelu, u Hansa Franka. Ale ich też było tylko kilku.

– Górale w SS? Jaja sobie robisz? – jęknął dziennikarz. – Jaki Komitet Góralski?

– Jezu, Bastian, nie mów, że o Goralenvolku też nie słyszałeś.

– A gdzie miałem słyszeć? – zdenerwował się. – W szkole może? W podręcznikach to wyczytałaś?

Tu miał rację. Dopiero niedawno zaczęło się o tym poważniej pisać i nie obyło się bez awantur. A wcześniej, jeśli gdzieś natykała się na informacje o góralskiej zdradzie, to pisane zdawkowo i opatrzone uwagą, że tak naprawdę niewiele wiadomo.

Opowiedziała więc pokrótce to, co wiedziała. Zauważyła, że Jędrek, choć wcześniej dawał do zrozumienia, iż zna temat, też słucha uważnie. Widać jemu również w szkole niewiele mówili. Opowiedziała o góralofilu i germanofilu, ceperskim intelektualiście Henryku Szatkowskim, o cwanym, zadłużonym gaździe, działaczu, maskotce przedwojennych dygnitarzy Wacku Krzeptowskim, o tajemniczym agencie Abwehry Witalisie Wiederze, na którego wielu chętnie zwaliłoby całą winę, jakby to on sam jeden, a nie Krzeptowski, Szatkowski i grupa górali założyli Komitet Góralski – organ zarządzający zdradą. O podchwyconych przez nazistów teoriach, jakoby

góralskie spinki były wyjątkowo podobne do gockich, co, pospołu z krzyżykiem niespodzianym, niezbicie miało dowodzić góralskiej przynależności do rasy panów, a przynajmniej ich dalekich krewnych – do Goralenvolku. O tym, jak już w listopadzie 1939 roku Krzeptowski składał hołd Hansowi Frankowi w imieniu górali. O tym, jak na Podhalu wydawano specjalne kenkarty przeznaczone dla narodu góralskiego – oznaczane literą „G".

– I oni wszyscy je brali? – Bastian nabrał powietrza. – Przecież Polacy nie byli kolaborantami!

– Wiesz, historycy się do dziś kłócą, czy brało je dużo czy mało ludzi, czy z ochotą czy pod przymusem – stłumiła uśmiech, widząc marsowe czoło Jędrka. – Pewnie bywało i tak, i tak.

– Ale czekaj – zamachał rękami Bastian. – Jak taki góralski esesman mógłby sobie spokojnie żyć w wiosce? Przecież chyba ich potem, po wojnie, jakoś wyłapywali?

– Wacka Krzeptowskiego zabili partyzanci. Szatkowski i Wieder uciekli. Reszta dostała od ludowego państwa wyroki – perorowała Anka, cała w akademickim żywiole. – A potem się o tym pewnie przestało mówić, prawda, Jędrek? Opowiadał ci ktoś kiedyś w domu o Goralenvolku?

Policjant pokręcił tylko głową.

Wtedy dobiegły ich podniesione głosy.

Na przeciwległym końcu sali nad stolikiem stał, lekko się chwiejąc, poczerwieniały na twarzy od alkoholu Wojciech Groń. Przy stole siedziało kilka osób, między innymi Wendelin Pysior i Krzysztof Żur-Górzański. Ten pierwszy właśnie wstawał, celując w Gronia palcem.

– A pewnie, że tak! – pienił się Groń. – Była zdrada! Jedna wielka zdrada! Właśnie tak!

– Panie, siadaj pan – przekrzyczał go Pysior. – Siadaj i lepiej przestań gadać.

– Panie Groń – Żur przemówił głośno, ale uspokajającym tonem. – Naprawdę, niech się pan nie daje manipulować antypolskiej propagandzie. To nie jest taka prosta sprawa, nie można jednoznacznie powiedzieć, historycy się spierają, tam wchodziły w grę czynniki agenturalne. Poza tym, wojna była, ciężko się żyło…

– Prawda was w uszy kłuje – sapnął Groń. – Prawdy o sobie się boicie.

– Nie pierdol pan! – wrzasnął Pysior, też wstając. – Całą komunę myśmy tu ojczyznę przechowywali w sercach, Panu Bogu i Polsce służyli, a ten grzał się w Hameryce, a teraz przyjeżdża i oskarża.

– To przez zdrajców! – ryknął Groń, odwracając się do otaczającego ich tłumu. Chwiał się na nogach i wodził palcem po ludziach. – Przez zdrajców mój ojciec musiał uciekać z kraju! Ilu z waszych ojców i dziadków ujęło się za moim ojcem? Ilu wtedy pomogło? Mój ojciec walczył w lesie, a oni? – nabrał powietrza i wybuchnął: – Pobrali kenkarty!

Zakotłowało się. Pysior ryknął i skoczył ku Groniowi, biorąc zamach. Zaczepił o kant ławy, zachwiał się na śliskiej podłodze. Groń odskoczył. Pysiora złapał za ramiona Krzysztof Żur, ktoś z tłumu powstrzymał biznesmena.

Anka popatrzyła wyczekująco na reakcję Jędrka, w końcu był policjantem. Ten ani drgnął.

Gwar podniesionych głosów, żali, przekleństw, wymyślań i oburzeń nagle ścichł.

Przez środek sali szła Babońka. Sztywno, nie patrząc na nikogo. Ludzie rozstępowali się przed nią.

Anka próbowała coś powiedzieć, gdy ją mijała.

– Pódź za mną, córka – staruszka rzekła do niej cicho. – Oni nicego nie pojmujom.

Policjant stał na schodach remizy i patrzył, jak w mroku sylwetki Babońki i Anki znikają mu z oczu, skręcając na Kalenice.

Patrzył za nią. Jak na lekkim wietrze burzą się jej rude włosy. Jak w rytm kroków kołyszą się jej opięte dżinsami biodra. Patrzył za nią, za Anką z Krakowa, miastową od Kaleniców, co zawsze umiała zobaczyć rzeczy, których on nie widział. Co w lesie, w którym on widział tylko drzewa, dostrzegała systemy i struktury, a gdy on nudził się śmiertelnie, ona godzinami potrafiła czekać

w ukryciu, aż pojawią się łanie.

A on, gdy kończyły się wakacje, tak bardzo chciał, żeby znów przyjechała, żeby znów kazała mu za sobą łazić godzinami. Bo bardziej nie dawała mu spokoju, gdy jej nie było, niż gdy była.

Patrzył za Anką z Krakowa, której nigdy nie ośmielił się pocałować. Na którą zaczajał się za żywopłotem, gdy szła się opalać do ogrodu, na przemian wyobrażając sobie jej nagość pod kostiumem kąpielowym i wpatrując się, jak marszczy zadarty piegowaty nos i w zamyśleniu nawija na palec pukiel rudych włosów.

Minęło tyle lat, a ona znowu nie dawała mu spokoju.

Chowaniec zacisnął zęby. Wiedział, jak bardzo jest nie fair. I kompletnie nic na to nie potrafił poradzić.

Zaklął, gdy zadzwoniła jego komórka.

– Przyjedź natychmiast – usłyszał w słuchawce. – Chodzi o twojego aresztanta, tego całego Romusia.

– Co z nim?

– Chłopie, musisz to zobaczyć.

Babońka pchnęła koślawe drzwi i zniknęła w izbie. Anka czekała w półmroku kuchni, nieco skrępowana. Przymknęła oczy, próbując uporządkować wszystko to, czego się dziś dowiedziała. Przypomniało się jej, jak podczas Babońcynej godki początkowe śmiechy i brawa przeradzały się w nerwowe chichoty, potem pomrukiwania, a na koniec w powszechne szemranie. Oklasków nie było. Jakby makabryczna śmierć starca spod lasu, od prawie siedemdziesięciu lat mieszkającego na Kiecorze, wśród młaków, góralskiego esesmana, rozdrapała nagle na ciele wioski dawno zaschnięty już strup, rozorała bliznę i rozbudziła zapomniany ból.

Co jej powiedział Jędrek? Że nikt nic nie wiedział. „Normalnie, kruca fuks, omerta". A jeśli omerta, myślała, to może i wendeta? Czy ktoś po tylu latach chciałby się tak okrutnie mścić na starym człowieku? Co o tym wszystkim wiedział Głupi Romuś, skoro wyrzezał na jego drzwiach swastykę? Żeby tak tylko dało się z nim porozumieć…

Spokojnie, dziewczyno, skarciła się w myślach. To Jędrek jest tu policjantem, a nie ty. Ty, przypomnij sobie, jesteś na wakacjach.

W drzwiach kuchni stanęła Babońka. Jej twarz nikła w cieniu, oświetlona tylko żółtym blaskiem brudnej kuchennej żarówki. Staruszka, która nigdy nie dawała po sobie poznać emocji, teraz wydawała się odmieniona. Lśniły jej oczy. Wąskie usta, otoczone spękaliną zmarszczek, zaciskała tak, że nie było widać warg. Podeszła do stołu i stanęła nad Anką. Szybkim ruchem, jakim odstawia się gorące naczynie, coś przed nią położyła.

Anka opuściła wzrok na kruszejący ze starości, spękany na zgięciach niebieski kartonik składany na trzy. Do jego środkowej części przynitowana była zaskakująco ostra czarno-biała fotografia o ząbkowanych brzegach. Spoglądała z niej dziewczyna o mocnej szczęce i gęstych brwiach, o pociemniałej od słońca cerze i włosach przedzielonych wyraźnym przedziałkiem. Miała na sobie ciemny kubrak i bardzo poważną minę. Na część jej twarzy zachodził okrąg pieczęci z nazistowską wroną pośrodku.

Obok zdjęcia widniały dwa odciski palców. Poniżej – wykonany atramentem, staranny jak dziecięce, szkolne wprawki, rozedrgany nieco podpis: Łukaszczyk Maria.

Nastoletnia co najwyżej Babońka ze zdjęcia była tak bardzo podobna do Kaśki w szkolnych czasach.

Delikatnie, jakby chciała schwycić motyla za skrzydło, Anka ujęła karton opuszkami palców i złożyła. Teraz na środku widniały napisy po polsku i niemiecku: *Generalgouvernement* i *Generalne Gubernatorstwo,* a poniżej *Kennkarte* i *Karta rozpoznawcza*. W prawym zaś górnym rogu,

obwiedziona ramką, figurowała okrągła i niepozostawiająca wątpliwości litera „G”.

„G” jak „góralska”. Jak *Goralische*. Jak Goralenvolk.

Podkomisarz Chowaniec, zły i zmęczony, szedł za aspirantem przez korytarz, który po remoncie pachniał jeszcze farbą i onieśmielał bielą, wyglądając bardziej jak hol w przychodni niż jak droga do aresztanckich cel.

Aspirant zatrzymał się, westchnął ciężko, popatrzył na Jędrka wzrokiem oznaczającym „ja na siebie tego nie biorę” i przekręcił klucz.

Ze środka buchnął fetor niemytego od dawna ciała, trawionego mózgotrzepa i moczu. Na pryczy siedział Romuś. Wtulony w kąt celi kołysał się miarowo, przyciskając do piersi zaciśnięte dłonie. Nie uniósł wzroku. Tylko coś bezładnie, nerwowo i melodyjnie mantrował pod nosem.

– O kruca jego mać – powiedział Chowaniec.

Były na brzoskwiniowej lamperii i na białej ścianie ponad nią. Otaczały kołyszącego się staruszka jak zastygła wokół niego chmara ważek. Pieczołowicie wyskrobane paznokciem w świeżutkiej farbie. Mniejsze i większe, prawo- i lewoskrętne, równe i koślawe.

Swastyki.

Anka położyła się, czując, jak świat wiruje wokół niej. Słyszała przez otwarte okno chrobot kół na żwirowym podjeździe, a potem podniesione głosy – gruby, pełen wyrzutu głos Józka, oskarżycielski i pełen złości głos Kaśki, płaczliwy i uspokajający głos ciotki Kalenicowej. Trzasnęły drzwi wejściowe i głosy ucichły. Zapadła cisza. Zacisnęła powieki, przed oczami zatańczyły jej czerwone żyłki mroczków układające się w skomplikowany wzór, jak zmarszczki na babońcynej twarzy. Ruszony z posad świat dalej zataczał ósemki.

Otworzyła oczy i popatrzyła na pokój na poddaszu, jakby widziała go pierwszy raz w życiu. Jan Paweł II z kalendarza wydawał się uniesioną dłonią bardziej grozić niż błogosławić. Giewont z obrazka też wydawał się obcy, jakby ktoś namalował go w lustrzanym odbiciu – niby taki sam, ale kompletnie inny. Po ścianie pełzły cienie chmur sunących przez rozświetlone pełnią niebo. Anka wyciągnęła rękę, cienie zatańczyły. Przez chwilę wydawało jej się, że może ich dosięgnąć. Że może dłonią zetrzeć je ze ściany i odsłonić to, co pod nimi ukryte – całkowicie nowy obraz, drzwi do jakiegoś zapomnianego świata, zakopanego głęboko w kufrze jak góralska kenkarta Babońki.

Zawahała się, znieruchomiała z ręką uniesioną do góry, cedząc przez palce światło księżyca. Czy ma prawo pchnąć te drzwi? Przecież to nie Giewont, nie papież, nie pokój są tutaj obce.

To ona jest obca.

Ale z drugiej strony – obróciła dłoń, bawiąc się światłem, i twarz Jana Pawła II rozbłysła przyjaznym, jasnym uśmiechem – jest przecież naukowcem. Ma prawo pytać, jej ciekawość ma głębsze uzasadnienie. Nigdy wcześniej nie czuła się nagle tak blisko czegoś naprawdę ważnego, jak wtedy, gdy trzymała w dłoniach wyciągniętą z najgłębszego zakamarka panieńskiego kufra góralską kenkartę Babońki. Ten gest musiał mieć dla niej głębokie znaczenie, ona niczego nie robiła ot tak, bez powodu. To było wyróżnienie, ale i zobowiązanie. Do czego? Anka nie potrafiła powiedzieć, nie potrafiła też zdecydować, czy czuje ekscytację, że dotyka tajemnicy jak prawdziwy odkrywca, czy niepokój na myśl o możliwych konsekwencjach. W końcu ktoś przecież zginął, zarąbany siekierą, w taką samą noc jak ta. Czuła ciężar, jakby na piersiach usiadł jej wielki czarny kot, kradnąc oddech, jak w ludowych podaniach i wampirycznych legendach. Mąciło jej się w głowie i coś drżało w żołądku. Niczego już nie wiedziała, niczego nie była pewna.

Na dole chrupnęła klamka, trzasnęła zapalniczka, a potem na żwirze zabrzmiały energiczne kroki. Kuzynki, Anka poznała od razu. Przez chwilę miała ochotę do niej zejść, opowiedzieć o wszystkim, przegadać całą noc, tak jak kiedyś, tak jak ostatnio. Ale nie ruszyła się. Nerwowe kroki na dole nie

brzmiały, jakby kuzynka miała ochotę na pogaduchy o życiu i przeszłości. Trzasnęła bramka, kroki na żwirze stopniowo głuchły w ciszy. Gdzieś daleko ruszył samochód, zabuksowały opony.

Anka opuściła dłoń. Uchylone drzwi starej szafy zamknęły się bezszelestnie, a ich kontur zniknął, gdy chmura przesłoniła księżyc. Zapadała w sen, mając wrażenie, że usypia ją kołysanie pędzącego gdzieś, w niewiadomym kierunku pociągu.

* * *

Wojacy, wojacy,
wsyscyście jednacy,
telobyście byli
wsyscy jednej maci.

25 czerwca 1944 roku, godzina 3.35
okolice Palenicy Pańszczykowej

Na zielonej pałatce lśniła rosa. Gdzieś za reglem, za turniami wstawało słońce. Ale górską szosę spowijał jeszcze mrok przedświtu. Tym lepiej.

Przyczajony w parowie przy szosie, szczelnie przykryty pałatką, Andrzej tulił się do stena.

Uniósł się ostrożnie, słysząc pohukiwanie sowy zza ostrego wirażu szosy wiodącej z Zakopanego na Łysą Polanę. Zaraz za tym zakrętem był most na Suchej Wodzie, a potem następny zakręt. To było dobre miejsce. Dobre na zasadzkę. Z drugiej strony szosy odpowiedział jeden krótki gwizd. Jak echo zabrzmiał na to kolejny gwizd, z lasu ponad nimi. Wzdłuż parowu zagrzechotała przeładowywana broń.

Andrzej wyjrzał spod pałatki. Dwa metry od niego ukryty za krzewem radziecki partyzant z namaszczeniem układał obok siebie granaty.

Na radzieckich towarzyszy wpadli przypadkiem, na Krzywej Ulicy w Poroninie. Oni jechali furmanką, a sowieci szli w przeciwną stronę. W ciszy, która wtedy zaległa na prawie całą minutę, gdy partyzanci mierzyli się wzrokiem, dłońmi błądząc przy rękojeściach broni, Andrzej słyszał bicie własnego serca. Na szczęście Przygoda był dowódcą pragmatycznym, a równie pragmatyczny okazał się dowódca czerwonych. I zamiast się tam, na Krzywej Ulicy, powystrzelać, umówili się na wspólną akcję. Towarzysze nie tylko okazali się mieć całkiem niezłe rozpoznanie ruchów Niemców na Podhalu, ale też zgodzili się wziąć z akcji tylko zdobyczne papiery, broń zostawić im. A oni byli młodym oddziałem dywersji, dopiero co zawiązanym, i broni potrzebowali jak krwi. To miała być ich pierwsza prawdziwa akcja.

Andrzej zacisnął mocniej dłoń na rękojeści stena. Z tamtego pociągu, z ośnieżonego pola pod Makowem, nie było już powrotu do domu. Zapadł na pewien czas w szałasie pod Kopieńcem, gdzie wył po nocach, gdy donosili mu, że przyszły się po niego, dezertera, upomnieć gestapy, że zabrali w zamian Antka, jego brata, co miał czternaście lat, że podobno wysłali chłopca na roboty do Rzeszy. Wył, gdy donosili mu, że ojcu krew po tym uderzyła do głowy i leży teraz prawie bez ducha.

A potem wył, gdy donieśli mu, że Jasiek wrócił. W mundurze.

Podobno, tak we wsi mówili, dostał kulę w biodro na wschodnim froncie i odesłali go do domu na kurację. Podobno, gdy wyszedł z zakopiańskiego lazaretu, paradził się po wsi w esesmańskim mundurze wsparty na ciupazce. I podobno, chociaż na przepustce, służył Niemcom za przewodnika, jeździł z ichnimi konwojami, bo żaden ze szkopów tak Podhala przecież nie znał jak on. Ufali mu.

I gdy Andrzej obudził się pewnego dnia o świcie i poczuł, że już dłużej nie zniesie bezsilnego wycia, nie wytrzyma już zamknięcia w szałasie, wyszedł o wschodzie słońca na Kopieniec. I klęknął, i przysiągł Panu Bogu. Przysiągł za swojego brata i za ojca, przysiągł na życie swojej starej matki.

Przysiągł Panu Bogu śrybnom trupiom caske z esesmańskiej czapki, że mu ją tu, na szczycie

Kopieńca, złoży w ofierze.

A potem zszedł do Poronina, pokazał się księdzu. A ksiądz mu przyprowadził Przygodę. Porucznik Przygoda przyjechał z Warszawy i organizował przy poronińskiej placówce ZWZ-AK partyzancki oddział dywersyjny.

– Beecie mieli co po mnie? – zapytał go Andrzej. Żołnierz się uśmiechnął.

– Jakie chcesz mieć przezwisko? – zapytał tylko. Andrzej milczał przez chwilę.

– Pomsta – odpowiedział wreszcie cicho.

Było ich ze trzydziestu chłopa. Nazywali się „Ciupaga". I bardzo chcieli się bić.

Zza zakrętu, nisko schylony, przemknął parowem Gerard, ochotnik ze Śląska, co po polsku umiał tylko „Wojsko Polskie" i „dziękuję". Pokazał trzy palce, padł na ziemię i oparł swoją pepeszę o pniak.

Jechali.

Poranne ptaki milkły, gdy od Łysej Polany narastał warkot trzech dieslów. Ziemia pod Andrzejem robiła się lodowata, rześkie powietrze poranka nagle zaczęło wokół niego gęstnieć jak przed burzą, zostawiało na języku metaliczny smak. Czubki palców mrowiły, żołądek twardniał. Szumu Suchej Wody nie było już słychać, bo w uszach dźwięczało tylko napięcie. Czuł się jak przy gorączce, jak na widok nagiej dziewczyny, jak zwieszony nad przepaścią.

Dźwięk silników zmienił ton, gdy szoferzy zwalniali, redukując bieg.

Pierwsza ciężarówka wypadła zza zakrętu.

Las zawibrował zbójnickimi gwizdami, z ziemi i z drzew skoczyły uzbrojone postacie, leśni harnasie. Zaczęła się strzelanina. Gerard grzał po pace ciężarówki, radziecki towarzysz szerokim gestem cisnął granat pod koła.

Granat nie wybuchł.

– *Bljadź!*

Kierowca otworzył przepustnicę, ciężarówka ryknęła i wystrzeliła w przód, piechurzy na pace ostrzeliwali się, pośpiesznie stawiając pancerne osłony. Drugi wóz pomknął w ślad za pierwszym. Andrzej, leżąc płasko, zaciskał w pięści lufę stena. Ziemia, jego ziemia, nie pozwalała mu wstać, bała się go puścić. Nic nie słyszał, w uszach miał jakby śpiew. Zobaczył, jak na środek szosy dziko skacze Sułtan, waląc prosto w szoferkę trzeciej ciężarówki. I jak, pokracznie wymachując rękami, krzesa hołubce ze śmiercią, bo salwa z drugiego auta dziurawi mu plecy. Jak chłopcy uciekają w las, skaczą na skarpę, jak zza osłon Niemcy zieją ogniem. Wtedy poleciał drugi granat.

Łupnęło. Andrzejowi w uszach zadudniła lawina. Trzecia ciężarówka zakołysała się, wzięła ostry skręt i spadła z szosy do parowu, waląc się na bok.

– Pomstaaa! Strzyloj!!!

Pomsta.

Dźwignął stena. Podniósł się. Krzyczał. Biegł. Strzelał. Widział, jak Niemcy skaczą z przewróconego wozu, jak rzucają się w gęstwinę. Widział bardzo wyraźnie ich twarze. Jasne, pryszczate, chłopięce, wykrzywione gniewem, bólem, lękiem, płaczem.

I bardzo wyraźnie widział na ich czapkach polowych haftowane srebrną nicią trupie czaszki.

Już otoczyli wrak. Nie było brania jeńców. Krótka seria pepeszy, bagnet, nóż. Krew.

– Za nimi!

Andrzej rzucił się w stronę lasu, gdzie rozpierzchły się niedobitki Niemców. Wywalił serię. Schował się za pękatego buka, by przeładować stena. I zobaczył wśród drzew znajomą postać, wysokiego esesmana o smagłej twarzy, orlim nosie i blond włosach. Zamarł. I zaczął się gwałtownie szarpać z magazynkiem. Ich spojrzenia się spotkały.

Nagle gdzieś z boku rozległ się strzał. Andrzej instynktownie przypadł do ziemi.

Gdy się podniósł, las był pusty.

– Uciekoj stela, Jaśku!!! – wrzeszczał w głuszę, klęcząc wśród mokrej darni z zaciśniętymi pięściami. – Uciekoj kielo fces!!! Hej, nieprec mi ucieknies!!!

ROZDZIAŁ 7

Janiczku, Janiczku,
sto gromów do ciebie,
po całej dziedzinie
idzie hyr o ciebie.

Podkomisarz Chowaniec cisnął komórkę na biurko. Od rana próbował się dodzwonić do Mieczysława Ślebody. Miał do niego kilka bardzo zasadniczych pytań. O zatajanie informacji kluczowych dla sprawy.

Przeszłość jego ojca stawiała wszystko w nowym świetle.

W płonnej nadziei, że dowie się czegoś o znaczeniu wszystkich tych swastyk, których w ostatnim czasie zrobiło się wokół niego więcej, niż widział na ścianach bloków w Zakopanem, potrząsał wczoraj Głupim Romusiem i darł się na niego jak filmowy zły glina. Na próżno. Patrzyły na niego mętne oczy, otwarte szeroko jak u dręczonego dziecka. Z niezrozumiałych mantr nic nie dało się wyczytać.

Prokuratora miał po swojej stronie, więc postanowił, że Romusia na razie nie wypuści. Posiedzi sobie śmierdziel pod celą, to może mu się klepki poukładają i coś z siebie wydusi. „Jak się zdecydujesz zeznawać, to stąd wyjdziesz", powtórzył mu wczoraj kilka razy z nadzieją, że starzec coś z tego rozumie. Ale jego puste spojrzenie niczego takiego nie obiecywało.

Wreszcie telefon zatańczył na stercie papierów, piszcząc nieśmiertelną melodyjkę *Nokia Tune*.

Na wyświetlaczu pojawiło się „Dziennikarz Strzygoń Dupek". Czego on chce?

– Chowaniec, słucham – rzucił.

Z telefonu dobiegło go ciężkie dyszenie. Rwący się, krótki, oddech. Przechodzący w wysokie, niekontrolowane paniczne łkanie.

Szloch. Bastian Strzygoń, dziennikarz śledczy „Flesza", lanser, pozer i sukinsyn płakał.

– Halo? – zapytał ostrożnie.

– Kurwa! Kurwa! Jezu! Kurwa! – usłyszał nagle wrzask.

– Panie Strzygoń?

– Cali we krwi, kurwaaa!!!

– Panie Sebastianie, gdzie pan jest? Co się stało?

– Nie żyją!!! Nie żyją!!! Oni nie żyją!!! Jezuuu!!!

Podłoga pod stopami policjanta zakołysała się groźnie. Poczuł, jak przez żyły przebiega mu spazm adrenaliny. Nie musiał pytać. Ale zapytał.

– Panie Sebastianie, kto nie żyje? Halo?

Na chwilę zrobiło się całkiem cicho.

– Wszyscy! Ślebodowie! Andżelaaa!!!

Na zewnątrz ktoś biegał, dzwoniły telefony, ale nic z tych dźwięków nie docierało do niego. Skulony na krześle, tak że wydawał się jeszcze mniejszy, niż był w rzeczywistości, zaciskał pięści i szczęki. Oczu nie chciał zamykać, żeby pod powiekami znowu tego nie zobaczyć.

Tytuł: Masakra w ruderze pod lasem

Autor: Sebastian Strzygoń

Była zwykłą dziewczyną, miała dziewiętnaście lat. Chciała studiować zarządzanie, chociaż tak naprawdę pociągało ją dziennikarstwo. Już nie zrealizuje swoich marzeń…

– Zamknij się! – wrzasnął sam na siebie. To nie żadna medialna bajka dla tramwajarzy i gospodyń domowych. To się dzieje naprawdę. To jej krew masz na nogawce.

Jej życie właśnie nabierało kolorów. Poznała chłopaka, który…

…okazał się gnojem. „Zapamiętaj to sobie, jesteś gnojem". Tak, na pewno zapamięta. Spławił ją jak pierwszą lepszą, a ona tylko chciała się umyć. Jakby zabrał ją ze sobą do pensjonatu, to może by jeszcze żyła.

Złapał się za głowę i zamknął oczy. W szybkim jak błyskawica flashbacku zobaczył jej rozrzucone nienaturalnie, pobielałe jak marmur nogi, tonące w kałuży krwi klapki.

Wyrwał mu się krótki, stłumiony szloch.

– Bastian? – Skrzypnęły drzwi i ktoś wszedł do pomieszczenia.

Podniósł wzrok.

– Wszystko w porządku?

– Nie. Nic, kurwa, nie jest w porządku – wysyczał przez zęby.

– Wiem, przepraszam, głupie konwenanse – szybko odparła Anka. Usiadła naprzeciwko niego i uśmiechnęła się blado. Miała na sobie spodnie od dresu i czerwoną bluzę z kapturem. Wyglądała jak wyrwana z łóżka.

– Co ty tutaj robisz? – zapytał półszeptem.

– Jędrek mnie poprosił, żebym z tobą posiedziała. Jestem jedyną osobą, która cię tu zna. Odprowadzę cię do pensjonatu, a potem wsadzę w autobus do Krakowa – mówiła cicho, jak do dziecka.

Odprowadzi mnie do pensjonatu, a rano wsadzi w autobus do Krakowa, powtórzył sobie w myślach. To brzmiało nawet nieźle. Dwie godziny z czołem opartym o szybę autokaru, potem kilka piw, może ktoś znajomy będzie na mieście, może skończą w Ambasadzie Śledzia albo w Zakąskach i Wódce na kilku szybkich zagryzanych czymś kwaśnym. A potem spać do południa, zjeść coś niezdrowego, pobujać się po mieście, pójść do redakcji, powiedzieć, że temat nie wypalił, wziąć się za coś nowego, wkręcić się, rzucić się, byle dalej.

Odprowadzi mnie do pensjonatu, a rano wsadzi w autobus do Krakowa. Pani doktor Serafin weźmie go za rączkę, zaprowadzi, wsadzi do autobusu, pomacha, powie, że wszystko będzie dobrze. Odprowadzi mnie do pensjonatu, a rano wsadzi w autobus do Krakowa. Co ona sobie, kurwa, myśli?

– Nie – pokręcił głową.

Anka ściągnęła brwi. Zupełnie jak nauczycielka, której się uczniak sprzeciwia, pomyślał.

– Jak to: nie? Bastian, po tym, co dzisiaj przeszedłeś, musisz…

– Wiem, co muszę – odparł. – Nie wyjadę stąd, póki się nie dowiem, co tu się dzieje, Anka. Ja jestem dziennikarzem. Nie dam się spławić. Ani wystraszyć – ciągnął. – I nie wierzę tym sierotom z policji za grosz, że wiedzą, co robią.

– Zrobisz, jak zechcesz – Anka wzruszyła ramionami. – Ale wiesz, sytuacja się skomplikowała, teraz to już naprawdę poważna sprawa. Teraz to są już w sumie cztery trupy. Jeden mój i trzy twoje…

– Znalazłaś sobie moment na złośliwości.

Zimna ryba, za grosz wyczucia, pomyślał. Nawet go nie dotknęła. Nawet udawanie współczucia jej nie wychodzi.

Wyłuskał z paczki pogniecionego slima i spróbował odpalić. Wyjęła mu z trzęsących się rąk zapalniczkę i przypaliła. Spalił pół papierosa za jednym zaciągnięciem się i strząsnął popiół na podłogę.

– Chcesz o tym pogadać?

– Nie – warknął. – Opowiadałem o tym przez ostatnią godzinę twojemu przyjacielowi i jego

kumplom, niektóre fragmenty trzeba im było kilka razy tłumaczyć, bo widocznie są tak ograniczeni, że nie rozumieją. Więc nie chcę o tym z tobą rozmawiać, kapujesz? Co chcesz usłyszeć? Że tam jest krew na ścianach, na podłodze, na meblach, nawet, kurwa, na firankach?! A na środku oni, mięso, krew i flaki? I jebitna swastyka wysmarowana krwią na piecu?!

Podkomisarz Jędrek Chowaniec nie palił od dziesięciu lat. Teraz, oparty o futrynę rudery na Kiecorze, wciągnął dym głęboko w płuca. Powstrzymał kaszel. Pozwolił nikotynowemu mrowieniu rozejść się po kręgosłupie.

Na błotnistej drodze umundurowani funkcjonariusze ściągnięci z Poronina i Zakopanego, z charakterystycznym gestem wyciągniętych przed siebie dłoni, cierpliwie tłumaczyli gapiom, że jeśli zrobią jeszcze krok bliżej chaty, będą zmuszeni powyrywać im nogi z dup. Wyciągnięty prosto z łóżka prokurator siedział pochylony na stercie drewna i gadał przez komórkę. Na zmurszałym płocie okalającym chałupę powiewała niebiesko-biała policyjna taśma.

Wszystko wyglądało jak film puszczany w zwolnionym tempie.

– No to na razie tak. – Przed chałupę wyszedł Wojtek, ściągając lateksowe rękawiczki. – Śladów opon na drodze nie ma, w tej gównianej rozmokłej ziemi wszystko się rozmywa. Co do śladów stóp, to na zewnątrz znaleźliśmy tylko podeszwy dziennikarza, który znalazł ofiary. Jeśli jakieś ślady sprawców były, to ten leszcz je skutecznie zadeptał. Ale dokumentujemy. A teraz wołaj Wacka i chodźcie. Chowaniec schylił głowę, przechodząc przez niskie drzwi, prokurator wszedł za nim, trzymając się z tyłu. W kuchni trwał upiorny taniec. Technicy ze spokojem grabarzy krążyli po pomieszczeniu, co chwilę przykucając, muskając podłogę czy meble, jakby chcieli magicznym gestem wywołać ukryte ślady. Pęsetami unosili mikre drobiny, a przed schowaniem do fiolek unosili je nabożnie ku światłu, jak przy konsekracji. Ich taniec odbywał się po koncentrycznych kręgach, których centrum stanowiły trzy ciała.

Gdy Chowaniec przeszło godzinę temu wszedł tu po raz pierwszy, ciała spoczywały ułożone w trójkąt, w krzepnącej, karmazynowej kałuży. Mieczysław Śleboda leżał na boku, embrionalnie skulony, spod rozpiętej piżamy wylewał się mu owłosiony brzuch pokryty grudkami zestrupionej krwi. Głowę mężczyzna miał nienaturalnie zadartą i odchyloną ku tyłowi. Gardło rozpruto mu w jedną ziejącą jamę.

Jego żona leżała na wznak, wygięta w pałąk, z palcami rozcapierzonymi tak, jakby chciała wbić je w drewnianą podłogę. Zakrwawiona bawełniana koszula nocna lepiła się do jej wiotkich piersi, brzucha i ud. Głowa kobiety skręcona była nienaturalnie mocno, a szyja została poderżnięta tuż pod żuchwą, głęboko, jakby trzymała się teraz tylko na cienkim strzępie naciągniętej skóry.

Najbliżej drzwi leżała Andżela. Jej rozrzucone wokół głowy włosy lepiły się do krwi na podłodze i do jej białej jak kość twarzy. Ręce spoczywały wzdłuż tułowia. Była w długim T-shircie do spania, na którym Hello Kitty ledwo dało się rozróżnić wśród plam krwi. T-shirt zwinął się na jej udach, odsłaniając dziewczęce figi. Nogi miała szeroko rozrzucone. Na jednej stopie trzymała się różowa japonka, druga leżała przy jej goleni. Dziewczyna miała szeroko otwarte oczy, rozchylone usta, a szyję rozpłataną jednym, czystym cięciem o wyraźnych krawędziach, przez które przezierały purpurowe tkanki. Wyglądały jak nasączona posoką koronka.

Teraz wszyscy troje leżeli obok siebie w otwartych jeszcze workach. Na podłodze poniewierała się różowa japonka. Noc była chłodna i we wnętrzu na razie zbytnio nie cuchnęło. Ale lada chwila zacznie.

– Drzwi otworzył on – technik Wojtek wskazał na zwłoki Ślebody, a następnie na stertę stłuczonych butelek w sieni. – Od razu w drzwiach został ogłuszony, poleciał na te flaszki, znalazłem drobne rany i odłamki szkła na jego plecach. Potem sprawca wpada do izby, gdzie śpią obie kobiety, ogłusza je i taszczy wszystkich troje do kuchni. Zobacz – Wojtek przemieszczał się po wnętrzu

z zaskakującą jak na jego posturę delikatnością. – Nigdzie w sypialni nie ma śladów krwi. Pościel jest rozgrzebana, ewidentnie jedną z nich ściągano z łóżka i wleczono, zobacz, jak leży ten koc. Druga, pewnie młoda, spała na tym materacu, jest przemieszczony i zawinięty, jakby ją z niego zwlekano. Obie mają otarcia na łydkach i piętach, też wskazujące na wleczenie.

– Ogłuszył? – wtrącił się Chowaniec. Technik podszedł do worka ze zwłokami Mieczysława Ślebody i odsunął folię, odsłaniając tors mężczyzny.

– Zobacz.

Potem wskazał na ramię jego żony i brzuch córki.

Każde z ciał miało w tych miejscach parę bliźniaczych czerwonych plamek. Chowańcowi przypomniał się ślad, jaki miał, gdy jako dzieciak poparzył się rozgrzaną lutownicą.

– Paralizator – zawyrokował technik. – Ogłuszył ich, zawlókł do kuchni, a potem poderżnął gardła. Zobacz – tym razem wskazał na ścianę pod oknem, gdzie widniały wyraźne plamy rozpryskowe, jakby ktoś nabrał krwi na kropidło i chlapnął obficie. – A na koniec wziął to – dodał, unosząc z podłogi duży foliowy worek. W środku była poszwa od poduszki zwinięta jak powrósło. Z jednej strony pokryte krwią. – I użył tego jak pędzla, żeby namalować to.

Wskazał na pobielany komin nad piecem.

Nie dało się nie zauważyć ogromnej swastyki wymalowanej krwią. Krwią tych trojga.

– Ślady gwałtu? – zapytał Jędrek cicho, wskazując na nogi dziewczyny.

– Nie stwierdziłem obrażeń. Będziemy jeszcze sprawdzać, czy sprawca nie napaskudził swoim DNA, ale, jak na moje oko, do przemocy seksualnej nie doszło. Bielizny nawet nie ściągnął.

– Przyszedł tu zabić – mruknął podkomisarz.

Ale to nie było zabójstwo, myślał patrząc na worki, na piec, na zakrwawioną podłogę. To była egzekucja. Albo nawet gorzej. To wyglądało, jakby tu złożono jakąś chorą ofiarę, odprawiono makabryczny rytuał.

– On nie chciał ich tylko zabić – powiedział głucho. – Chciał zostawić wiadomość.

Podkomisarz wiedział, że będzie potrzebował konsultacji eksperta. I wiedział, co to będzie za ekspert. *Misterium tremendum et fascinans…*

Do środka zajrzał jeden z mundurowych.

– Jędrek, szef jedzie – szepnął. Chowaniec jakby zmalał. Zacisnął pięść.

– Mam, kruca fuks, przejebane.

Na skraju asfaltu zaparkowała granatowa Kia. Szef wysiadł, minął grupę gapiów, ciężko stąpając w błocie, zbliżał się do bramki. Chowaniec odchrząknął, podciągnął spodnie i wyszedł mu naprzeciw. Komendant nie podał mu ręki.

– Kurwa mać, Jędrek – powiedział na dzień dobry. – Teraz się ze mnie Kraków przez telefon śmieje, że nie zarządziłeś obserwacji miejsca zbrodni! – cedził. – Jakim cudem nie zarządziłeś obserwacji miejsca zbrodni, co? Filmów nie oglądasz?!

Jędrek bąknął coś pod nosem o ograniczonych środkach i zamknięciu etapu czynności śledczych obejmujących to miejsce.

– Śmieją się z nas, rozumiesz? A my mamy trzy nowe trupy. Zaraz tu będą media z całej Polski! Ja cię, Jędrek, natychmiast powinienem odsunąć od tej sprawy!

– Proszę tego nie robić – Jędrek prawie szeptał.

– A to niby dlaczego?

Podkomisarz stanął na baczność i skrzyżował ręce na plecach. Swastyka, wczorajsze rozmowy z Anką w remizie, Goralenvolk, Waffen-SS. Starał się ważyć słowa, wiedział, że to, co ma zamiar powiedzieć, jest bardzo na wyrost, ale miał swoją deskę ratunku i zamierzał się jej trzymać.

– Bo wiem, dlaczego zginęli.

Zapadła cisza. Komendant zbliżył twarz do jego twarzy.

– Jeśli to spierdolisz, to cię zniszczę, jasne? – syknął. – Kraków zdecydował, że przyśle posiłki. Dostaniesz pomagiera z komendy wojewódzkiej, z dochodzeniówki. I będziesz dla niego bardzo, bardzo miły, zrozumiano?

Kiedy o to zapytał, Anka wiedziała już, że się zgodzi. Chociaż oznaczało to, że właśnie kończą się wakacje, a ona wikła się w coś, z czego się pewnie już nigdy nie wywikła, bo dotknęło ją to zbyt głęboko. Nie da się tak po prostu znaleźć trupa i wrócić na leżaczek. Spojrzeć w oczy nastoletniej Babońki z kenkarty i powiedzieć „aha, to bardzo interesujące".

– Pomożesz mi? – zapytał półszeptem podkomisarz Jędrek Chowaniec.

– Tak – odszepnęła. – Dlaczego szepczemy?

– Bo to musi pozostać nieoficjalne.

– Jestem naukowcem – obruszyła się Anka. – Mam doktorat, nie mógłbyś mnie powołać na biegłego?

Popatrzył na nią czule i tylko pokręcił głową.

– Biegłych powołuje sąd, o ekspertyzę musiałby się zwrócić prokurator, byłaby z tego tylko masa biurokracji i każdy pytałby o koszty.

Ugryzł się w język. Wzięła się pod boki i popatrzyła na niego z ukosa.

– Mów od razu, że chcesz na mnie zaoszczędzić – westchnęła. – Zrobię to za darmo, po starej znajomości.

Oboje spojrzeli na Bastiana, który siedział w kącie, bujając się na krześle i palił.

– Musisz mi tylko jedno powiedzieć. – Ku zaskoczeniu Anki ujął ją za rękę. Wyglądał na skrępowanego własnym gestem. – Musisz mi powiedzieć, czy mogę wam zaufać.

– Co masz na myśli? – zapytała sztywno, oswobadzając dłoń. Policjant nie odpowiedział od razu.

– Ty znalazłaś pierwsze zwłoki. Pan redaktor kolejne. Znacie się, współpracujecie. Duży zbieg okoliczności, prawda?

Znieruchomiała z otwartymi ustami.

– Co ty, Jędruś, za przeproszeniem, pierdolisz? – jęknęła.

– Według szkoły FBI osoby, które znalazły zwłoki, powinno się zaliczać do kręgu podejrzanych – bąknął.

Bastian zerwał się z miejsca. W trzech krokach znalazł się przy Jędrku. Wyhamował tuż przed policjantem, celując weń palcem.

– Ciebie chyba pogięło. Podhalański agent Cooper się znalazł! Pierdolone Twin Peaks!

Policjant uniósł pojednawczo dłonie.

– Jędrek, nas tu przecież nawet nie było, jak zabito starego Ślebodę – zaczęła Anka. – Jak w ogóle możesz…

– Kruca fuks, Anka, ja nic innego nie robię, tylko próbuję zawęzić krąg podejrzanych – jęknął. – Ciągle mam pod celą Głupiego Romusia i nie wiem, jak go zmusić do gadania.

– Możecie go już chyba puścić? – zdziwiła się. – Przecież to nie on.

– Ale coś wie. I może coś w końcu powie.

– O, stosujemy areszt wydobywczy, panie komisarzu? – zdziwił się teatralnie Bastian. – I tak otwarcie pan o tym mówi? Przy prasie?

– Policja może zatrzymać podejrzanego, gdy zachodzi niemożność ustalenia miejsca pobytu tej osoby – wyrecytował Jędrek, patrząc dziennikarzowi prosto w oczy.

– I jak go odpowiednio długo potrzymacie za jaja, to może wydusi z siebie wreszcie: „Jestem Romuś Niemowa"?

– Możecie z łaski swojej przestać? – Anka podniosła głos. Działało na studentów, zadziałało też na tych dwóch. – Nie da się przez was myśleć.

Myślała intensywnie. Myślała o tym, co najbardziej rzucało się w oczy. Może poza, rzecz jasna, porąbanymi i zmasakrowanymi zwłokami. O tym, na czym znała się najlepiej.

Czuła, że coś się jej nie zgadza.

– Jędrek, czy przy zwłokach starego Ślebody były jakieś swastyki? – zapytała.

– Nie – odparł. – Swastyka pojawiła się dopiero potem. Ta na drzwiach, o której wiecie.

Przez głowę Bastiana przebiegało tysiąc myśli na sekundę. Z chwilą, gdy pojawiły się kolejne zwłoki, umowa z Chowańcem automatycznie wygasła. Tego się już nie da utrzymać w tajemnicy, zaraz tu będą media z całej Polski i to jest ostatni moment, żeby to on miał wyłączność. Poza tym nie wierzył w tego podhalańskiego agenta FBI ani trochę.

Anka myślała dalej. Co jeszcze może mieć znaczenie symboliczne? Zapytała Jędrka, posyłając Bastianowi przepraszające spojrzenie, że musi jeszcze raz przez to przechodzić, co dokładnie morderca zrobił z ciałami Ślebodów. Opowiedział jej, próbując być delikatnym.

– Te zbrodnie się różnią – podsumowała. – Owszem, i za pierwszym, i za drugim razem zbrodniarz okaleczył ciała, prawda? Rozczłonkowanie, poderżnięcie gardła jako symboliczna dekapitacja. W obu przypadkach jest mnóstwo krwi. Krew, krew, krew – mamrotała do siebie – życie i śmierć, tabu krwi, krew święta i nieczysta, przymierze krwi, przysięga na krew, błękitna krew, zła krew, zepsuta krew, krew z krwi, rodzina, dziedzictwo, krew i ziemia, *Blut Und Boden*, naród, nacjonalizm, nazizm, krew za krew, zemsta, krew brata twego woła o pomstę do nieba, krew jego na nas i dzieci nasze – zatrzymała się, próbując uchwycić to, co miała już na końcu języka. – Krwawa ofiara, ofiara przebłagalna, wina, zbrodnia, kara… Za dużo tych kontekstów i wszystko pasuje.

Podniosła głowę i napotkała spojrzenie Bastiana. Jędrek minę miał skupioną i skrzętnie notował coś w wymiętym notesie.

– Spróbujmy z innej strony. Dekapitacja, poderżnięte gardło, metoda prawie archaiczna i symbolicznie potężna. Do dzisiaj ludzie obcinają głowy swoich wrogów i zabierają je jako trofea, wywieszają ku przestrodze i potępieniu, jak w starożytności, jak w średniowieczu na murach, na mostach, na pikach. Tak też zabijano w rytuale ofiarnym: zwierzęciu podrzynano gardło, a krew miała spływać swobodnie na ołtarz. Ofiara musiała być czysta, niewinna, baranek bez skazy. Stary był hitlerowcem, zdrajcą, świnią, jak mówili we wsi. Tutaj kolejne skojarzenie, wiem, płynę, ale nie mogę się powstrzymać: świnia, czyli zwierzę nieczyste. Stary znika, wstydliwie uprzątnięty, jego śmierć to kara. Inaczej jego rodzina: krew z jego krwi. Jego syn, żona i dziewczyna, wnuczka. Oni byli niewinni. Ich śmierć to nie kara, to ofiara.

Jędrek patrzył na nią i zastanawiał się, jak działa jej umysł, co widzi takiego, czego on nie widzi, jak biegną jej skojarzenia. Bastian patrzył na nią i zastanawiał się, jak ona może tak spokojnie o tym wszystkim myśleć.

– Popatrzcie, za pierwszym razem sprawca ukrywa zwłoki, zaciera ślady, nie zostawia żadnych komunikatów. Za drugim sprawca robi dokładnie na odwrót! Porzuca ciała w widocznym miejscu, układa je w krąg, maluje krwią swastykę. Zostawia takie przesłanie, że nie da się go przegapić.

– Jeszcze jedno – wtrącił się nagle Jędrek. – To mi się wydawało bez sensu, ale pasuje do tego, co teraz mówisz. Inna jest też dynamika zadania śmierci. Śleboda ze sprawcą siedział, znaleźliśmy flaszkę po wódce, kieliszek i dwie szklanki po kawie. W pewnym momencie dostał w głowę. Potem mija jakaś godzina, sprawca rąbie ciało na kawałki i ukrywa w lesie. A rodzina Ślebodów? Otwierają sprawcy drzwi, a ten wpada do środka, ogłusza ich, a potem bestialsko morduje. Za pierwszym razem powoli, za drugim szybko.

– To dlaczego zdecydował się nam zostawić przesłanie dopiero za drugim razem? – wtrącił się Bastian.

Wspomnienie wczorajszych rozmów, napięcia, wreszcie babońcynej godki wszyscy troje mieli świeżo w głowach.

– Bo… – zaczęła powoli mówić Anka – …za pierwszym razem jego motyw był sprawą osobistą… To była sprawa między mordercą a Ślebodą.

Bastian w przebłysku przypomniał sobie jeszcze jedną wczorajszą rozmowę. Poczuł dreszcz, wiedział więcej od nich dwojga.

– …a za drugim… – ciągnęła Anka.

Bastian w kolejnym przebłysku szybko kalkulował. Co straci, jeśli im powie? Ekskluzywną wiedzę, która może właśnie jego doprowadzić do rozwiązania sprawy. Co zyska? Nic. Bo przecież policja i tak sobie z tym nie poradzi.

– …jego motyw stał się sprawą społeczną – dokończyła Anka. – Najpierw Romuś wyciął na drzwiach swastykę, dopowiadając to, czego nie powiedział morderca. Potem wszyscy zaczęli o tym gadać, cała wieś pytluje o przeszłości starego Ślebody. I przy okazji wypłynęło na wierzch to, o czym przez lata wszyscy starali się zapomnieć. Mleko się rozlało, wymierzona chyłkiem kara nie wystarczyła, żeby wszyscy znowu byli czyści. Ukrywanie motywu nie miało już sensu. Ofiara musiała zostać spełniona przed całym zgromadzeniem.

Skończyła i stanęła wyprostowana na środku pomieszczenia jak piątkowa uczennica, Hermiona Granger polskiej antropologii kultury.

– Ale to może też znaczyć – dopowiedział ostrożnie Chowaniec – że morderca był wczoraj w remizie. Najważniejsze pytanie brzmi…

– Kto aż tak bardzo nienawidził starego Ślebody za jego okupacyjną przeszłość? – przerwała mu Anka.

– Wszyscy i nikt – mruknął Jędrek. – Jakem się próbował rozpytywać, to wszyscy powtarzają, że to stare dzieje i nie ma o czym mówić. Omerta, mówiłem ci.

Bastian zgiął się wpół i jęknął, chwytając się za brzuch.

– Co ci jest? – zapytała Anka. Jędrek przyglądał się mu podejrzliwie.

– Nic, nic – sapnął. Widziała, że lekko drży. – Przepraszam was, słuchajcie, chyba jeszcze nie doszedłem do siebie, po tym… tym dziś rano… a potem wypaliłem stertę fajek, nic nie jadłem… trochę mnie mdli. Pójdę już, dobrze? Jeśli nie jestem zatrzymany, panie komisarzu?

Wstał ociężale i poszedł do drzwi.

– Nie chcesz, żebym poszła z tobą? – zapytała Anka. Jędrek obserwował jej mimikę. Wyglądała na naprawdę zatroskaną. A mówiła, że nic ich nie łączy. I gdzie on się tak nagle śpieszy?

– Nie, serio, Anka, spoko jesteś. I sorry, że byłem wcześniej takim kutasem. Dzięki że przyszłaś.

Mrugnął do niej i wyszedł.

– Proszę być pod telefonem! – zawołał za nim Jędrek, kręcąc głową.

Zrobiło się cicho.

– To co teraz? – Anka czuła, że opada z niej napięcie.

– Pomyślałem, że może zaproszę cię na obiad – mruknął Chowaniec i spuścił wzrok. Uśmiechnęła się do niego. Odetchnął, chociaż gdzieś głęboko dzwonił mu w głowie ostrzegawczy dzwonek i retoryczne pytanie: na co liczy i z czym się nie liczy.

Sprawiedliwość zeszła z gór po zdrajców, po szatański pomiot, który splamił dobre imię Podhala. Wypełniła się zemsta i powiem panu, że czuję w ustach jej słodki smak.

Bastian siedział na werandzie swojego pensjonatu z nogami na balustradzie. W jednej ręce trzymał kawałek pizzy z barowej mikrofalówki, w drugiej kufel piwa. W uszach miał słuchawki. Jadł, pił i słuchał łapczywie.

Coś jeszcze panu powiem. Zanim go diabli wzięli, zdążyłem tej kanalii plunąć w twarz. Niech wieje przez Podhale ten wiatr, niech wymiecie śmieci! A Podhale znów będzie nasze.

Czy dobrze rozumiem, że to, co spotkało Jana Ślebodę, było dobre? Sprawiedliwe.

Cisza. A potem warknięcie Gronia:

Niech go piekło pochłonie.

Wcisnął w siebie resztę pizzy, dopił piwo, odstawił kufel, dotknął wyświetlacza, żeby przesunąć nagranie.

…panu powiem. Zanim go diabli wzięli, zdążyłem tej kanalii plunąć w twarz. Niech wieje…

Cofnął.

…zdążyłem tej kanalii plunąć w twarz.

Poderwał się i pobiegł w stronę Kiecory.

Krępula zlustrowała podejrzliwie mężczyznę, który stał pod jej drzwiami, podtykając jej pod nos legitymację „Press". Ten dom stał najbliżej chałupy starego Ślebody. A ta kobieta, mógł się założyć, układa poduszkę na parapecie i godzinami przesiaduje w oknie. Takie jak ona wiedzą najwięcej. A on musiał potwierdzić tylko jedną rzecz.

– Proszę się nie obawiać, prowadzę dziennikarskie śledztwo – zaczął niskim głosem.

– Kiej jo ta nic nie wiym, jo się nie interesuje. – Gaździna sugestywnie naparła na drzwi. Bastian sugestywnie umieścił w nich stopę.

– Po tym, co się dzisiaj stało – wtrącił – będzie tu lada chwila masa dziennikarzy z całej Polski. Niech im pani nie ufa.

Zaskoczył ją. Teraz miał jej uwagę.

– Wie pani, jak to jest. Udzieli pani wypowiedzi do kamery, a potem nie wiadomo, jak to pokażą, czy nie zmontują, z nimi nic nie wiadomo. Telewizję pani ogląda? No to pewnie pani nie raz widziała, jak potrafią człowieka zmanipulować.

– A dobrze godocie. – Pokiwała głową.

Teraz miał również wyłączność.

– A ja, proszę pani, chcę ustalić prawdę. I gwarantuję pani całkowitą anonimowość. – Mignął jej przed oczami iPhonem z włączonym nagrywaniem i przeszedł do ofensywy. – To, o co panią zapytam, jest bardzo ważne.

– Jo ta niewielo wiym, jo tego starego waryjoka za barz nie wyglądała. – Zaczęła ostrożnie. – No ale co mu zrobili to, ponie, bosko obraza…

– Czy przed śmiercią ktoś do niego przychodził? Zauważyła pani coś nietypowego? – zapytał głosem, do którego można by się przytulać.

Zastanowiła się przez chwilę.

– No cećkielo beło takiego. – Spojrzała Bastianowi w oczy. – Ale to wom bede godoć ino anonimowo. I tylko wom, nie komu inksemu. No – zdecydowała.

Uśmiechnął się ze zrozumieniem, gotów przystać na tak twarde warunki.

– Z obcych, to kie niekie tu jakisi samochód bywoł. Corny – dodała, widząc żądne szczegółów spojrzenie dziennikarza. – A roz… ale ino anonimowo się wypowiadom?

– Oczywiście!

– Roz hawtu beł pon Groń. Zaroz jak przylecioł z Hameryki, to haw przyseł. Na nogach przyseł, tom go widziała bez okno. Jakisi cas siedzioł hań u starego waryjoka, ba ino potem, kie seł nazad, beła straśno awantura. Straśnie krzicoł i przeklinał, ale cemu, tego to jo nie wiym.

Nie rozumiała, dlaczego oni to robią. Żadne danie nie mogło się nazywać jak danie. Nazwa musiała stanowić reklamę etnograficznego doświadczenia. Na przykład bratania się z ludem, bo przysmaki i specjały były przysmakami i specjałami gaździny, bacy, juhasa bądź harnasia. Albo obcowania z ludową obfitością sięgającą wręcz zbydlęcenia, bo obok góralskich czy zbójnickich półmisków, kociołków i desek w menu pojawiały się też góralskie czy zbójnickie cebrzyki i koryta.

Anka wierciła się niecierpliwie, bo w dodatku siedziała na twardym balu, przy stole z bali, wśród

ścian z bali podpartych balami. Niech żyje bal, westchnęła do siebie i wróciła do trudnego dylematu między Klepańcem Maryny a Szpadką Harnasia.

– Jesteś niesamowita, wiesz? – powiedział nagle Jędrek.

Zamrugała, zaskoczona.

– To znaczy, naprawdę to robiło wrażenie, gdy zaczęłaś analizować te zbrodnie – dodał szybko.

– Tym się mniej więcej zajmuję na uczelni.

– Wiesz, ja to studia skończyłem zaocznie, pedagogikę w Kielcach. Musiałem, żeby dostać oficera. A i tak wydawało mi się to wyrafinowane. Za to szkoła policyjna to prawie jak zawodówka, tylko dla starszych chłopców.

– Jesteś na pewno mądrzejszy niż większość moich studentów – bąknęła Anka.

– A skąd wiesz? – Jędrek uśmiechnął się smutno. – Może pani docent chce mnie przeegzaminować? Ciekawe, czy bym zdał, chociażby na trzy minus.

– Nie docent, tylko doktor – poprawiła go odruchowo.

Podeszła kelnerka, podzwaniając koralami. Anka wzięła duże piwo, bo z win mieli tylko grzańca. Jędrek zamówił sok pomidorowy.

– Nie ma – oświadczyła kelnerka.

– To pomarańczowy.

– Nawet małego piwka nie wypijesz? – zagadnęła Anka, podnosząc wzrok.

– Nie, nie – odparł szybko. – Autem jestem. Kruca fuks, Anka, wiesz, że uśmiech ci się wcale nie zmienił?

Spuściła wzrok. Nigdy nie wiedziała, jak się zachować, kiedy ktoś ją komplementował. Przyzwyczaiła się do krytycznego cmokania profesora Gwizdałowskiego, jego pełnych rezerwy westchnień. Nauczyła się śledzić mimikę swoich kolegów z uczelni, rozróżniać ledwo widoczne nerwowe wciągnięcia powietrza, lekko uniesiony wzrok, oczy zwrócone ku niebu, syk dezaprobaty, gdy powiedziała coś nie tak. Wszystko to znosiła z czujnie ściągniętymi brwiami, z zaciśniętymi wargami i rękami zaplecionymi na piersiach. Gubiła się, gdy ktoś zaczynał ją podrywać.

– Naprawdę, w ogóle nic się nie zmieniłaś – brnął Jędrek. – Wyglądasz prawie jak te, ile to było, piętnaście, dwadzieścia lat temu? My już oboje po trzydziestce, a ty się w ogóle nic nie zmieniłaś…

– Aha – Anka wyprostowała się i zaplotła ręce na piersi. Znów poczuła się bezpiecznie. Wiedziała, jak reagować na obrazę, nawet niezamierzoną.

– Nie, nie, nie zrozum mnie źle – poruszył się niespokojnie. Nigdy nie potrafił – jak to mówiła pani od polskiego – wysławiać się. Zwykle zamiast się wysławiać, po prostu się wystawiał. Tak jak teraz.

– Tyle lat się znamy, to nie żadna tajemnica, że nie jesteśmy już piękni i młodzi…

– Aha – przerwała mu znowu. Gdyby teraz siedziała na swoim krześle w gabinecie, gdzie przyjmowała studentów na konsultacje, to odchyliłaby się na nim, zwiększając dystans. Ale siedziała na balu. Drewna. Podstarzały Kopciuszek na balu. Mogła tylko nerwowo postukać pantofelkiem o nogę od stołu.

– Kurde, Anka, daj mi skończyć. Ja tak nie umiem mówić, okrągłymi zdaniami. I nawet już nie pamiętam, co chciałem powiedzieć. Że świetnie wyglądasz.

– Nawet jak na swój wiek? – zapytała poważnie, przechylając głowę.

– Nie łap mnie za słówka, jak… – …jakaś żona, dodał w duchu, gryząc się w język. – Tak po prostu. Ładnie wyglądasz.

– Dzięki – powiedziała nieufnie.

Klepaniec Maryny okazał się rozbitą na kotlet piersią z kurczaka, w którą zawinięto kawałek masła, sera gouda oraz wiecheć koperku, i podano w towarzystwie ryflowanych frytek. Szpadka Harnasia, którą wziął Jędrek, była szaszłykiem z tłustego boczku i przypalonej papryki. Wtórował

jej ziemniak nadziewany kiszoną kapustą.

– Nie sądziłam, że pójdziesz do policji – powiedziała, odkrawając sobie kawałek zawijanego kotleta.

– Dlaczego? – zapytał, mocując się ze szpadką, do której przywarł spieczony plasterek cebuli.

– Nie wiem – wzruszyła ramionami. – Ale pamiętam, jak kiedyś zwymiotowałeś na widok zdechłego psa. Zupełnie jak ja w Suchej Wodzie.

– Anka, nie przy jedzeniu – westchnął Jędrek, odkładając na chwilę widelec.

– Przepraszam – uśmiechnęła się zawadiacko. – Pan twardy glina taki dzisiaj wrażliwy.

– Mam dosyć ohydy w robocie.

– …a w wolnych chwilach oglądam *Jezioro łabędzie*, płaczę na powtórkach *Klanu*, słucham Griega i piekę ciasteczka z rabarbarem.

– Ha, ha, teraz śmiejemy się ze mnie – odparł Jędrek. – A jaki jest ulubiony serial pani doktor? *True blood* czy *Walking dead?* Odrobina masakry po nudnym dniu na uczelni na poprawienie krążenia?

Zmrużyła oczy i uniosła palec wskazujący. Do pełnego efektu brakowało tylko, żeby zsunęła na czubek nosa okulary w rogowej oprawie. Już to kiedyś przechodził z policyjnym psychologiem. I miał dosyć na resztę życia.

– Przepraszam – westchnął Jędrek. – Musimy się chyba dostroić po tych wszystkich latach. Bez urazy – gwałtownie podniósł głowę i zamachał rękami.

– Fakt, dowcip nam się rozsynchronizował – pokiwała głową. – Ale możemy nad tym popracować.

– Smakuje ci? – Chowaniec zapytał po chwili, obserwując z niepokojem, jak Anka dziabie widelcem blade mięso.

– Nie no, dobre, naprawdę… – jęknęła.

– Anka, tyle lat się znamy, gadaj szczerze – mruknął nerwowo, kiwając na kelnerkę, żeby przyniosła jej następne piwo.

– Dużo i tłusto – westchnęła. – Ale powiedz sam, babcia by ci zrobiła Szpadkę Harnasia? Pierś kurczaka i ser? Szaszłyk z papryką?

– Kolegi brat pracuje w karczmie w Zakopanem i tłumaczył kiedyś, że klient chce dostać dużo i na bogato, ale tego, co zna. No to dostaje, nie? – przerwał, żując boczek. – Pomyśl, jesteś z Warszawy, przyjeżdżasz suvem, parkujesz pod Giewontem, idzies do karcmy, a tam ino borsc na wodzie spod kiszonej kapusty, kluska jęczmienna i grule z kapustą? Zamówisz taką biydę? Ma być klasa, wypas.

– I Klepaniec w dupę Maryny – dokończyła na cały głos, zbyt późno gryząc się w język. Zakryła dłonią usta, zerkając w stronę kelnerki. Potem spojrzeli z Jędrkiem po sobie.

Wybuchnęli śmiechem.

– Albo Cycki Zbójnicki – odpalił.

– Albo… – Anka nie mogła powstrzymać chichotu i patrzyła, jak Chowańcowi marszczą się kąciki oczu, gdy się śmieje. Ładnie. – Bździny Gaździny.

– Szef kuchni poleca… Kutasa Juhasa! – Jędrek nie zdążył ugryźć się w język. Zamarł w oczekiwaniu na dezaprobatę pani doktor, jak mały chłopiec w oczekiwaniu na burę.

– Kutasia Harnasia! – pisnęła i łza śmiechu popłynęła jej po policzku. Poczuła się, jakby znowu, schowana za winklem osiedlowej tysiąclatki, pisała kredą na murze słowo „dupa”.

Ciągle się śmiali, gdy Jędrek płacił. Jakby coś opadło, pękło, rozładowało się. Jakby znowu, potajemnie, urządzali sobie zawody w tym, kto zna brzydsze słowa, które Jędrek zawsze wygrywał, bo najwyżej notowane odpowiedzi nie przechodziły Ance przez usta. Gdy mu to wytknęła, przypomniał jej, że kiedyś zremisowała, bo znała słowo „kuciapka”, a on nie.

– Świntuch – skarciła go, ujmując pod ramię, gdy łapała równowagę na monumentalnych

schodach karczmy.

– No co ty, teraz najbrzydsze słowo, jakiego używam, to „dochodzenie”.

– Świetnie się bawiłam z tą kuchnią regionalną – powiedziała cicho, zapinając pas w Jędrkowym oplu. – Jak Kopciuszek na balu.

Popatrzył na nią, ściągając brwi. I roześmiał się.

– No tak, na balu.

– To teraz odwieziesz Kopciuszka swoją karetą do domu?

– Jeszcze nie ma północy – westchnął, odpalając silnik. – Przejedźmy się trochę dookoła.

Zamiast w Bukowinie na rondzie skręcić na Kośne Hamry, odbił na Łysą Polanę. Lubiła tę trasę. W okolicach Głodówki były miejsca z kapitalnym widokiem na Tatry. Właśnie tam zjechał z drogi i wyłączył silnik. Zrobiło się cicho. Bardzo.

Patrzyła na góry. I czuła, jak opuszkami palców sunie po jej nogawce od kolana w górę uda, nieśpiesznie. Położyła dłoń na jego dłoni, sama nie wiedziała, czy żeby powstrzymać ją, czy ją tam zatrzymać.

– Jesteś wyjątkowa, wiesz? – Tym razem to wyszeptał.

– Ćśś…

Wychylił się do niej, najdyskretniej jak się dało, odpinając pas bezpieczeństwa, obrócił się na fotelu i dotknął jej policzka, szukając ustami jej ust.

Znalazł, po tylu latach.

Anka wsłuchiwała się we własny oddech, jak przyspiesza, rwie się, przechodzi w westchnienia, gdy lewa dłoń Jędrka z jej policzka zsunęła się ku suwakowi czerwonej bluzy z kapturem, a prawa błądziła po jej biodrze. Suwak zjechał aż do jej pępka, Chowaniec oderwał się od jej ust i przylgnął do jej piersi.

Odchyliła głowę na zagłówek, zamknęła oczy. Jego włosy pachniały szamponem, wplotła w nie palce. Drugą dłonią leniwie sięgnęła do ramiączka stanika i zaczęła je zsuwać.

Ich oddechy zrównały się, falowały niespokojnie, głęboko, ciepło jego oddechu rozchodziło się gęsią skórką po jej dekolcie, a jej oddech zmieniał się w cichutki jęk, gdy czuła jego język tuż nad swoim sutkiem.

Wtedy auto rozwibrowało się od melodii *Nokia Tune*. Jędrek zaklął. Anka wypuściła powietrze z płuc. Wywinął się ostrożnie spomiędzy jej ramion, wywinął się jej, wracając na swoje miejsce.

Wyszarpnął z kieszeni migający telefon z imieniem „Ewa” na wyświetlaczu. Anka wyprostowała się na fotelu, patrząc wprost przed siebie.

– Tak? – odebrał i po chwili rzucił: – Zaraz będę.

Zapięła bluzę, uniosła się lekko na siedzeniu, podciągając spodnie.

– Przepraszam – szepnął. – Praca. Muszę. Musimy. Nie możemy. To znaczy ja.

Tytuł: Masakra w ruderze pod lasem

Autor: Sebastian Strzygoń

Była zwykłą dziewczyną, miała dziewiętnaście lat. Chciała studiować zarządzanie, chociaż tak naprawdę pociągało ją dziennikarstwo. Już nie zrealizuje swoich marzeń. Jej okrutnie zmasakrowane…

– Nie tak – mruknął pod nosem.

Jej zakrwawione…

– Nie tak.

Jej zwłoki, całe we krwi, z poderżniętym…

Zaklął głośno.

Zwłoki Andżeli Ś. (19 l.) oraz zwłoki jej rodziców znaleziono dziś rano w starej ruderze

w Murzasichlu (Podhale). Byłem na miejscu…

Znowu zaklął.

„Flesz” był na miejscu jeszcze przed policją. Dotarliśmy też do informacji…

– Nie tak! – krzyknął. – Prościej, to jest „Flesz”.

Mamy też informacje, których policja nie chciała ujawnić. W tej samej chacie na początku lipca ktoś zamordował jej właściciela Jana Ś. (88 l.). Był on dziadkiem Andżeli Ś. Jak udało się nam ustalić, jego poćwiartowane zwłoki znaleziono na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego. Czytelnicy „Flesza” dowiadują się o tym jako pierwsi.

Grozy wydarzeniu dodaje fakt…

– To brzmi jak z XIX-wiecznej prasy. Ale dobrze brzmi. Zostawmy.

…że ten, kto zamordował Ślebodów, namalował ich krwią swastykę. A wcześniej swastykę na drzwiach chaty wyciął nożem niejaki Roman…

– Roman G.? Głupi R.? Cholera, a może nie ma co teraz komplikować. To tylko szybki news, szczegóły zostawimy do dużego reportażu.

Według informacji uzyskanych przez „Flesza” Jan Ś. miał mroczną, nazistowską przeszłość.

Duży reportaż. Już niedługo – Bastian zacisnął zęby. – Już niedługo cię dopadnę i zmiażdżę, skurwysynu, myślał, aż się zdziwisz. Nie wiesz, że ja wiem. Że prasa wie. Że mamy na ciebie dowody, od których się swoimi gładkimi patriotycznymi słówkami nie wyłgasz.

Nad Murzasichlem zapadał zmrok. Kilka godzin temu Bastian zadzwonił do Brodacza, starego kumpla z liceum. Historyka, który ku zgrozie ich licealnej paczki – knajpianych lewicowców i jarających trawę liberałów – zdecydował się na pracę w Instytucie Pamięci Narodowej.

– Stary, potrzebuję pomocy – rzucił Bastian do telefonu. – Mam gorący temat, chodzi o ludzkie życie. Nie rozwiążę tego bez dostępu do waszych akt. Dasz radę zrobić tak, żebym mógł wejść do czytelni jak najszybciej?

– Bastian, przecież ci już kiedyś tłumaczyłem, że to musi chodzić oficjalnym obiegiem – odpowiedział mu flegmatyczny, zmęczony głos. – Archiwista musi usiąść nad twoim tematem, sprawdzić, w którym archiwum są materiały, ściągnąć, to wszystko trwa. Odpowiedź idzie pocztą, a Poczty Polskiej jeszcze nikomu nie udało się przyspieszyć.

– Ale teczki, o które mi chodzi, mogą być u was, w Krakowie – przerwał mu dziennikarz. – I przecież nie musicie mi wysyłać odpowiedzi, stawię się po nią osobiście, ja i Ballantine’s, rzecz jasna.

– Nie przekupuj flaszką urzędnika państwowego – burknął Brodacz. – Czego szukasz? Jakiś fajny tewus?

– Goralenvolk.

Historyk gwizdnął przeciągle.

– Czekaj, sprawdzę w Nexusie – powiedział.

Gdy Brodacz przeglądał IPN-owską bazę danych, Bastian mocno ściskał kciuki.

– Tak, te teczki są u nas – usłyszał wreszcie. – Wypełniaj wniosek, zaraz ci podyktuję sygnatury, to przyspieszy sprawę, i przynieś jutro rano do sekretariatu, okej?

– Kocham cię, Brodzio. Masz u mnie tę flaszkę.

„Flesz” prowadzi dziennikarskie śledztwo. Nasze informacje pozwalają…

– Lepiej!

…każą podejrzewać, że za morderstwami może stać znacząca postać z Podhala. Ale klucz do zagadki tkwi w przeszłości. Żeby wyjaśnić te morderstwa, trzeba sięgnąć do skrywanej wstydliwie prawdy o góralskiej kolaboracji.

Uśmiechnął się do monitora. Bój się, skurwysynu, pomyślał.

O postępach w śledztwie będziemy czytelników informować na bieżąco.

Wysłał tekst do redakcji. I esemesa do Anki, że jednak musi wrócić na kilka dni do domu, ochłonąć. Pobiegł na autobus.

Czuł na twarzy, jak wieczorne powietrze gęstnieje po upale, jak nad Tatrami zbiera się na burzę. Anka zapytała dziś, kto aż tak bardzo nienawidził starego Ślebodę za jego okupacyjną przeszłość. Wojciech Groń sam to przed nim przyznał. A on miał nagranie.

Bastian wiedział też, że Groń był w chałupie Ślebody. Teraz należało tylko ustalić, co dokładnie nim kierowało. Klucz musiał tkwić w przeszłości.

Bój się, skurwysynu, powtarzał sobie. Idę po ciebie. Za Andżelę.

ROZDZIAŁ 8

Klęknę przed ołtarzem,
zmówię paciorecek,
zeby mi się dostał
piykny parobecek.

Zmówię paciorecek,
poźrę na ołtarze;
na ołtarz ino raz,
na chłopca dwa razy.

…więc wygląda na to, że miejsce zbrodni było obmacywane zbiorowo. – Podkomisarz Chowaniec rozpiął kołnierzyk i przyjrzał się nowemu koledze przysłanemu przez komendę wojewódzką. Właśnie referował mu świeżo dostarczone wyniki analizy daktyloskopijnej z miejsca zbrodni, które nijak nie chciały się ułożyć w sensowną całość. A facet wyglądał, jakby go wcale nie słuchał. Przyjechał w kwiecistej hawajskiej koszuli opiętej na solidnym brzuchu i ze starą skórzaną torbą na ramieniu, z której na dzień dobry wyjął flaszkę Żubrówki, mrugając do Jędrka porozumiewawczo. „Ryś jestem, podkomisarz. Dla przyjaciół Wiesiek", uścisnął Chowańcowi dłoń, rozciągając rude wąsy w szerokim uśmiechu. Teraz kołysał się na krześle i tęsknie zerkał za okno, gdzie lipcowe słońce dawało z siebie wszystko.

– Tak jak ci mówiłem, poza zestawem odcisków należących do zamordowanych, całej czwórki, znaleźliśmy jeszcze kilka różnych odcisków. Na szklankach nie było, zostały umyte. Ale trzy rozmazane zachowały się na flaszce po absolucie, która leżała w popielniku. A po drugiej zbrodni, gdy technicy oblecieli z miotełkami mieszkanie jeszcze raz, znaleźliśmy kolejny odcisk. Nie pasuje ani do Jana Ślebody, ani do jego rodziny, ani do odcisków z flaszki. Albo to inny palec sprawcy, albo ślad po kimś innym. A znaleźliśmy go tutaj.

Jędrek pokazał Rysiowi fotografię przedstawiającą ramkę ze zdjęciem. Technicy wyjęli ją z szuflady kuchennego stołu Ślebody. Na szybce ramki wyraźnie odcinał się w argentoracie odcisk palca. Zdjęcie w ramce było bardzo stare, czarno-białe, spękane. Przedstawiało jasnowłosego górala o wydatnym nosie i smagłej cerze, bez wątpienia młodego Jana Ślebodę.

– I wyszedł jeszcze jeden ślad – Jędrek odchrząknął, próbując zwrócić na siebie uwagę. – Mówiłem ci o towarach znalezionych w szopie, co nam do niczego nie pasują. Wszystkie były fabrycznie zapakowane. Z wyjątkiem jednego. Ekspres do kawy znajdował się wprawdzie w sklepowym pudełku, ale otwartym. Odkryto na nim odciski starego Ślebody, ale też dwa palce kogoś innego. Znowu: niepasujące ani do śladów na flaszce, ani na ramce. No i w AFIS-ie żadnego z tych odcisków też nie znaleziono. Taka, kruca fuks, sytuacja.

– Jędruś, powiedz ty mi jak góral ceprowi – westchnął głęboko podkomisarz Ryś, dla przyjaciół Wiesiek. – Czy nie moglibyśmy kontynuować przy piwku gdzieś na Krupówkach? Od razu by się milej gadało.

Krupówkami w obie strony płynęły tłumy. Kłęby sinego dymu zawiewały od strony zatłuszczonych grillów, na których skwierczały golonki po zbójnicku i kurczaki po góralsku. Turyści pochłaniali góralburgery, przegryzali serki góralskie pikantne, kanapkowe, maślane, małosolne i w innych odmianach, o których żaden prawdziwy baca w życiu nie słyszał. Przymierzali

filcowe kapelusze i plastikowe korale. Czeredy kolonijnych dzieci oblegały dystrybutory z zabawkami. Podkomisarz Ryś uniósł oszroniony kufel. Podkomisarz Chowaniec odpowiedział szklanką soku pomidorowego.

– A co ty tak, Jędruś, piwa się z kolegą nie napijesz? – Policjant z Krakowa skrzywił się pod wąsem. – Że niby nie pijesz na służbie? Ze Szczytna się urwałeś?

– Nie, piwo mi szkodzi – wymamrotał Jędrek. – Aha, i jeszcze jedno – dodał szybko. – Krakowska sądówka zawęziła datę śmierci starego Ślebody do czwartego albo piątego lipca. Na miejscu zbrodni była ochlapana krwią denata gazeta z piątego lipca, więc by się zgadzało. Teraz przydałby się tylko jakiś podejrzany.

Podkomisarz Ryś rozparł się na plastikowym krzesełku, aż zatrzeszczało.

– A wykluczyliście czynniki mafijne? – zapytał poważnie. – Może ktoś wynajął do mokrej roboty fachowca z półświatka? Zdaje się, że macie ich na Podhalu całkiem sporo.

– Planowałem rozpytać informatorów – odparł Jędrek z ociąganiem.

– Lepiej rozpytaj, Jędruś, Kraków się ucieszy. Cały kraj patrzy na Podhale jak na narodową Arkadię albo narciarskie Eldorado, ale dla komendy wojewódzkiej to wy jesteście polskie Palermo – uśmiechnął się. – Przydałyby się wam sukcesy na tym odcinku. Przecież o was się już legendy opowiada. O tych wszystkich waszych Braciach Gudbajachczy, ruskich cynglach, co do was jeżdżą na wczasy…

– Ten ostatni to był Słowak, nie Ruski – wtrącił Chowaniec.

– …o gazdach od trafikingu, polityczno-towarzyskich układzikach, burdelach pod strzechą, a ostatnio nawet o prochach – ciągnął Ryś niezrażony. – Mówię ci, Jędruś, jakby się okazało, że twoja sprawa się wiąże z mafią, nieźle byś na tym zapunktował. A mnie to tak wygląda. Jeszcze z tymi wszystkimi fantami z szopy…

– Tak, wpadliśmy właśnie na ślad kwitnącej przestępczości zorganizowanej w zakresie nielegalnego obrotu sprzętem gospodarstwa domowego – mruknął Jędrek do resztek soku na dnie szklanki. – Szczerze mówiąc, po tym, jak wyszedł motyw z całym tym Goralenvolkiem, jestem skłonny przyjąć wersję śledczą, w której te graty z szopy nie mają bezpośredniego związku z zabójstwem. Bardziej mi to wygląda jak zemsta za sprawy z przeszłości niż mafijne porachunki za lodówkę i czajnik.

– To jak to wyjaśnisz? – Ryś sięgnął po piwo.

– Kruca fuks, na razie nie wiém – żachnął się Chowaniec. – Pasują tutaj te fanty jak pięść do nosa. Absurdalne są, do niczego niepodobne, z dupy, jak to się mówi, wyjęte. Może dziadek miał nie po kolei w głowie, nie wiem, nerwicę jakąś, i kupował sobie różne rzeczy na zapas, pies go wie. Sprawdzamy je, bo może jest za nimi jakiś trop, ale na razie ich bezpośrednio ze sprawą nie wiążę.

Krakowski dochodzeniowiec zamachał rękami.

– Jak sobie, Jędruś, chcesz – nachylił się do niego. – Ja ci jedno powiem, żeby było jasne. Mnie tu przysłali do dochodzeniówki, więc będę robił swoje, a ty swoje, okej? Zajmę się papierkami, a ty sobie prowadź sprawę. Żeby nie było, że ci się wtrącam. Zdrówko. I powiedz, gdzie jutro najlepiej pójść na spacerek w góry?

Anka zatrzymała się na chwilę w przedsionku pachnącego drewnem kościoła. Zawiesiła wzrok na krucyfiksie po prawej stronie od drzwi. Spokojna twarz rzezanego w drewnie Chrystusa w dzieciństwie kojarzyła się jej z rysunkami Jana Marcina Szancera. Przed laty przychodziła do tego kościółka z Babońką na różaniec, siadała w drewnianej ławie i błądziła wzrokiem po słojach, liniach papilarnych drewna schnącego w dymie świec i kadzidła, gdy pomarszczone palce Babońki poruszały się po wytartym różańcu. Jeśli Bóg faktycznie mieszka w budynku, to raczej w takim niż w ich osiedlowym kościele, w którym tyle było ducha, co w hali garażowej.

Potem doszła do wniosku, że Bóg musi być bezdomny, że w świątyniach ze złota i betonu nie starcza dla niego miejsca. A teraz nie była nawet pewna, czy w ogóle istnieje.

Anka pchnęła szklane drzwi, weszła do kościoła i odetchnęła głęboko. Wnętrze świątynki wciąż działało kojąco, a tego właśnie teraz potrzebowała. Przez ostatnie kilka dni ani Bastian, który zniknął po lakonicznym esemesie, ani Jędrek, który zabunkrował się w komendzie, nie zadzwonili ani razu. A ona uciekała w góry przed własnymi myślami. Bezskutecznie. Próbowała więc uciekać do Babońki. Nie po to, żeby z nią o tym wszystkim rozmawiać. Po to właśnie, by tego tematu wraz z nią unikać w niemym porozumieniu.

Wypatrzyła Babońkę. Klęczała w pierwszym rzędzie, miała chustę w wielkie, czerwone róże narzuconą na ramiona. Wydawała się maleńka jak dziewczynka przygotowująca się do Pierwszej Komunii.

– …dla jego bolesnej męki… – zaintonował ksiądz.

– …miej miłosierdzie dla nas i świata całego… – Siwe głowy pochyliły się, zafalowały.

– Ojcze Przedwieczny. – Ksiądz wzniósł ręce. – Ofiaruję ci ciało i krew…

Krew, krew – Ance dudniło w głowie. Krew święta i nieczysta krew z krwi, krew za krew, krew brata twego woła o pomstę do nieba, krew jego na nas i dzieci nasze.

– …duszę i Bóstwo najmilszego syna twojego, a pana naszego Jezusa Chrystusa, na przebłaganie za grzechy nasze i całego świata…

– …dla jego bolesnej męki… – Ktoś uderzył się w pierś, ktoś cichutko, na granicy słyszalności załkał. – …miej miłosierdzie dla nas i świata całego…

Jakie grzechy macie na sumieniu, przemknęło Ance przez głowę. Jaką – zawahała się – krew?

Zaschło jej w gardle. Uciekła wzrokiem, zapatrzyła się w malowaną na szkle drogę krzyżową. Pan Jezus stoi i pochyla frasobliwą głowę, a wokół niego twarze przekupniów z góralskiego jarmarku wykrzywione gniewem. Wąsate chłopskie twarze rzymskich żołnierzy, twarze Łukaszczyków, Gąsieniców, Kaleniców, sąsiadów z Kośnych Hamrów i Małego Cichego. Gwoździe wbijają się w ciało, chłopolegionista z młotem w dłoni, jakby zbijał skrzynię, budował dom, podkuwał konia.

Wzdrygnęła się. Popatrzyła na babinę siedząca przed nimi – żylaste dłonie zaciśnięte kurczowo na różańcu drżały lekko. Takie same duże, spracowane, chłopskie dłonie jak dłonie oprawców z Drogi Krzyżowej.

A może oni wszyscy są winni? – nagle przyszło jej do głowy, aż wciągnęła głośno powietrze i zasłoniła dłonią usta.

Parę osób się odwróciło. Oni wiedzą, pomyślała i poczuła strach. Oni wiedzą, że ja wiem.

Odwróciła się też Babońka i popatrzyła na nią przenikliwie. Skinęła głową.

Była jakaś metafora w umiejscowieniu IPN-u w Wieliczce. Bo żeby eksploatować te archiwalne pokłady, słone osady po czerwonym morzu, trzeba umieć drążyć, sprawnie się poruszać po omacku, wystrzegać tąpnięć i eksplozji.

Bastian rzucił niedopałek i wspiął się na schody Pałacu Konopków mieszczącego siedzibę Instytutu. Doprawdy, ubeckie teczki nie mogły dostać godniejszej siedziby. Ale cały efekt rozwiewał się po przekroczeniu progu. Plastikowe przepierzenia, łososiowa farba i bury gres na podłodze – zamiast w skarbcu, lądowało się w urzędzie.

W czytelni połowa stolików była pusta, resztę zajmowali studenci historii, starszy pan o zmierzwionej brodzie opozycyjnego weterana i grubasek, który cyfrową lustrzanką zapamiętale fotografował skany z monitora.

Sympatyczny referent w drucianych okularach położył przed Bastianem stos teczek. Dziennikarz aż sapnął. Czekały na niego, lekko licząc, setki kruchych kartek.

– Od tych dwóch bym zaczął – bibliotecznym szeptem powiedział referent, podsuwając mu

najgrubsze teczki opisane jako „Akta Specjalnego Sądu Karnego w Krakowie”. – To papiery z głównego prokuratorskiego dochodzenia w sprawie „Akcji Góralskiej”, chyba najważniejsze dokumenty na ten temat.

Bastian rozwiązał tasiemkę. Z zaskoczeniem skonstatował, że na karcie kontrolnej podpisało się przed nim zaledwie sześć osób, które przeglądały te akta. To nie był temat zgłębiany szczególnie intensywnie. Przez chwilę poczuł się zdezorientowany, gdy na opisanej kaligraficznym pismem okładce akt przeczytał „Józef Cukier i tow.”. Spodziewał się listy podejrzanych. Dopiero po chwili sobie uświadomił, że Cukier, zastępca szefa Komitetu Góralskiego, awansował na głównego oskarżonego, bo jeden jego pryncypał, Wacuś Krzeptowski, zadyndał długo wcześniej na partyzanckim stryczku, a drugi, Henryk Szatkowski, czmychnął z Podhala i nigdy nikt go więcej nie namierzył. „I tow.” oznaczało resztę Komitetu Góralskiego.

Przeskoczył na koniec teczki, do karty przeglądowej, czyli rodzaju spisu treści. Zaklął w duchu. Ostatnia szansa na łatwe rozwiązanie właśnie się rozwiała. Wśród tytułów kolejnych kart nie było śladu ani nazwiska Groń, ani Śleboda. Przeczytał tam za to, że obie teczki liczą po dwie setki arkuszy.

Zaczął wertować wiotkie kartki koloru kawy z mlekiem, kruszące się przy brzegach jak ciasto francuskie. Biegał oczami strona po stronie w poszukiwaniu czegokolwiek, na czym mógłby się oprzeć. Zatęsknił za wyszukiwarką, za wiedzą instant prosto z sieci.

Wyszukiwarka! Podniósł się z miejsca i przeniósł do biurka prezydialnego, przy którym siedzieli dyżurujący archiwiści i gdzie znajdował się jedyny komputer podłączony do centralnej ipeenowskiej bazy danych.

Nie był tu po raz pierwszy, wiedział więc, jak daremne bywa szukanie nazwisk w bazie Instytutu. Wprawdzie archiwiści wytrwale opisywali zbiory, lecz wyszukiwanie szeregowych uczestników historii często jeszcze kończyło się fiaskiem.

Ale spróbować nie zaszkodzi. Kliknął w kwerendę osobową i zawiesił palce nad klawiaturą. Kto pierwszy, pomyślał – Śleboda czy Groń?

„Groń” – wpisał.

Twarz mu na chwilę stężała, gdy wyświetliły się wyniki. Kolejne sygnatury z lakonicznymi opisami. Groniów w burzliwej historii najnowszej było dużo, ale albo w innych czasach, albo w innych regionach kraju. Żaden wynik nie dotyczył Podhala lat czterdziestych.

Teraz wystukał na klawiaturze nazwisko „Śleboda”. Imię „Jan”.

I gdyby nie biblioteczna cisza, od której odruchowo kuli się ramiona, Bastian zacząłby wiwatować.

Były dwa wyniki. Oba z krakowskimi sygnaturami.

Pierwszym wynikiem okazały się Akta Specjalnego Sądu Karnego w Krakowie w sprawie karnej „Józef Cukier i tow.”. Akta, które leżały na jego biurku. Rozwinął w wynikach wyszukiwania indeks osób. Okazało się, że figuruje tam kilkadziesiąt nazwisk spisanych z prokuratorskich papierów. Wiele z tych nazwisk brzmiało bardzo znajomo. To były nazwiska znamienitych podhalańskich rodów, znane z powiastek, anegdot, mediów.

Drugi wynik wskazywał na istnienie teczki Osobowego Źródła Informacji Śleboda Jan. Opatrzono go datami 1945–1970.

Dziennikarz porwał z plastikowej tacy stosowny formularz, przepisał nań sygnaturę oraz tytuł i jednym skokiem znalazł się przed dyżurującą w czytelni archiwistką.

Młoda dziewczyna opuściła wzrok na formularz.

– Tak, mamy u nas ten zbiór – potwierdziła. Przez dłuższą chwilę klikała i stukała w klawiaturę. – Myślę, że za jakieś cztery dni byłby dla pana dostępny.

Dziennikarz nachylił się lekko i uśmiechnął, starannie kierując kąciki ust lekko w dół. Dołeczki pojawiły się na swoich miejscach.

– Za trzy dni – archiwistka odwzajemniła uśmiech.

Babońka szła z trudem, ale nie dała sobie odebrać płóciennej siatki, w której – to nie zmieniało się od lat – niosła dwa znicze, paczkę zapałek i butelkę z wodą do kwiatków. Drugą dłonią trzymała Ankę pod ramię. Kiedy dawniej chodziły razem na cmentarz, przypomniało się Ance, Babońka trzymała ją za rękę. Było upalnie, ale staruszka i tak miała na sobie bluzkę zapiętą pod szyję i chustkę na głowie. Drobne szpary oczu mrużyła od słońca tak, że zdawały się prawie niewidoczne, jakby patrzyła do środka, nie na zewnątrz.

Droga wiodła od kościoła w dół, ku Wyżackiemu Potokowi, którego dolina oddzielała Murzasichle od Budzowego Wierchu i Majerczykówki, widocznych stąd w lekkiej mgiełce jak jednowymiarowe domki na dziecięcym obrazku. Gdy spojrzało się w lewo, widać było Giewont z zupełnie innej niż zakopiańska perspektywy.

Na cmentarzu stare krzyże przechylały się ze zmęczenia, czekając na grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie, żywot wieczny, amen. Twarze z nagrobkowych zdjęć, z bruzdami wyoranymi w czołach i policzkach, świdrowały spojrzeniami. Żeliwny Chrystus zwieszał głowę w zadumie, udekorowany sztucznymi kwiatkami. Na dziecięcych grobach, pośród białych kamieni, czuwały plastikowe aniołki. Imionom zmarłych towarzyszyły przezwiska. Teklarze, Szczerbaci, Polcorze, Salamony spoczywali ramię w ramię, na wieczną zgodę.

I były jeszcze one – cmentarne babcie, przesiadujące godzinami na ławeczkach. Ich zapadnięte oczy zdawały się nie bardziej żywe niż nagrobki. Jak kapłanki jakiegoś kultu, budziły w Ance niepokój, jakby widziały więcej, obdarzone tajemną mocą przewidywania przeszłości.

– Babońko – zaczęła Anka. Choć spędzała z nestorką rodu Kaleniców dużo czasu, i tak czuła w ich rozmowach niezręczność. – A ja się tak zastanawiam, z tym starym Ślebodą… – zawiesiła głos, obserwując reakcję staruszki. Babońka zacisnęła wargi w wąską kreskę, ale nic nie powiedziała. – Bo on był w tym Goralenvolku i…

– Wiela beło w Goralenvolku, nie tylko on – przerwała Ance. – U nos we wiosce to nie, ale z całego Podhola to wiela ik beło, ino sie teroz nie fcom przizнać, bo wstyd.

– No właśnie – ciągnęła Anka. Wreszcie jakiś konkret, trzeba wykorzystać okazję. – Za co ludzie akurat jego tak nienawidzą, nienawidzili – poprawiła się – skoro w Goralenvolku było wielu?

– W Goralenvolku wiela beło, bo się bali, bo im kufy obili, bo zyć fcieli, co by do Niemiec na roboty nie wzieli, a inksi jescy, bo zbałamucił ik gupi Wacuś – powtórzyła Babońka. – Ale takiego jancykrysta jako Śleboda to ze świycom sukoć. Kie on przyjeżdżał z wojny do matki, mundur miał piykny, strośny mundur i copke z trupiom caskom, to ino śli na targ do Miasta i on pokazywoł rękom co fcioł, i mu dawali, dutków nie brali, bo od takiego strośnego pona to się bali. A to kure, a to kobiałke jajec, a to korale, a on brał i matce dawał. I mu schodzili z drogi, co by mu w ocy nie wpaść, bo on z gestapami beł w przyjaźni, gorzołke razem pili na Palacach.

– Babońko, pewna jesteś? – zapytała ostrożnie.

– Ja sie tyz go bała, bo on ftej beł strośny pon. A po wojnie mówili, co esesowcy zrobili z Zydami, ze ich polili w piecach. Jak ja se pomyśle, ze naski Jasiek, z naskiej wioski…

Babońka pokręciła głową i zacisnęła dłoń na przedramieniu Anki. Na horyzoncie wał chmur zapowiadał burzę. Zerwał się wiatr, Anka poczuła, jak sukienka zawija jej się wokół nóg, a gęsia skórka pełznie w górę łydek. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i spojrzała na staruszkę, na jej zaciętą, jakby wyrzeźbioną w drewnie twarz.

– Babońko, jego by nie wzięli do załogi obozowej, takich jak on brali do Waffen-SS, na mięso armatnie – powiedziała łagodnie.

Staruszka popatrzyła na nią. To było bardzo poważne spojrzenie. Ale takie, jakby pogłaskała nim Ankę po policzku.

Potem szła obok niej w milczeniu.

– Spokój jego cornej dusy – powiedziała w końcu.

– A po wojnie? – pytała dalej Anka. – On tak po prostu wrócił? I mieszkał, jakby nigdy nic, wśród ludzi?

– Ano miyskał – przytaknęła Babońka. – A ludzie dalej sie go bali.

Cicho zamknęła drzwi domu Babońki. Nad polami wibrowała muzyka świerszczy, od strumienia niósł się żabi koncert. Wciągnęła głęboko powietrze pachnące wysuszonym sianem i starym drewnem.

I poczuła słodkawy dym papierosa. Zachrzęścił żwir.

– A ty ciągle z babką spiskujesz.

– Józek, aleś mnie wystraszył – powiedziała, wypuszczając powietrze z płuc. Kuzyn w bluzie z kapturem i w czapce z daszkiem z napisem „FBI" stał oparty o płot i palił papierosa, adidasem drążąc w żwirze płytki dołek. Podeszła do niego. Pachniał wodą kolońską i wódką. Zmarszczyła nos.

– No co tam, kuzynka? – rzucił. Zauważyła, że stara się być swobodny. – Zapalisz? Nie? A gorzałki chcesz?

Wyciągnął do niej zapraszająco rękę, w której trzymał flaszkę Soplicy. Zawahała się i pociągnęła łyk. Otrząsnęła się. Kuzyn się roześmiał.

– Odwykłaś w tym Krakowie, co? Pewnie pijasz lepsze rzeczy.

Nie podobała jej się ta uwaga.

– Wcale nie spiskuję z Babońką – powiedziała za to. – Rozmawiam. Wiesz, póki jeszcze…

Ugryzła się w język. Póki jeszcze żyje? Póki jeszcze z nami jest? Nie chciało jej to przejść przez gardło.

– Wiem, wiem. – Uśmiechnął się i zaciągnął papierosem.

– Ja rozumiem, Józek, że ty Babońki nie lubisz… – zaczęła i od razu poczuła, że weszła na lawinisko. Ale kuzyn był spokojny.

– Ja ją kocham, kuzynka. Bo rodzinę trzeba kochać, prawda?

Nie odpowiedziała.

– O sprawy rodzinne trzeba dbać, pilnować porządku – ciągnął. – Rodzina cię przyjmuje, dba o ciebie, do rodziny zawsze możesz przyjść, więc trzeba o rodzinie dobrze mówić. Prawda? Chodź, siądziemy sobie.

Pierwszy ruszył w stronę altany. Z szafki przy grillu wyczarował kieliszek. Usiadł ciężko na drewnianej ławie i postawił flaszkę na stole przed sobą. Wskazał Ance miejsce naprzeciw.

– Właściwie to chciałam iść spać – zaczęła.

Przerwał jej gestem, podsuwając kieliszek.

Przełknęła wódkę.

– Zagrycha by się przydała – uśmiechnęła się do kuzyna blado. Nie odpowiedział. Nalał sobie do tego samego kieliszka.

– Góralskim zwyczajem – powiedział, mocno akcentując pierwsze sylaby obu słów. Wypił.

– Kuzynka, bo ty się kręcisz z Chowańcem koło tej sprawy Ślebodów – zaczął niezgrabnie. – Weź coś opowiedz, co tam się stało? O co tam chodzi?

Nie miała już do tego siły. Ale opowiedziała, dość ogólnikowo, o tym, co się wydarzyło w chałupie na Kiecorze.

– Ale co? – dopytywał, nalewając wódkę. Podsunął jej kieliszek. – Znaleźli coś?

– Swastykę.

– Wiem, całe Murzasichle przecież o tym wie. Ale nic więcej dziwnego nie znaleźli?

Zauważył w jej oczach zaskoczenie.

– Tak pytam – machnął ciężko ręką. – Jezu, taka wiocha jak nasza, a tu nagle mordują. Pij, kuzynka.

Wypiła posłusznie. Nalał sobie i zamaszyście wychylił kieliszek.

– A, i uważaj, bo już gadają o tobie i Chowańcu.

Znieruchomiała.

– O mnie i Chowańcu? Przestań.

– Ja ci tam nic nie mówię, tylko żebyś uważała.

Otworzyła usta, wciągnęła powietrze. I nic nie powiedziała. Nalał jej. Odmówiła gestem.

– A Chowaniec nic ci więcej nie mówił, co znaleźli u Ślebody? Bo ludzie gadali, że policja podobno coś wywoziła, tak słyszałem.

– Wszyscy tu gadają, Józek – odparła. – Gadają bez sensu, żeby nie powiedzieć: pieprzą.

– Ano pieprzą, tyz prowda – mruknął.

– Idę spać. Dzięki. Dobranoc.

Odwrócił się za nią, jakby chciał ją zatrzymać, zapytać o coś jeszcze. Nic nie powiedział. Nalał sobie resztę wódki.

Ostrożnie, bo trzęsły mu się ręce.

Następne dni Bastian spędził nad aktami procesu góralskiego. Z ulgą odkrył, że w aktach wszystkie nazwiska podkreślono różową kredką, a nazwy miejscowości – niebieską. Brnął więc wzrokiem przez róż sprzed lat.

I prawie na samym początku, w jednym z protokołów zeznań, znalazł Jana Ślebodę. Wspomniał o nim mimochodem jeden świadek z Poronina. Protokół spisano ręcznie, przedwojennym, kanciastym pismem. Śleboda figurował tu jako jeden z tych, którzy się zgłosili, gdy Komitet Góralski organizował zaciąg do Waffen-SS. I tyle.

Potem Bastian brnął przez kolejne dokumenty prowadzącego śledztwo w sprawie Goralenvolk wiceprokuratora Brandysa. Karty pisane na maszynie niebieskim tuszem albo nabazgrane ręcznie. Dokumenty sporządzane jeszcze niekiedy na odwrocie niemieckiej instrukcji obrony przeciwlotniczej albo formularza wydrukowanego gotykiem. Czytał kolejne zeznania o tym, że Niemcy nie naciskali na ludzi, by brali góralskie kenkarty, ale że robili to polscy kolaboranci z Komitetu. Czytał zeznania tych, którzy zarzekali się, że do Komitetu zostali wciągnięci bez własnej wiedzy albo wbrew woli, bo ich straszono Gestapami czy Oświęcimiem, wyliczających skwapliwie komu to za okupacji nie pomogli. I zeznania tych, którzy oświadczali, że góralską kenkartę wzięli, bo polskich nie dowieźli. Świadectwa moralności dla sołtysów i wójtów, podpisane szkolnym, niepewnym charakterem pisma przez pół wsi. I protokoły zeznań przeciw tym samym sołtysom i wójtom, składanych przez drugie pół.

Ale ani razu nie pojawiało się już nazwisko Ślebody. On, który w oczach ówczesnych musiał być postrzegany jako über-zdrajca, bo przecież nie dało się wtedy zdradzić bardziej, niż wstąpić do SS – po prostu zniknął z akt.

Jędrek był coraz bardziej zły. Wiesiek Rysiek, jak w myślach ochrzcił krakowskiego kolegę, przyjechał w wakacyjnym nastroju. Tak długo namawiał Chowańca, żeby wieczorem wyskoczyli do jednej z tych słynnych zakopiańskich dyskotek, nieczuły na sugestie, że to imprezownie dla gówniarzy, a nie dla gliniarzy, że w końcu Jędrek się poddał. Ale przezornie zaprowadził Rysia do Morskiego Oka. Bądź co bądź – legendarnego. Jednak gdy stanęli w drzwiach sali dancingowej, krakowski policjant popatrzył na niego spode łba.

– Jaja sobie robisz, Jędruś? Chciałem popatrzeć na dupy, ale nie starsze ode mnie!

Rad nierad, Chowaniec poprowadził go więc do mieszczącego się tu klubu. Rysiowi się nie podobało. Tłok był jak na wyprzedaży w Media Markcie, temperatura sięgała czterdziestu stopni, a techno łupało tak, że barman nie słyszał ich zamówień. Kose spojrzenia też nie pomagały. Chowaniec

zrozumiał, że został rozpoznany. Widział, jak wskazują go sobie milczącymi skinieniami.

A Wiesiek Rysiek, który dotarł tu już solidnie zrobiony, wypił dwie kolejki i stwierdził, że idzie spać. Jędrek postanowił jeszcze chwilę zostać. Głównie po to, żeby nie musieć go odprowadzać.

A także dlatego, że ostatnią rzeczą, na którą miał ochotę, był powrót do domu.

Techno tętniło mu w głowie. Oparty o blat baru gapił się znad szklanki soku pomidorowego na *dancefloor*. W półmroku przecinanym pajęczyną laserów falowały ciała. Przyłapał się, że odruchowo rozgląda się za dilerami i szuka na spoconych, gładkich twarzach dziewczyn spidowego pobudzenia albo mętnego wzroku ofiar pigułek gwałtu. Otrząsnął się. Za takie gapienie się mógł dostać po ryju.

Niunia w białej bluzeczce na ramiączkach, która przeciskała się koło niego do baru, prawie na pewno nie miała stanika. Koleżka, który stał za nią, nie miał karku. Wiercący zapach jej potu mieszał się z wonią alkoholu, która nęciła go z każdej strony. Niunia miała blond włosy do ramion, perlisty śmiech i nie powinna już więcej pić. Odwrócił się.

Dostał w bark, aż się zachwiał. Odruchowo się sprężył i odepchnął ramię ciasno opięte czarnym T-shirtem. Po całej długości ramienia pełzły sine tatuaże. Ciernie, orle dzioby, trupie czaszki, litery gotykiem. I swastyki. Kruca fuks, znowu swastyki.

Nasadą dłoni dostał w splot słoneczny. Na chwilkę go zamroczyło. Zobaczył nad sobą łysą pałę. Zareagował, zanim zdążył pomyśleć. Jego ramię wystrzeliło do przodu, złapał tamtego za nadgarstek. Błyskawicznie się okręcił. Łysy, wzięty z zaskoczenia, walnął twarzą o blat baru, gdy Chowaniec wykręcał mu rękę na plecach.

W następnym momencie wyrywał się dwóm osiłkom. Łysy o głęboko osadzonych oczach i orlim nosie podniósł się, potarł żuchwę i zacisnął pięści.

– Myślałem, że tu jest zakaz wprowadzania psów – warknął.

– Zostaw psa, Pysku, bo pchły złapiesz – krzyknął kolejny łysy w opiętym podkoszulku. Wokół Chowańca zmaterializowało się jeszcze kilku identycznych.

– I co teraz, zamkniesz mnie? – Łysy osiłek zwany Pyskiem tchnął mu w twarz piwskiem. – Jeszcze ci ostatnio było mało? Tatuś ci nie wytłumaczył?

Jędrek zagryzł zęby i przestał się wyrywać. Żadna cięta riposta nie przychodziła mu do głowy. Poza tym byłby to głupi pomysł.

Pysku zaśmiał mu się w twarz i usiadł na barowym krześle.

– Poszedł stąd – warknął.

Jędrek skinął głową. Puścili go. Odwrócił się do wyjścia.

– Albo nie – zarechotał nagle Pysku. – Chono, psie, napijesz się ze mną na zgodę.

Na barze pojawiły się dwie pięćdziesiątki lodowatej czystej. Łysi obserwowali go z uśmieszkami na twarzach. Kilkadziesiąt osób otaczało go kręgiem, słyszał dziewczęcy chichot, złośliwe komentarze wypowiadane podniesionym głosem.

– Zdrowie tatusia – uśmiechnął się Pysku, podnosząc kieliszek.

Jędrek wybiegł z klubu.

Stał na Krupówkach przez dłuższą chwilę, pozwalając się mijać rozochoconym imprezowiczom. Techno ciągle tętniło mu w głowie. W górę jego kręgosłupa powoli pełzł znany dreszcz adrenaliny. Koniuszki palców swędziały. Żołądek drażnił ssaniem.

W uszach ciągle dźwięczał mu ich śmiech.

Jedynym podhalańskim akcentem w kuchni Baśki był stary łyżnik, z którego zwisały całkiem współczesne cedzaki, chochle i łopatki kuchenne. Anka przechyliła kieliszek wina, patrząc, jak kuzynka Kaśka, nachylona nad płytą ceramiczną, miesza w garnku z parskającym pęczakiem. Kryśka obierała ziemniaki ugotowane w mundurkach. Staska komenderowała.

– Kaśka, babrocu jeden, coz nie bocys? – narzekała właśnie. – Godołam ci, zaś jak sie zyntycy wleje, to trza pilnować, bo ftej straśnie kipi!

– Dyć ta kase miysom! – żachnęła się kuzynka. Gdy mówiła gwarą, jej głos lśnił.

Anka się śmiała, po raz pierwszy od dłuższego czasu. Te dziewczyny nie uprawiały cepelii. Szukały prawdziwego. Gdy się umawiały na wspólne gotowanie, nie robiły klepańców Maryny. Miała być kluska i borsc na zyntycy z grulami. Innym razem umawiały się na kiszenie ogórków, tarcie chrzanu, odnawianie starych drewnianych gratów ze strychu. Albo na grzańca ze śliwowicą i oglądanie seriali. Były babskim przymierzem w chłopskim świecie, grupą rekonstrukcyjną góralszczyzny, kołem gospodyń wiejskich 2.0.

Anka, popędzona przez Staskę, wróciła do tarcia marchwi na surówkę. Kątem oka przyglądała się, jak starsza pani instruuje Kaśkę, ile do ugotowanego na rzadko pęczaku dodać mąki jęczmiennej. Myślała o tym, jak bardzo transkulturowy to patent. Włoska polenta, rumuńska mamałyga, góralska kluska – wszystko to było bieda-chlebem, pożywieniem ciepłym, szybkim i oszukującym głód.

Kaśka wyłożyła kaszowo-mączną kulę na duży talerz, spłaszczyła ją, zrobiła na środku dołek i zamaszyście wlała w niego rozpuszczony na patelni smalec ze skwarkami.

Nie smakowało im. Choć Staska tłumaczyła, że kluska nie jest od tego, żeby smakować, tylko żeby ją jeść.

– A ja bym zrobiła tak. – Kryśka poderwała się i zakręciła warkoczem. – Kluskę bym ugotowała, ba ino z oregano, pokroiła w takie cieniuśkie plastry, na talerz krapke konfitury z bruśnicy, plaster kluski, na to hruby plaster kaszanki, a syćko bym podała z pieconymi pomidorkami koktajlowymi, rukolą i redukcją octu balsamicnego, jak Gordon Ramsay!

– Godos – prychnęła Staska. – Kluski tak sie nie je.

– A ja uważam, że to świetny pomysł – obraziła się Kryśka, z miejsca porzucając gwarę.

– To dejta jesce śledzia, będzie kuchnia fusion – mruknęła Kaśka i wszystkie wybuchnęły śmiechem.

– Hej, piyknie – wyrwało się Ance. Dziewczyny zamilkły, patrząc na nią karcąco. Zrozumiała.

– Przepraszam. Nie ma nic gorszego niż ceper, co próbuje mówić gwarą.

– Tyś ta nie ceperka – pocieszyła ją Staska. – Ba ino nie górolka.

– A co za różnica?

Staska namyślała się przez chwilę.

– Obcy to po nasemu jest niepilec. Górole to som my ze Skalnego Podhala, dalej są wsioki, lachy, no i cepry. Taki, co daje dutki, to jest pon. A ceper to wiadomo, ze w cymś od górola gorsy, ba ino nie wiadomo jesce, cy daje dutki, cy nie.

Kaśka dolała wszystkim wina.

– A telewizja was zaczepiała? – wypaliła nagle Kryśka z błyskiem w oku. – Bo mnie dwa razy. Pytali o tych Ślebodów.

– Bo masz ładną buźkę i warkocz, pewnie uznali, że wyglądasz jak typowa góralka – uśmiechnęła się Kaśka. – No i co im powiedziałaś?

– Że nie udzielam żadnych informacji – Kryśka wydęła wargi.

Zapadła cisza.

– Nie udzielam, bo to nie moja sprawa – dodała dziewczyna. – Jakieś stare dzieje, co mnie jeszcze na świecie nie było. A poza tym to jo nie jestem stela ino z Cornego Dunajca.

– A czytałyście we „Fleszu”?

Anka drgnęła. Od wyjazdu Bastiana nie miała w rękach gazety ani nie zaglądała do sieci.

– Co pisali? – zapytała, siląc się na swobodny ton.

– Nic konkretnego. Tylko że są na tropie.

– A jak myślicie, kto mógł to zrobić? – starała się brzmieć swobodnie, jakby opowiadała sobie

z przyjaciółkami straszne historie na piżamowym party.

– No, chyba nikt z Murzasichla – Baśka powiedziała to trochę głośniej, niż by wystarczyło.

– Ja mówię: nie moja sprawa – Kryśka uniosła dłonie.

– Ani nie mo co godać – sapnęła Staska.

– Czekajcie – Anka oparła się łokciem o stół. – Takie morderstwa w waszej wsi, wygląda to jak zemsta, przecież stary Śleboda kolaborował, wszędzie swastyki, a wy mówicie, że nie ma co gadać? Naprawdę?

– Kolaborował, nie kolaborował – zaperzyła się Baśka. – To różnie ludzie gadają, w tamtych czasach nic nie było takie oczywiste.

– Co nie było oczywiste? – zripostowała Anka. – Przecież on był w SS! Tak jak paru innych górali, są książki na ten temat…

– Jedni piszą tak, inni inaczej – przerwała jej Baśka. – Ale górale…

– Górale są dobrzy ludzie – podjęła Kryśka.

– Ani nié mo co godać – sapnęła Staska.

– Nie ma? – Anka się rozkręcała. – Nikt nic nie wie? Wszyscy milczą, jakby się umówili!

– Pewno, że nikt nic nie wie – wtrąciła się Baśka. – Bo skąd mamy wiedzieć? Ile to zbrodniarzy strasznych chodzi po świecie i zabija bez powodu? I co to ma wspólnego z góralami? Nikt od nas tego na pewno nie zrobił.

– Jasne, góralskich kenkart też nikt nie brał – mruknęła Anka w głąb kieliszka.

– Anka! – syknęła kuzynka.

– Tu u nas ludzie nie brali! – Baśka krzyknęła. – Może w Kościelisku czy w Szczawnicy, tam ich zmuszali!

– A ty, ceperka, tak łatwo ludzi nie oskarzaj! – Staska podniosła głos. Dłonie oparła na stole. – Jo bym tak łatwo nie oskarzała, kie ktoś nawet i wzion górolskom kenkarte. Bo tu biyda beła, wojna, głód, ludzie musieli zyć, rodziny mieli. Teroz to sie łatwo godo. Tu u nos w Murzasichlu to prawie nikt górolskich kart nie wzion. A z tych, co godajom o nich, ze pobrali karty, to niejeden kiela dobrego zrobiył, zorganizował dla ludzi. Temu nie oskarzaj i nie rób we wsi zwady.

Milczały długo.

– Przepraszam – szepnęła Anka.

– Nie mo co godać – dokończyła Staska.

– Pójdziemy już – Kaśka popatrzyła na zegarek, potem na kuzynkę.

– Może lepiej idźcie.

Gwałtowna burza powoli się uspokajała. Siąpił jeszcze deszcz, z dala dobiegały senne pomruki gromów. Opel podkomisarza Chowańca ruszył ze stacji benzynowej na Ustupie, rozchlapując na boki wodę z kałuż. Minęła dwudziesta trzecia. Człowiekowi, z którym się przed chwilą spotkał, zależało, żeby było ciemno. Zgodził się spotkać na stacji Lukoilu czy też, jak mówili miejscowi, „u Ruskich”.

Mężczyzna w podhalańskim półświatku zwany Kluczykiem nie był wysoko sytuowany, ale dobrze zorientowany. Kiedyś przepił kasę, którą miał przywieźć z należącej do ferajny agencji towarzyskiej przy Zakopiance. Kompletnie się spłukał i groziło mu, że koledzy spławią go Dunajcem. Zakopiańscy kryminalni się o tym dowiedzieli. Jędrek brakującą Kluczykowi sumę wygrzebał z funduszu operacyjnego i go zwerbował.

Barczysty mężczyzna w bluzie Lonsdale’a patrzył na podkomisarza ze szczerym zaskoczeniem.

– To nikt z naszych. Na pewno.

– Nie kawisz mnie, Kluczyk? – mruknął Jędrek niezadowolony, bo nigdy nie opanował grypsery. – Kruca fuks? – dodał dla pewności.

– Jakby ktoś od nas montował taką rozwałkę, to bym wiedział – odparł tamten.

Podkomisarz odwrócił się do niego. Spojrzał na informatora poważnie, niemal czule.

– Kluczyk, zawsze byliśmy wobec siebie szczerzy – przemówił. – Działamy ramię w ramię i obaj na tym dobrze wychodzimy, prawda? Nigdy cię nie oszukałem, nigdy cię nie wystawiłem, wiesz, że możesz mi ufać. A ja chcę ufać tobie. To jest test, Kluczyk – mówił. – Muszę wiedzieć, czy ferajna ma coś wspólnego z tymi trupami. Muszę, rozumiesz? Polegam na tobie.

Chowaniec złowił spojrzenie gangstera. Ten spojrzał mu prosto w oczy.

– Kierowniku, będę miał oczy otwarte, ale na razie nic się nie słyszało – powiedział. – Chłopaki też się z „Flesza" o tym dowiadywali. Sami jesteśmy ciekawi, kto to.

Z „Flesza". Chowaniec zaklął pod nosem. Po Murzasichlu krążyły wozy transmisyjne, komendant chodził wściekły, a rzecznik zapychał mu skrzynkę mailami od dziennikarzy. Większość brzmiała: „czy już coś wiecie?". Tylko jedna pani redaktor wspięła się na wyżyny i napisała: „czy organa ścigania poczyniły już jakieś ustalenia?".

Podkomisarz włączył komórkę. Posypała się lawina esemesów. Nieodebrane od aspirant Jadzi Kiciarz, która w grupie operacyjnej zajmowała się fantami z szopy starego Ślebody.

– No, wreszcie jesteś – odezwał się zaspany głos Jadźki. – Dzwoniłam, bo wieczorem przyszedł e-mail z „Media Experta". Namierzyliśmy lodówkę.

– Gdzie?

– Limanowa.

– Gdzie?! – podkomisarz krzyknął. – Jest szansa na nagranie z monitoringu?

– Zero szans, Jędrek – głos Jadźki posmutniał. – To było prawie dwa miesiące temu, dawno już skasowali zapis.

– Podpis na fakturze? Użycie karty?

– Kupiona na paragon za gotówkę.

– Jadźka, pojedziesz tam jutro i rozpytasz, może ktoś ma dobrą pamięć.

– Też raczej marne szanse – westchnęła aspirantka.

– Wiem.

Jadąc przez Olczę, zastanawiał się, dlaczego firmowo zapakowana lodówka pochodziła ze sklepu oddalonego o prawie sto kilometrów. Jeśli to fanty z kradzieży, to nawet logiczne, ale kradzieży żadnego ze znalezionych u Ślebody sprzętów nikt nigdy nie zgłaszał. Ale jeśli sam Śleboda kupował te rzeczy, to po co aż w Limanowej? Wreszcie – albo to przypadek, albo ktoś próbował nie zostawiać po sobie śladów. Paragon, gotówka.

Ciekawe, co Anka by powiedziała o symbolicznym znaczeniu lodówki.

No tak. Anka. Kolejny po lodówce powód, dla którego dziś nie zaśnie.

Bastian miał od rana wyłączony telefon. Z Kaśką się od wczoraj unikały. Gdy szła przez Murzasichle, czuła, że ludzie się jej przyglądają. Jakby wioska zaczęła ją otaczać murem.

Przypomniał jej się wieczór, kiedy złapali Romusia. Czuła wśród ludzi ten dziwny rodzaj napięcia, uniesienia, od którego człowiek w tłumie robi się śmielszy. Prędzej czy później ktoś wtedy sięga po widły.

Albo po siekierę. Albo po nóż.

Czego ja się boję, pomyślała? Że to cała wioska się sprzysięgła? Że się skrzyknęli i porąbali starego Ślebodę? A potem złożyli oczyszczającą imię góralszczyzny ofiarę z jego rodziny? Absurd!

Weszła do sklepu „Pokusa" i od razu zauważyła, że sprzedawczyni też się jej przygląda.

– A pani wie, kielo będą trzymać Romusia? – zapytała, gdy tylko Anka podeszła do lady. – No, bo pani wiele rozmawia z policjantem Chowańcem, to myślałam, że coś pani pedzioł – wyjaśniła, widząc zdumienie w oczach Anki.

– Nie wiem – odparła. Czy tu naprawdę wszyscy wszystko wiedzą? To dlaczego wszyscy twierdzą,

że nikt nic nie wie?

– Bo jo sie troche opiekuje Romusiem, czasem to mu dam co jeść, jak on tu cały cas stoi pod sklepem. I się teroz o niego martwię – wyjaśniła kobieta. – Pierw, jak go telo nie było, to myślołam, ze go znowu wzieli do szpitala. Ale mi potem pedzieli ludzie, ze Romusia areśtowali.

Ankę coś tknęło.

– Do szpitala? To on się leczył?

– Hej, lecył sie, zabierali go, jak sie awanturował z ceprami. Ale widać płóno go lecyli, bo nic mu nie pomogło.

– A gdzie go leczyli?

– A haw, w Szpitalu Podhalańskim w Mieście – odparła kobieta, wzruszając ramionami.

– W Zakopanem?

– Toz godom, ze w Mieście – uśmiechnęła się. – W Nowym Targu.

Anka wypadła ze sklepu, zapominając, że w ogóle chciała coś kupić. Ruszyła w stronę poczty, pierwszy raz w życiu żałując, że nie ma smartfona. Musiała znaleźć numer na oddział psychiatryczny, gdzie leczyli Romusia, i czym prędzej się z nimi skontaktować. Bo jeśli jest na tym świecie ktokolwiek, kto może pomóc zrozumieć Romusia, to może właśnie psychiatra, który się nim zajmował.

Na szczęście istniały jeszcze książki telefoniczne. Znalazła Podhalański Szpital Specjalistyczny imienia, a jakże, Jana Pawła II. Zapisała sobie w komórce numery do sekretariatu i ordynatora psychiatrii.

I w drzwiach poczty wpadła na Jędrka.

– No cześć! – przywitała się z uśmiechem.

– Anka! Witaj – mruknął. Nie wyglądał, jakby się ucieszył.

Zauważyła, ale jeszcze przez chwilę to do niej nie docierało. Nie od razu zrozumiała, kim jest kobieta z dzieckiem na ręku, blondynka w mniej więcej jej wieku, o pytającym wyrazie twarzy, która stoi w drzwiach tuż za Jędrkiem. Omal nie powiedziała mu nawet, uśmiechając się przepraszająco, żeby nie stał tak w drzwiach i przepuścił panią. Ale to policjant odezwał się pierwszy.

– Poznajcie się – powiedział. – Aniu, to jest Ewa, moja żona. To Ania, moja koleżanka z dzieciństwa. A to jest Piotruś, mój synek – dodał, biorąc malca z rąk blondynki, wzorem oblężonych plemion, które w obliczu szturmu dzikich hord desperacko przywiązywały do palisad własne dzieci.

Tytuł karty opisowej brzmiał po prostu „Śleboda, Jan (1946–1970)”. W rubryce „aktotwórca” wpisano na pierwszym miejscu „MUBP w Zakopanem”, a potem jeszcze kilka skrótów oznaczających kolejne wcielenia transformującej się przez lata bezpieki.

Cisza panująca w czytelni IPN wibrowała Bastianowi w uszach. Ale nawet gdyby wielicką siedzibę Instytutu oblegała teraz demonstracja lewicujących inteligentów, nic by nie usłyszał.

Teczka personalna zaczynała się zobowiązaniem do współpracy z Urzędem Bezpieczeństwa Publicznego obywatela Ślebody Jana, oskarżonego o kolaborację z wrogiem podczas okupacji i o przynależność do zbrodniczej organizacji SS. Towarzyszył mu obszerny, napisany na maszynie wyciąg z akt przesłuchań na NKWD oraz w Miejskim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Zakopanem. Mowa w nim była o tym, jak Jan Śleboda, kolaborant z kliki znanego niemieckiego sługusa Wacława Krzeptowskiego i zdrajca narodu polskiego, który dobrowolnie wstąpił do SS, w uznaniu swych win i pragnąc uczynić zadość nowej ludowej ojczyźnie, zgłosił się do komendantury NKWD, która po wstępnym śledztwie przekazała go polskim organom bezpieczeństwa publicznego. Uznano, iż ze względu na swą wiedzę na temat miejscowych stosunków obywatel Śleboda Jan może być wysoce przydatny organom bezpieczeństwa w palącej kwestii

wyłapania ukrywających się kolaborantów, zdrajców narodu oraz leśnych bandytów. W związku z powyższym w imieniu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego zawnioskowano o nadzwyczajne złagodzenie kary.

Strzygoń odetchnął głęboko. To wyjaśniało, dlaczego stary Śleboda przestaje się pojawiać w aktach prokuratorskich. Bezpieka go przejęła.

Przerzucał kolejne karty. Znalazł życiorysy. Trzy sporządzone różnymi charakterami pisma, jeden na maszynie. Wszystkie zwieńczone namazanymi grubą kreską, niezdarnymi, dziecięcymi prawie literami: „Śleboda Jan". Wszystkie życiorysy mieściły się bez trudu na jednej kartce. Wiedział od Brodacza, że w tamtych czasach bezpieka nakazywała przesłuchiwanym pisanie po wielekroć życiorysów. Nalegano, by przesłuchiwany zamieszczał w nich każdy szczegół życia, każdą spotkaną osobę, a potem analizowano je i porównywano z innymi zeznaniami, w poszukiwaniu powtarzających się nazwisk i faktów. W ten sposób powstawało coś, co dzisiaj nazwano by siecią społecznościową. Taki papierowy ubecki Facebook, pomyślał Bastian.

Tyle że lapidarne, dyktowane protokolantom życiorysy Jana Ślebody składały się tylko z informacji, że ukończył trzy klasy szkoły powszechnej, potem pasał owce, a w 1943 roku zgłosił się na ochotnika do legionu góralskiego, namówiony przez jakiegoś agitatora, pochodzącego chyba z Szaflar, że zgłosiło się ich wtedy z dwustu chłopa, z czego w obozie szkoleniowym Waffen-SS w Trawnikach zostało z nim pięciu: Marzec, Suleja, Karkosz, Mytkowicz, Duda. Niektórzy odmówili służby, inni zdezerterowali albo lekarze stwierdzili, że mają nie po kolei w głowach, niektórych zesłano do Rzeszy na roboty.

W życiorysach Ślebody powtarzało się kilka zdawkowych informacji o tym, że wysłali go na wschodni front i że żadnych nazwisk ani numerów formacji dobrze nie pamięta, bo on nie jest człek uczony, żeby tak wszystko pamiętać. I że po postrzale w biodro wypuszczono go na przepustkę do Zakopanego, gdzie służył doraźnie oddziałom niemieckim jako przewodnik. Każdy z życiorysów Ślebody kończył się zdaniem o tym, że zgłosił się dobrowolnie na NKWD, chcąc zeznawać w zamian za ocalenie życia.

Dziennikarz przyjrzał się pierwszemu z dokumentów. Co dwa, trzy zdania zmieniały się charaktery pisma i kolory atramentu. Domyślał się, co następowało między zaprotokołowaniem kolejnych zdań. Może przetrzymywanie przy otwartym oknie po oblaniu wodą, sadzanie na nodze od krzesła, a może po prostu zwykłe chłopskie bicie. W międzyczasie zmiana przesłuchujących i protokolanta. Kolejne kilka zdań. I znowu bicie. Podpis „Śleboda Jan" był ledwie czytelny, rozedrgane linie formowały koślawe litery, obok podpisu widniała plama. W drugim życiorysie charakter pisma zmieniał się raz. Trzeci spisała ta sama osoba, popełniając niewyobrażalną liczbę błędów ortograficznych. Czwarty, spisany na maszynie, był spójnym, urzędowym, suchym protokołem.

Jako następny figurował w teczce formularz wypełniony okrągłym, kaligraficznym pismem. Zawierał dane informatora Urzędu Bezpieczeństwa, obywatela Ślebody Jana, który zobowiązywał się do współpracy i deklarował, że meldunki podpisywał będzie pseudonimem: Kiecora. W rubryce „czy był karany" wpisano tylko: „zwolniony".

Kolejnymi papierami okazały się raporty okresowe. Im dalej, tym rzadsze były spotkania Ślebody z prowadzącymi go funkcjonariuszami. Pojawiało się trochę informacji o kosztach operacyjnych, głównie o przekazywanych Ślebodzie pieniądzach albo butelkach wódki, ale też o prezencie w postaci zegarka produkcji radzieckiej. Od mniej więcej 1956 roku były już tylko coroczne raporty esbeków o przaśnych nazwiskach, stwierdzające brak możliwości operacyjnego wykorzystania TW. Ostatni papier, z 1970 roku, stanowił o zdjęciu z ewidencji Osobowego Źródła Informacji „Kiecora".

Następna była teczka pracy. W niej zaś – „doniesienia spisane ze słów TW". Dziesiątki kart, maszynopisów, a częściej rękopisów. Dziennikarz zatrzymał wzrok na pierwszym z donosów Jana Ślebody. Zaczął uważnie czytać.

Bardzo szeroko otwierając oczy.

Minęła Capówkę, minęła skrzyżowanie z drogą na Budzowy Wierch i Majerczykówkę. Szła sztywno, wciąż lekko pod górę, wpatrzona w różową kostkę brukową pod stopami. Minęła restaurację „U Studniara – kuchnia regionalna i włoska", minęła przystanek, minęła pensjonat „Krywań". Minęła miejsce ponad wsią, gdzie kończył się chodnik i biegła granica Tatrzańskiego Parku Narodowego.

Dopiero tutaj się rozpłakała. Szła, zaciskając wargi, marszcząc oczy, połykając łzy. Szła, tłukąc podeszwami asfalt, bezsilna i wściekła. Wreszcie zatrzymała się przy dużym szutrowym placu, gdzie schły pękate pnie ściętych świerków. Stanęła tam i nic sobie nie robiąc z regulaminu TPN-u, wrzasnęła na całe gardło:

– I kiedy miałeś mi zamiar powiedzieć, gnoju?! Dopiero po bzykanku czy wcale?!

Przysiadła na jednym z pni. Ukryła twarz w dłoniach, łokcie oparła o kolana. Pozwoliła rudym lokom spłynąć jej na twarz. Oddychała coraz wolniej. Spokojniej. Drapało ją w krtani. Nagle odechciało jej się dalej maszerować. Odechciało się jej czegokolwiek. Chciała do domu.

Przy polanie zatrzymało się czarne Audi Q7.

Anka uniosła wzrok. Przyciemniana szyba odsunęła się powoli.

– Nic pani nie jest? Proszę wsiadać, podwiozę panią – powiedział szarmancko niskim i dźwięcznym głosem siedzący za kierownicą mężczyzna.

*

Bastian patrzył na postrzępiony rękopis.

Funkcjonariusz, który sporządził ten dokument, miał ideologiczny stosunek do ortografii. „Ludowa Ojczyzna" pisał wielkimi literami, a na przykład słowo „niemcy" – małymi. Dokument był protokołem doniesienia „Kiecory" o tym, gdzie można znaleźć „reakcyjnego partyzanta nie legalnej organizaci ak", a obecnie leśnego bandytę.

Bandyta nosił pseudonim „Pomsta".

Nazywał się Andrzej Groń.

* * *

Chłopcy nasi, chłopcy,
gdzie się podziejecie?
Po tej cornej hore,
kaj się rozbiegniecie?

Co będziemy robić,
kie hora obleci?
Wyliziemy na piec
między drobne dzieci.

29 stycznia 1947 roku, godzina 22.30
Za Sichłę

Duł wicher lodowaty, duł od gór, przez noc, śnieg z pól jak w wir tańca podrywał, okruchy lodu rozrzucał, drzewa w Starym Borze przyginał do ziemi, aż jęczały. Chmury mroczne po niebie gnał, a one sunęły w trupim świetle półksiężyca jak zmory spieszące na diabelski redyk. Gdzieś z dala, od regla, niósł się z wichrem wilczy skowyt. W taką noc dusze czyśćcowe podchodzą pod same okna.

Całe pole, od chat przykucniętych przy drodze skutej zmarzłą grudą aż po ścianę opatulonych w śnieg smreków Starego Boru, białe było jak połać płótna, jak naszykowany całun i przykryte

równo omiecionym przez wiatr śniegiem.

Tylko w jednym miejscu, na skos, przecinały je świeże i głębokie ślady. Ciągnęły się od leśnej przesieki, a potem od koryta Sichlańskiego Potoku w górę, ku wsi.

Szedł, po uda wpadając w zaspy, otulony brudną baranicą, we wciśniętej głęboko na głowę podbitej futrem uszatce. Czapka miała szary kolor i dwie dziurki na wysokości czoła. Jedną po orle Rzeszy. Drugą po trupiej czaszce.

Powiedzieli mu wtedy, gdy już odłożył stalówkę i patrzył na własny podpis na papierze, że teraz ma się trzymać z dala od willi „Farys", w której przez wiele miesięcy trzymali go ubowcy. Teraz nikt go już nie będzie bił ani przesłuchiwał, obiecali, bo teraz to on będzie służył nowej, ludowej ojczyźnie i jej karzącemu ramieniu. Będzie z władzą, powiedzieli.

Będzie z władzą, myślał. Teroz mu już syćko niestraśne.

Kazali mu być w następną niedzielę w południe w gospodzie na Jaszczurówce. Tam się z nim skontaktują, powiedzieli. Żeby zdał kolejne meldunki.

Z tego pierwszego meldunku, dzisiejszego, byli wyraźnie zadowoleni. Składał go, gdy udekorowane flagami Zakopane świętowało drugą rocznicę wyzwolenia przez zwycięską Armię Czerwoną. To była też jego druga rocznica. Rocznica chwili, gdy tamten oficer NKWD nie zastrzelił go od razu z nagana, lecz łaskawie wysłuchał do końca. Chwili, gdy już wiedział, że będzie dalej żył, o ile wytrzyma przesłuchania. Wytrzymał.

Też miał zamiar świętować.

Ale jeszcze nie teraz.

Przygięty nisko do ziemi, skradał się ku zabudowaniom. Zatrzymał się przy płocie. Spod nasuniętej głęboko czapki błysnęły oczy. Przekrwione i otoczone bruzdami przedwczesnych zmarszczek oczy, w które, gdy wypatrywał ruchu za oknem chałupy, wicher sypał mu lodowe okruchy.

Przez zamarznięte okno snuło się w mrok słabe żółte światło świecy. Po drugiej stronie szyby pełgały po ścianach pomarańczowe poblaski od paleniska. Od żaru płynęło po czarnej izbie akurat tyle ciepła, by nie zamarznąć. Niespokojne oddechy dwojga ludzi siedzących przy niskiej stolicy zamieniały się w obłoczki pary. Parowała też gliniana misa pełna gruli zalanych żurem. Mężczyzna w wojskowej kurtce, mocno schylony na niskim krzesełku do dojenia, łapczywie siorbał zupę. Za jego plecami, oparty o ścianę, czekał w pogotowiu odbezpieczony sten.

Dowódca rozśrodkował oddział na zimę. Schodzili do wsi, do swoich i nieswoich chałup, kryli się w piwnicach, komorach i pod cienką warstewką gromadzkiej solidarności.

Andrzej Groń także zszedł do wsi.

Naprzeciw niego siedziała matka. Z półprzymkniętymi oczami czekała, aż się naje, łyżka cierpliwie spoczywała obok jej splecionych na stole dłoni, między którymi przesuwały się czarne paciorki różańca.

Skrzypnęły drzwi. Do izby wdarł się lodowy podmuch. W progu zamajaczył cień.

– Jezus Maryja!

Andrzej rzucił się po stena. Ale zatrzymał się wpół ruchu, widząc wycelowanego w siebie visa. Zacisnął szczęki i powoli uniósł ręce do góry.

– Ostońze ta, hań siedzis. Bechnij karabin ku mie.

Kiedy w izbie wybrzmiewał ten chropowaty, znajomy głos, kiedy przybysz zdejmował czapkę i postępował w głąb izby tak, że jego twarz znalazła się w świetle, Andrzej czuł, jak na krtani zaciska się mu pętla, a w trzewiach wzbiera bezsilny gniew.

Bardzo się zmienił. Smagłą twarz przecinały zmarszczki i blizny. Jedna ciągle jeszcze świeża. Wychudł, rumiane dawniej policzki były teraz głęboko zapadnięte. Orli nos po źle złożonym złamaniu sterczał krzywo. Oczy miał podkrążone i zgasłe, przednie zęby wybite, resztę spróchniałą.

Z dawnych wydatnych rysów została kanciasta szczęka.

– Cemu, Jaśku? – wycharczał Andrzej Groń przez zaciśnięte gardło. – Cemu mnie prześladujes?

Tamten potrząsnął tylko głową.

– Siedzze cicho, ani drygoj, ino słuchoj, co godom – warknął, opuszczając nieco broń. – Bier sie stela i precki uciekoj, Jędruś.

Andrzej powoli uniósł się ze stołka. Ręce wciąż trzymał w górze, ale wypiął pierś i spojrzał Jaśkowi prosto w oczy. Tamten miał pistolet w pogotowiu, ale już w partyzanta nie mierzył.

– To mie ubij, kiej fces! – powiedział głośno. Głos mu drżał. – Strzyloj, Jaśku! Ja sie ciebie nie waruje! Nie beem przed tobom uciekoł!

Jasiek Śleboda znowu potrząsnął głową.

– Musis uciekoć, Jędruś.

– Bo co?

– Bom cie wydoł.

ROZDZIAŁ 9

Jescem se nie słysoł
tak dziewcyny płakać
jak wtencos płakała,
gdy mie prziśli łapać.

Anka ukradkiem otarła łzy i jak zaczarowana wsiadła do samochodu.

– Wszystko w porządku? – zapytał kierowca, gdy auto ruszyło bezgłośnie.

– Tak, to tylko, hm, alergia – odpowiedziała, siląc się na uśmiech.

– Ach tak – zmierzył ją wzrokiem, aż skurczyła się na siedzeniu. – Nie przedstawiłem się, jestem…

– Wiem, kim pan jest – przerwała mu. – Wszyscy wiedzą, kim pan jest, panie Groń.

– Pani wobec tego również nie musi się przedstawiać – powiedział, patrząc na drogę.

Jechali w stronę Brzezin, w przeciwnym niż wioska kierunku. Nie zapytał, gdzie ją wysadzić.

– To kim jestem? – zapytała, przechylając głowę.

– Pani jest kuzynką Kasi Kalenicy – odparł, uśmiechając się nieznacznie.

Zdziwiła się. Myślała, że zaraz wyskoczy z jakimiś rewelacjami o niej i Jędrku.

– I wypytuje pani o Ślebodę – kontynuował. – Nie wiem, czy w porozumieniu z panem Chowańcem, czy…

– Nie jestem w żadnym porozumieniu z panem Chowańcem – wyrzuciła z siebie i odwróciła się do okna, żeby ukryć łzy.

– Nie miałem nic na myśli – mówił dalej łagodnie. – Poza tym ja nikogo nie oceniam. Kimże jestem, żeby panią oceniać? Różne rzeczy się w życiu robi. Jedni mówią, że złe. A inni, że nie można było inaczej…

Wyłączył klimatyzację i opuścił szyby. W Brzezinach skręcił w lewo, jak na Łysą Polanę. Wzdrygnęła się. Zaraz po prawej był wlot feralnej Doliny Suchej Wody.

– Co za powietrze – westchnął. – Zabrałem kiedyś dzieci do Yellowstone i nawet tam tak nie pachniało.

Nie miała siły na zachwyty nad tatrzańską przyrodą. Co jest nie tak z tym miejscem, pomyślała. W górach z ludzi wychodziło to, co najlepsze, bohaterstwo i odwaga, ale i to, co najgorsze. Tchórzostwo i małość. Kotłowało się tu coś, destylowało, wrzało jak w alembiku na tym niewielkim spłachetku skalnej ziemi danej Polakom chyba na zachwyt i utrapienie.

– Wypytuje pani o Ślebodę i o Goralenvolk – odezwał się wreszcie Groń. – I bardzo dobrze. Oni by wszyscy chcieli zapomnieć, bo to dla nich wstyd, że taki człowiek żył wśród nich tyle lat. Ktoś powiedział pani coś ciekawego na jego temat?

– Nic – wzruszyła ramionami na tyle, na ile pozwalał jej pas bezpieczeństwa. – Milczą jak zaklęci. Stare dzieje, powtarzają, i nic ponadto.

– W takim razie ja pani coś opowiem o Ślebodzie.

Nadstawiła ucha, starając się, żeby nie poznał po niej żywego zainteresowania. Przed chwilą minęli wlot doliny i kilkanaście zaparkowanych tu samochodów. Po lewej zostawili za sobą szałasy na Palenicy Pańszczykowej. Znaleźli się w miejscu, gdzie droga skręcała ostro na most, a zaraz za nim skręcała ponownie. Pod nimi szumiała Sucha Woda. Wojciech Groń zatrzymał tu samochód. Anka pociągnęła za klamkę.

Drzwi były zablokowane.

Groń nie wysiadał.

Przełknęła ślinę.

– To było tutaj – powiedział głucho. – Tu się kiedyś spotkali.

– Kto się spotkał? – szepnęła Anka.

– Mój ojciec, Andrzej Groń, partyzant z Ciupagi. I on, Jasiek Śleboda, w hitlerowskim mundurze. Przed wojną najlepsi przyjaciele.

Kilka puzzli właśnie wskoczyło na swoje miejsce. A ona nagle pomyślała, że bardzo chętnie otworzyłaby te drzwi.

– Tak, Jan Śleboda przyjaźnił się z moim ojcem – ciągnął Groń. – Przed wojną oczywiście, potem ich drogi się rozeszły. Mój ojciec poszedł do lasu, do partyzantki, żeby bronić ojczyzny. A Śleboda postanowił wstąpić do SS.

Odwrócił się i popatrzył w jej pobladłą twarz.

– Dziwi to panią? Góral, Polak, w SS? Sam się nieraz zastanawiałem, dlaczego to zrobił. Dziwnie się losy ludzkie plotą, a z ludźmi bez charakteru historia robi, co chce – zawiesił głos. – Raz zasadzili się, właśnie tutaj, z odziałem, na niemiecki konwój. Ojciec patrzy, a tu wśród czmychających do lasu esesmanów widzi Jaśka Ślebodę w szwabskim mundurze. Miał go na muszce. Ale zamiast zastrzelić jak psa, pozwolił mu odejść.

Anka słuchała uważnie.

– I pomyśleć, że gdyby się wtedy nie zawahał, gdyby rozwalił temu łajdakowi łeb, to może i jego, i moje życie wyglądałoby inaczej – Groń znów odwrócił się w stronę lasu. – Życie moje, całej mojej rodziny i pewnie jeszcze niejednego człowieka na Podhalu wyglądałoby inaczej. Ale ojciec go puścił. Potem wojna się skończyła. Ojciec broni nie złożył, chciał walczyć z czerwoną zarazą, przeszedł więc do żołnierzy wyklętych, do Ognia. I pewnego dnia, gdy ojciec na zimę wrócił, żeby ukryć się we wsi, ten łajdak go wydał. Zdradził przyjaciela, który mu darował życie. Taki to on był, Śleboda. Ale wtedy to on już innemu panu służył.

Wojciech Groń zamilkł. I ruszył gwałtownie, aż gwizdnęła sprężarka i Ankę wcisnęło w fotel. Prowadził w milczeniu, zaciskając sękate dłonie na kierownicy.

– I co dalej? – zapytała ostrożnie.

– Dalej, proszę pani, to nie rozumiem, co się stało. Bo on wydał ubecji, gdzie się mój ojciec ukrywał, a potem przyszedł i go ostrzegł. Ojciec mu oczywiście nie wierzył, ale coś go tknęło. I uciekł. Matkę starowinkę, babkę moją, musiał zostawić samą. Następnego dnia o świcie przyjechało po niego KBW, ale go już nie znaleźli. Tułał się po świecie, w końcu trafił do Stanów, do Chicago. Tam się urodziłem, tam mieszkaliśmy. Dobrze nam tam było, choć z początku bardzo biednie, ale ciężką pracą się dorobiliśmy. Często ojciec Jaśka Ślebodę wspominał. Nawet jak umierał, to go wspominał. Płakał, biedny tata, bo do niego na koniec polski ksiądz nie przyszedł. Na Florydzie, gdzie umierał po wylewie, nie znaleźliśmy polskiego księdza, tylko irlandzkiego, a on się tak bardzo chciał po polsku wyspowiadać. Mówił, że nikt inny go nie zrozumie, nie zrozumie jego nienawiści.

– Nienawiści – powtórzyła w zamyśleniu.

– Tak. Ojciec nienawidził Ślebody, a to przecież straszny grzech. Rozumie pani. Nienawidził wzgardzonego wroga, któremu zawdzięczał życie.

– A pan? Pan rozumie jego nienawiść? – pytała dalej, przełamując strach.

– Rozumiem doskonale – Groń uśmiechnął się, odsłaniając zęby. – I coś ojcu na łożu śmierci obiecałem.

Już miała zapytać odruchowo, co obiecał, ale ugryzła się w język. Teraz naprawdę żałowała, że wsiadła do tego samochodu. Groń pędził po serpentynach. Nagle skręcił w leśną drogę, ignorując zakaz wjazdu. Ciężki SUV zakołysał się na wybojach, silnik zawył. Nie wiedziała, gdzie są. Skręcili

kilka razy. Taki sam las. Taka sama droga. Zmierzch. Nie widać gór.

– Nienajlepiej się czuję – szepnęła, zapadając się w fotel.

– Tak, wiem, alergia – roześmiał się głośno, rozluźniony. – Ludzie tacy jak my powinni trzymać się razem. My, outsiderzy. Niepiloki, jak mówią górale. Jesteśmy i stąd, i nie stąd. Nigdy tu i nigdy tam. Zawsze tu i zawsze tam. Widzimy więcej, rozumiemy więcej. Więcej nam wolno. Cóż nam ludzkie gadanie, ludzkie potępienie.

– Jasne – jęknęła.

Jechali dalej, terenowe auto przedzierało się przez las, gałęzie szorowały po lśniącej karoserii.

– Zimno? Mam zamknąć okno? – zapytał uprzejmie.

– Nie, proszę, nie.

Czym się tak stresuję, pomyślała. Jazdą autem z miłym panem Groniem, którego uwielbia cała wioska? Im bardziej Anka się denerwowała, tym bardziej rozluźniony był Groń, wystawił za okno łokieć i pogwizdywał cicho. W milczeniu obserwowała, jak reflektory samochodu omiatały drogę trupiobladym światłem, wydobywając z mroku fantastyczne kształty.

Wreszcie las się skończył i zobaczyła w oddali żółte, ciepłe światła ludzkich sadyb, zarysy ostrych spadzistych dachów na tle granatowego jeszcze nieba. Ucieszyła się, jak mało kiedy z jakiegokolwiek widoku.

Turlali się jeszcze chwilę, aż zajechali od tyłu, przez łąkę, za chatkę Babońki.

– Bardzo przydatny skrót – powiedział Groń i zatrzymał się z chrobotem kamyków pod kołami.

Drżącymi palcami sięgnęła do klamki i otworzyła drzwi. Powoli, by nie zobaczył, że się spieszy, odpięła pas i zeskoczyła. Na ziemi poczuła się pewniej.

– Do zobaczenia, nie wątpię – powiedział Groń.

– Do zobaczenia – powtórzyła jak w transie i trzasnęła drzwiami.

Czarne audi jak wielki niezgrabny owad o błyszczącym pancerzu wykręciło leniwie i odjechało powoli w stronę lasu. Chłodny wiatr omiótł rozpaloną twarz Anki, na której czuła jeszcze łzy wstydu i złości.

W oknie Babońki paliło się światło. Dałaby głowę, że poruszyła się też firanka.

Tytuł: Góralska wendeta?

Autor: Sebastian Strzygoń

Popatrzył na monitor i głęboko odetchnął. Jeszcze przez chwilę się zastanawiał, po czym skasował znak zapytania z tytułu. Był gotów.

Dopiero teraz sięgnął po komórkę. Otworzył listę nieodebranych połączeń i zobaczył numer Anki. Osiem nieodebranych. Ależ musiała tęsknić, pomyślał.

– Bastian? – usłyszał jej zaspany głos po dłuższej chwili oczekiwania. – Co się dzieje? Gdzie jesteś?

– Anka, co tak długo nie odbierasz?

– Jest środek nocy – westchnęła. – Stało się coś?

– Słuchaj – rzucił. – Odpalam bombę. Wielką rakietę ziemia – powietrze, co wysadzi w kosmos cały ten bajzel na tym waszym Podhalu. Nie zgadniesz, do czego się dokopałem w IPN-ie – zaśmiał się do telefonu.

– Zamieniam się w słuch – odparła. Nie podobał mu się jej ton.

– Śleboda, stary skurwiel, najpierw donosił Niemcom, a potem władzy ludowej. TW, rozumiesz? TW „Kiecora”. Ale to nie wszystko – nie pozwolił sobie przerwać, chociaż jakoś nie próbowała mu przerywać. – Anka, to tylko szczegół! Nie zgadniesz, kogo podesrał nasz bohater w swoim pierwszym donosiku.

– Ojca Wojciecha Gronia – odparła natychmiast.

Osłupiał.

– Ale jak to? – jęknął do słuchawki.

– Ty masz swoje zawodowe triki, ja mam swoje. Ojciec Gronia i Śleboda przyjaźnili się przed wojną – cedziła. – Potem jeden poszedł do SS, a drugi do lasu. Raz Groń oszczędził Ślebodę, potem Śleboda wydał Gronia, ale go ostrzegł i Groń uciekł.

– I nic mi nie powiedziałaś, że wiesz? – jęknął z wyrzutem. – Nie pływałbym wtedy na oślep w ubeckich papierach!

– Zniknąłeś z dnia na dzień, panie tajemniczy dziennikarzu na tropie – prychnęła. – Nie powiedziałeś, gdzie i po co, nie odezwałeś się ani razu. Skąd miałam wiedzieć, że po prostu nie dałeś sobie spokoju i nie pojechałeś podrywać małolat do Międzyzdrojów, akurat byłoby to zajęcie na twoim poziomie.

Odsunął nieco telefon od ucha. Skąd u niej taki atak urazy?

– Dlatego postanowiłam poradzić sobie sama, za pomocą mojego – powiedziała to z emfazą – naukowego aparatu badawczego. Bez manipulacji. I nawet nie musiałam się z nikim migdalić za informacje.

Jego ego leżało wśród eksplozji na plaży Omaha z urwaną nogą i przywoływało sanitariusza. Policzył do dziesięciu.

– Gdybym wiedział, że cię tak ruszy, to codziennie wysyłałbym ci kwiaty – powiedział po chwili. – Tak, wiem, zrozumiałem, jesteś ode mnie lepsza, pani psorko. Zadowolona? Ja ciebie nie pouczam, jak masz studentów uczyć, więc z łaski swojej oddryndaj się, motyla noga, od moich metod, bo ni chuja nie wiesz, jak się robi w tej branży.

Tak, akurat wie więcej od niego. Nie miała nawet pojęcia, co on usłyszał od Wojciecha Gronia. Co ma nagrane. I z czego zrobił puentę swojego tekstu.

– Możemy skończyć tę idiotyczną rozmowę? – westchnęła po drugiej stronie.

– Poczekaj, czegoś tu nie rozumiem – przemógł się i zapytał, bo nie dawało mu to spokoju. – Poszedł, zdradził, wydał, ostrzegł. Tego nie ogarniam. Skoro zdradził i wydał, to dlaczego ostrzegł? A jak przyjaciel, to dlaczego wydał?

– Jezus Maria, Bastian, jest wpół do trzeciej w nocy… – jęknęła. – Możemy o tym pogadać rano? Jak zacznę myśleć?

– Czekaj, to ważne!

– Skąd mam wiedzieć, nie było mnie tam wtedy…

– Ale na pewno znasz kogoś, kto był i wie. Masz przecież naukowy aparat badawczy! – wycedził. – Skuteczny jak Cif w walce z brudem i nieprzyjemnym zapachem!

Zawahała się.

– Może i znam – mruknęła ostrożnie.

– No i grejt – ucieszył się. – Jutro z rana przyjeżdżam, złapię pierwszego Szwagropola. Śpij sobie dalej. – Rozłączył się.

Przyjaźnili się? – pomyślał. Może to nawet lepiej. Zdradzony i zawiedziony ma lepszy motyw niż tylko zdradzony.

Sto kilometrów dalej na południe, na dusznym poddaszu spocona, wściekła i wyrwana ze snu Anka leżała nago na łóżku, zastanawiając się, co w nią wstąpiło. Przecież nic z tego, co mu powiedziała, nie było prawdą. Spotkała Gronia, który postanowił się przed nią wywnętrzyć. Przypadek, nie żaden naukowy aparat badawczy. Wyciąga z Babońki bolesne wspomnienia. Czy to już manipulacja? I jeszcze Jędrek. Migdaliła się z nim, co prawda nie za informacje, ale jednak. Z facetem, co ma żonę i dziecko.

I jeszcze znowu ściągnęła sobie Bastiana na głowę.

Jędrek stał przed półką w zakopiańskim supermarkecie i wpatrywał się w nią intensywnie. Jadzia Kiciarz oczywiście z Limanowej wróciła z pustymi rękami. W sklepie popatrzyli na nią z pobłażaniem i wytłumaczyli, ile sprzedają lodówek.

Omiótł wzrokiem przestrzeń, skąd w najróżniejszych konfiguracjach, w sześciopakach, czwórpakach, megapakach, w butelkach i puszkach błyskało do niego to, do czego tak bardzo tęsknił. Piwo. „Piwo to moje paliwo" – miał nawet kiedyś koszulkę z takim napisem, wyrzucił ją potem na jednym z dwunastu kroków.

Jak on się tu znalazł? Przetarł zmęczone oczy. Co go tu przyniosło z nabiału?

Spojrzał na listę zakupów. Ryż w torebkach, znowu będzie chińszczyzna ze słoika, westchnął do siebie. Odkąd Piotruś się urodził, Ewie zrobiło się w pewnych sferach życia wszystko jedno. Skończyły się obiadki, kotleciki, lazania z sosem bolońskim i kanapki do pracy. Skończyły się fikuśne koszulki nocne i letnie sukienki. Teraz tylko fix Knorra, a wieczorem wyciągnięty dres i telewizja.

I nawet nie w tym rzecz, że nie pamięta już, kiedy się ostatnio kochali. Nawet rozmawiać ze sobą nie mają o czym. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz śmiali się razem. Chyba w tej góralskiej knajpie, z Klepańca Maryny. Chwileczkę – przecież to nie z Ewą…

Wyjął z kieszeni komórkę i wyszukał numer Anki. Patrzył przez chwilę w ekran, chciał zadzwonić, usłyszeć jej głos, poprzekomarzać się, dać się zrugać, nawet wyjść na idiotę. Ale tak samo jak wtedy, gdy pierwszy raz w życiu wziął na ręce małe, czerwone, pomarszczone ciałko swojego syna i nie mógł upić się ze szczęścia, bo tak właśnie zdecydował, dla niego, dla tego małego pomarszczonego ciałka, tak samo teraz też nie może zrobić tego, czego najbardziej pragnie.

Usłyszał ich, zanim ich zobaczył – rechotliwy śmiech i brzęk butelek o metalowy koszyk. Kiedy wyjechali zza zakrętu alejki, udał, że studiuje cenę pieluch. Miał nadzieję, że go najzwyczajniej w świecie nie zauważą.

– Ty, patrz Pysku! – poniosło się echem po sklepie. – Patrz kto się schował na gównianym dziale!

– Pieluchy przydatna rzecz – zarechotał Pysku. Pod obcisłym białym podkoszulkiem zatańczyły muskuły. – Jak się ktoś posra ze strachu.

Jędrek zmierzył ich wzrokiem i zacisnął zęby.

– Jeszcze się spotkamy – warknął. – I nie będzie wam tak wesoło.

Tak, jak w ręku zamiast paczki Happy Bobo będzie miał nakaz aresztowania albo przynajmniej policyjną pałkę. Zgrilluje im wtedy karkówkę, aż pójdzie siwy dym.

– Pysku, boję się! – zapiszczał cienkim głosikiem ten przypakowany wszerz, kiedy odchodzili.

Patrzył jeszcze chwilę za nimi. W normalnych warunkach już dawno mieliby przynajmniej zawiasy.

Ale nie tu.

Bastian prestidigitatorskim ruchem ręki, bez słowa, włożył Ance do ucha białą słuchawkę i musnął ekran iPhone'a. Z satysfakcją patrzył, jak zmienia się wyraz jej twarzy.

Powtarzane w kółko na wernisażu w remizie słowa o godności, honorze, opowieść o zdradzonym ojcu, nabrały zupełnie nowego sensu. Co innego dowiedzieć się, że Groń jest powiązany ze Ślebodą, że mógłby mieć motyw, a co innego usłyszeć jego własny głos, jak prawie wprost o tym mówi.

– On to zrobił – szepnęła.

– Praktycznie się przyznał – Bastian wzruszył ramionami.

– I to, jak mówił o krwi i honorze wtedy w remizie – Anka się wzdrygnęła. – Jakby wygłaszał kazanie… Jezu, Bastian, wychodziłoby na to, że to kompletny świr.

Dziennikarz skinął głową.

– Trzeba powiedzieć policji! – stwierdziła poważnie.

Złapał ją za ramię i mocno przyciągnął do siebie.

– Ani mi się waż, pani doktor, ani słowa temu wiejskiemu agentowi Cooperowi, zanim nie ukaże się mój tekst – warknął. – Sam mu powiem, ale dopiero wtedy, gdy będę pewny, że mam ekskluziw, okej? – dodał, zmitygowany.

– A przy okazji – przypomniał mu się nagle ważny szczegół. – Jakim samochodem jeździ Groń?

– Czarnym audi. Takim dużym suvem, chyba Q7 – odparła.

– Yes! – dziennikarz aż zacisnął pięść. – Jedna baba, która mieszka na Kiecorze, mówiła, że do starego Ślebody zajeżdżało czarne auto. A teraz co, idziemy do kogoś, kto mi coś powie o relacji starego Ślebody i starego Gronia? – zapytał, gdy dotarli do małej chatki ukrytej za pensjonatem Kaleniców.

– Nie obiecuję, że ci coś powie – powiedziała Anka półszeptem. – Nie obiecuję nawet, że cię wpuści za drzwi. Ale jeśli ktoś może się w tym wszystkim połapać, to tylko ona.

Dziennikarz obrzucił nieufnym spojrzeniem starą chałupę. Wyglądała niepokojąco podobnie do tej na Kiecorze, gdzie znalazł Andżelę i jej rodziców. Ten sam układ: pod wspólnym dachem jedno okno, drzwi, drugie okno, zadaszony odstęp i szopa. Nie zdążyli zapukać, gdy otworzyły się drzwi. Ukazała się w nich na moment twarz staruszki. W półmroku sieni mignęły jej skrzące się oczy.

I drzwi natychmiast zatrzasnęły się z hukiem.

– Kurczę – mruknął osłupiały Bastian. – Jakbym wiedział, że mnie bierzesz do najstarszej starowinki, to bym wziął dżemik na łapówkę.

Anka fuknęła na niego i przykazała, żeby poczekał. Sama zniknęła za drzwiami.

– Babońko, pięknie was pytam – mówiła uroczyście. Próbowała użyć właściwych słów i gramatycznych form, ale broń Boże nie zaciągać gwarą. – Haw czeka mój… kolega – zawahała się przy tym słowie. Spostrzegła, że to wahanie nie uszło uwagi staruszki. – On jest dziennikarzem, pisze do gazety.

Złowiła wzrokiem gwałtowny grymas na pomarszczonej twarzy.

– Pracuje nad tym, co się stało u Ślebodów, wpadł na ważny trop. Ja mu trochę pomagam…

– Jo se myśloła – przerwała jej staruszka, a kącik jej ust ledwo dostrzegalnie drgnął – co ty pomogos Chowańców Jędrkowi.

Anka zacisnęła zęby.

– Babońko – zdecydowała się nie wikłać w wyjaśnienia – zgódźcie się z nim chwilę pogadać, pięknie was pytam.

Staruszka milczała. Powoli, szurając rozczłapanymi kapciami, podeszła do okna, odsunęła bezceremonialnie koronkową firankę i zmrużyła oczy, przyglądając się uważnie Bastianowi. Pokręciła głową.

– He, dziecko, dobrze by beło, cobyś ty se nalazła jakiegosi hyrnego chłopecka, a nie takiego nicpotnioka, bździne i dziawrage – zawyrokowała. – Ale kie ty mie pytos, to niek bedzie, jako fces – dodała, nie dając Ance czasu na protesty.

– Chodź, dziawrago – Anka uśmiechnęła się do Bastiana, otwierając drzwi. – Tylko nie chlapnij niczego głupiego.

– Kurde, normalnie jak na westernach – prychnął. – Traper porozmawiał z wielkim wodzem i wielki wódz zgodzi się przyjąć kowboja w swoim wigwamie.

– To trafniejsze skojarzenie niż myślisz – powiedziała.

Nawet człowiek jego wzrostu musiał się schylić w progu tej chatki. To zadziałało tak, jakby został zmuszony do ukłonu. Stanął w progu kuchni. Siedząca przy piecu staruszka świdrowała go oczami. Dziennikarz przyłapał się na tym, że choć sufit był tu dużo wyżej, on wcale się nie wyprostował. Z przyjemnym zaskoczeniem stwierdził, że w chałupie nie śmierdzi, tak jak się spodziewał. Pachniało świeżym twarogiem i smażoną cebulą.

Anka zaczęła opowiadać Babońce, czego się dowiedzieli. Bastian wtrącał nieśmiało po kilka słów, zastanawiając się, co się z nim, do cholery dzieje. Czuł się jakby znowu miał sześć lat, a starzy znowu zostawili go pod opieką surowego dziadka. Gdy nieproszony usiadł na taborecie, poczuł, jakby spojrzeniem zdzieliła go w łeb.

Stopniowo coraz częściej włączał się w opowieść, aż wreszcie dotarli do końca. Babońka milczała, siatka jej zmarszczek nawet nie drgnęła. Tylko kciuki splecionych ze sobą kościstych dłoni tańczyły wokół siebie.

– Prowda – powiedziała w końcu. – Jasiek i Jędrek beli wieldzy przyjociele przed wojnom.

Anka i Bastian popatrzyli po sobie.

– Ba co Jasiek Jędrusia wydoł, tegom nie wiedzioła – zastrzegła jednak.

– Babońko, mówiliście mi na cmentarzu, że po wojnie ludzie się dalej bali starego Ślebody – przypomniała sobie Anka.

– Prowda – odparła staruszka.

– Bo wiedzieli, że chroni go władza? Domyślali się? – wtrącił Bastian.

Staruszka przyjrzała się mu bacznie, aż zaczął się intensywnie zastanawiać, czy nie powiedział czegoś głupiego. Odetchnął, gdy skinęła głową.

– Ale on przecież był tajnym współpracownikiem. Tajnym – podkreślił Bastian i nachylił się ku rozmówczyni, zaplatając dłonie.

Staruszce błysnęły oczy.

– U nos na wsi, wiycie, to syćko za jedno cy fto robi cosi tajnego, cy do dziennikorza chodzi sie spowiodać – wyjaśniła.

– A skąd się ludzie domyślali? – zapytał.

Staruszka machnęła ręką z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– A ftoz ta wiy. Moze bez to, ze go komuna nie wywłascyła z ojcowizny, choć dy przecie kolaborantom syćko zabierali, a on mioł kiela ziymie hań na Kiecorze. Ale moze i nie bez to, bo hańta ziym to ino młaka i bór. Ftoz ta wiy, kie ludzie wiydzom – powtórzyła. – Ba ino pewne jest, ze wiydzom.

– Wiedzieli, więc się bali i się nie mścili… – powiedział dziennikarz. Staruszka znowu machnęła ręką.

– Nie – mruknęła, wyraźnie niezadowolona. Anka wzmogła czujność, bo jak znała Babońkę, chwila, w której dziennikarz wyleci z hukiem z chałupy, a ona zaraz za nim, mogła nadejść z zaskoczenia. Bastian tymczasem uniósł pytająco brwi.

– Nie mścili sie, bo niekie ludzie fcom zabocyć – dodała Babońka ciszej.

– Wybaczyć? – nie zrozumiał dziennikarz.

– Zapomnieć – rzuciła szybko Anka.

– Ale jednego wciąż nie rozumiem. Może pani pomoże mi to pojąć – podjął miękko Bastian. – Skoro Jan Śleboda zdradził Andrzeja Gronia, to dlaczego go ostrzegł? A skoro się przyjaźnili, to dlaczego wydał?

Babońka trwała przez dłuższą chwilę w bezruchu. Zawiesiła wzrok na oknie, a może za oknem. Poruszyła kilka razy żuchwą, nie otwierając ust, jakby przeżuwała jakąś myśl.

– Nej, moze temu, ze kie sie pierw barz miyłuje, to sie pote barz nienawidzi.

Przerwała.

– A moze i temu – dodała po chwili – ze nobarzyj sie nienawidzi tego, któremu sie co zawdziynco.

Zamilkła znowu.

– Nej, a moze tyz temu – powiedziała wreszcie – ze Jasiek Śleboda jaki beł, taki beł, ale beł górol. A górol to jes człek niepojęty.

Staruszka została sama. Podniosła się ciężko. Trwało dłuższą chwilę, zanim się wyprostowała. Potem powoli, szurając kapciami, podeszła do okna. Usiadła ciężko na ławie. Splotła ręce na podołku. Skroń oparła o zimną szybę.

Wszystko wróciło. Tamta wieś, tamten wysoki chłopak o jasnych oczach, smagłej twarzy i hardych rysach, który najpiękniej w całej wsi po góralsku śpiewał, który głos miał dźwięczny, szorstki trochę, a jego śpiew niósł się po pastwiskach. Wróciła też tamta trzynastoletnia dziewczyna o wydatnych rysach i gęstych brwiach, o pociemniałej od słońca cerze, z grubym warkoczem. Dziewczyna, co oglądała się za tamtym chłopakiem, tamtym Jaśkiem, gdy szedł przez wieś, i spuszczała wzrok, gdy podchwycił jej spojrzenie i szelmowsko puszczał oko. Co chodziła za nim, w wielkim sekrecie, wysoko na hale, żeby słuchać jego śpiewki:

Kiej mnie nie zabili
przi tej bystrej wodzie
juz mnie nie zabijom,
juz mi nic nie bedzie.

I gdy Jasiek kilka lat później wrócił do wsi już nie w góralskich portkach, tylko w czarnym mundurze, ta dziewczyna, choć wszyscy inni odwracali od niego wzrok, dalej się za nim oglądała. Tylko że jeszcze bardziej skrycie, żeby nikt tego jej spojrzenia nie podchwycił, nie odkrył jej tajemnicy.

Wargi Babońki zadrgały, pomarszczone dłonie zacisnęły się mocniej, gdy wspominała tamtą głupią śpikulę, jak stała przed starostą po kenkartę i jak, zapytana o narodowość, znowu pomyślała o tych niebieskich oczach.

Może w ogóle nie myślała, bo była szczenięco zakochana w tym strasznym i pięknym gaździe w mundurze, który sprawiał, że wyglądał tak mocarnie. A może czuła, że los właśnie ich rozłącza ostatecznie. Stawia ich – myślała tamta głupia śpikula – na dwóch wierchach wielgich, miyndzyj ftoremi jest pustać ino i przepaść okrutna. Ze teraz, kie on jest świab, a ona górolka, to juz nigdy, przenigdy nic ich nie złący.

Mogła zostać wśród swoich, ale sama. Albo rzucić się w piekło, ale z nim, ze swoim umilonym Jaśkiem.

Babońka wspomniała tamtą głupią śpikulę, jak szeptem, niepomna tego, co jej przykazywali starsi, niepomna na niechybnie ją czekający ojcowski gniew, odpowiedziała urzędnikowi: „narodowość góralska”.

Surowy urzędnik huknął pieczęcią o jej kenkartę, tam gdzie wklejone było jej zdjęcie. Okrąg z nazistowskim godłem odcisnął się na jej twarzy już na zawsze.

Tytuł: Góralska wendeta
Autor: Sebastian Strzygoń
Miała dziewiętnaście lat. Chciała studiować zarządzanie, chociaż tak naprawdę pociągało ją dziennikarstwo. Już nie zrealizuje swoich marzeń. Tego lipcowego poranka zwłoki Andżeli Ś. oraz zwłoki jej rodziców leżały całe we krwi, z brutalnie poderżniętymi gardłami, ułożone w makabryczny krąg na podłodze starej chałupy w Murzasichlu (Podhale).
A na ścianie sprawca namalował ich krwią wielką swastykę.

W krakowskim oddziale „Flesza” deadline minął już pół godziny temu. Ale czekali. Czekała też redakcja ogólnopolska. Wiedział, że gdyby tylko chciał, gdyby dla kaprysu zapragnął przeczytać swój tekst jeszcze raz, poczekałaby nawet drukarniana maszyneria. Że gdyby dla zachcianki zmienił jedno zdanie, wpłynęłoby to na treść jutrzejszych nagłówków wszystkich portali, radiowych

wiadomości, żółtych pasków. Że dziś to on stoi na szczycie informacyjnej piramidy, a wszystko, co poniżej, zamarło w oczekiwaniu na jeden jego władczy gest.

W tej samej chałupie na początku lipca ktoś zamordował jej właściciela, Jana Ś. (88 l.). Dziadka Andżeli Ś. Choć policja zataiła te informacje, „Flesz" ustalił, że jego poćwiartowane zwłoki znaleziono na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego. Jego śmierci też towarzyszyła swastyka: wyciął ją nożem na drzwiach mieszkaniec Murzasichla o imieniu Roman (ok. 80 l.). Dziennikarz „Flesza" był świadkiem tego wydarzenia.

Przed oczami stanęła mu Andżela. Z mokrymi włosami, gdy czekała na niego nieopodal chałupy na Kiecorze. Z majtkami w kolanach, gdy kochali się jak wariaci w garażu remizy. Z poderżniętym gardłem, gdy ją znalazł.

A potem stanął mu przed oczami Wojciech Groń. Szczerzący się i syczący przez zęby słowa o nienawiści, zemście i piekle.

– Idę po ciebie, skurwysynu – powiedział. Uśmiechnął się i wykonał swój władczy gest.

Kliknął w „wyślij".

Roman obecnie siedzi w areszcie. Ale nic policjantom nie powie. Ten człowiek jest upośledzony i nie ma z nim kontaktu. Nie wiadomo, jaki jest jego związek ze sprawą, lecz policja wyklucza, by był on sprawcą. Gdy popełniano drugie z morderstw, Roman znajdował się w areszcie. Nie mógł też samodzielnie zabić, poćwiartować i ukryć zwłok Jana Ś. Wiadomo, że zamordowany przed śmiercią pił ze sprawcą wódkę i kawę – mało prawdopodobne, by gościł w ten sposób Romana.

Podkomisarz Jędrek Chowaniec pochylał się nad laptopem, czytał i mełł w zębach przekleństwa. Jeszcze pół godziny temu zapowiadał się zupełnie normalny wieczór. Siedział w dresie przed telewizorem, w pokoju obok Ewa spała jak zwykle przy Piotrusiu, gdy komórka zadzwoniła melodią *Nokia Tune*, a na wyświetlaczu pojawiło się: „Dziennikarz Strzygoń Dupek". Zawahał się. Ale odebrał.

– No, witam, witam, panie komisarzu – usłyszał, jak Bastian stara się mówić niskim głosem. – Dalej próbuje pan zawęzić krąg podejrzanych?

– O co panu chodzi? – mruknął, irracjonalnie wdzięczny opatrzności, że pismak nie dzwoni z powodu odkrycia nowych zwłok.

– Zawęziłem krąg podejrzanych za pana. Ma pan na mailu tekst artykułu, który właśnie zesłałem do druku. Udostępniam go panu w imię współpracy między trzecią a czwartą władzą. Ukaże się jutro rano, więc zdąży pan jeszcze aresztować kogo trzeba, zanim ten ktoś też przeczyta gazetę i panu zwieje.

Chowaniec dwoma susami doskoczył do komputera.

– Podziękuje mi pan później – roześmiał się dziennikarz.

Nie, sprawcą musiał być ktoś istotniejszy. Ktoś, przed kim starzec ze zrujnowanej chałupy czuł respekt.

Obudził ją łoskot na schodach. Ktoś biegł po nich na górę ciężko, jakby przeskakiwał po dwa stopnie.

Rozległo się łomotanie do drzwi.

– Kuzynka, śpisz? – z korytarza rozległ się dźwięczny głos Józka.

– Zaraz! – krzyknęła, pośpiesznie wciągając dres. Kuzyn wpadł do pokoju, tchnęło od niego trawioną wódką, oczy mu błyszczały. Wcisnął jej w ręce gazetę.

– Czytaj! – zakomenderował podekscytowanym głosem. – Wracałem z grania na weselu, wstąpiłem sobie jeszcze kupić kefir i nagle patrzę, a tu w dzisiejszej gazecie taka historia!

Anka rozłożyła przed sobą „Flesza". Przysiadła na łóżku. Zaczęła czytać.

„Flesz” zapytał pragnącego zachować anonimowość eksperta od symboliki i kultury, co kierowało mordercą.

– Eksperta od symboliki i kultury?! – jęknęła, nie bacząc na Józka, który przypatrywał się jej od drzwi.

Jak się dowiedzieliśmy, pierwsza i druga zbrodnia różnią się od siebie. Ale za każdym razem doszło do symbolicznego odcięcia głowy, ważny jest też motyw krwi: „krew z krwi” oznacza rodzinę i dziedzictwo. Znamy też takie cytaty jak „krew twojego brata woła o pomstę do nieba” (Bóg do Kaina, biblijnej postaci, zabójcy swojego brata Abla – przyp. red.), czy „krew jego na nas i na dzieci nasze” (Żydzi do Piłata po tym, jak skazał Jezusa na śmierć – przyp. red.). Pierwszy cytat kojarzy się z zemstą za zbrodnię. Drugi z tym, że dzieci są odpowiedzialne za zbrodnie rodziców.

Pół godziny później, w jadalni, czytała tekst Bastiana po raz trzeci i klęła pod nosem.

– Matoł jeden – warczała. – Półgłówek, matoł i pajac.

Miała ochotę wydrapać Bastianowi oczy. Nie chodziło już nawet o „eksperta od kultury”.

Była wściekła, bo gdy przeczytała zredagowane pod czytelnika tabloidu strzępki własnych wywodów, wyparowała z niej cała duma z własnych umiejętności. Setki przeczytanych książek, doktorat, dziesiątki publikacji, wszystko to zostało właśnie podsumowane w jednym zdaniu na kiepskim papierze, w otoczeniu wykrzykników i wielkich czerwonych liter „To szok”. Oczywiście, przekonywała samą siebie, Bastian nic nie zrozumiał, uprościł, wyjął z kontekstu. Ale w głębi duszy i tak wiedziała, że to jej własne słowa. Obnażone i wystawione na pośmiewisko.

– Zadowolona? – zapytała Kaśka, która właśnie stanęła w drzwiach i zaplotła ręce na piersi.

Czuła, jak patrzy na nią Józek, że jej plecy świdruje wzrok kucharek, a ciotka spogląda na nią spode łba. Wszyscy milczeli. Pytanie Kaśki zastygło jak kropla żywicy na boazerii.

– Masz, czego zawsze chciałaś, jesteś w centrum zainteresowania. Wiesz, co się teraz będzie działo we wsi – Kaśka mówiła nienaturalnie spokojnym tonem. – Myślałam, że przyjechałaś na wakacje, a nie wykopywać spod ziemi trupy dla własnej fantazji.

Jak ustalił „Flesz”, Jan Ś. to człowiek o mrocznej, wojennej przeszłości. W czasie wojny na Podhalu miał miejsce jedyny w Polsce przypadek zorganizowanej kolaboracji z okupantem, tzw. Goralenvolk (naród góralski – przyp. red.). Ledwo Polska przegrała wojnę, a delegacja górali z Wacławem Krzeptowskim na czele już składała na Wawelu hołd hitlerowskiemu namiestnikowi Hansowi Frankowi. Górali uznano za odrębny naród pochodzący od Gotów (plemię germańskie – przyp. red.), który nie ma nic wspólnego z Polakami. Wydawano dla nich osobne kenkarty (okupacyjne dowody osobiste – przyp. red.). Niemcy próbowali też zorganizować… góralski legion SS!

– Jezusie Maryjo! Jezusie! I to w ogólnopolskiéj gazecie! – Staska na przemian wznosiła ręce i kręciła głową. Przed sklepem „Pokusa” z minuty na minutę puchł tłum. Kto tylko wychodził ze sklepu albo szedł od kościoła, przystawał, zaglądał do przekazywanej sobie z rąk do rąk gazety i rzucał się w żar dyskusji.

– He, piyknie nas opisali! – jej otoczone zmarszczkami oczy zalśniły wilgocią. Obok niej stała Baśka, z niedowierzaniem wpatrując się w płachtę papieru.

– Co to teraz będzie? – pytała cicho. – Takiego wstydu narobić…

– Skandal i medialna manipulacja! – zakrzyknął wąsaty sąsiad. Dwóch górali w mocno podeszłym wieku spojrzało po sobie bystro.

– Coz ta godocie? Toz syćko prowda – uśmiechnął się jeden krzywo.

– Juści prowda – przytaknął drugi, marszcząc czoło. – Ba ino nie trza o niej pisoć.

– Kany tu prowda? Jaka prowda? – Tłumek zafalował, do wrzawy włączały się kolejne głosy. – Cygaństwo ino!

– Cyrwone media!

– Zdrada!

Jan Ś. zaciągnął się do tego legionu na ochotnika. Przeszedł szkolenie i został esesmanem. Góralskim esesmanem! To nie wszystko. Jak ustalił w dziennikarskim śledztwie „Flesz”, Jan Ś. po wojnie sam zgłosił się na NKWD. Zaryzykował, że go rozstrzelają, ale się wyłgał i został tajnym współpracownikiem komunistycznej bezpieki.

– A ten Groń bandyta! – przebił się nagle inny głos. – Taki syn!

– A dobry był z niego gazda – Baśka westchnęła głośno.

– Eć ta, dobry – parsknęła Staska. – Syćkie chłopy są takie syny, syćkie jak jeden.

– Ale żeby morderca? Od nas ze wsi?

– Bandyta nie bandyta – wyrwał się ktoś. – Chwasta wyrwał.

– Widno, zeście głuptok dojmentny.

– Żebym ci, dziadu, w kufe nie dał!

– Wszystko to medialna manipulacja!

Na początek wydał ubekom najbliższego przyjaciela sprzed wojny, Andrzeja G. Ten musiał uciekać za granicę i wymknął się komunistom tylko dlatego, że Jan Ś. go ostrzegł. Pragnąca zachować anonimowość osoba mieszkająca w Murzasichlu i pamiętająca tamte czasy potwierdza, że Jan Ś. i Andrzej G. bardzo się kiedyś przyjaźnili.

– A ftoz sie wypowiadoł do mediów? Ftoz doniós? Należć i napraskać po gembie!

– Hańba!

Raptem w gwar wdarł się ostry dźwięk. Wszyscy zamilkli.

Z wyciem syren i rykiem silników przez wieś przemknęły radiowozy.

Według naszego eksperta obie zbrodnie mają bardzo czytelną symbolikę, chociaż się różnią. Jan Ś. zostaje zabity po cichu, jego zwłoki ktoś wstydliwie uprzątnął. Jego śmierć to kara. Inaczej jego syn z żoną i wnuczka – krew z jego krwi. Oni byli niewinni. Ich zwłoki morderca zostawił na widoku. Przesłanie jest wyraźne. Ich śmierć to ofiara. – Pierwsza zbrodnia była sprawą osobistą między mordercą a Janem Ś. – tłumaczy „Fleszowi” ekspert od symboliki i kultury. – Za drugim razem była to już sprawa publiczna.

– Jak możesz tak mówić! – rzuciła Anka. Starała się, żeby głos jej nie zadrżał, chociaż nagle bardzo zachciało jej się płakać.

Stały przed sobą, twarzą w twarz, w wąskim korytarzyku przed jadalnią, gdzie Anka wyciągnęła kuzynkę, żeby nie kłócić się z nią przy całej rodzinie.

Kaśka nie odpowiadała, tylko patrzyła na nią tak jak wtedy, przed laty, gdy się z nią droczyła: jak na głupią smarkulę.

– Ty nic nie wiesz, ekspertko od kultury – syknęła wreszcie. – Ty naprawdę uważasz, że to Groń ich wszystkich zabił? Naprawdę? W życiu nie słyszałam większej bzdury.

– Co ja jestem winna, co tam Bastian nawypisywał! Poza tym ja mu tylko pomogłam dodać dwa do dwóch. – Przez chwilę poczuła, jakby ktoś nagle zawiesił jej na szyi coś ciężkiego. To już nie była zabawa w detektywa amatora. – Poszedł ze swoimi wnioskami daleko, ale to się trzyma kupy…

– Tak łatwo ci oskarżać? A jakby ktoś nagle w gazecie napisał: „Anna Serafin rozbija rodzinę Jędrka Chowańca, świeżo upieczonego tatusia, i pakuje się do łóżka żonatemu facetowi”, to by to było w porządku? W sumie jak dodać dwa do dwóch, to się trzyma kupy, prawda?

Policzki jej płonęły i na chwilę zabrakło jej tchu.

– To zupełnie nie tak!

– Jasne, więc to udowodnij!

– To winę się udowadnia, nie niewinność. – Anka się nastroszyła.

– A winę Gronia to żeście udowodnili, że ja pierdolę – Kaśka zmierzyła ją lodowatym

spojrzeniem.

– Jak taka jesteś pewna, że on jest niewinny, to idź z tym na policję – wybuchła Anka.

– Nic do ciebie nie dotarło z tego, co ci mówiłam, tak? Nic! – Kaśka zaczęła krzyczeć. – Mówiłam ci, jak rzeczy tutaj działają, tłumaczyłam!

– Tak, tak, zrozumiałam! Zrozumiałam, że z Ponem Groniem trzeba robić interesy, że Pon Groń ma dutki, więc trzeba odłożyć do szuflady pancurski etos i go zawzięcie bronić, żeby dutki nie przepadły! Co się z tobą stało, Kaśka?!

Kuzynka skoczyła ku niej. Anka zrobiła odruchowo krok w tył, twarz Kaśki znalazła się centymetry przed jej twarzą.

– Dalej nic nie rozumiesz – wysyczała. – Co ja ci tłumaczyłam wtedy, pod stogiem siana? A ty zamiast teraz do mnie przyjść, pogadać, zaczęłaś się bawić w detektywa i wpakowałaś mnie… nas wszystkich w gówno!

– O czym… – Anka się zająknęła. Teraz zgubiła się zupełnie. – O czym ty mówisz?

Po twarzy Kaśki przebiegł cień. Anka zobaczyła, jak ta harda kobieta o zmęczonej cerze i o ostrych kościach policzkowych nadających jej indiańską urodę mocno zaciska zęby, a w kącikach jej oczu, tuż przy kurzych łapkach, gromadzą się łzy.

– Nie twój zasrany interes – warknęła Kaśka, odwróciła się i wbiegła na schody.

Sprawa publiczna – bo o zbrodni mówiła już cała wieś. Ludzie przypomnieli sobie mroczną przeszłość Jana Ś. i zaczęli kojarzyć fakty. – Ukaranie Jana Ś. nie wystarczyło, żeby wszyscy znowu byli czyści. Nie było już sensu, żeby morderca ukrywał swój motyw. Ofiara musiała zostać spełniona przed całym zgromadzeniem – tłumaczy czytelnikom „Flesza" ekspert od kultury.

„Fleszowi" udało się zdobyć unikatowy dowód. Nie ma go ani policja, ani żadna inna redakcja. Nasi czytelnicy właśnie dowiadują się o tym jako pierwsi.

Wszedł do rozświetlonej kuchni. Porastający werandę winobluszcz przesiewał poranne słońce. Na ciemnym, pokrytym sękami stole pośrodku kuchni stał ekspres, kawa właśnie kończyła się parzyć.

Wojciech Groń podrapał się po nieogolonym podbródku. Żona i dzieciaki jeszcze spały. Nalał sobie kawy i wrzucił do opiekacza dwie kromki tostowego chleba.

Uniósł głowę, bo zdało się mu, że słyszy kroki na żwirze podjazdu. Potem sięgnął po masło orzechowe „Skippy", przywiezione jeszcze z Chicago.

Odwrócił się, słysząc kroki bosych stóp w korytarzu. W drzwiach kuchni stanęła jego szesnastoletnia córka w luźnej piżamie. Podała mu iPada.

– Tato, co oni tu piszą? – zapytała, a w jej głosie czaił się strach.

Kilka tygodni temu do Murzasichla przyjechał Wojciech G., przedsiębiorca z USA, potomek emigrantów. Zorganizował we wsi patriotyczną wystawę. Podczas jej otwarcia bardzo dużo mówił o góralskim honorze i wspominał o zdrajcach. Doszło nawet do szarpaniny, gdy uczestnicy byli już pod wpływem alkoholu. Jednak tylko dziennikarzowi „Flesza" Wojciech G. przyznał wprost:

„Sprawiedliwość zeszła z gór po zdrajców, po szatański pomiot, który splamił dobre imię Podhala. Wypełniła się zemsta i czuję w ustach jej słodki smak. Zanim go diabli wzięli, zdążyłem tej kanalii plunąć w twarz. Niech go piekło pochłonie".

Zadzwonił dzwonek tostera.

Pięści załomotały o drzwi.

– Otwierać! Policja!

Drzwi odskoczyły gwałtownie. Antyterroryści wpadli do kuchni. Powalili Gronia. Krzyczał, widząc, jak odpychają jego córkę. iPad upadł na podłogę.

*

Jednak co ma wspólnego przedsiębiorca z USA ze zdradą sprzed lat?

Podkomisarz Jędrek Chowaniec przeciągnął się na krześle za swoim biurkiem w komendzie powiatowej. Groń nie chciał się do niczego przyznać, a podczas przesłuchania zachowywał się agresywnie i nieustannie wyzywał ich od idiotów. Ale Jędrek był pewny swego.

Otóż Wojciech G. jest synem Andrzeja G., zdradzonego przyjaciela Jana Ś. Świadkowie w ekskluzywnej wypowiedzi dla „Flesza" potwierdzają, że Wojciech G. odwiedzał Jana Ś., że widywano tam czarny samochód – a Wojciech G. jeździ czarnym Audi Q7 – oraz że między G. a Ś. dochodziło do awantur.

Dziś rano osobiście daktyloskopował wyrywającego się Wojciecha Gronia. Nie chciał sobie odmówić tej przyjemności. Teraz czekał na wyniki analizy.

Gdy Państwo czytacie te słowa, podhalańska policja z pewnością upewnia się już, czy ślady na miejscu zbrodni pozostawił Wojciech G., i sprawdza, czy fakty i dowody zdobyte przez „Flesz" potwierdzają jego związek ze sprawą. O dalszych faktach będziemy Państwa informować.

– Mam dla ciebie dwie informacje – powiedział lekkim tonem technik Wojtek, wchodząc do pokoju. – Po pierwsze, przyszły wyniki sekcji Ślebodów. Potwierdziły moje ustalenia, ale wyszło też, że Andżela Śleboda nie dłużej niż 24 godziny przed śmiercią uprawiała seks.

Podkomisarz wysoko uniósł brwi.

– Czyli już po przyjeździe do Murzasichla – uzupełnił.

– Namów Wacka, żeby ci dał posłać spremę do analizy DNA.

– Namówię. Tym razem się zgodzi. Jaką masz drugą informację?

– Odciski Gronia.

Policjant zerwał się na równe nogi.

– Kruca fuks, Wojtek, teraz mi mówisz?

– Zero dopasowania do odcisków palców z butelki po wódce wyjętej z popielnika i z ekspresu do kawy znalezionego w szopie – zaczął technik Wojtek, nie przestając się uśmiechać. – Ale pełna zgodność z odciskiem palca na ramce ze zdjęciem.

ROZDZIAŁ 10

W sieni, w sieni między beckami
stoi łózecko z poduseckami;
a na tym łózecku lezy tam pani,
mo se bandurke między nozkami.

Na tej bandurce jedwobne struny,
takiemu zagrać, có ni mo zony,
i taki moze, có i mo zone,
ale kie jedzie w dalekom strone.

No proszę, proszę, nasz bohater! – Gdy Jędrek wszedł do kanciapy szefa, ten rozłożył szeroko ręce, jakby miał zamiar go uściskać.

– Panie komendancie… – Chowaniec przetarł zmęczone oczy i rozejrzał się po pomieszczeniu. Szef właśnie skończył się tu urządzać po remoncie. Na ścianie ponad biurkiem wisiały w ramkach dyplom uznania od władz samorządowych i duża fotografia komendanta w stroju góralskim, jak klęczy przed Janem Pawłem II. Wyraźnie śpieszący się papież trzymał nad nim uniesione dwa palce. Albo go błogosławi, albo opieprza, pomyślał podkomisarz.

– To złapałeś skurwysyna, niech cię szlag – komendant zaśmiał się i poklepał Jędrka po plecach. – Ja osobiście nigdy tego Gronia nie lubiłem. Śmierdział mi, święty taki, nawiedzony. Powiem ci Jędruś, że mi zaimponowałeś – komendant dalej uśmiechał się szeroko, jego surowa na co dzień twarz dzisiaj jaśniała jak jowialny, wąsaty księżyc. – Dzwonili z samorządu, są bardzo zadowoleni, że tak szybko się udało i że już po wszystkim.

– Wie pan, to jeszcze nie koniec… – Jędrek próbował mu się wciąć. – Nie mamy jeszcze nawet postanowienia o przedstawieniu zarzutów…

– Oczywiście, tak, tak, masz rację. Ale teraz wszystkim bardzo zależy, żeby to jak najszybciej doprowadzić do szczęśliwego zakończenia. Wiesz: sezon, turyści, zły PR… Trzeba to posprzątać i zająć się ważniejszymi sprawami. Rodziną, oczywiście – zaśmiał się komisarz. – Młodą żonką i synem. Weź urlop, Jędruś, zabierz ich gdzieś. Zdradzę, że nagroda się szykuje, nie powiem, ładna, więc możesz pomyśleć o ciepłych krajach.

Jędrek czuł, jak entuzjazm komendanta zaczyna mu się udzielać. Przez chwilę wyobrażał sobie siebie nad brzegiem basenu, pod palmą, koło niego drinka z palemką sączy Ewa, w stroju kąpielowym opinającym jej krągłe po ciąży kształty. Potem na chwilę obraz się zamazał. Zobaczył siebie, jak przykłada do ust oszronioną szklankę pełną złotego napoju, a Ewa? Ewa unosi rondo słomkowego kapelusza, poprawia ramiączko bardzo skąpego bikini, rude włosy spływają jej na ramiona i wtedy posyła mu ten jej sceptyczny, sarkastyczny uśmiech wiecznego prymusa. Zamrugał. Komendant mówił dalej:

– … więc naprawdę, nie ma się o co martwić. Dzisiaj już idź do domu, napij się piwa, przepraszam, soku może czy co ty tam teraz pijesz, grilla sobie zrób, zrelaksuj się. Papiery mogą poczekać – komendant machnął ręką. – A telewizją zajmę się osobiście.

Chowaniec już wychodził, gdy komendant ujął go pod łokieć.

– Pamiętaj, że jesteś teraz na fali – powiedział poważnie. – Nie zmarnuj tego, Jędrek. I trzymaj się nas, a wszystko będzie dobrze. Żebyśmy nie musieli wyciągać cię z takiego gówna, jak ostatnio.

Podkomisarz przeczesał włosy. Może rzeczywiście jest już po wszystkim? Dowody wskazują na Gronia. Jeszcze się nie przyznał, ale jeśli – jeśli? – jest winny, to tylko kwestia czasu, aż tak go zagną, że nie będzie miał wyboru. Może rzeczywiście pora już zacząć się cieszyć.

Wychodził z budynku komendy jak we śnie. Parę osób odwróciło się za nim. Złapał kilka spojrzeń. Już wychodzi? Przecież jest dopiero trzynasta! Tylko faworyci komendanta mogą sobie pozwolić na takie rzeczy. W kilku spojrzeniach dojrzał respekt, a nawet zazdrość. Podobało mu się to.

Podniósł głowę wyżej, wyprostował plecy. I nawet zaczął się do siebie uśmiechać.

Przesiedziała pół dnia w swoim nagrzanym do nieprzytomności pokoju. Nieznany niepokój rósł jej w gardle, gdy z furią brała do rąk wymięty egzemplarz „Flesza" i przelatywała wzrokiem przez znane już prawie na pamięć akapity. Komu się dała podpuścić? – pytała siebie w duchu. Bastianowi? Jędrkowi? Co chciała udowodnić? Że jest sprytna, dociekliwa i potrafi sobie poradzić z intelektualną łamigłówką zbrodni w taki sposób, jak oni, skądinąd profesjonaliści, nigdy by sobie nie poradzili, bo nie dysponują jej aparatem badawczym antropologa kulturowego? Czytając jednak Bastianowe wypociny, w których cytował jej uczone wywody, traciła całą tę pewność. W prasowym tekście nie pozostało ani śladu z naukowego dyskursu, koronkowej, misternej konstrukcji poskładanej z symboli i archetypów, wnioski nie powalały błyskotliwością, były jak wymęczona na trzy minus interpretacja wiersza na maturze dla mat-fizu.

Pamiętała taką imprezę na studiach, na której wszyscy palili trawę. Jeden z chłopaków doświadczył wtedy metafizycznego uczucia, że poznał tajemnicę wszechświata, sens życia i wreszcie wie, o co w tym wszystkim chodzi. Kumple poradzili mu, żeby to zapisał, bo rano skończy się wszechwiedza i świat nie pozna swojej istoty. Kiedy zjawił się na śniadaniu, rzucił na kuchenny stół wymiętoszoną i pokreśloną kartkę z zeszytu, na której ktoś dziecięcym, rozchybotanym pismem skreślił trzy słowa: „Robert, ty chuju".

Czuła się dzisiaj mniej więcej tak samo.

Dla niej to była podniecająca, choć makabryczna zabawa. Któż nie czytał kryminałów i nie wyobrażał sobie, że rozwiązuje zagadkę, zanim jeszcze policja wpadnie na jakikolwiek trop? – usprawiedliwiała się w duchu. Ale teraz dzięki jej i Bastiana rewelacjom ktoś został aresztowany. Ruszyła machina. Czy jesteś gotowa wziąć za to odpowiedzialność? – zadała sobie pytanie i w odpowiedzi tylko zaklęła.

Nie wytrzymała. Wciągnęła na siebie byle jakie ciuchy i zdecydowanym krokiem ruszyła na dół. Wyślizgnęła się niepostrzeżenie za drzwi, chwilę bezradna rozglądała dookoła, po czym podjęła decyzję.

– Babońko, jesteście tam? – zapytała, niepewnie pukając do drzwi chatki.

Odpowiedziała jej głucha cisza.

– Babońko, potrzebuję z wami porozmawiać – jęknęła prawie i oparła czoło o wygładzoną wiatrem, deszczem i ludzkimi dłońmi futrynę.

Miała wrażenie, że coś poruszyło się wewnątrz.

– Babońko? – zapytała i zamarła w oczekiwaniu.

Nagle zachciało jej się płakać, miała ochotę zwinąć się w kłębek i położyć głowę na kolanach Babońki, dać się jej głaskać po włosach jak kiedyś i słuchać, że wszystko będzie dobrze. Że nie ma się czego bać. Że nie ma złych rzeczy, bo wszystkie Pambuk stworzył. Że nie ma strachów, co najwyżej źli ludzie, ale przed nimi wszyscy ją obronią. Że Pambuk za złe karze, a za dobre wynagradza. Że lepszy biedny i uczciwy niż bogaty, ale drań. Że czarne jest czarne, a białe jest białe. Pragnęła, jak nigdy, znaleźć się w świecie Babońki, gdzie wszystko ma swoje miejsce.

Może oprócz jej góralskiej kenkarty, pomyślała i oderwała głowę od futryny. Świat Babońki też się skomplikował i nic już nie będzie takie proste, jak w dzieciństwie.

Ruszyła bez celu. Ulicą, jakby nigdy nic, spacerowali turyści, dzieci się darły wniebogłosy, samochody pędziły, góry majestatycznie majaczyły skryte za aksamitnym welonem mgły. Czasem złapała spojrzenie rzucone zza płotu. Ktoś przystawał, urywał rozmowę, odprowadzał ją wzrokiem. Pomyślała, że wolałaby być niewidzialna. Co chwila sprawdzała, czy ktoś za nią nie idzie.

I czego się spodziewasz? – pytała sama siebie, żeby uspokoić rosnący gdzieś głęboko w piersiach strach. Przecież nie będą rzucać kamieniami. Nie wywiozą na wozie z gnojem. Nie spalą na stosie, nie spławią w stawie. Żyjemy w XXI wieku.

A może to Gronia spalą na stosie? Zagrabią popiół i życie będzie toczyć się dalej. Turyści dalej będą chodzić po górach i zostawiać dutki, dzieci dalej będą się rodzić, baby gderać, a chłopy te gderające baby bijać. I tylko w kościele będą śpiewać rozdzierająco: „Miej miłosierdzie dla nas i świata całego, święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, przepuść nam Panie”.

Zwariuję, westchnęła. Jeśli zaraz nie wydarzy się nic, co przywróci temu wszystkiemu jakieś elementarne proporcje, to zwariuję.

– Ania? – usłyszała za sobą ciepły, niemalże radosny głos.

Odwróciła się powoli, próbując przywołać na twarz przynajmniej imitację ironicznego, zdystansowanego uśmiechu.

Ale nic jej tego dnia nie wychodziło.

Oficer dyżurny komendy powiatowej policji w Zakopanem uniósł głowę, przyglądając się stanowczej kobiecie, która przed nim stanęła. Jej krótkie nastroszone włosy przyprószone były siwizną. Mówiła, że musi się natychmiast zobaczyć z Andrzejem Chowańcem.

– Niedawno wychodził – mruknął policjant. – Coś przekazać?

– Właściwie nie – powiedziała po chwili. – A wrócił do siebie, do Murzasichla? Bo też jestem stamtąd – wyjaśniła.

– Nie wiem.

– Gdyby jeszcze dziś wrócił, proszę mu przekazać, żeby się pilnie ze mną skontaktował.

– Jak się pani nazywa?

– Kalenica Katarzyna.

Nie wiedziała, dlaczego obok niego idzie, dlaczego w ogóle go słucha, dlaczego na pięcie się nie odwróci, w pysk mu nie da, zdecydowanym krokiem do wsi się nie cofnie i nie złapie wieczornego autobusu, by jeszcze dziś w nocy wrócić do Krakowa, zakończyć te, pożal się Boże, wakacje.

Schodzili ścieżką od Capówki w dół, ku ścianie lasu, w stronę Palenic. Słońce kładło się już nisko, rzucając na chmury morelowe światło. Przed nimi rozpościerał się bór, wyżej długi grzbiet Koszystej, ale Anka patrzyła tylko w czubki swoich tenisówek. Po lewej stąpały sportowe buty Jędrka. On szedł miękko i swobodnie, nieco szybciej od niej, ale bez pośpiechu, i narzucał tempo. A ona musiała podganiać, przyspieszać, gubiła rytm.

Wszystko było na odwrót. To on za nią zawsze musiał nadążać. To ona wodziła go po sichlańskich bezdrożach, przez Galicową Grapę prawie do samego Poronina, przez Bór na Lichajówki albo właśnie tędy, ku Niżnej i Wyżnej Palenicy. I to ona mówiła, a on słuchał.

Gdy przed chwilą na ulicy rzucił tak po prostu: „Chodź, przejdziemy się”, postanowiła, że po drodze wygarnie mu wszystko prosto z mostu. I będzie mogła wyjechać z podniesioną głową. Ale myślała też o tym, że Jędrek inaczej dziś wygląda, mniej rozczochrany jest i mniej przygarbiony, za to ona paraduje bez makijażu, w byle bluzce na ramiączkach i trochę jednak tandetnej spódnicy z indyjskiego sklepu.

Szumiało jej w głowie, a płynnie przechodzące jedna w drugą opowieści o porannym wkroczeniu do domu Gronia, o tym, na jakiego fantastycznego chłopaka wyrasta Piotruś, o dowodzeniu

odziałem antyterrorystów i o tym, jak Ewa utyła po ciąży, tylko pogarszały sprawę. Czuła się zagubiona, bo kompletnie nie wiedziała, czego Jędrek od niej chce. I czego ona chce od Jędrka.

– Ta twoja Ewa – przerwała mu cierpkim tonem. Wcale nie chciała, by tak to zabrzmiało. – Ona wie, że mnie bierzesz na spacerek?

Popatrzył na nią nierozumiejąco.

– Kiedy miałeś zamiar mi powiedzieć? – parsknęła.

– O spacerku?

– O żonie!

– Faktycznie, głupio wyszło – powiedział. – Ale to dlatego, że za dużo się działo. Trup, sprawa, zeznania, potem tyle wspomnień wróciło, tak dobrze się z tobą rozmawiało, no i…

– …no i zapomniałeś mi powiedzieć, że jesteś żonaty – dokończyła, podnosząc głos. – A może wygodniej ci było nie mówić, co?

Wściekało ją to, jak na nią patrzył. A patrzył zupełnie spokojnie. W kąciku jego ust błądził uśmiech.

– Aniu – jego spokojny ton doprowadzał ją do pasji. – Podejrzewasz, że miałem wobec ciebie… zamiary?

– A nie miałeś?! – zapiszczała, naskakując na niego. – Nie miałeś?! A tam w samochodzie, co to było?!

Pochylił głowę. Uśmiech z kącika ust nie zniknął.

– Przecież się wycofałem, przepraszałem. Powiedziałem, że nie mogę, prawda? Pamiętasz?

Nie dało się ukryć. Powiedział.

– Nie wracałaś do tego więcej, więc uznałem, że mi wybaczyłaś. Chyba, że to ty miałaś…

Wspaniałomyślnie nie dokończył. Zamiast tego zawiesił głos.

– Czego ty ode mnie chcesz? – jęknęła Anka.

Znalazł się przed nią tak blisko, że czuła, jak jego oddech muska jej brwi. Pachniał cedrową wodą kolońską i świeżo upraną koszulą.

– Chcę, żebyś poszła ze mną jeszcze kawałek – szepnął.

Gdy otworzyła oczy, stał już spory krok od niej. Na twarzy wymalowane miał wszystkie cztery cnoty kardynalne. Gestem wskazywał jej ścieżkę, która za ostatnimi zabudowaniami przecinała granicę boru i zaczynała się piąć pod górkę. Puścił Ankę przodem.

Niósł się zapach skoszonej łąki, świerkowego powietrza i górskiej wody Sichlańskiego Potoku. Od ziemi szło parne ciepło, a od lasu i wody tchnął podnoszący gęsią skórkę chłód. Lekki powiew wiatru owijał spódnicę wokół jej kolan. Przedwieczorne słońce mieli teraz za plecami. Doganiał ją długi cień idącego za nią Jędrka.

– Pamiętasz? Chodziliśmy tędy – powiedział zza jej pleców.

– Dobrze ci z nią? – zapytała.

– Z Ewą? – zamilkł. – Nie mówmy o tym – odparł po chwili.

Bór oddychał kojąco. Chłód kładł się na nagich ramionach Anki.

– Jestem z nią dla Piotrusia. Jestem z nią, bo jest rodzina, rodziny się nie rozbija – dodał cicho po kolejnej chwili.

– Pamiętam, chodziliśmy tędy – odpowiedziała, nie odwracając się.

Myślała o tamtej miastowej kozie, która była zbyt jak na swój wiek dojrzała, żeby bawić się jak inne dzieciaki ze wsi, ale zbyt dziecinna, żeby się zakochać w chłopaku, który miał cierpliwość do tej po trosze eterycznej, po trosze zarozumiałej dziewuchy. Była na niego wściekła. Ale w głębi duszy czuła raczej rozgoryczenie: gdy dowiedziała się o Ewie, dotarło do niej, że wspomnienia to tylko wspomnienia, że sprawy się potoczyły tak, jak się potoczyły, gdy tymczasem ona przegapiała bieg tych spraw, zaszywszy się na uczelni. Nienawidziła Jędrka, nienawidziła tej jego Ewy, bo jej to

uświadamiali.

Ale myślała też o tym, że zna Jędrka dużo dłużej niż ta cała Ewa, dużo lepiej przecież.

– Nie powinieneś do niej teraz wracać?

– Jeszcze nie.

Tenisówki zapadały się w ściółkę miękką niczym brzuch kota, a przesiane przez szczyty świerków światło pełgało na jej skórze. Czuła jego wzrok na ramionach, na opalonych łopatkach, na smudze widocznych między bluzką a spódnicą pleców, na otulonej wzorzystą tkaniną pupie, na wystających spod spódnicy łydkach.

Gapił się na nią, wiedziała to i miała mu ochotę przyłożyć, ale nie mogła się zdobyć na odwrócenie się, bo to by było tak, jakby w porannym półśnie zadźwięczał budzik. Ale myślała też o tym, że gapił się teraz na nią, a nie na Ewę, co utyła po ciąży.

Zatrzymała się, bo od traktu odchodziła w tym miejscu przesieka. Skręcić czy iść dalej na wprost? Znała to miejsce i zarazem nie znała. Poczuła się tak samo zawstydzona jak wtedy, gdy nie mogła sobie przypomnieć, czy szlak do Suchej Wody zaczyna się za skrzyżowaniem, czy przed.

Nie pamiętam, gdzie iść, pomyślała.

– Nie wiem, gdzie jestem – powiedziała.

– Chodź – Jędrek wskazał jej przecinkę. Ruszyła przodem, podążył za nią.

Bór przerzedził się niespodziewanie, otwierając przed nią niewielką polankę otoczoną młodymi iglakami. Pośrodku rosło kilka starych świerków o omszałych pniach. Przeszkodzili wieczornym ptakom. Zamilkły i pierzchły. Oddech Jędrka zatańczył na obojczyku Anki.

Pomyślała nagle o tym, że górale nie zawracali sobie głowy metaforyką. Że choć na Mazowszu czy innych Kujawach rzecz opiewano za pomocą ptaszków przelatujących kalinowy lasek, wicia wianków i wymiatania komina, choć jak Polska długa i szeroka, na pańskich salonach śpiewano o ułanach, co przybyli pod okienko konie napoić, i o rozmarynie, co rozwijał się, to Podhale przechodziło od razu do sedna. Tu, jak *óna doła dziurki*, to *ón ji wraziół*. Tu wiedziano, że *od kolona ku brzuchowi to jest miłość chłopokowi*.

Ale pomyślała nagle też o tym, że akurat dziś zamiast stringów włożyła te idiotyczne majtki w czerwone kropki.

Poczuła na udach jego dłonie. Mocne.

– Nie – szepnęła, nie robiąc ani kroku. Przywarł piersią do jej pleców, zachłannymi palcami sunął po jej udach, zbierając w dłonie tkaninę jej spódnicy. Wciągnął głęboko w płuca zapach skóry zza jej ucha.

– Nie – jęknęła, wyrywając się. Zachwiała się i oparła o gruby, omszały pień smreka. Pochylił się razem z nią, wpił ustami w jej kark, szybko podciągnął jej bluzkę aż pod pachy. Stanika nie miała. Całując po kolei guzki jej kręgosłupa, łapczywie zagarniał dłońmi jej piersi, gładził brzuch i biodra. Anka objęła pień, przytuliła policzek do chropowatej kory i nachyliła się jeszcze mocniej, starając się ze wszystkich sił zapamiętać to uczucie, gdy szorstkie dłonie Jędrka Chowańca suną w górę jej ud, zadzierając jej spódnicę i zarzucając ją jej na plecy, a potem gdy suną z powrotem w dół, ściągając jej aż do kostek te idiotyczne majtki w czerwone kropki.

Całe to napięcie, cała ta różnica potencjałów, cała ta energia cząstek o przeciwnych ładunkach skumulowały się, skoncentrowały i wybuchły jak tatrzańska burza. Stary smrek, rude pukle Anki, jej obnażone piersi i wypięte biodra falowały w tym samym, zapamiętałym, obłędnym rytmie zbójnickiego tańca, który dyktował Jędrek. Wszystko koncentrowało się w jednej głosce. Płynącej z jej szeroko otwartych ust, spomiędzy warg ułożonych w rozciągnięty okrąg. W prostej, pierwotnej głosce „o”, najpierw szeptanej wstydliwie w korę świerka, potem uwalnianej coraz śmielej, jakby wokół był tylko bór. Anka, nagle nieokiełznana i okiełznana zarazem, skandowała tę jedną głoskę w Jędrkowym rytmie coraz głośniej, mocniej, swobodniej. Aż wykrzyczała ją w głos, w korony

smreków, w górę, w góry, w szczyty.

A potem osunęła się miękko, on razem z nią, wpasowany w jej ciało. Zwinęli się wśród igliwia i krzaków jagód, objęci, wtuleni. Niewierny pies i upadły serafin, ruda wiedźma i jej chowaniec. Jego ramię pod jej głową, jego dłonie na jej brzuchu i piersiach, jego usta na jej karku. Biodra w biodra, skóra w skórę, jak zimujące zwierzęta.

Zapadał zmrok, zapach darni koił, w ciszy ośmieliły się odezwać wieczorne ptaki. Nie otwierając oczu, czując powiew zmierzchu na nagim ciele, błagała w myślach, by milczał, bo inaczej chyba rozerwie go na strzępy.

– Muszę wracać – powiedział.

Bastian od świtu czatował przed domem Wojciecha Gronia i gdy tylko pojawiły się radiowozy, zaczął fotografować. Dzięki temu, gdy inne media dopiero zaczynały się zjeżdżać, jego zdjęcie przedstawiające Gronia z rozpikselowaną twarzą, wyprowadzanego w gaciach przez antyterrorystów w maskach rządziło już na stronach głównych wszystkich portali.

– Mówiłem, skurwysynu, że po ciebie idę – mruknął pod nosem, gdy policjanci pakowali Gronia do auta.

Przez resztę dnia na przemian pisał depesze i twitował. Potwierdził u księdza informację, że pojutrze pochowają w Murzasichlu szczątki Jana Ślebody. Bez mszy, bo zmarły do kościoła nie chodził, ale na parafialnym cmentarzu, bo trzeba mieć miłosierdzie nad grzesznikami. Nagrywał komentarze i wypowiadał się dla wszystkich stacji, z wyjątkiem chyba tylko Telewizji Trwam.

Po raz pierwszy usiadł dopiero wieczorem, gdy sprawę podhalańskiej wróżdy po kolei przemieliły pasma poranne, rozrobiły popołudniowe magazyny reporterskie, goście w studiach wysmażyli z niej komentarze, skonsumowały ją wieczorne wiadomości, na koniec odbiło się po niej politykom i ekspertom w wieczornych programach, a prowadzący je cenieni publicyści obcierali sobie nią usta.

– Pan był dziś w telewizorze – powiedziała barmanka, gdy wieczorem Bastian siedział w barze pensjonatu, łapczywie pijąc niewiadomo które już piwo.

Dziennikarz odpowiedział jej starannym uśmiechem z kącikami ust skierowanymi w dół i dołeczkami na swoim miejscu.

– Ludzie to się u nas burzą na pana, bo pan o góralach napisał, że kolaboranci – dodała, całą uwagę poświęcając polerowanemu kuflowi.

Wymamrotał, że wcale tak nie napisał, i po chwili wyszedł dokończyć piwo na patio.

A potem zamówił jeszcze na dobicie „kufel z wkładkom”, czyli piwo z pięćdziesiątką wódki. O ile sobie nazajutrz przypominał, barmanka zapytała go wyniośle, czy wkładka ma być zwykła, czy zbójecka, a on, rozochocony, odparł, że oczywiście zbójecka. I dostał Warkę Strong ze spirytusem. Wlał ją w siebie i ostatnie, co pamięta, to wspinaczka po schodach do pokoju.

Gdy się obudził, w ustach miał murowaną piwnicę, a pod czaszką tańcowali mu zbójnicy. Wciągnął na siebie wczorajsze ciuchy i podreptał na dół, żeby w pobliskim sklepie kupić papierosy.

Walcząc z bólem głowy, zaczął się odruchowo przysłuchiwać rozmowom ludzi w kolejce.

Gdy dotarło do niego, o czym oni wszyscy rozmawiają, popędził na złamanie karku, starając się nie przewrócić, w stronę pensjonatu Kaleniców. W biegu włączył telefon. Zaczęły przychodzić dziesiątki powiadomień o nieodebranych połączeniach. I esemes od wydawcy: „Kurwa, oddzwoń!!! co się tam dzieje?!?!?!”.

Wszystko się popieprzyło.

Zacisnęła zęby i wtuliła twarz w poduszkę. Z bezsilnej, pulsującej jej w skroniach i szczęce złości na siebie i na Jędrka, ze świadomości, że niczego się już nie da odkręcić, zmienić, cofnąć i z jeszcze

bardziej dojmującej pewności, że to już koniec, że wszystko wydarzyło się, wybuchło i nieodwołalnie minęło – zaczęła łkać. Wszystko źle.

A jednocześnie… to co się wczoraj stało… tak dobrze.

Poderwała się, łapiąc w garść wibrujący telefon.

– Daj mi spokój – powiedziała.

– Słyszałaś już?! Rozumiesz coś z tego?! Wiesz coś?! – Bastian wyrzucał z siebie jak karabin. – Przecież tu za chwilę będzie pogrom! Chodźże!

– Ale co się dzieje?

Podniosła się z łóżka.

– Wypuścili Gronia!

Chwilę później pędziła z dziennikarzem w stronę domu Gronia, zaklinając wszystkie świętości, żeby jej strachy, jej fantasmagorie nie okazały się prawdą. Intelektualna łamigłówka, akademicka interpretacja, niewinne słowa obracały się w coraz bardziej nieuchronną lawinę.

Tymczasem Bastian opowiadał, klnąc co drugie słowo, że podczas gdy on odsypiał kaca, konkurencja zdążyła już – jak to ujęto – dotrzeć do informacji podanych na konferencji prasowej, że zarówno 5 lipca, kiedy to zginął stary góral, jak i w noc, w którą zamordowano Ślebodów, pewna kobieta przebywała w towarzystwie Gronia w jednym z zakopiańskich hoteli.

– Obsługa hotelu alibi potwierdziła, prokurator się wkurwił, musieli go puścić – Bastian nakręcał się coraz bardziej. – Pieprzył się radośnie w hoteliku-burdeliku, gaździnkę miał na boku, takie ma alibi! A ja mam teraz przejebane, rozumiesz? Wszystko, co napisałem, o kant dupy można rozbić! I do tego mi konkurencja zdążyła zajumać temat! Ja pierdolę!

Przed domem Gronia stał już tłumek zajmujący chodnik i część ulicy, były też wozy transmisyjne. I sierżant Maraszek przed furtką, sam jeden przeciw ciżbie, dzielnie broniący dostępu na posesję.

Oboje poczuli to samo: że nie powinni podchodzić bliżej. Bo żadne z nich nie jest dla tego tłumu anonimowe. Bo oboje są aktorami tej tragifarsy. Od strony tłumu dobiegały ich coraz wyraźniejsze głosy.

– Bandyta! Kłamca! Wykupił się! Chytojze! Dawać go!

Wtedy Ankę i Bastiana wyminęła energicznie postać w bojówkach i w starym czarnym T-shircie z napisem „Dezerter” na plecach, o krótkich, sterczących, posiwiałych przedwcześnie włosach. Potrąciła Ankę łokciem, ale nawet się nie odwróciła. Rzuciła tylko papierosa na chodnik i pomaszerowała w stronę tłumu.

Anka wyciągnęła w jej stronę rękę, jakby chciała ją schwycić i powstrzymać.

Zrozumiała.

Podkomisarz Chowaniec siedział bez ruchu w swoim oplu zaparkowanym nieopodal i z dala obserwował, co się dzieje przed domem Gronia.

Paliło go od środka upokorzenie, które musiał przełknąć. Wściekłość prokuratora. Politowanie w oczach Wiesia Rysia. I cedzoną przez zęby pogardę komendanta.

A Wojciech Groń śmiał mu się w twarz. Że widziano go u starego Ślebody? Oczywiście, że u niego był! Po tylu latach miałby sobie odmówić spojrzenia mu prosto w oczy? Odcisk palca na ramce ze zdjęciem w szufladzie? Kiedy staruchowi wygarniał prosto w twarz, jaką jest kanalią, wziął do ręki jego fotografię z młodości ustawioną na kredensie i machał nią dziadowi przed nosem, żeby ten dobrze sobie przypomniał czasy, kiedy zdradził jego ojca. A on, zdenerwowany, wyrwał mu zdjęcie i wcisnął do szuflady stołu. Tyle. Mówił, że poszedł mu napluć w twarz? Cieszył się, że stary nie żyje? A co, miał się smucić?

Mówił, poszedł, napluł, cieszył się. Ale nie zabił.

Tłumek na jej widok zamilkł. Stanęła przed furtką, bezceremonialnie odepchnęła sierżanta Maraszka i zdjęła okulary słoneczne. Powiodła czerwonymi oczami po ciżbie, ale Anka i tak czuła, że kuzynka wbija wzrok właśnie w nią.

– Tak – powiedziała Katarzyna od Kaleniców powoli, w zapadłej nagle ciszy. – To ja. A Wojciech Groń jest niewinny. Wrócił do was jak do rodziny, a wy byście go teraz chcieli brać na widły. To proszę, weźcie sobie mnie. To ja byłam z nim jednej i drugiej nocy, i jeszcze wiele razy. Tak, pieprzyliśmy się jak króliki. Wcale tego nie żałuję. I wypierdalać mi stąd.

Tłumek rzedł, jakby sublimował w powietrzu niczym garść naftaliny. Kaśka odeszła ostatnia, nie oglądając się na drzwi domu Gronia, które się właśnie lekko uchyliły.

Anka chciała pójść za nią. Pobiec, dogonić, pogodzić się jak kiedyś, jak zawsze.

Wiedziała, że to niemożliwe.

Bastian stał nieruchomo i palił papierosa, ignorując dwoje dziennikarzy pokazujących go sobie palcami. Nie mógł pozbierać myśli.

– Panie Strzygoń – usłyszał niski, dźwięczny głos, który wyrwał go ze stuporu. Odwrócił się. Za płotem posesji stał Wojciech Groń. Umyty i pachnący, w świeżej koszuli z krótkim rękawem. – Pan wie, że pan jest skończony. Przyjdę po pana. Z moim adwokatem – dokończył, uśmiechając się bielonymi zębami.

Dziennikarz poczuł, jak wszystko, co wczoraj dzierżył w dłoniach, przesypuje mu się przez palce.

Wyprostował się. Spojrzał biznesmenowi prosto w oczy. Uśmiechnął się. Starannie. Kąciki ust w dół. Dołeczki.

– Panie Groń – odpowiedział. – To nie Ameryka.

Odszedł niespiesznie, chociaż miał ochotę rzucić się pędem. Minął pistacjową remizę. Odwrócił wzrok od podwójnych drzwi strażackiego garażu, bo kojarzyły się mu z Andżelą. Jego rycerskie przysięgi, zemsta przyobiecana jej duchowi okazały się śmiechu warte.

Żylasta ręka złapała go za ramię, wciągnęła za róg kiosku. Huknął plecami o ścianę. Wytrzeszczył oczy. Napierał na niego Jędrek Chowaniec. Bastian otworzył usta, ale zapomniał języka w gębie. Papieros smętnie zwisał, przyklejony do jego dolnej wargi.

– I co, kruca fuks, teraz będzie? – wysyczał policjant. – Kaz mom ci wrazić twoje fołsywe dowody, he?

– Nie były fałszywe – jęknął Bastian. Papieros odkleił się i upadł na ziemię. – Nie mam obowiązku znać prawdy, muszę tylko dochować szczególnej staranności w dochodzeniu do prawdy. Jest różnica, nie? Od prawdy są gliniarze.

– Stul pysk – warknął Jędrek. – Będzie z tego zarzut o wprowadzanie w błąd organów ścigania. Albo nie, mam lepszy pomysł.

Odsunął się od dziennikarza i przez chusteczkę podniósł z ziemi Bastianowego papierosa.

– Dziękuję za próbkę materiału genetycznego – wyszczerzył się. – Wiesz, że ktoś tuż przed śmiercią wydupcył Andżelę Ślebodę? Ciekawe, kto? Myślisz, że DNA się będzie zgadzało?

Bastian znów otworzył usta.

– A co, kruca, myślałeś, że nikt nie zauważył, jak przyszedłeś wtedy do remizy z jakąś małolatą? I zdawało ci się, że głupia psiarnia nie pokojarzy? – Policjant zbliżył twarz na centymetry do twarzy dziennikarza. – Fajnie będzie, jak się konkurencyjne media dowiedzą, nie? Poczekaj, spróbuję – uniósł teatralnie dłoń. – „Nowe fakty! To szok! Dziennikarz przeleciał ofiarę! Co znany redaktor ma wspólnego ze zbrodnią?”

– Niby jak wspólnego… – wycharczał Bastian. – Nie powiążesz… Nie możesz…

– Ale niesmak pozostanie! – roześmiał się głośno podkomisarz Chowaniec.

Anka siedziała na trawie pod parkanem babońcynej chatki, za warzywniakiem. Patrzyła, jak na zbocze schodzące ku Sichlańskiemu Potokowi kładą się długie cienie wsi, jak ciemnieje Stary Bór, jak Hawrań stapia się coraz bardziej z mrocznym niebem. Opróżnioną już do połowy butelkę wina trzymała mocno za szyjkę. W trawie leżała rozgrzebana paczka mentolowych cameli. Chłód wieczoru lizał jej ramiona, przyprawiając o gęsią skórkę. Zdecydowała, że dokończy wino, pójdzie spakować plecak i z samego rana wyniesie się do wszystkich diabłów. Nikt jej nie będzie zatrzymywał.

Zaskrzypiały za nią stare drzwi. Zaciągnęła się papierosem. Przez dłuższą chwilę było cicho. A potem przez ogródek najpierw śmignął kot, a następnie dały się słyszeć ciężkie, powolne kroki.

– Córka? – zabrzmiał głos Babońki. Anka skuliła się jeszcze bardziej. Proszę, Babońko, nie teraz, nie podchodź – zaklinała w myślach, czując, jak dygoce jej podbródek.

– Córka, ja cie fcem o cosi pytoć.

Zgarbione plecy Anki lekko zadrgały.

– Pódźze ze mnom jutro na Jaśkowy pogrzeb.

Anka pociągnęła nosem. Odwróciła się powoli.

– Na… – odchrząknęła – na pogrzeb Ślebody?

Ledwo widoczna w mroku Babońka skinęła powoli głową. Jej głęboko zapadnięte oczy, skryte w cieniu naciągniętej nisko na czoło chustki, błyszczały przy księżycu niczym u starej kocicy. Anka podniosła się. Butelkę schowała odruchowo za plecami.

– O-oczywiście, Babońko – zająknęła się.

A więc jeszcze jeden dzień. Ale dla niej zostanie.

– Tylko… Babońko… – zawahała się. – Dlaczego chcecie iść na jego pogrzeb?

Staruszka nie patrzyła na nią. Wpatrywała się w dal, ponad ciemnymi wierzchołkami smreków Starego Boru, tam gdzie Hawrań.

– Przijdźze do chałpy – powiedziała cicho. – Zimno.

I nie czekając na Ankę, podreptała przez ogródek.

W półmroku wnętrza, rozświetlonym pożółkłym kloszem, w którym szamotały się ćmy, Babońka spoczęła na stołku przy piecu. Anka usiadła na podłodze, u jej stóp, tak jak siadała wiele lat temu słuchać bajań o Kurosku, co podrózowoł jaze do nieba, cy o kowolu, co śmierzć przechytrził. Albo murzasichlańskich historii: o Żydówce Baćmarce, co się w czasie wojny poszła w Toporowym Stawie utopić, bo znikąd od ludzi nie miała ratunku; o strasznym pożarze na Palenicach u Korzeniowskiej, co niektórzy mówią, że ją spalili za konszachty z Niemcami, a inni, że ktoś jej ziemię chciał zagarnąć. Mała Anka, zadzierając głowę do góry i obejmując Babońcyne kolana, słuchała tych opowieści, jak się słucha strasznych historii, gdy i tak wiadomo, że to tylko bajka, że na koniec Babońka i tak ucałuje ją w przedziałek i pogoni do spania.

Teraz znowu siedziała, zadzierając głowę, i słuchała opowieści sprzed wielu lat, z czasów strasznej wojny, z czasów niegodziwych; historii o zakazanym zakochaniu, historii bez dobrego zakończenia, w której wszyscy żyli długo, ale nikt szczęśliwie.

Gdy Babońka skończyła, płakały obie.

Świtało. Anka, wychodząc bocznymi drzwiami, omal nie potknęła się o szczotkę.

– Uważaj, jak łazisz – usłyszała zmęczony głos kuzynki.

– Sorry – wybąkała. Kaśka obserwowała ją spod półprzymkniętych oczu, paląc papierosa.

– Gdzie się wybierasz? – zapytała z niechęcią.

– Na pogrzeb – wypaliła Anka, zanim zdążyła pomyśleć. – Pogrzeb Ślebody.

– Nie starczy ci już? – Kaśka machnęła uzbrojoną w peta ręką tuż przed nosem Anki. – Musisz tam jeszcze leźć?

– Babońka mnie prosiła. – Cofnęła się o krok. Bała się takiej Kaśki. Takiej jej nie znała. – Obiecałam jej.

Kuzynka zmrużyła oczy, ale nic nie powiedziała.

– Śleboda to, Śleboda tamto – rzuciła w końcu. – Rzygam już tym Ślebodą. Tyle lat nawet nie wiedziałam, że ktoś taki istnieje. A teraz nagle wszędzie go pełno.

Popatrzyła na Ankę już raczej ze smutną rezygnacją niż ze złością. Wydała się teraz dużo starsza.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś wprost? – zapytała w końcu Anka. – Pytałam cię przecież, czy kogoś masz.

– Ja też obiecałam – skrzywiła się Kaśka. – I dobrze, że nic nie powiedziałam, bo jeszcze byś wychlapała, jak wszystko inne, tej mendzie z „Flesza". A Wojtkowi bardzo zależało na tajemnicy. Wiesz: żona, dzieci – podkreśliła z przekąsem. – Rodzina, bla, bla, bla. Rodzina jest święta. Rodziny się nie rozbija. Zrobiłaś to z Chowańcem, prawda?

– Tylko raz – szepnęła Anka.

– No, to wiesz, o co chodzi, zła kobieto – kuzynka uśmiechnęła się jednym kącikiem ust.

– Ale dlaczego Groń?

– A dlaczego nie? Taki sam facet, jak każdy inny. Jemu tu wcale nie było lekko, szczególnie na początku. Możesz sobie wyobrazić, że szacownej familii nie zachwycił pomysł powrotu do macierzy. Samotny był. Poza tym to całkiem porządny koleś. Nawiedzony, ale w porządku. Szkoda, że mu takie świństwo zrobiłaś – dodała, nie patrząc Ance w oczy. – Mówił mi, że cię kiedyś spotkał, rozmawialiście i zrobiłaś na nim miłe wrażenie.

– Tak, podwiózł mnie kiedyś tym swoim legendarnym czarnym samochodem – westchnęła Anka i przypomniało jej się, jak się wtedy bała.

– Jezu, ten Strzygoń to jest naprawdę taki durny, na jakiego wygląda. – Kaśka nagle się roześmiała. Głośno i nieprzyjemnie. – Czarny samochód! Koronny dowód według miastowego mędrola! Tutaj każdy wsiowy byznesmen, co się dorobił na rajstopach, marchewce albo agencjach towarzyskich, wozi swojego małego chujka czarnym SUV-em. Taka, wiesz, nowa świecka tradycja. Jakbyś się rozejrzała, to byś zobaczyła, ile tego jeździ po Podhalu.

Ile jeszcze takich oczywistych oczywistości przegapili, przekonani o własnej błyskotliwości?

– I co teraz będzie? – zapytała w końcu Anka.

– Nie wiem – Kaśka wzruszyła ramionami. – Esemesy od nieznanych numerów, czy robię loda za 20 złotych, pewnie kiedyś przestaną przychodzić.

– Ja jestem spakowana – powiedziała Anka bardzo cicho i spuściła wzrok. – Jak chcesz, to wyjadę pierwszym autobusem po pogrzebie.

– Mi jest wszystko jedno – Kaśka wyrzuciła niedopałek do wiadra i patrzyła, jak gaśnie. – Tylko już nic nie kombinuj. Wystarczająco dużo namieszałaś. Ty pojedziesz, ale my wszyscy tu zostaniemy i będziemy ten burdel sprzątać.

To powiedziawszy, podniosła wiadro, szczotkę i powoli odeszła.

Anka założyła przeciwsłoneczne okulary i obserwowała, jak kuzynka znika za śmietnikiem. I dostrzegła skuloną, zgarbioną postać w chuście w wielkie czerwone róże, narzuconej na czarną, zapiętą pod szyję bluzkę. Przyglądała się jej, ściskając w dłoniach torebkę z popękanej sztucznej skóry i bukiet zerwanych w ogrodzie goździków.

Dziękuje wam wsyścy,
tu którzy stoicie,
smutne moje ciało
w grób odprowadzicie.

W narożniku cmentarza rosły rosochate drzewa, leżało trochę gruzu i desek. W pożółkłej od słońca darni, na której kropliła się poranna rosa, wydarto świeży dół. Nad nim stała na dwóch drewnianych kozłach prosta trumna. Czterej grabarze z wynajętego przez samorząd zakładu pogrzebowego „Grajcar” stali z boku i ściągnąwszy paradne surduty, palili papierosy. Nad grobem czekali dzielnicowy Maraszek w mundurze i jeszcze ktoś z rady sołeckiej. Kilka kroków dalej urzędnik z samorządu, wyznaczony do przeprowadzenia ceremonii, rozmawiał przez komórkę, zerkając na zegarek. Poza nimi na cmentarzu nie było nikogo. Ksiądz też był znamiennie nieobecny.

Za to spory tłumek szczelnie okalał od zewnątrz niski, kamienny, zwieńczony gontowym okapem murek cmentarza. W ciszy poranka niosły się toczone półgłosem rozmowy.

– Eć, a trumna juz zamkniona.

– Kiela ludzi sie tu ześło.

– A haw widzem dziennikozy.

– I zaś bedom mącić, he!

– Juści bedom! Bes te zwady niy mom ceprów na kwaterach.

– Jo wynajon dziennikorzom.

– Jak sie syćko dziwnie plecie…

Przez bramę cmentarza nieśmiało, zerkając spode łba w stronę zgromadzonych za murkiem, przeszło jeszcze kilka osób. Szli przez pustą przestrzeń z ociąganiem, starając się nie być na przedzie. Sami starsi, najbliżsi sąsiedzi zmarłego z Kiecory, między nimi stara Krępulo.

Kochanym sąsiadom
dziękuję stokrotnie,
ze tu na mój pogrzeb
przybyli ochotnie.

Ponad ich głowami spośród sinych mgieł wyłaniała się, odcinała i wyostrzała zębata linia gór, kompania reprezentacyjna najważniejszych szczytów, przyglądająca się z dystansu tatrzańska wierchuszka, delegacja VIP-ów z Kasprowym, Czerwonymi Wierchami, Giewontem.

– Tu go chować nie powinni.

– Juści!

– A gdzie?

– A pod płotem. Jakie życie, taka śmierć.

– Odpuściłbyś człowiekowi w jego ostatniej godzinie.

– Człek człekowi nie dorówno!

– To po coś tu przyszedł, co?

– Z ciekawości. By popatrzeć.

Anka drobnymi krokami prowadziła Babońkę pod rękę. Staruszka milczała. Ci, którzy poważyli się wejść na cmentarz, rozstępowali się teraz nieznacznie, by puścić ją przodem. Anka dostrzegła sierżanta Maraszka i skuliła się, gdy policjant nieśmiało jej skinął. Rozejrzała się w popłochu, sprawdzając, czy na cmentarzu nie ma też Jędrka.

Otrzyjcies łzy z ocy,
utajcie załości,
zyćcie mi pokoju,
niebieskie światłości.

A potem zerknęła na Babońkę. Staruszka stała nieruchomo tuż przy trumnie, wpatrzona w jeden

punkt, gdzieś wysoko, na Małołączniaku może albo na Kopie Kondrackiej, z tą obojętnością starych ludzi wymalowaną na twarzy, niewzruszoną, bo płynącą z tego, że się już zbyt wiele widziało.

– Farorz sie na pogrzeb zgodził.

– Nale to obraza bosko.

– Eć ta, stryku, niek tu lezy byle o nim już zabocyć!

– Sam pon Krzysztof księdza pytoł, by tu Jaśka pochowali.

– Cemuz?

– Ponoć, ze dla zgody.

– I by sprawę juz uciszyć, bo to skodzi regionowi.

– Jak sie syćko plecie dziwno.

Na cmentarz energicznym krokiem wszedł Krzysztof Żur-Górzański w czarnym garniturze. Skinął wszystkim i stanął z tyłu. Urzędnik spojrzał na zegarek i odchrząknął.

– Zebraliśmy się tu wszyscy – zaczął, spoglądając niepewnie to na skromną grupkę nad grobem, to na spory tłum za murem – żeby pożegnać naszego br… naszego sąsiada Jana.

Zza muru dobiegło szemranie.

– Śmierć człowieka zawsze jest tragedią – brnął urzędnik, coraz bardziej wczuwając się w rolę świeckiego księdza. – Zwłaszcza śmierć tragiczna. Niech więc to spotkanie nad trumną będzie okazją do refleksji dla nas wszystkich. Refleksji nad tym, jak być lepszymi ludźmi.

Pochylmy się wszyscy wspólnie nad trumną naszego sąsiada i niech to będzie dla nas okazją, żeby zapomnieć o tym, co było.

Ja od was odchodzę,
wy zdrowi zostajcie,
a o moji dusy
nie zapominajcie.

Zdezorientowana Anka poczuła nagle, jak ramię staruszki wymyka się z jej, jak Babońka prostuje się gwałtownie, postępuje w przód.

– Ka ta zabocyć – głos Babońki zadźwięczał nagle, spłynął ku Wyżackiemu Potokowi, odbił się echem aż od Budzowego Wierchu, potoczył przez łąki, przez wieś. I urzędnik, i szemrzący wokół muru zamilkli momentalnie. – Ka ta jescy zabocyć, kie myśmy juz syćko zabocyli.

Zgromadzeni popatrzyli na nią nierozumiejąco. Ktoś wbił wzrok w ziemię, ktoś odchrząknął.

– To bardzo dobrze, że… – wymamrotał zbity z pantałyku urzędnik.

– Myśmy syćko zabocyli – powtórzyła Babońka. Powiodła po zgromadzonych oczami, które nagle otworzyły się i zabłysły. Jej rozmyty dotychczas wzrok teraz świdrował i onieśmielał. – I biyde my zabocyli, i wojne, i złe my zabocyli. Godocie nam – wycelowała nagle kościsty palec w urzędnika – coby sie namyślić, jak być lepsymi. He, jak tu być jescy lepsymi, kiej hawtu som ino górole?

Ktoś się nerwowo zaśmiał. I natychmiast przestał, bo Babońka mówiła dalej, obracając się powoli, jakby każdemu chciała spojrzeć w oczy.

– My se syćka myślimy, co my som lepsi, bo my som górole. Ba my wziyni se z górolscyzny ino piyknom skórke, a syćko inkse my zabocyli – mówiła. Dźwięczny głos coraz częściej wiązł jej w gardle. – Mieli my pamiynć, ale my jom zabocyli, a w pustać, co po niej ostała, nakładli my bajoków. Mieli my Poniezusa Frasobliwego, ale my go zabocyli, a w pustać, co po nim ostała, wystrugali my se górolskiego papiyza, świątka uśmiechniętego. I dole my mieli górolskom, ale my niom zabocyli, a w pustać, co po niyj ostała, zbiyromy dutki.

Zamilkła na chwilę. A Podhale przez tę jedną, jedyną chwilę milczało razem z nią.

– Trza ś tym zyć, że ón tyz beł górol – wskazała na trumnę. – I ś tym, ze zabił go tyz górol –

wyszeptała. – Miyj miłosierdzie dla nos…

Z drzew okalających cmentarz zerwały się kawki. Pośrodku pustej zielonej przestrzeni, obok brunatnego prostokąta świeżo wykopanego grobu Jana Ślebody stali w milczeniu nieliczni żałobnicy, otaczając go szerokim kołem. Murzasichlańskie groby – jeszcze szerszym, jakby trzymały się na dystans. Rozpalone oczy Babońki zaszły nagle mgłą, jej wargi zadrgały lekko. Zacisnęła je w wąską kreskę, jakby zaskoczona, a jej kącik ust zaczął opadać ku dołowi. Cofnęła się niepewnie i wsunęła dłoń pod ramię Anki, której dłoń ta wydała się nagle niemiłosiernie ciężka.

Maria z Łukaszczyków Kalenicowa odwróciła się i bez słowa, powoli i z wysiłkiem ruszyła do bramy, niezgrabnie powłócząc prawą nogą, ściskając w dłoni pasek starej torebki, w której był tylko różaniec, znicz, zapałki i chusteczka do nosa.

* * *

Przybądźze nam, miłościwa Panno, ku pomocy,
a wyrwij nas z potężnych rąk nieprzyjacioł mocy.

1 maja 1947 roku, godzina 12.00
Za Sichłę, przy dolnej kapliczce

Klęczeli wokół figury między dwoma jaworami, przy której stał ksiądz w komży, ze stułą na szyi i czerwoną książeczką w dłoniach. Majowe słońce grzało, ona pochylała nisko głowę, dotykając wargami opuszków złożonych rąk. Kosz z jajkami i bundzem położyła w pyle drogi. Zaciskając mocno oczy, szeptem wzywała Matkę nieskalaną, Matkę nienaruszoną, Matkę dobrej rady, Pannę roztropną, Pannę wierną, Ucieczkę grzesznych, Pocieszycielkę strapionych, Królową pokoju.

A potem zaśpiewali. Rzewna, przeciągła melodia płynęła po zboczach, w jedną stronę ku Wyżackiemu, a w drugą ku Sichlańskiemu potokowi. I wyżej, na Hawrań, na Murań, na Koszystą. W górę.

Po górak, dolinak ozlego sie dzwon
Janielskie witanie ludziom głosi on.
Ave, ave, ave Maryjo.
Zdrowoś, zdrowoś, zdrowoś Maryjo.

– Rozpoczynamy dziś uroczyście miesiąc poświęcony Najświętszej Panience, naszej matce – zaczął krótkie kazanie ksiądz. – Królowej pokoju. Chylimy przed nią głowy, prosząc, by wejrzała na tę skrwawioną ziemię, ziemię utrapioną, ziemię bolesną. Dziś w każdej wsi i na każdym wierchu klęczą przed Najświętszą Panienką górale, synowie narodu polskiego i wierni synowie tej ziemi. Ta twarda, skalista ziemia… – zawiesił na chwilę głos, kilka par oczu uniosło się ku niemu. – Ta twarda ziemia potrzebuje dziś nie rozdrapywania ran, lecz wiary i wierności. Matka bolesna chce, byście wy, górale, nie wadzili się między sobą, ale wspólnie strzegli wiary i polskości. Niech nas, wyprowadzonych z domu niewoli, Najświętsza Panienka uczy, jak dom ojczysty wysprzątać z tego, co hańbi, rujnuje, zniewala, gubi. Amen!

– Jamyn! – odpowiedzieli wierni synowie tej ziemi. Tylko Maria z Łukaszczyków Kalenica, zaciskając powieki, dalej wzywała Pocieszycielkę strapionych.

1 maja 1947 roku, godzina 12.00
Zakopane, Krupówki

Góralska orkiestra grała *Czerwony sztandar*. On garbił się pod ciężarem wełnianej cuchy, poklepywany co chwilę po plecach przez człowieka, który jeszcze rok temu wybił mu większość

zębów. Krupówki były szczelnie wypełnione.

– Sojusz robotniczo-chłopski święci dziś triumf – grzmiał przez głośniki aparatczyk z trybuny. – Dzisiaj, gdy wróciliśmy na macierzyste ziemie, oparci o Bałtyk od północy i o te nasze Tatry ukochane od południa, żadnemu Polakowi nie zabraknie ziemi ani pracy. Niech cały świat się dowie, że Polska nie ma więcej chamów na wywóz! Że my, zamiast narodu, będziemy odtąd wywozić wytwory rąk pracy polskiego chłopa! Święto Pierwszego Maja stoi pod znakiem jedności klasy robotniczej i jedności w sojuszu robotniczo-chłopskim. Obok sztandarów czerwonych kroczą w pochodzie pierwszomajowym sztandary zielone. Ta harda ziemia potrzebuje dziś nie podziałów i wzajemnych oskarżeń, nie oglądania się na przeszłość, ale jedności i sojuszu synów narodu polskiego, wiernych synów tej ziemi; patrzenia w przyszłość naszą wspólną, zespolenia rąk i mozolnej pracy. Wydostaliśmy się z niewoli i musimy się teraz uczyć, jak dom ojczysty wysprzątać z tego, co hańbi, rujnuje, zniewala, gubi. Sojusz robotniczo-chłopski niech żyje!

– Niech żyje! – zakrzyknęli wierni synowie tej ziemi. Jan Śleboda zgarbił się jeszcze bardziej.

Szło nowe.

ROZDZIAŁ 11

Siedział ja na zamku
siedem roczków tydzień,
wiera se nie widział
kie nocka, kiedy dzień.

Zapadł się w fotelu, w samych gaciach, tępo gapiąc się w nieskazitelną powierzchnię iPada. W pokoju unosił się słodkawy zapach wypalonych papierosów i przepoconych podkoszulków. Bastianowi Strzygoniowi to nie przeszkadzało.

Za bardzo się bał, żeby się tym przejmować.

Przez pewien czas jeszcze śledził kolejne nagłówki i komentarze mnożące się jak larwy. Potem myślał już tylko o tym, jak to będzie, gdy zostawią go samego, gdy będzie musiał poprosić rodziców o pieniądze na proces, gdy jego wyrobione jak gówno w betoniarce nazwisko zostanie wystawione na medialny lincz. Przez całe popołudnie pił, ile mógł, ale nic to nie dało. Adrenalina sprawiała, że trzeźwiał zbyt szybko. Teraz była już późna noc. Czekał, aż będzie mu wszystko jedno.

Wyprężył się, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Telewizja? Policja? I tak nie otworzy. Niech go wywleką, proszę bardzo.

– Bastian?

Cichy głos zza drzwi sprawił, że się otrząsnął.

– Bastian, wpuścisz mnie?

Podniósł się z fotela. Naciągnął na siebie podkoszulek z napisem „Pan tu nie stał” i otworzył drzwi.

Anka miała na sobie czerwoną bluzę od dresu, przetłuszczone włosy związała gumką. Taszczyła wypchany szarozielony plecak. I nie patrzyła mu w oczy.

Stali tak przez chwilę naprzeciw siebie. Jednakowo zmęczeni, zmięci, złamani.

– Mogłabym…

– Chodź.

– Tylko do jutra rana, bo…

– Wiem.

– Dzięki.

Wyrzucił zawartość spodka robiącego za popielniczkę do kosza, zgarnął w kąt rozwleczoną po podłodze zawartość walizki. Ona stanęła na środku, zdjęła plecak i rozejrzała się.

Uśmiechnął się przepraszająco, zrzucił z rozbebeszonego łóżka stertę gazet. Wyciągnęła z plecaka kosmetyczkę. Pokazał jej skinieniem drzwi do łazienki. Potem siedział nieruchomo i słuchał, jak szumi woda pod prysznicem.

Spływająca jej po twarzy zimna woda przynosiła ulgę i Anka przestawała czuć na chwilę, jak palą ją policzki. Ze zmęczenia, od płaczu, poczucia winy i upokorzenia. Kiedy ledwo dowlokły się z Babońką do domu, już wiedziała, że coś jest nie tak. Józek złamał wszystkie przepisy, żeby zawieźć je jak najszybciej do szpitala w Zakopanem. Kaśka całą drogę na zmianę próbowała mówić do tracącej przytomność staruszki, że wszystko będzie dobrze, i przeklinała pomysł pójścia na pogrzeb Ślebody. Anka tylko bezgłośnie błagała wszystkie kosmiczne siły wszystkich znanych jej kultur, żeby to nie skończyło się w ten sposób.

Nie pamiętała zbyt dobrze szpitalnych korytarzy, tych labiryntów Hadesu, ubranych w medyczną zieleń Charonów, upływającego czasu odmierzanego ilością wypalonych przez Kaśkę papierosów, wszystko zlało się w jedną upiorną magmę. Na koniec lekarz w kilku węzłowatych słowach zamknął ten rozdział i odłożył książkę na półkę.

Do świadomości Anki dotarły tylko dwa jego słowa: „wylew" i „zgon".

Nie pamiętała też dobrze tych wszystkich słów, które wykrzyczała jej potem w twarz kuzynka. Te dwa – „zgon" i „wylew" – wystarczyły za wszystkie. Zrozumiała, że ma się wynosić.

Nie dyskutowała. Wyniosła się.

Gdy wyszła z łazienki, w podkoszulku na ramiączkach i spodniach od dresu, Bastian przez krótką chwilę zawiesił wzrok na jej biodrach. Popatrzył na łóżko. Wskazała na podłogę. Wzięła koc. Wstał z fotela.

– Anka, prześpij się ze mną – powiedział słabym, wysokim głosem.

Otworzyła usta. Potrząsnęła głową.

– W sensie, że prześpij, po prostu. Dobrze? Proszę.

Na wąskim łóżku oboje długo nie mogli zasnąć, starając się nie stykać ani skrawkiem ciała. Nie odzywali się do siebie, słuchając, jak za oknem rozpaczliwie szczeka pies, jak w barze na dole rozochocona ekipa śpiewa „Hej, jak ta sarna!", jak piętro wyżej radośnie szczytuje dziewczyna, jak ktoś za ścianą wyłącza radio, bo kończy się muzyka, a zaczynają wiadomości.

Znalazł dłonią jej dłoń.

Poczuł, jak jej plecy lekko, rytmicznie drgają. Usłyszał jeden, jedyny szloch. Skulił się, przez chwilę, beznadziejnie próbując opanować dygotanie warg. Nie udało mu się. Pociągnął nosem. Ścisnął mocniej jej dłoń.

– Przejebane.

– No.

Zasnęli.

Autokar był prawie pusty. W radiu popowe piosenki mieszały się z reklamami środków na zaparcia, biegunkę, nietrzymanie moczu i pieczenie w strefach intymnych, tak że czasem trudno było rozróżnić, które są które.

Anka z czołem przylepionym do szyby obojętnie patrzyła w okno. Bastian drzemał obok, obejmując oburącz torbę. Zakopianka przecinała w tym miejscu potok, wzdłuż którego ciągnęły się domy. Ponad nimi, na tle sinego pasma Gorców, górował biały gmach nowotarskiego szpitala.

– Romuś – powiedziała sennie. – Głupi Romuś.

– Że co? – Bastian zdjął słuchawki i przez chwilę patrzył na nią nierozumiejąco.

– Nic. Głupi Romuś leczył się na oddziale psychiatrycznym w Nowym Targu, ktoś mi to mówił. Biedny, głupi Romuś. – Odprowadziła wzrokiem szpital. – Ciekawe, czy go w końcu wypuścili.

– Chyba wszyscy o nim zapomnieli. – Bastian pokiwał głową.

– Tutaj wszyscy zawsze zapominają o tym, co najważniejsze – westchnęła i znowu zatrzęsła jej się broda.

Babońka.

Bastian przez chwilę drapał się za uchem, próbując złapać niejasne przeczucie.

– Czekaj – odwrócił się do niej. – Chyba powiedziałaś coś bardzo ważnego, tylko nie wiem, co.

– W sensie? – zapytała z rezygnacją, nie odrywając czoła od szyby.

– Mówiłaś o Romusiu, zastanawiając się, czy go wypuścili, po czym stwierdziłaś, że tutaj wszyscy zapominają o tym, co najważniejsze. – Bastian głośno myślał.

– Nie chcę tego słuchać. – Anka naciągnęła na głowę zasłonkę. – Ani słowa o Ślebodzie, Groniu, śledztwie. Koniec.

Bezceremonialnie odrzucił zasłonkę, żeby spotkać się z jej pełnym furii wzrokiem.

– Skup się na chwilę, potem dam ci spokój. Więc o czym zapomnieliśmy, goniąc za Groniem? O Głupim Romusiu! A on przecież kręcił się po wsi, koło chałupy naszej ofiary też. Śmierć Ślebody wpędza go w popłoch, co kończy się wycięciem swastyki na drzwiach i szarpaniną. Czy normalnie Romuś by się tak zachowywał?

– Bastian, zlituj się. Romuś? Normalnie? On nie jest normalny.

– No dobra, ale wariaci też są w pewien sposób przewidywalni. Jakim typem wariata był Romuś?

– Nieszkodliwego – burknęła Anka.

– No właśnie. Nieszkodliwy wariat, który ślini się do turystek i śpiewa ludowe przyśpiewki nagle łapie za nóż i biegnie niszczyć mienie w sposób… – tutaj zawiesił głos.

– …symbolicznie nacechowany – dokończyła bezbarwnym głosem.

– Z ust mi to wyjęłaś. – Bastian pstryknął palcami. – Więc coś się musiało stać. Coś, co sprawiło, że w różowym świecie Romusia nagle pojawił się strach.

Anka pomyślała, że brzmi to sensownie. Tak sensownie, jak układające się w bardzo przekonującą wizję dowody na winę Gronia. Wariaci. Nic dodać, nic ująć.

– Romuś coś wie – ciągnął dziennikarz. – Coś widział. I teraz śmiertelnie się boi.

– Tak, tylko nie zapominaj o jednym. Z nim nie ma kontaktu.

– Dobra, wiem. Ale coś mi jeszcze chodzi po głowie. Skąd się w ogóle wziął temat Głupiego Romusia? O czym ważnym znowu zapominamy?

– Mijaliśmy szpital, w którym go próbowali leczyć – westchnęła Anka.

– Bingo! A kto wie najlepiej, jak dotrzeć do wariata? Psychiatrzy! Ktoś tam musi wiedzieć, jak się z nim porozumieć. Anka, wysiadamy i popylamy do szpitala. Czuję w kościach, że wracamy do gry! – Bastian aż podskoczył na siedzeniu.

– Wysiadaj sobie, jak chcesz – wzruszyła ramionami. – Mnie już wystarczy.

– No, nie bądź wiśnia, to naprawdę może być zwrot. Poza tym jesteś mi to winna, to ty mnie w to wplątałaś, a teraz mam przejebane.

– Ja cię w to wplątałam?! – Widział, jak jej palce zaciskają się na oparciu fotela. – Błagałam cię, żebyś dał mi spokój!

– No, na początku to może i tak. Ale potem, to przecież były też twoje pomysły… – zawiesił znacząco głos. Nic nie powiedziała. – Wiesz, jak to wszysko się sypnie, to naprawdę jestem skończony. Jestem dziennikarskim trupem, a w dodatku twój kochaś z odznaką, pospołu z prawnikami Gronia, pewnie urwą mi jaja i zgrillują je sobie, popijając sokiem pomidorowym.

– A, więc tobie też zniszczyłam życie – rzuciła. – Nie przejmuj się, jesteś w doborowym towarzystwie.

Gwałtownie odwróciła się do szyby.

– Ale nie wszystko stracone – ciągnął dalej Bastian z niezdrową ekscytacją. – Jak to wyjaśnimy, to może nam jeszcze wybaczą. Jak znajdzie się prawdziwy morderca, to dadzą mi spokój – dodał ciszej.

– My? Wyjaśnimy? Bastian, naprawdę życzę ci, żebyś – jeśli masz taką potrzebę – to żebyś to wyjaśnił. Ale nie ma „my”. Ja się w to nie bawię.

– Zrób to dla mnie! Błagam cię, ruda, pomóż mi – nagle zupełnie spoważniał. – Bez ciebie na tym cholernym Podhalu jestem jak dziecko we mgle, już to przecież przerabialiśmy. Jeżeli nie ty, to nikt tego nie rozwikła. Przecież Chowaniec tylko podchwytywał twoje pomysły, sam nic nie był w stanie zaproponować. Ja jestem za głupi, dupek z miasta, co nie ogarnia tego całego góralenfolku. Nawet jeżeli ty sama w siebie nie wierzysz, to ja w ciebie wierzę, jak w Matkę Boską Podhalańską, jeśli taka istnieje, i mogę się nawet do ciebie modlić. Mój los na jedną stawiam kartę, ty albo żadna, ty albo nikt… – padł na kolana w przejściu autobusu i śpiewał, nawet całkiem udatnie, *Tatę Kazika*.

– Wstawaj i nie rób z siebie błazna – rzuciła, czując, jak się czerwieni. Ze złości i ze wstydu. Już

raz dała się na to nabrać. Na piękne, okrągłe słówka o tym, jaka to jest mądra.

– Nie chcesz zrobić tego dla mnie, rozumiem, chociaż mi przykro – klęczał dalej. – Ale może w takim razie zrobisz to dla swojej rodziny?

Zacisnęła usta. Jej rodzina już niczego od niej nie chciała. Tylko tyle, żeby zniknęła jak najszybciej.

– Myślisz, że nie chcieliby przynajmniej wiedzieć, po co to wszystko było? Jaki w tym sens? Kto im to zafundował? – milczał przez chwilę, obserwując jej twarz. – Pójdź ze mną do tego szpitala. Tylko tyle. A jak stwierdzimy, że nic tam nie ma, to wsiądziemy w następny autobus do Krakowa i więcej mnie nie zobaczysz. Dobrze?

– Dobrze – powiedziała bardzo, bardzo cicho, wcale na niego nie patrząc.

Bastian zerwał się na nogi i pobiegł w stronę kierowcy.

– Proszę państwa, to jest niepoważne – odwróciła się do nich wysoka starsza kobieta o całkowicie białych, falujących włosach. – Państwo sobie wyobrażają, że będę udzielać informacji o swoich pacjentach osobom z ulicy? Do widzenia.

Czekali na nią prawie dwie godziny tylko po to, żeby z miejsca ich spławiła, nie usłyszawszy nawet, z czym przyszli. Bastian już otwierał usta przygotowany do swojego zwyczajowego zagajenia: „Jestem dziennikarzem…”, gdy Anka odsunęła go zdecydowanie i wyprzedziła w nerwowym marszu przez korytarz nowotarskiego szpitala.

– Pani doktor, nazywam się Anna Serafin, jestem doktorem antropologii kultury, mam rodzinę w Murzasichlu. Przyszliśmy tu w sprawie Romusia. Ma kłopoty. Zniszczył czyjąś własność i jeszcze być może był świadkiem morderstwa. Ale to nie znaczy, że policja może go w nieskończoność trzymać w celi!

Lekarka się zatrzymała.

– Tak, pan Roman z Murzasichla jest przetrzymywany w areszcie, chociaż nie postawiono mu żadnych zarzutów – powiedział Bastian.

– Pewnie nawet nie wezwali jeszcze żadnego biegłego – pokiwała głową Anka. – Trzymają go, żeby zaczął mówić.

Doktor Alina Gut, ordynator oddziału psychiatrycznego w Podhalańskim Szpitalu Specjalistycznym imienia Jana Pawła II, długo przyglądała im się znad okularów połówek.

Chwilę później siedzieli wszyscy troje w jej gabinecie. Pani doktor słuchała ich opowieści, co chwilę nerwowo pocierając nasadę nosa. Gdy skończyli, wyjęła z szuflady notatniki i sięgnęła po telefon.

– Zabiję tam kogoś – rzuciła w powietrze. A potem, już do słuchawki: – Gutowa mówi. Z panem sędzią. Jurek?

Temu, co potem usłyszeli, powinna towarzyszyć triumfalna ścieżka dźwiękowa. Do słuchawki popłynęła bowiem przemowa o sprawiedliwości i prawach człowieka, o przyzwoitości i poczuciu obowiązku. Przemowa wygłaszana melodyjnym i spokojnym głosem przywodzącym na myśl staroświecką dyrektorkę szkoły, głosem dobitnie dającym do zrozumienia, że każdy ma w życiu prawo nabroić, ale jeśli się nie przyzna i nie okaże skruchy, to tak dostanie po tyłku, że przez tydzień nie usiedzi. Na koniec była mowa o tym, że jeśli natychmiast jej pacjent nie zostanie zwolniony, pani doktor jako wieloletni biegły sądowy napisze skargę do wyższej instancji.

– Romusia z Murzasichla znam od prawie dwudziestu lat – powiedziała łagodnie, gdy tylko odłożyła słuchawkę. – Nie pamiętam już, ile razy sąd kierował go do nas na przymusową hospitalizację. Zawsze były to epizody na tym samym tle. Ktoś go rozdrażnił, on reagował krzykiem i autoagresją, wzywano policję. Dobrze, że państwo przyszli. Świat jest dużo groźniejszy dla niego niż on dla świata.

– Pani doktor, jeśli można spytać… – zająknęła się Anka. – Co mu właściwie jest?

– Nie zorientowała się pani? – zdziwiła się lekarka. – Pan Roman jest przecież autystyczny.

Anka miała się ochotę palnąć w czoło.

– Momencik – wtrącił się Bastian. – Mój kumpel ma autystycznego syna, dzieciak ma same piątki w szkole, z matematyki szóstki, i w ogóle świetnie sobie radzi. A Romuś, hmm…

– Niestety, pan Roman jest dotknięty wyjątkowo ciężką postacią zaburzenia w połączeniu z zespołem innych deficytów – lekarka pokiwała głową. – A w dodatku, rzecz jasna, w autyzmie kluczowa jest diagnoza i terapia od najmłodszych lat, a jemu nikt nigdy przecież nie usiłował pomagać. Uznano go po prostu za wiejskiego głupka – pani doktor pochyliła się nad biurkiem. Anka spuściła wzrok.

– Są jakiekolwiek szanse porozumienia z nim? – spytał Bastian ostrożnie.

– Panie redaktorze – odparła doktor Gutowa. – Proszę się nie spodziewać, że pan Roman kiedykolwiek sensownie się panu wypowie do artykułu.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. W końcu wszyscy popatrzyli po sobie. Kiwnęli głowami. Unieśli się z krzeseł.

– Ale dlaczego ta swastyka? – wypalił nagle dziennikarz. Ordynatorka zachichotała. Anka i Bastian wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Nieźle musiała państwa zdziwić ta jego swastyka, prawda?

– Jego swastyka? – ostrożnie powtórzył Bastian.

Pani doktor usiadła z powrotem w swoim fotelu.

– Kiedy pan Roman trafił do nas po raz pierwszy, przeżyliśmy chwilę grozy. Otóż daliśmy mu leki uspokajające i położyliśmy go spać, a nazajutrz, kiedy weszliśmy do sali, w której przebywał, odkryliśmy, że ściana wokół jego łóżka, i proszę mi wierzyć, cała ściana, była pokryta swastykami. Nie został ani jeden wolny kawałek tynku, na którym nie wydrapałby paznokciami swastyki.

Zdjęła okulary, odłożyła je na blat biurka. Znowu potarła palcami nasadę nosa.

– To było ponad dwadzieścia lat temu, byłam młodą lekarką. Pojechałam do Murzasichla na wywiad środowiskowy. I co się okazało? Krzyżyk niespodziany, proszę państwa! – ordynatorka nowotarskiej psychiatrii uniosła w górę palec. – Góralski krzyżyk niespodziany, znak mający chronić przed złem, odpędzać urok. Żyła wtedy jeszcze krewna matki pana Romana, rozmawiałam z nią. Opowiedziała mi, że gdy był dzieckiem, jego babka rysowała mu krzyżyk niespodziany przy posłaniu, żeby odczynić jego przypadłość. Chociaż cała rodzina protestowała, bo swastyka oznaczała już wtedy hitleryzm, to dla jego babki pozostawał świętym, potężnym znakiem. Pewnie dlatego odtworzył krzyżyk niespodziany przy swoim szpitalnym łóżku. Przywołał go w chwili zagrożenia, wytrącenia z bezpiecznej sytuacji, z rutyny. Autystycy fatalnie reagują na wytrącenie z rutyny. To jego sposób na ochronę przed złem. Z oczywistych przyczyn pan Roman nie przyswoił sobie zmiany kontekstu tego znaku – uniosła brwi. – Dla nas, neurotypowych, jest on teraz symbolem nazizmu. Dla niego wciąż oznacza ochronę przed złem.

Bastian wbił wzrok w Ankę, która miała ochotę zapłonąć żywym ogniem, rozsypać się w pył i zostać rozdmuchaną na cztery wiatry. W uszach słyszała swoje własne słowa, jakby wypowiedziała je przed chwilą. „Od wojny żaden góral już krzyżyka niespodzianego nie używa, przecież to się teraz jednoznacznie kojarzy”.

– Czyli, gdy poczuł się zagrożony… – wyszeptała.

– …nakreślił swastykę, żeby odpędzić zło. Tak, to możliwe – skwitowała ordynatorka.

– A sądzi pani, że to, co zrobił, może świadczyć o tym, że widział coś ważnego dla sprawy? – ostrożnie zapytał dziennikarz. Peszyło go to spojrzenie znad okularów.

– Bo wyciął wielką swastykę na drzwiach ofiary zbrodni? Niech sobie pan sam odpowie na to pytanie.

Pani doktor wstała, patrząc na nich pobłażliwie. Najwyraźniej był to już koniec audiencji.

– Kiedy go wypuszczą, niech mu pani coś zaśpiewa na uspokojenie – zwróciła się do Anki, gdy już zamykali za sobą drzwi.

Anka zamrugała.

– Zaśpiewać?

– Oczywiście. Pan Roman jest żywą encyklopedią ludowych piosenek. Tego też pani nie zauważyła? Sądzę, że ktoś, może babka, może matka, śpiewał mu, gdy był dzieckiem, możliwe, że po to, by ukoić jego typowe dla zaburzeń autystycznych epizody autoagresji, napady krzyku. Te przyśpiewki utrwaliły się w jego wzorcu zainteresowań. Proszę pamiętać, że autystycy często mają doskonałą pamięć mechaniczną i przejawiają skłonności do echolalii. Echolalia może być jedyną dostępną mu strategią komunikacyjną. W każdym razie, gdy mu śpiewaliśmy, wyraźnie się uspokajał. – Znów się uśmiechnęła i przyjrzała się Ance wnikliwie. – Jeśli naprawdę chce mu pani pomóc, niech mu pani zaśpiewa.

Siedział za biurkiem, nerwowo pstrykając długopisem i starając się nie patrzeć w oczy Wiesiowi Rysiowi. Dochodzeniowiec przyglądał mu się przez dłuższą chwilę i skubał rudy wąs.

– No już nie histeryzuj, Jędruś – powiedział nagle. – Pomyliłeś się, no i co? Pierwszy raz? Przestań się mazgaić i stawiaj nową hipotezę śledczą. Mam cię uczyć roboty?

Zakopiański podkomisarz warknął coś niezrozumiale.

– Informator z ferajny nic nie wie, tak?

Chowaniec powoli pokręcił głową.

– Ale zostaje ci jeszcze cała kolekcja AGD! – jowialnie huknął Ryś, rozkładając ręce. – Zapomniałeś?

– Skłaniałem się ku temu, że nie ma związku – wymamrotał Chowaniec.

– Jędruś, na miłość boską, no co ty? Wczoraj się do policji zapisałeś? – Dochodzeniowiec wstał z krzesła. – Błąd to błąd, wycofujesz się, zaczynasz jeszcze raz. Od prawdy to jest sąd, ty masz przyjąć prawdopodobną wersję, rozpracować i doprowadzić do zatrzymania. Ja, dochodzeniowiec, robię z tego sprawę, a jak nie wyszło, to ją odrzucam i zaczynamy od nowa. Jasne? Więc teraz, z łaski swojej, skłoń się…

Nie zdążył dokończyć, bo do pokoju wpadła aspirant Jadzia Kiciarz. Wymachiwała zwijającą się kartką z faksu.

– Jędruś! – wyszczerzyła się. – To od Samsunga. Mikrofalówka się znalazła!

Policjant wyskoczył zza biurka.

– Gdzie?!

– Rabka – odparła rzeczowo.

Wyrwał aspirantce faks.

– Dzwońże tam! Jezu, to było miesiąc temu. Monitoring…

– Dzwoniłam, Jędruś – powiedziała trochę urażona. – Właśnie ci miałam przekazać dobrą wiadomość, ale ty się wolisz rządzić. Zbieraj się, jedziemy.

Bastian wyrywał do przodu, próbując zapalić papierosa. Anka szła za nim, kopiąc kamyk.

– Nie wiem, jak to się stało – powiedziała cicho.

– Jezu, co znowu? – przewrócił oczami.

– Jak ja mogłam zapomnieć o Romusiu – kontynuowała, nie zwracając na niego uwagi. – Biedny, chory człowiek, którego całe życie nikt nie rozumiał. Wieś miała uciechę: o, głupi Romuś znowu śpiewa o tym, że coś tam, coś tam na Jaworzynie, chodźmy porzucajmy w niego kamieniami, może się zsika! I ja też z nimi tymi kamieniami rzucałam, pamiętam. Mała byłam, ale przecież elementarna

empatia powinna mi podpowiedzieć, że coś jest nie tak.

– Człowiek w grupie robi dziwne rzeczy, sama to powiedziałaś w komentarzu do któregoś z artykułów.

– Coś z nami jest nie tak… – westchnęła tylko. – Romuś to w końcu człowiek.

– Jezu, ale komunały! – parsknął śmiechem. – Wiem, wiem: biedny Romuś, matka odeszła, zanim się narodził, dobry chłopak był i mało pił… Chociaż nie, to akurat nieprawda – nagle spoważniał. – Pamiętaj, że nas teraz najbardziej interesuje, co Romuś wie, a nie jakieś ckliwe pierdoły.

– Jesteś potworem, Bastian – Anka pokręciła tylko głową i zamilkła.

– Ale nas wyprowadził w pole tą swastyką – powiedział, żeby zmienić temat.

– Mnie, a nie nas – odparła. – Zapomniałam, że do interpretacji znaków o charakterze wieloznacznym – cedziła słowa nieswoim głosem – kluczowy jest nie tylko kontekst, a ten wydał mi się oczywisty, ale też osoba nadawcy. Wszystko mi się tak pięknie zgadzało.

Nie przerywał jej.

– A potem… – ciągnęła – …potem wystarczyło dodać dwa do dwóch. I wyszło nam dwadzieścia dwa.

Potrafiła tak płynąć. Mnożyć interpretacje, łączyć pozornie niepowiązane fakty, angażować mało znane teorie z pogranicza nauk, budować koronkowe hipotezy. To właśnie dlatego ktoś ją kiedyś dostrzegł w tłumie tak samo wyglądających studentów w szarych swetrach – bo były to czasy, kiedy szanujący się studenci nauk humanistycznych nosili swetry, a nie sweterki. Pamiętała, jak jej promotor, nie mogąc się zdecydować, czy patrzy jej w oczy, czy w dekolt, powtarzał w zaaferowaniu: „Pani to kiedyś zrobi karierę, z takim talentem do interpretowania!”.

Przyjemnie się buduje piętrowe konstrukcje myślowe na temat hipotetycznych dzikich sprzed wieków. Gorzej, gdy dotyczy to żywych ludzi, którzy domagają się prawdy, a nie hipotezy.

I znowu Babońka miała rację: zapomniała o tym, co najważniejsze.

– A może to wszystko był strzał kulą w płot? Może to tylko moje pseudonaukowe fantasmagorie, a to wszystko, co wymyśliłam, to ściema i Ślebodę załatwił jakiś kumpel od wódki w przypływie szału? Gdzieś czytałam, że dziewięćdziesiąt procent zbrodni to: konkubent konkubentkę podczas libacji albo koledzy od kielicha o ostatnią szklankę. A to była taka elegancka hipoteza. Zemsta po latach, wendeta, omerta, kolaboracja, góralska epopeja o życiu, honorze, zdradzie i śmierci. Może trzeba wrócić do punktu wyjścia i zadać sobie podstawowe pytanie.

– Jakie? – zapytał Bastian.

– Co zostaje z tego równania, jeśli przyjmiemy, że Romusiowa swastyka to krzyżyk niespodziany – powiedziała powoli. – Co, jeżeli wykreślimy z niego Goralenvolk?

Zjeżdżali z kompletnie zatkanej obwodnicy Nowego Targu, ale dla Jadźki korek jakby nie istniał. Prowadziła cywilną Kię wąskim poboczem, na sygnale, pełnym gazem, o milimetry mijając lusterka tkwiących w korku aut. Uśmiechała się lekko, spoglądając kątem oka na Jędrka.

– Wysłałam też zapytania do dystrybutorów – opowiadała, pewnie dzierżąc kierownicę. – Wreszcie odezwali się ci od Samsunga, że sprzęt o takich numerach seryjnych sprzedali do, uważaj, sklepu F.H.U. Rabies w Rabce-Zdroju. Rabies, rozumiesz? – roześmiała się. Zerknęła na niego. Spoważniała. – Nie rozumiesz. Nieważne. Zadzwoniłam. I słuchaj, całe szczęście, że to niewielki prywatny sklep AGD, a nie sieciówka, bo facet nawet kojarzył tę mikrofalę! Powiedział, że Samsungi mu się nie sprzedają, więc bierze ich mało.

Rajd slalomem przez Klikuszową nie był jeszcze taki zły, ale gdy zjeżdżali serpentynami przed Rabką, Jędrek chwilami miał wrażenie, że Jadźka chce pojechać na przełaj, wyskoczyć ze stoku jak Adam Małysz i wylądować radiowozem prosto przed F.H.U. Rabies. Gdy chwilę później wysiadali z Kii, zachwiał się i nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymał odruch wymiotny. Bo właściciel już

czekał przed sklepem.

Niski przygarbiony mężczyzna w brązowym polarze, o siwej, krótko przystrzyżonej brodzie i o małych przekrwionych oczach zacierał dłonie. Przypominał znerwicowanego chomika.

– Mam tu jedną kamerę monitoringu – tłumaczył, wprowadzając ich do środka. – Zainwestowałem po trzecim rozboju w biały dzień, jak mi, proszę pana, to znaczy proszę państwa, kolejny raz wszedł gówniarz do sklepu z nożem i ukradł cały utarg. Zwyczajnych włamań, takich w nocy, to już nie liczę, tyle ich było. To nie jest normalny kraj, że się takie rzeczy dzieją. Normalnemu człowiekowi nie chcą dać pozwolenia na broń, bo ja bym się chciał normalnie bronić, a państwa koledzy umarzają po roku moją sprawę z powodu, proszę sobie wyobrazić, niewykrycia sprawcy. No to zainwestowałem w tę kamerę, żeby w razie czego mieć dowody. Kupiłem porządny rejestrator z dużym dyskiem i trzymam te nagrania, ile się da, bo nigdy nic nie wiadomo. O, tam jest kamera. – Wskazał ręką kąt, wysoko pod sufitem.

Jędrek spojrzał krytycznie na otoczony diodami obiektyw w białej obudowie. Obejmuje pewnie cały sklep, ale wisi trochę za wysoko, żeby dobrze wyłapywać twarze. Właściciel tymczasem zanurkował pod kontuar, majstrował chwilę, postękując, aż wyprostował się i odwrócił do nich ciekłokrystaliczny monitor komputera służącego mu za kasę fiskalną.

– Aha, jest nasz Samsung, zobaczmy… według paragonu to było o szesnastej dwadzieścia siedem… – pomrukiwał. Wszedł w menu rejestratora, uruchomił wyszukiwanie, wpisał datę i godzinę. – Oho, macie, proszę państwa, szczęście – zapalił się. – Za trzy dni nagranie by się automatycznie wymazało. No i mamy go! – triumfalnie wskazał na monitor. A potem sam na niego zerknął. – Ojej.

Rzeczywiście, kruca fuks, ojej, pomyślał Jędrek. Tego się właśnie obawiał. Jadźka zmarszczyła czoło i pochyliła się nad monitorem.

Na nagraniu stał przed kontuarem barczysty mężczyzna w sportowej bluzie z kapturem. Widać go było pod ostrym kątem z góry. Z przodu bluzy widniały duże litery „USA”. Na głowie miał czapkę z daszkiem. Na czapce widniał, o ironio, napis „FBI”.

A daszek dokładnie zasłaniał całą twarz.

Wysiedli z busa firmy Szos-Mig. Bastian obejrzał się za odjeżdżającym pojazdem.

– Ciekawe, jak tu się mówi: „idę na szosmiga”? Jeśli prowadząca tramwaj to tramwajarka, to czy prowadząca szosmiga to szosmiżarka? Szosmistrzyni? – rechotał, idąc. Miał potrzebę mówienia. Chciał mówić dużo i głośno, śmiać się, zagadać stres, strach, że wszystko okaże się jeszcze większą pomyłką, że skompromituje się jeszcze bardziej, że zza węgła znowu wyskoczy Chowaniec z pięściami albo Groń z prawnikami, albo po prostu któryś z górali najzwyczajniej wbije mu ciupagę w plecy za to, co napisał w gazecie.

Miał też potrzebę mówienia, żeby przykryć, zagłuszyć ciężkie milczenie Anki.

– Nie stać mnie na pensjonat – powiedziała cicho. Zamilkł i odwrócił się do niej. – A do nich nie pójdę. Do Kaleniców. Kaśka, moja Kaśka, kazała mi się wynosić. Nie pozwoliła mi nawet zostać na pogrzeb Babońki. I… – przerwała na chwilę, odwracając się od Bastiana, żeby nie widział, jak drżą jej wargi. – I ja ich rozumiem.

– Anka – spróbował złapać jej spojrzenie. – Popatrz na mnie, Anka! No popatrz na mnie, kurważ mać!

Poniosło się po wsi. Zacisnęła usta i popatrzyła na niego zaskoczona.

– Słuchaj, ja wiem, przykro mi z powodu babci, fajna była starowinka, ale ty jesteś już dużą dziewczynką, więc może przestań się wreszcie mazać i skup się na chwilę, okej? Nie przerywaj mi! – warknął, gdy otworzyła usta i wycelowała w niego palec. Zamilkła zaskoczona, opuściła dłoń. – Siedzimy w tym szambie, w tej owczej gnojówce przy bacówce po uszy. Tak? Ale siedzimy w niej

razem. Jak się będziemy teraz w niej taplać, to się tylko tej gnojówki nałykamy. Musimy sobie trochę pomóc, okej? Wygrzebiemy się z tego gówna razem. Mówię ci, Anka, wygrzebiemy się. Zgoda?

Kiwnęła niemrawo głową.

– A teraz siedź przez chwilę cicho, bo muszę zadzwonić.

Stuknął palcem w ekran iPhone'a i przyłożył telefon do ucha. Przez chwilę coś komuś tłumaczył, podawał jakieś numery. Gdy skończył, znaleźli się akurat przed podjazdem sporego budynku o stromym dachu nie z blachy falistej, lecz z gontu. Wąskie okna nie były z brązowego plastiku, lecz z drewna. Weranda była przeszklona, a górne kwatery okien pomalowane w ludowe wzory. Z donic na balkonach i przed werandą spływały kwiaty, cały ogród także kwitł.

– Słuchaj, właśnie odwołałem swoje wakacje na Bali, oddadzą mi pieniądze, tylko potrącą jakiś procent, więc znowu mamy hajs i możemy tu jeszcze trochę pomieszkać, a to miejsce mi się już wcześniej rzuciło w oczy – zalał ją kaskadą słów. – Więc jeśli mają wolne pokoje, to zapłacę nam za kilka dni. Jak myślisz, na razie tydzień?

– Co zrobiłeś?

– Tylko sobie nie wyobrażaj, że to dlatego, że cię lubię. Po prostu ratuję własną karierę, a pani, pani doktor, jest mi do tego potrzebna.

*

– Więc mamy nowe okoliczności, nową hipotezę i nowego świadka, a być może też nowego podejrzanego. – Jędrek starał się mówić głośno i twardo. Na zebranie grupy operacyjnej „Śleboda" nie przyszedł ani komendant, ani prokurator. Może to i lepiej.

– Przed sobą macie zdjęcie z kamery, która zarejestrowała nabywcę przynajmniej jednego z fantów znalezionych u starego Ślebody. Jak widzicie, wiele na nim nie widać.

– Niewiele na nim widać. – Poprawił technik Wojtek.

– Ale to na razie nasz jedyny trop.

– Próbujemy je w labie jeszcze trochę podkręcić – flegmatycznie ciągnął Wojtek. – Może wyjdzie jakiś szczegół. Ale uprzedzam pytanie: nie będzie tak, że jego twarz odbija się w widocznym na zdjęciu dzbanku od ekspresu albo w źrenicy sprzedawcy.

– Jeśli uda się nam w jakikolwiek sposób zatrzymać tego człowieka, zrobimy okazanie – powiedział Chowaniec. – Może sprzedawca z Rabki nam go zidentyfikuje.

– Jędruś, a na jakiej podstawie ty go chcesz zatrzymać? – wtrącił się dochodzeniowiec Wiesiek Rysiek. – Kupowanie mikrofalówki jeszcze nie jest w tym kraju nielegalne. Chociaż powinno, bo to ustrojstwo potrafi spieprzyć każdą potrawę. Jędruś, ty go możesz najwyżej doprowadzić celem przesłuchania w charakterze świadka, obawiam się.

Podkomisarz oparł się ciężko o stół.

– Przecież wiem – powiedział. – Ale nie wierzę, żeby ten facet był tylko świadkiem. W chałupie u tego starego wariata trzymano AGD za kilkanaście tysięcy, a cały ten sprzęt kupowano w różnych sklepach, oddalonych o wiele kilometrów, przez jakiegoś jełopa w czapce z daszkiem. Nie wmówisz mi, że ten jełop nie jest w to umoczony. Jak go słuchnę jako świadka i puszczę, to da dyla gdzieś na Ukrainę. Nie jest tak?

– To, że coś jest dziwne, też nie jest nielegalne. A może powinno – skwitował Ryś.

Przerwało im pukanie. Nie czekając na odpowiedź, do pokoju wsunął głowę posterunkowy i powiedział:

– Panie Jędrku, bo prokurator właśnie kazał natychmiast wypuścić tego pańskiego Romusia od swastyk i pomyślałem, że powinien pan o tym wiedzieć.

Podkomisarz Chowaniec oparł się o ścianę.

– Co?!

Stał tak, jak go zostawili. Przed budynkiem komendy powiatowej, na trawniku, zaplótłszy mocno ramiona, jakby chciał się nimi objąć. Garbił się głęboko i miarowo się kiwał, jak pogrążony w modlitwie. Przechodzący policjanci omiatali go krótkimi, zdziwionymi spojrzeniami. Jeśli któryś przechodził bliżej, odbiegał, marszcząc z obrzydzeniem nos, na tyle szybko, że nie miał szans usłyszeć cichego, przerywanego, cienkiego nucenia.

– Siedział… ja na zamku siedem… roczków tydzień…

Przed komendą zatrzymał się niebieski Fiat Panda. Wysiadła z niego starsza kobieta o białych, falujących włosach. Stanęła przed nim.

Powoli, bardzo powoli, podniósł na nią wzrok.

Doktor Alina Gut spojrzała na niego znad okularów połówek i uśmiechnęła się ciepło. Wyciągnęła do niego rękę. Romuś przekrzywił głowę. I nagle jego pomarszczoną twarz rozciągnął uśmiech. Nierównym, chwiejnym krokiem ruszył w jej stronę.

– Chodźmy stąd, panie Romanie. Zawiozę pana do Murzasichla. Do domu.

Odwróciła się, słysząc za swoimi plecami szorstki głos.

– Ten pan będzie odpowiadał za zniszczenie mienia komendy powiatowej.

Na ulicy stał policjant w skórzanej kurtce. Był nieogolony, a grzywka kleiła mu się do czoła. Za jego plecami stał drugi policjant w mundurowej koszulce polo i służbowej czapce z daszkiem.

– Proszę bardzo – syknęła. – Ten pan jest moim pacjentem, niech się policja kontaktuje ze mną, ale oficjalną drogą, a nie przez zastraszanie na parkingu. Wy już wstydu nie macie, o znieczulicy nie wspominając. Dobrze, że ta pani z tym dziennikarzem do mnie przyszli, bo mogę zrobić w tym burdelu choć odrobinę porządku.

Odwróciła się na pięcie. Pomogła wsiąść Romusiowi, potem rzuciła policjantom jeszcze jedno profesorskie spojrzenie, wsiadła za kierownicę i ruszyła ostro.

Odprowadzili ją wzrokiem.

– W sumie to jej współczuję – powiedział refleksyjnie sierżant Maciek Maraszek. – Ja dwa dni radiowóz wietrzyłem.

Podkomisarz Jędrek Chowaniec nie powiedział nic. Jedyny świadek, jakiego miał w rękach, odjeżdżał właśnie niebieską pandą. A on czuł się, jakby siedział na koźle rozpędzonego wozu i nagle z rąk wypadły mu lejce.

Ale nie to było najgorsze. Najgorsze było, że ten numer wywinęła mu ta pani z tym dziennikarzem.

O tej porze sklep „Pokusa” był już zamknięty. Z pobliskiej karczmy dobiegała góralska muzyka, od gór wiało chłodem. Anka zapięła polar. Stała już prawie dwadzieścia minut przy stacji trafo po drugiej stronie ulicy. Bastian chował się za nią, popijał piwo z puszki i zapalał kolejnego vogue’a.

Oboje przyglądali się chuderlawej postaci, która przycupnęła przy ścianie sklepu, na parkingu. Anka wiedziała, że prędzej czy później musi podejść. Ale chciała odczekać jeszcze chwilę. Romuś był kolejną osobą, której wstydziła się spojrzeć w twarz.

– Pójdę z tobą – wymamrotał dziennikarz z papierosem w ustach.

– Nie – ucięła. – Może cię pamiętać, jak go złapałeś wtedy na Kiecorze. Ciebie wystraszy się na pewno. Jako jeden z niewielu ludzi na tym świecie, dodajmy.

Wolną ręką pokazał jej środkowy palec. Uśmiechnęła się krzywo. Powoli ruszyła w stronę sklepu.

Romuś kucał, kołysząc się na piętach. Równomiernie zataczał głową niewielkie kręgi.

Anka stanęła nad nim. Słyszała wysokie i drżące pojękiwanie, które po dłuższym przysłuchiwaniu się zaczynało się układać w niepewną melodię czy raczej miks melodii, pojedynczych dźwięków i niezrozumiałych słów.

Romuś znieruchomiał.

A potem powoli uniósł głowę. Jego zapadnięte głęboko oczy zabłysły w świetle latarni.

Kucnęła przed nim. Spróbowała się uśmiechnąć. Cała się trzęsła.

Przekręcił głowę lekko w prawo. Oczy otworzył szerzej. Jego suche wargi, otoczne rzadkim, szczeciniastym zarostem, lekko drgnęły.

I usłyszała cienki głos, głos błądzący na granicy szeptu, połykający sylaby.

– Idzie woda, i-dzie… kamykami ru-sa…

Nagle Anka zorientowała się, że Romuś nie patrzy już gdzieś poprzez nią, ale wprost na nią.

– …kocham cie, dziewcyno… boś poćciwa… dusa…

Poczuła na swojej twarzy dotyk chropowatych, spękanych opuszków Romusiowych palców. Staruszek przyglądał się jej intensywnie, ale miękko. Cofnął dłoń. Jakby czekał.

A ona właśnie wtedy zrozumiała.

Tylko że zupełnie nie znała języka, którym posługiwał się kucający przy niej autystyk. Naprzeciw nieprzebranych zasobów Romusiowego repertuaru miała tylko tę garść przyśpiewek, których Polacy, jak kraj długi i szeroki, najpierw uczą się w przedszkolu, by potem przez resztę życia śpiewać je wyłącznie po pijanemu. *W murowanej piwnicy, Za górami, za lasami*, co jeszcze?

– …woda i-dzie… kamykami rusa… ko-o-cham cie, dzie-dziewcyno… – powtarzał Romuś.

O mój Boże! Oczywiście!

Odchrząknęła. Nie znosiła śpiewania.

– Hej bystra woda… – zaczęła niepewnie – …bystra wodzicka, pytało dziewcę o Janicka…

Przypatrywał się jej, przekręcając głowę.

– Hej lesie ciemny, wirsku zielony, kaj mój Janicek umilony?

Zauważyła, że Romuś opuszcza głowę, dłonie zaplata na potylicy, zasłania sobie przedramionami oczy. Że znów zaczyna się kiwać na piętach. Coraz szybciej.

Obejrzała się. Bastian stał ukryty za okapem dachu sklepu. Wpatrywał się i wsłuchiwał w całą tę scenę jak oniemiały. Ani mu było do śmiechu. Nagrywał.

Romuś jęczał cicho. Anka wzięła oddech.

– Hej powiadali, hej powiadali, hej, ze Janicka porubali…

I wtedy Romuś zadarł głowę i wrzasnął na całe gardło. Krótki, urwany krzyk poniósł się po wsi i zmienił w cienkie kwilenie. Anka przyskoczyła do starca, ujmując go ostrożnie za ramię.

A Romuś spojrzał na nią i zrobił coś zupełnie zaskakującego.

Nie zaśpiewał. Przemówił.

– Sześć – wyseplenił. Wziął gwiżdżący oddech i dokończył: – Dwa, dwa, dwa, osiem, dwa.

ROZDZIAŁ 12

On kieby pon jaki –
ma kabot złocisty,
cerwone chodaki,
pas rzemienny cysty,
za pasem toporek
i dukatów worek.
Choć tysiąc Góroli,
on się im wyśliźnie.
Jak toporkiem piźnie,
z ruśnicy wypali,
uciekoj, kto moze,
bo zginies, nieboze.

Plamy światła pełgały na trawie, gdy powiewy wiatru poruszały liśćmi. Trawa była miękka i wilgotna od rosy, bose stopy – nie wiedziała, gdzie zostawiła buty – zapadały się w nią jak w dywan. Przesieka wiodła w górę i w górę. Zadarła głowę. Pomiędzy rozedrganymi liśćmi prześwitywało sine niebo, a może to była Koszysta. Poczuła pod stopą coś chropowatego. Szybki ruch. Żmija wyślizgnęła się spomiędzy palców jej lewej nogi. Zniknęła w trawie jak strzała. Podążyła za nią… a tam się kończył las, tam się rozpościerała polana, może Palenica Pańszczykowa, ale wielka, sięgająca aż po horyzont. A nad nią – tak, to była Koszysta, ogromna jak niebo. Żmija uniosła trójkątny łeb znad traw. Nieopodal przewinął się wężowy grzbiet pokryty zygzakiem. I jeszcze jeden. Nad lśniącą od rosy polaną unosił się syk, a trawa okazała się wężami, tysiącem, milionem żmij, które roiły się i grzały na słońcu. Postąpiła między nie ostrożnie, żeby żadnej nie stąpnąć na łeb, bo wtedy żmije gryzą, trują jadem, wiedziała to. Stąpała wśród kłębiących się cielsk, powinna się bać, ale teraz widziała już tylko jedno. Na środku polany, w najjaśniejszym miejscu, tam gdzie nie sięgał cień Koszystej, siedział wężowy król w złocistej koronie. Głowę miał wielką jak niedźwiedź, z kłów kapał jad, rozdwojony język wił się i smagał ją po twarzy. Więc zamachnęła się, rąbała siekierą, dobrze, że miała ją ze sobą, chrupnął gadzi kręgosłup. Głowa w koronie potoczyła się po trawie, pomiędzy węże, a ona widziała siebie, jak porywa tę głowę z ziemi i próbuje biec, chociaż strasznie ciężko jest biec, gdy bose stopy grzęzną w wężach, a rozwścieczone gady próbują schwytać, więc zamknęła oczy…

… i już był w starej góralskiej chałupie, w czarnej izbie, gdzie na środku, nad paleniskiem, gotowała się woda w wielkim saganie zawieszonym na trójnogu. A on w tej wodzie gotował głowę wężowego króla. I wiedział, że musi wypić, przełamał się, choć go brzydziła ta żmijowa polewka. Nachylił się, zaczerpnął, siorbnął i otworzył oczy. „Teraz widzę skarby niepomierne – powiedział głośno – tu złoto, tu diamenty”. I poszedł, a chata stała na tej polanie, ale nie było już węży, tylko goła, mokra ziemia, wystarczyło ją rozgarnąć, tam był skarb. Wyciągnął dłoń i…

Anka się obudziła.

Pochyleni nad laptopem pili poranną kawę i po raz nie wiadomo który oglądali nagrany wczoraj filmik. Siedzieli na balkonie pensjonatu. Grzało słońce, a w popielniczce obok komputera rosła sterta wypalonych slimów. Na filmie, w półmroku, przy dużym ziarnie i w czerwonawych kolorach, rysowała się kucająca Anka, a obok niej Romuś. Cofali do momentu, gdy ten zadziera głowę,

krzyczy, a potem mówi. Bełkotliwie, ale zrozumiale. Sześć, dwa, dwa, dwa, osiem, dwa.

– Nie mógł po prostu powiedzieć, że zabił baca iks albo gazda igrek? – parskał dziennikarz. – Co to za kod Leonarda da Vinci?

Cofali, słuchali. Zadziera głowę, krzyczy, mówi: „Sześć – bierze oddech – dwa, dwa, dwa, osiem, dwa".

– Co to jest? Numer telefonu? – mruczał Bastian.

– Nie, konta w banku. Bastian, myśl. To nie jest coś, co on wie. To coś, co widział albo usłyszał. I odtwarza.

Cofnęli. Zadziera, krzyczy: „Sześć – oddech – dwa, dwa, dwa, osiem, dwa".

Spróbowali wpisać „622282" do Google'a. Nic sensownego nie wychodziło. Dom na sprzedaż w Ilinois, linki do artykułów, losowe wpisy z blogów. Nic, co Romuś mógłby zobaczyć albo usłyszeć.

– Bastian, zostawmy to na razie. Zacznijmy od innej strony – powiedziała w końcu.

– Czyli od której? – warknął i zabrał się za zapalanie kolejnego vogue'a.

– Od myślenia – uśmiechnęła się blado. – O tym, co nam zostaje, jeśli odrzucimy swastyki, Goralenvolk, wróżdę.

Popatrzył na nią.

– No zaraz, a druga swastyka? – zapytał. – To przecież nie Romuś wymalował ją krwią Andżeli na ścianie. Siedział wtedy w areszcie.

– Poczekaj, myślę o tym – przerwała mu. – Zobacz, jaka była kolejność wydarzeń. Znajdują… znajduję starego Ślebodę, Romuś wycina krzyżyk niespodziany, wszyscy myślą, że to swastyka, cała wieś o tym gada. A potem jest ten drugi, straszny mord, ale już zupełnie inny! – uniosła palec. – Pamiętasz? Rozmawialiśmy o tym. Morderca zmienia sposób działania. Już nie ukrywa zwłok, tylko eksponuje, maluje swastykę krwią. Za pierwszym razem tego nie zrobił. Nabraliśmy się na to, pamiętasz? Myśleliśmy, że zmienił *modus operandi*, bo pierwsze morderstwo było karą, a drugie ofiarą. A może…

– A może on chciał, żebyśmy się na to nabrali?

– Bo wszyscy myśleli, że chodzi o nazistowską przeszłość! Zaaranżowanie mordu tak, by wyglądał na rytuał ofiarny, okazało się świetnym kamuflażem! – Anka aż wstała.

– Ale dlaczego ich wszystkich zabił? – przytomnie zapytał Bastian.

Anka czuła, że odpowiedź na to pytanie już wcześniej słyszała. Że ma ją na wyciągnięcie ręki. To był wręcz fizyczny wysiłek, jakby chciała naciągnąć synapsy, a do spięcia ich ze sobą brakowało kilku mikronów.

– Co zostaje w tej całej sprawie po odjęciu swastyk, motywu zemsty… – powtórzyła.

– Cztery trupy – mruknął Bastian ponuro. – Dziad, ojciec, matka i córka. Andżela.

– Dlaczego zabił? Dlaczego się zabija dziadka, rodziców, dziecko, po co się unicestwia rodzinę, jeśli nie z zemsty? Jeśli to nie wina przechodzi z dziadków na rodziców, a z rodziców na dziecko, to co?

Teraz Bastian wstał na równe nogi.

– O Jezu, Anka – szepnął. – O kurwa!

Złapała go za ramiona.

– Co?

– Majątek przechodzi!

Przez chwilę na balkonie pensjonatu panowała zupełna cisza. Oboje ani drgnęli, jakby bali się fałszywym ruchem spłoszyć tę myśl. Anka czuła, jak powietrze wokół niej tężeje, a palce same zaciskają się z całej siły na balustradzie. Powoli otworzyła oczy. Przed sobą miała widok na garb Majerczykówki, a oddzielała ich od niej dolina Wyżackiego Potoku, który spływał wzdłuż całej wsi,

koło cmentarza, na którym dopiero co była z Babońką.

Poruszyła bezgłośnie wargami.

– Bastian – szepnęła – czy jak byliśmy u Babońki, też nagrywałeś?

Dziennikarz bez słowa złapał iPhone'a i drżącymi palcami zaczął szukać. Przesłuchał początki kilku plików – baryton Gronia, zaciąganie Krępuli – aż wreszcie zamarł w oczekiwaniu. Z urządzenia najpierw popłynął lekki szum tła. Nabrzmiewała nieznośna cisza. Potem rozległy się stuknięcia. Kroki. I ich głosy. Anka opowiada o Jaśku Ślebodzie i Andrzeju Groniu. Przewinął. Słychać jego własny głos, jak wtrąca coś o teczkach w IPN-ie. Przewinął.

Zadźwięczał niski głos staruszki: „…beli wieldzy przyjociele przed wojnom… Ba co Jasiek Jędrusia wydoł, tegom nie wiedzioła…".

Głos Babońki rozlał się ciepłem w głowie Anki, jak maść na ranę, co zarówno leczy, jak i piecze. To było jeszcze kilka dni temu – pomyślała.

– Dalej – syknęła, nie otwierając oczu. – Przewiń dalej.

„U nos na wsi, wiycie, to sýćko za jedno…"

– Dalej!

„…ze go komuna nie wywłascyła z ojcowizny, choć dy przecie kolaborantom sycko zabierali, a on mioł kiela ziymie hań na Kiecorze. Ale moze i nie bez to, bo hańta ziym to ino młaka i bór. Ftoz ta wiy, kie ludzie wiedzom…"

Bastian wciągnął głośno powietrze.

– Słyszałeś!? – Anka aż podskoczyła. – Słyszałeś!?

Cofnął. Puścił.

„…mioł kiela ziymie hań na Kiecorze. Ale moze i nie bez to, bo hańta ziym to ino młaka i bór…"

– Miał dużo ziemi tam na Kiecorze… – wyszeptała Anka. – Ale ta ziemia to tylko bagno i bór… Babońko kochana, dzięki…

Bastian skoczył do laptopa. Wszedł na rządową stronę „Geoportal", udostępniającą mapy geodezyjne całego kraju. Wpisał w wyszukiwarkę „Murzasichle". Pojawiło się dobrej rozdzielczości zdjęcie satelitarne wsi, pokryte precyzyjnie czerwoną siatką rozgraniczającą działki. Wyśrodkował mapę na Kiecorze. Przybliżył.

Oboje wpatrywali się w mapę bez słowa. W miejscu gdzie kończyła się wieś i zaczynał las, tam gdzie od asfaltu odchodziła gruntowa droga prowadząca na skos polany do chałupy starego Ślebody, mapa działek wyraźnie się zmieniała. Nie stanowiła już, jak w całej wsi, poszatkowanej mozaiki drobnych prostokątów i trójkątów. To był jeden duży trapez. Rozciągał się od ulicy ponad trzydzieści metrów na północ, a na wschód przynajmniej dwa razy tyle, głęboko w las, jeszcze za strumień.

Tak wyglądała ziemia starego Ślebody, którą po jego śmierci odziedziczyłby jego jedyny potomek Mieczysław, a następnie jego jedyna wnuczka Andżela. Gdyby żyli.

Przybądźcie z nieba na głos naszych modlitw,
mieszkańcy chwały wszyscy święci Boży;
Z obłoków jasnych zejdźcie aniołowie,
Z rzeszą zbawionych spieszcie na spotkanie.

Coś ją tknęło, gdy tam, na balkonie usłyszała dzwony. Natychmiast porzuciła Bastiana ze wszystkimi jego emocjami i telefonami do wykonania. Nawet nie zauważył, że poszła.

Gdy dotarła na miejsce, pogrzeb już trwał. Patrzyła z dala na spłakaną ciotkę Kalenicową, na Kaśkę w dużych słonecznych okularach i prostej czarnej sukience. Na Józka w odświętnej cusze i cyfrowanych portkach. Inni też przyszli w góralskich strojach. Wzorzyste chusty zarzucone na bluzki i parzenice na poszarzałej ze starości lub bielejącej nowością wełnie odcinały się

kolorowym akcentem od pogrzebowej czerni.

Anka stała za ogrodzeniem, nieopodal miejsca, gdzie jeszcze niedawno chowali starego Ślebodę, a żałobnicy prawie całkowicie zasłaniali jej trumnę. Śpiew księdza, zniekształcony przez chrypiący głośnik, niósł się po cmentarzu.

Żadna inna pieśń religijna nie byłaby w stanie przebić się przez grubą skórę Anki, której Bóg dawno już się ugiął pod ciężarem ksiąg. Hymn o treści tak ostatecznej i nieodwołalnej, że obnażającej wszelką wiarę, pokazującej, że jest ona tylko ucieczką od strachu przed nieistnieniem.

Ale Bóg Babońki był potężny: z obłoków jasnych wysyłał Anielski Orszak jak malowany, wraz z rzeszą zbawionych, żeby nadzieją na spotkanie stłumić żal odejścia.

Anielski orszak niech twą duszę przyjmie,
Uniesie z ziemi ku wyżynom nieba,
A pieśń zbawionych niech ją zaprowadzi
aż przed oblicze Boga Najwyższego.

Tylko strach przed nieistnieniem – przed tym, że wszystko, co wokół, nieodwołalnie się rozsypało – jakoś nie ustępował.

Śpiew ucichł i zapadła głucha cisza. Zamilkły nagle ptaki, samochody, kosiarka elektryczna gdzieś w oddali. Wtedy Józek położył na ramieniu skrzypce i zagrał. Zamknął oczy i delikatnie prowadził smyczek, a rozdzierająca, stara jak świat melodia płynęła spod jego palców, jakby tylko czekała, żeby się wyrwać. Anka wstrzymała oddech, zgromadzeni wokół trumny ludzie zastygli w oczekiwaniu.

Nigdy w życiu Józek tak nie zagrał. Nie grał tak, gdy na kacu przygrywał do grilla przedwcześnie posiwiałym menedżerom z drogimi telefonami. Nie grał tak, gdy prowadził do ołtarza brzuchate panny młode i wystraszonych młodzieńców. Nie grał tak na samorządowych oficjałkach ku czci lub pamięci. Nie grał tak nawet wtedy, kiedy grał sam dla siebie w garażu wśród quadów, żeby nikt go nie słyszał.

Wszystko to, co Anka widziała przed sobą: zgarbieni żałobnicy w ludowych strojach, zarysy domów o spadzistych dachach, potężne drzewa i wyszczerbione szczyty, wydało się jej nagle barwną, szklaną taflą akwarium, zza której ci, co po drugiej stronie, nie zobaczą jej ani nie usłyszą. Lśniącą i gładką fototapetą, gdzie próżno już szukać ukrytych drzwi, które uchylała jej Babońka, żeby Anka mogła czasem popatrzeć na to, co po drugiej stronie.

Józek skończył i cofnął się o krok. Kaśka poprawiła na ramionach fałdy chusty drukowanej w wielkie czerwone róże i wsunęła dłoń pod ramię brata. Oparła czoło o szorstką wełnę jego cuchy, a on objął ją wolną ręką, w której jeszcze trzymał smyczek.

Anka zacisnęła na chwilę powieki. Wraz z Babońką odchodziła za ostatnią, ostateczną górę i dolinę, kłującą w bose stopy zżętą słomą kraina jej dzieciństwa.

Zamrugała intensywnie i przez chwilę miała wrażenie, że w tym momencie na horyzoncie poruszyły się góry.

Po wyjściu Anki Bastian na przemian to siedział nieruchomo, to chodził po balkonie. Wyrywał z notesu kolejne kartki, kreślił, miął i wyrzucał. Zadawał sobie pytanie: jak znaleźć kolejne połączenie?

Od dłuższego czasu miał wrażenie, że podpowiedź już słyszał. Mełł w głowie i przesiewał wszystko, co się wydarzyło, odkąd przyjechał na Podhale. A więc rozmowy z policjantem, z Anką. Czatowanie pod chałupą starego Ślebody, z nadzieją, że coś się wydarzy. I wydarzyło się. Przyjechała Andżela. Odegnał tę myśl. Musiał się skupić. Teraz bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

A więc Andżela. Jej rodzice. Jej ojciec. Andżela coś mówiła o ojcu, ale ani słowa o spadku. Narzekała, że ojciec miał im załatwić kwaterę, ale nie załatwił.

Bastian zatrzymał się w swojej marszrucie wokół balkonu.

Narzekała, że zamiast załatwić im inne lokum i ogarnąć sprawy pogrzebu, cały dzień gdzieś chodził, a potem długo rozmawiał przez komórkę.

Żeby tak dało się sprawdzić, z kim!

Do kogo mógł dzwonić? Do rodziny? Przecież cała jego rodzina towarzyszyła mu na miejscu. Do pracy?

Mieczysław Śleboda był prawnikiem, łatwo dało się wyszukać numer jego kancelarii w Radomiu.

Odetchnął, bo odebrała asystentka, a nie asystent. W te klocki był lepszy. Mówił niskim, spokojnym głosem. Przedstawił się, opowiedział, że pracuje nad sprawą tej – tak się wyraził – potwornej tragedii. Złożył wyrazy współczucia. Opowiedział, że poznał Andżelę, o tym, jaką była wspaniałą dziewczyną. A na koniec zapytał, ostrożnie dobierając słowa, czy – tak się wyraził – pan Mieczysław w przeddzień swojej śmierci kontaktował się z kancelarią.

– Tak – usłyszał. – Pan mecenas dzwonił. Potrzebował specjalisty w sprawie wyceny gruntów, który mógłby szybko przyjechać do niego na Podhale. Nie zdążyliśmy jeszcze nikogo znaleźć, gdy przyszła ta straszliwa wiadomość.

Bastian ostrożnie odłożył smartfona na stolik.

Tak więc Mieczysław Śleboda najpierw gdzieś zniknął, potem wrócił bardzo zdenerwowany i szukał kogoś od wyceny gruntów. Co go wyprowadziło z równowagi? Zbyt słaba oferta? Musiał mu ją złożyć ktoś tutaj, na Podhalu. Z kimś się tu spotkał i negocjował.

A to znaczy, że coś śmierdziało w kwestii kupna ziemi po starym Ślebodzie.

Z „Geoportalu” spisał numer działki. Minutę zajęło mu znalezienie w sieci poradnika, jak na podstawie takiego numeru sprawdzić stan prawny nieruchomości. Potrzebny był mu do tego kolejny numer: tym razem księgi wieczystej. Gdyby znał i ten numer, mógłby księgę wieczystą przeczytać na stronie internetowej ministerstwa sprawiedliwości.

Ale tu w informatyzacji i cyfryzacji administracji publicznej następowała bolesna dla dziennikarza luka. Bo numer księgi wieczystej na podstawie numeru działki mógł poznać, fatygując się do powiatowego wydziału geodezji.

*

Cmentarz pustoszał. Rozejrzała się i ruszyła niepewnie ku grobowi Babońki. Chciała chociaż chwilę przy nim pomilczeć. Nie miała nawet znicza, żeby go zapalić, kwiatka, żeby go położyć na stercie wieńców i wiązanek z fioletową wstążką, nie miała nic.

– Anka, myślałem, że wyjechałaś! – usłyszała za sobą zdziwiony głos kuzyna.

– Pięknie grałeś – powiedziała i uśmiechnęła się do niego nieśmiało. – Byłaby z ciebie dumna.

– Słuchaj, to wszystko zupełnie nie tak się poukładało, jak trzeba – Józek podrapał się zakłopotany za uchem. – Kaśka, znasz ją, ona czasem najpierw mówi, potem myśli.

– Jasne – Anka westchnęła.

– To wcale nie przez ciebie. Ona już żałuje, że tak powiedziała – Anka spuściła głowę, słuchając. – Przyjechałaś specjalnie na pogrzeb?

Zawahała się.

– Tak – odparła. – Ale nie chciałam się wam pokazywać.

Milczał.

– A poza tym, to daleko nie ujechałam. Trafiliśmy na coś ze Strzygoniem – odwróciła spojrzenie.

– Dalibyście sobie z tym spokój. – Po twarzy Józka przebiegł cień. – Nic nie znajdziecie, tylko

sobie wrogów narobicie.

Anka podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się blado.

– Na co trafiliście? – Józek zmarszczył brwi.

– Może sprawa z Goralenvolkiem to była zmyłka. I nic więcej nie powiem, bo to same hipotezy, a tym razem chcemy wszystko dobrze sprawdzić.

– Dajcie sobie spokój, mówię ci – powtórzył Józek. – To sprawy policji. Wszystko jest już wystarczająco skomplikowane. Nie chciałbym, żeby ci się coś stało. Tutaj wszyscy wszystkich znają, wszyscy wszystko wiedzą. O tym, że wróciliście, pewnie też.

– No i co z tego? – żachnęła się.

– Tutaj każdy jest uwikłany w tyle sieci, że nie może się ruszyć, żeby nie pociągnąć za jakiś sznurek. Ktoś z kimś wódkę piję, ktoś z kimś do szkoły chodził, ktoś komuś pieniądze pożyczył. Ten, kto zabił Ślebodę, ma we wsi tyle par oczu i uszu, ilu tu ludzi mieszka. Zabierajcie się stąd, póki możecie, i zapomnijcie o całej sprawie, dobrze ci radzę.

– A ty – zapytała przekrzywiając głowę. – W co jesteś uwikłany?

Gmach Starostwa Powiatowego w Zakopanem skojarzył się mu ze starym szpitalem.

Gdy przedstawił numer działki, urzędniczka popatrzyła na niego wesoło.

– O, pan też w sprawie odwiertów? – zapytała. – Proszę chwilę poczekać, powinnam mieć te akta na samym wierzchu, dopiero co były wyciągane.

I zniknęła, pozostawiając interesanta z szeroko otwartymi ustami.

Gdy wypadł z urzędu jak oparzony, pomyślała, że podobną grzywkę nosi jej czternastoletni syn. Pokręciła głową i sięgnęła do torebki po telefon.

– Halo, dzień dobry panu. Bo pan prosił, żeby dać znać, gdyby się ktoś interesował tą działką. A właśnie pytał o nią dziennikarz z Krakowa.

Obróciła w palcach wizytówkę, którą przed chwilą wręczył jej ten chłopak, wyznając konspiracyjnym tonem, że reprezentuje media, a ona właśnie bardzo mu pomogła. Mówił niskim, przyjemnym głosem i patrzył jej prosto w oczy. Na koniec podał jej wizytówkę i zasugerował, że gdyby ktoś jeszcze interesował się tą działką, to społeczeństwo obywatelskie będzie jej bardzo wdzięczne, jeśli da mu o tym znać. Nie on pierwszy o to prosi – uśmiechnęła się.

– Nazywał się Strzygoń – powiedziała do telefonu. – Sebastian Strzygoń.

– Opowiedzieć ci coś, kuzynka? – Józek zarzucił cuchę na ramię. Szli powoli w stronę kościoła. – Jak byłem w Stanach, to czasem lubiłem ubrać się w najlepsze dżinsy i koszulę, ogolić twarz i jechać do Downtown. Spacerowałem po alejach, gapiłem się w górę na szczyty wieżowców, siadałem na ławce i patrzyłem na ludzi. Wyobrażałem sobie, że mogę być jednym z nich, że mogę być tym, kim chcę. Ale potem wystarczyło, że zobaczyłem w odbiciu jakiejś wystawy mojego szczerego polskiego ryja, na którym od urodzenia maluje się głęboka i niepojęta tęsknota za chuj wie czym. Wystarczyło, że odezwałem się do sprzedawcy hot-dogów i on już wiedział, mówił: *„Oh, Poland! Vodka, pierogi, kielbasa, Walesa, qurva match!”*.

– Aż tak źle było? Nikt ci nie pomógł, nikt z naszych? – nie rozumiała, dlaczego jej to opowiada.

– Oczywiście, wszyscy rzucili mi się na pomoc! Ale nie ma nic za darmo. Jedziesz tam, ktoś ci pomaga, załatwia pracę, zaprasza do domu na niedzielny obiad. A potem wychodzi z założenia, że może do końca życia trzymać cię za to za jaja. Nieważne, czy ci się potem uda w tych Stanach, czy nie. Jak ci się nie uda, to znaczy, że jesteś sietniok i można się bezkarnie tobą wysługiwać. Ale jak ci się uda, to znaczy, że trzeba cię za jaja trzymać jeszcze mocniej, bo możesz kogoś uwieszonego twoich jaj pociągnąć w górę. I tak w nieskończoność, każdy kogoś trzyma za jaja, każdy ma uwieszonego na jajach kogoś innego, a czasem nawet cały wianuszek, zupełnie jak w tej Babońcynej

godce o Sabale i diable. Pierwszy góral, co wyjechał do Stanów, złapał kiedyś Pana Boga za nogi, bo chyba nie za jaja, a na jego strategicznym miejscu uwiesiły się kolejne pokolenia. I tak dyndają do dzisiaj. Wypisałem się i wróciłem. Ale tutaj – zakreślił niedbale ręką półokrąg wokół siebie – jest tak samo. Wszyscy są uwikłani, żeby nie powiedzieć – ujajeni. Ruszysz się lekko i już ciągniesz za jaja tych, z którymi jesteś powiązany. Ruszy się kto inny i już urywa jaja tobie. I tak sobie tu wszyscy siedzimy. Ale – na usta Józka wypełzł brzydki grymas – przynajmniej jestem na dobrej drodze. Do tego, żeby mieć tyle kasy, żeby od moich jajec trzymali się z daleka.

Jesteś dzieckiem szczęścia, Bastianku, w pieprzonym czepku urodzonym, cieszył się, jakby numer księgi wieczystej wykradł, a nie dostał od tej mamuśki z urzędu, o której myślał, że ewidentnie się do niego wdzięczyła. Wystarczy, że się uśmiechniesz, a informacje same wskakują ci pod kołderkę.

Trudno mu było sobie darować, że nie wpadli na to od razu. Ale jeszcze trudniej mu było uwierzyć, że wystarczyło pociągnąć za prawidłowy sznurek, a klocki układanki wskakiwały na miejsce.

Teraz już wiadomo – działka na Kiecorze coś kryła. Ale kiedy Bastian ulokował się już na ławce w parku naprzeciw dworca PKS w Zakopanem, zdał sobie nagle sprawę, co właściwie powiedziała urzędniczka.

Odwierty! Przecież oni tu, na Podhalu, nie ropy czy gazu łupkowego szukają!

Przypomniał się mu pierwszy wieczór w Murzasichlu, spędzony przy hotelowym barze. Pił wtedy drogie drinki z dwoma chłopakami. Jeden był DJ-em, ale takim z wyższej półki. A drugi, blondyn w hispterskich okularach, przedstawił się jako inżynier. Nawet się z tego śmiali, po kilku drinkach mówili do siebie *per* „panie redaktorze” i „panie inżynierze”. Był wielbicielem irańskiego kina i Bastian przez chwilę miał nawet wrażenie, że pan inżynier na niego leci. Wspominał, że doradza biznesmenom. W sprawie energii odnawialnej.

Nie, nie powiedział: „energii odnawialnej”. Powiedział: „geotermii”. Opowiadał o gorących źródłach.

Przypomniał sobie, co mówiła mu Anka i rzucił się do Google’a, żeby jak najwięcej doczytać. Geotermia była od niedawna podhalańskim Świętym Graalem. Gdy odkrywano, że któraś gmina została pobłogosławiona gorącą wodą święconą spod ziemi, zaczynała kwitnąć jak zimowy ogród. Oto pośród kiepskich gleb chłostanych halnym wiatrem tryskał zdrój zdrowia, szczęścia i pomyślności, złotonośny potok, woda żywa. Na geotermalnych źródłach wyrastały termy, a w ich cieple grzała się cała lokalna społeczność. Zjeżdżali turyści i zostawiali dutki. Stosy dutków.

Bastian zaczął gorączkowo przeglądać książkę adresową w iPhone’ie. Nie mógł sobie przypomnieć, jak pan inżynier się nazywał. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że jego numeru nie wpisał do telefonu. Dostał od niego wizytówkę, którą natychmiast wrzucił do torby podróżnej, razem z innymi papierami.

Ale miał jeszcze w kieszeni przepustkę do informacji o dużo większym ciężarze gatunkowym niż wzmianka o wierceniach. Pochylił się nad iPadem. Wszedł na stronę o rozczulającej nazwie, którą mógł wymyślić tylko urzędnik z wyjątkowo długim stażem: „Portal Podsystemu Dostępu do Centralnej Bazy Danych Ksiąg Wieczystych”. W skrócie PPDCBDKW. Przyjazne państwo szczerzyło się do niego w szelmowskim uśmiechu.

Wpisał numer księgi do formularza. Zamknął na chwilę oczy. Gdy je otworzył, na lśniącym ekranie widniała tabelka księgi wieczystej. Przeglądał ją, a opuszki jego palców zostawiały na szkle lepkie od potu ślady.

Trzy dni temu działka Jana Ślebody została kupiona. Umowę sprzedaży sporządzono w zakopiańskiej kancelarii notarialnej Piotra Walczaka.

Nabywcą był niejaki Wendelin Pysior.

Bastiana zastała na rozkopywaniu sterty ciuchów, rozrzucaniu zawartości walizki i przegrzebywaniu pliku papierów. Akurat gdy miała zapytać, co go opętało, krzyknął: „Jest!” i uniósł triumfalnie wizytówkę.

Natychmiast wybrał numer i przełączył telefon na głośnik.

– No, dzień dobry, panie redaktorze! – odezwał się głos. Dziennikarz podskoczył.

Przez chwilę nawijał serdecznie o tym i o tamym. Próbowała bezgłośnie zapytać „kto to”, ale zupełnie ją zignorował.

– A co w ogóle porabiasz aktualnie? – mówił takim tonem, jakby chciał być niezobowiązująco grzeczny.

– Ech, kwitnę w pracy, musiałem przesunąć urlop, przygotowuję się do ważnego zlecenia – głos po drugiej stronie zaczynał brzmieć konfidencjonalnie.

– Czyżby do tych odwiertów w Murzasichlu zleconych przez pana Pysiora, o których mi opowiadałeś?

Słuchali oboje ciszy, która zapadła naraz po drugiej stronie.

– Jezus Maria, skąd ty to wiesz…? – głos z telefonu przez tę jedną chwilę wytracił całe ciepło i trząsł się teraz w emocjonalnej hipotermii.

– No jak to, opowiadałeś przecież – rzucił Bastian. – Możesz mi to potwierdzić? Bardzo interesuje mnie rozwój inicjatyw ekologicznych na Podhalu, akurat o tym piszę. Jak dostałem ten temat, od razu mi się przypomniało, jak mówiłeś o panu Pysiorze.

– Stary, błagam cię, nie możesz o tym napisać, to miała być tajemnica biznesowa! Ja stracę zlecenie! Chyba nie rozmawiałeś o tym z panem Pysiorem, nie?

– Jeszcze nie – odparł Bastian, kładąc akcent na „jeszcze”.

Głos po drugiej stronie rozpaczliwie starał się wygrzebać z lawiniska:

– Słuchaj – tamten wziął oddech. – To jest niemożliwe, żebym ja ci się ze szczegółami wysypał!

– Trochę wypiliśmy – zasugerował dziennikarz.

– Dobra. Słuchaj. Błagam. Zrób to dla mnie. Zachowaj w tajemnicy, że robimy dla Pysiora te analizy, dobrze? Jak już to będzie oficjalne, to ci udzielę wywiadu, opowiem wszystko dokładnie, a jeszcze ci załatwię u pana Pysiora, że jak już ten cały park wodny powstanie, dostaniesz dożywotni bilet wstępu, okej? Ale na razie tajemnica. Błagam!

Bastian milczał przez chwilę. Szybko przeglądał notatki na tablecie.

– Ale czekaj, coś mi się nie zgadza – powiedział. – Przecież źródła geotermalne są w Bukowinie, w Szaflarach, a nie w Murzasichlu.

– O, stary – głos po drugiej stronie wydawał się już pewniejszy siebie. – Żebyś ty wiedział.

Było już dawno po zachodzie słońca, biegnąca skosem od asfaltu ścieżka po kilku metrach znikała w mroku boru. Na Kiecorze, gdzie Murzasichle przechodziło w las, panowała grobowa cisza.

Siedzieli na nieokorowanym pniu smreka, jednym z kilku zalegających nieopodal działki starego Ślebody. Bastian przetarł mankietem szyjkę butelki, podał ją Ance, po czym sięgnął do kieszeni bananowych spodni po papierosy. Pociągnęła łyk i wzięła vogue’a z paczki dziennikarza, obiecując sobie, że po powrocie na pewno przestanie palić.

„Po powrocie”, westchnęła. Perspektywa jakiegoś „kiedyś”, jakiegoś „gdy to się skończy” była dla nich obojga na razie kompletnie nieuchwytna.

– Wychodzi na to, że pod tą działką nieźle się gotuje, i to nie tylko metaforycznie – mruknął Bastian.

– Czyli co? Sympatyczny pan Pysior przyszedł tu, zarąbał starego Ślebodę, a potem złożył jego synowi propozycję nie do odrzucenia? – powiedziała zmęczonym głosem Anka.

– Może nie przyszedł tu, żeby zabić starego. Pamiętasz? Gliniarze znaleźli w chałupie szklanki po kawie i flaszkę. Może przyszedł pogadać o kupnie, pili sobie kulturalnie kawkę, popijali wódeczką. Jak znam życie, to Pysior chciał od dziada wyłudzić ziemię za bezcen, nie mówiąc mu, jaką naprawdę ma wartość, ale dziad się nie zgodził sprzedać.

– Jak świat światem, górale unikają sprzedawania domów – wtrąciła.

– …no to Pysior się wkurzył, jebnął go w łeb czym tam miał pod ręką, no i zabił. A potem trzeba było ukryć ciało. Ja bym obstawiał taki scenariusz.

– Jędrek mówił, że od śmierci starego Ślebody minęła jakaś godzina, zanim go porąbano – zamyśliła się Anka. – To by się zgadzało. Zabija niechcący, wpada w panikę, zastanawia się, co robić, wreszcie rąbie zwłoki na kawałki, wywozi i zakopuje w lesie.

– W tym momencie na scenie pojawiasz się ty – Bastian się zapalił. – Znajdujesz ciało, ale skoro wszyscy myślą, że to zemsta za Goralenvolk…

– Myślą tak przez nas – przerwała mu.

– …mniejsza o to. Skoro wszyscy tak myślą, to cwany Pysior wykorzystuje to, żeby wyeliminować dziedziców starego Ślebody i sprowadzić nas na zły trop.

Powiało. Zatrzęśli się oboje.

– Chodźmy stąd – szepnęła Anka. Na końcu języka miała, że trzeba z tym iść do Jędrka. Że dość tej amatorszczyzny, że to nie jest kominkowy kryminał, w którym mordercę może złapać nawet starsza pani. To się dzieje naprawdę.

Ale zaraz potem pomyślała, że nie uwierzyłby im jak psom.

Wyszli z lasu i w milczeniu powlekli się w górę wsi.

Gdy zbliżali się do zakrętu, Bastian dyskretnie ujął Ankę za przedramię i pociągnął na drugą stronę ulicy. Skinieniem wskazał w półmrok. Przed sobą mieli odcinek ulicy z długim i bujnym żywopłotem po jednej stronie i starym domem otoczonym parkanem po drugiej. Mimo mroku dostrzegła trzech osiłków w czarnych obcisłych T-shirtach, o głowach ogolonych na łyso. Śmiali się głośno. Podawali sobie butelkę. Anka z Bastianem przyspieszyli kroku, unikając kontaktu wzrokowego. Na próżno.

– Te, patrz, jaki pedał – rozległ się donośny rechot.

– Pedał z kurwą, normalnie! Ja pierdolę!

Przez moment się przeraziła, że Bastian na zgubę ich obojga postanowi być rycerski. Pociągnęła go, żeby minąć byczków jak najszybciej. Znała to doskonale, chamskie zaczepki gnojów z króciutkimi, zwiotczałymi od anabolików kuśkami. Wystarczyło nie zwracać na nich uwagi.

Ten trzeci, który się dotąd nie odezwał, splunął na chodnik i sprężystym krokiem ruszył prosto na nich.

– Ty, pedał, kolega coś mówił do ciebie, nie? – zawarczał.

Był łysy, miał głęboko osadzone oczy i orli nos. Podkoszulek ciasno opinał mu bicepsy. Mimo mroku Anka dostrzegła tatuaże, napisane gotykiem słowa „*Weiß Macht*” i liczbę „88”. Były jeszcze ciernie, czaszki, orzeł. I swastyki.

Pozostałych dwóch, rechocząc donośnie, ruszyło ku nim, kołysząc barkami. Ance zawsze się wydawało, że w takich chwilach adrenalina rozjaśnia umysł, uzdalnia do walki. Nic z tych rzeczy. Czuła się jak sparaliżowana. Bastian też stał nieruchomo, jak zdobycz węża.

– Spokojnie, nie chcemy kłopotów – wyszeptała, przełykając ślinę. Odpowiedział jej gardłowy śmiech.

Poczuła na przedramieniu dłoń Bastiana. Zrozumiała. Zerwali się w jednej chwili, pędząc w stronę Kiecory. Ciężkie glany zadudniły za nimi. Biegli jak w amoku, gdy oślepiły ich reflektory auta. Z piskiem opon zahamował przed nimi czarny volkswagen golf.

Wysiadło z niego jeszcze trzech.

Stali na środku pustej ulicy. Otoczeni.

– O Jezu – powiedziała tylko.

Ten z wytatuowanymi swastykami stanął przed nimi na szeroko rozstawionych nogach.

– Ale ja jestem dziennikarzem… – prawie bezdźwięcznie jęknął Bastian.

Naziol uśmiechnął się szeroko. Wyprowadził krótki cios z barku, ładując mu pięść w brzuch. Gdy tylko Bastian się skulił wpół, kopnął go kolanem w twarz. Dziennikarz poleciał do tyłu. Prosto na dwóch łysych, którzy złapali go pod ramiona.

Anka wreszcie odzyskała oddech i zaczęła krzyczeć:

– Przestań!!! Zostawcie go!!!

Bandzior nawet się do niej nie odwrócił. Rozprostował lewą rękę i uderzył ją pięścią w twarz. Poleciała na ziemię. Bastian się szarpnął.

– Pedały, wypierdalać mi z Podhala! – ryknął.

Uderzył dziennikarza prawym sierpowym, aż jego głowa odskoczyła. Bastian osunął się na kolana. Pozwolili mu się przewrócić. I zaczęli kopać. Zwinął się, osłaniając głowę i podbrzusze, w bezsilny kłębek bólu.

Anka się poderwała. Jeden z trzech pozostałych złapał ją za ramię i mocno szarpnął, popychając na tego wytatuowanego.

– Pysku, łap kurwę!

Ten odwinął się i trzasnął ją otwartą dłonią w twarz. Krzyknęła. Zacisnął dłoń na jej ramieniu, przyciągnął do siebie. Pozostali otoczyli ich kołem. Zostawili Bastiana znieruchomiałego na asfalcie.

– Ruda pizdo! – dyszał jej w twarz. – Wypierdalać z Podhala, burdel sobie rób u siebie!

Wtedy wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Pisk opon. Trzask drzwi. Przeciągły gwizd na palcach.

– Dawać ich!

Czyjeś ramię wypchnęło ją z kleszczowego uchwytu i od bandziora odgrodziły ją szerokie plecy w bluzie z kapturem. Pysku nie zdążył się zorientować. Dostał z baśki prosto w nos, a zaraz potem precyzyjnego kopa w jądra. Z głuchym jękiem złożył się wpół. Drugiego kopa dostał w podbródek. Poleciał do tyłu. Tamten skoczył na niego, zlądował kolanami na jego piersi i przytrzymując go za koszulkę, metodycznie obijał mu twarz.

Trzej inni najpierw doskoczyli do drewnianego płotu. Chrupnęły wyrywane sztachety. A potem runęli między osłupiałych nazioli. Pierwszy zawył, gdy drewniany drąg wybił mu zęby. Z popękanych warg buchnęła krew. Drugi dostał w potylicę i wylądował twarzą na asfalcie. Trzeci odbił kopniakiem jedną sztachetę, wtedy druga trafiła go w nerki. A potem obie na przemian połamały mu żebra. Czwarty sięgnął napastnika. Złapał za kurtkę, zamachnął się, ale był za wolny. Drzewce ześlizgnęło się po glacy, rozcinając kantem skórę nad uchem, aż wrzasnął i się zatoczył. Wtedy sztacheta z głuchym chrupnięciem złamała się mu na plecach. Piąty puścił się pędem w stronę golfa. Dostał drzewcem pod kolano. Zawył i upadł na ziemię, rozbijając się o drzwiczki własnego auta.

– Sekund!

– Drugi sekund!

– Bas!

Ktoś, kto regularnie grywa na góralskich weselach, przechodzi trening lepszy niż niejeden komandos. Trzej młodzi postawni górale stali ze sztachetami w garściach nawykłych do tradycyjnych instrumentów. I muzycznych, i bojowych.

– …i prym. – Znad leżącego nieruchomo na jezdni Pyska podniósł się ciężko, rozcierając kłykcie, Józek Kalenica.

Zespół był w komplecie.

Nad nimi, od wsi, poniósł się dźwięk policyjnej syreny. Odpowiedziały jej kolejne, od Kośnych Hamrów. Józek doskoczył do klęczącej nad Bastianem, oszołomionej Anki. Rękawem bluzy otarł jej krew spod nosa. Obejrzał ją dokładnie.

– Bees mioła limo – uśmiechnął się. – Ale sie nie frasuj. Ón – wskazał niedbale za siebie, w stronę rozpłaszczonego na ziemi Pyska – bedzie mioł wiynkse.

Dziennikarz z jękiem podniósł się na łokciu. Oddychał płytko. Skulił się i objął ramionami wokół klatki piersiowej.

– A ty, coześ nigdy w kufe nie dostał? – Józek pomógł mu wstać.

Wtedy wyhamował przy nich radiowóz.

– Policja! – wrzasnął, wyskakując z auta, sierżant Maraszek. Wyszarpnął broń, chroniąc się za otwartymi drzwiami wozu.

– Maciek, spoko, już po akcji.

– A, to wy. – Murzasichlański dzielnicowy rozejrzał się po pobojowisku. Aż gwizdnął. – Jezusie, przecież to jest Pysku… Nie ruszaj się! – wrzasnął nagle, widząc jak jeden z bandziorów próbuje się podnosić. – Twarzą do ziemi! Leż! Ręce!

To był krzepiący duszę podatnika widok. Jeden młody policjant, dużo zdecydowania i pewności siebie, pałka w pogotowiu i po chwili sześciu łysych osiłków grzecznie leżało na chodniku z twarzami przytulonymi do kostki brukowej i dłońmi posłusznie skrzyżowanymi na plecach. Gdy nadjechała furgonetka prewencji, pozostało już tylko ich skuć i załadować.

Anka i Bastian patrzyli na to wszystko bez słowa. Dziennikarz próbował palić. Dłonie dygotały mu tak bardzo, że z trudem trafiał papierosem do ust, a gdy już trafiał, dym uciekał mu przez opuchnięte wargi.

– Nic ci nie jest? – zapytała, wiedząc, że to idiotyczne.

Powoli wyciągnęła dłoń w stronę jego dłoni, wplotła palce między jego palce i ścisnęła delikatnie.

A sierżant Maciek Maraszek przyglądał się w milczeniu Józkowi, jak podnosi z ziemi upuszczoną w bójce czapkę z daszkiem, otrzepuje ją i wciska sobie na głowę. Młody Kalenica podniósł na dzielnicowego wzrok. Patrzyli sobie przez chwilę w oczy. Wtedy policjant ruszył ku niemu. Coraz szybciej. Z dłonią sugestywnie zawieszoną nad kaburą.

– Józek, nie ruszaj się. Nogi szeroko, ręce na plecy! – wykrzyczał.

Musiał go natychmiast zgarnąć. Teraz, zaraz, tak jak młody Kalenica stoi.

W czapce z daszkiem z napisem „FBI” i bluzie z kapturem ozdobionej z przodu dużymi literami „USA”.

ROZDZIAŁ 13

Pójdziemy, pójdziemy
na pana jednego,
będziemy się dzielić
pieniązkami jego.

Świtało. Anka siedziała wciśnięta w kąt poczekalni szpitalnego oddziału ratunkowego w Zakopanem i opierała głowę o ścianę. Lód w woreczku, który dostała wraz z przykazaniem, że ma go trzymać przy twarzy, dawno się rozpuścił. Nasiąknięty zakrzepłą krwią wacik w nosie tylko przeszkadzał w oddychaniu.

Jędrek nie odbierał. Ani za pierwszym razem, ani za drugim, ani za żadnym następnym.

Zadzwoniła więc do dyżurnego komendy powiatowej, próbując bezskutecznie dowiedzieć się, dlaczego jej kuzyn został zatrzymany. Traciła już cierpliwość, gdy zobaczyła na końcu korytarza sierżanta Maraszka.

– Czy wyście wszyscy zwariowali?! – natarła na policjanta. – Gdyby nie on, to by nas pozabijali! A pan go za to aresztuje?! – krzyczała. Musiała wyglądać makabrycznie, z opuchniętą twarzą, zakrzepłą na wargach krwią i potarganymi rudymi lokami, bo Maraszek zrobił kilka kroków w tył z nietęgą miną.

– Proszę pani, proszę mnie posłuchać – mówił wyuczonym, spokojnym głosem. – Pani kuzyn nie został aresztowany, tylko doprowadzony na komendę celem przesłuchania w charakterze świadka…

– W kajdankach!? – wrzasnęła Anka.

– No dobrze, to nie wyszło najlepiej – westchnął Maraszek. – Ale miałem uzasadnione podejrzenia…

– Żądam, żeby mnie przesłuchano jako świadka, to wam powiem, kto mnie chciał zabić, a kto bronił – syknęła.

– Proszę pani – przerwał jej Maraszek. – Nie zabrałem Józka w związku z bójką. Zostanie przesłuchany jako świadek w sprawie Ślebodów.

Wyprostowała się zdezorientowana i mówiąc bardzo powoli, zażądała kontaktu z Jędrkiem Chowańcem. Sierżant popatrzył na nią dziwnie i odwracając wzrok, wymamrotał, że to teraz niemożliwe, że podkomisarz jest bardzo zajęty.

Zrezygnowana zgodziła się odpowiedzieć jeszcze na pytania w sprawie napaści. Mówiła jak we śnie, jakby wykrzywione twarze skinów, wijące się na ich bicepsach swastyki i skulonego na asfalcie Bastiana z zakrwawioną twarzą widziała w telewizji, w scenach z sensacyjnego filmu czy fabularyzowanego paradokumentu o ulicznej przemocy.

Maraszek wymamrotał pożegnanie i zniknął. Została sama na korytarzu SOR-u. Nie rozumiała już nic z tego, co się wokół niej dzieje. Józek świadkiem w sprawie morderstwa rodziny Ślebodów? Jak?

Z gabinetu wyszedł Bastian. Utykał. Twarz mu się świeciła od maści, rozcięcie na skroni skleili mu stripami. Jedno oko miał półprzymknięte od opuchlizny, wargi karykaturalnie nabrzmiałe. Gdy się do niej uśmiechnął, przypominał potwora ze starych filmów grozy.

– Jakimś cudem nie połamali mi żeber ani niczego innego – wystękał. – Podejrzenie wstrząsu mózgu, ale co tam, najwyżej będę rzygał. A ty jesteś cała?

Kiwnęła głową.

– Nie dam się stąd wypłoszyć, Anka. Ten napad jest najlepszym dowodem, że jesteśmy na dobrym tropie.

Wtedy opowiedziała mu o Józku. Próbował gwizdnąć z wrażenia, ale nie wyszło przez opuchnięte wargi.

– Czy twój kuzyn jest jakoś powiązany z Pysiorem? – zapytał.

– Nie wiem, czy powiązany – odparła z wahaniem. – Pysior na pewno dawał mu zarobić, zlecał jego firmie usługi góralskie…

– Kompleksowe – mruknął Bastian.

– Józek powiedział kiedyś o nim, że są ludzie, którym się nie odmawia – myślała głośno. – Zażartowałam, że to jego góralski ojciec chrzestny. Odparł, że coś w tym rodzaju.

Do poczekalni SOR-u wszedł basista z zespołu.

– Jak tam, będziecie żyć? – zagadał. – Jedziemy na komendę czekać, co dalej z Józkiem. Jak chcecie się zabrać z nami, to chodźcie.

Nie trzeba im było dwa razy powtarzać.

– Nie zdążyliśmy wam z tego wszystkiego podziękować – powiedziała Anka cicho już przed szpitalem. Młody góral się uśmiechnął.

– Nie ma sprawy – odparł. – Dzięki Bogu, że Józek miał nosa. Akurat żeśmy skończyli grać, nawet żeśmy flaszki nie zdążyli otworzyć, a tu ktoś mówi, że widział ekipę Pyska z Zakopca, jak łażą po wiosce. A Józka jakby coś tknęło. Chodźcie, chłopaki, mówi, nagle cały niespokojny, sprawdzimy, czy jakiegoś dymu nie będą robić. A w ogóle to wiecie, kto was napadł? – zapytał.

Sierżant Maraszek żałował, że nie mógł zobaczyć miny Chowańca, gdy mu powiedział przez telefon, kogo mu wiezie na komendę.

– Panie Jędrku, mam dla pana dwie przesyłki – powiedział. – Jedna to Pysku, ładnie zapakowany i przewiązany kokardką. A druga – nabrał powietrza – to facet w czapce „FBI”.

Chowaniec nie zapytał wtedy, za co zwinęli Pyska. Zrobił to dopiero na komendzie, gdy oni dwaj, Wiesiek Rysiek i tutejszy posterunkowy z prewencji przyglądali się skutemu naziolowi przez weneckie lustro. Reszta załogi Pyska czekała pod celą.

Melodyjka *Nokia Tune* przerwała ciszę. Chowaniec zerknął tylko na wyświetlacz swojego telefonu i odrzucił połączenie. Maraszek stał blisko. Zdążył zobaczyć na ekranie imię „Anka” i zdjęcie tej rudowłosej.

– Bardzo ją pobił? – zapytał ciężko Chowaniec.

– Nie tak bardzo, jak tego dziennikarza, ale oberwała porządnie – przyznał Maraszek.

– A Pyska kto tak urządził?

– Chyba nieznani sprawcy, panie Jędrku – sierżant uśmiechał się lekko, patrząc w szybę. Pozostali policjanci pokiwali głowami.

– A ponadto – dokończył po chwili Chowaniec – policja musiała użyć niezbędnych środków przymusu bezpośredniego, bo stawiał opór przy zatrzymaniu. Panowie, może pójdziecie na kawę?

– Panie Jędrku – zaczął Maraszek. – Ale to jest Pysku, pan wie, kto…

– Wiem – przerwał mu podkomisarz.

Policjanci znów pokiwali głowami. Chowaniec, cały czas patrząc przez szybę, wyciągnął rękę w stronę posterunkowego. Policjant bez słowa podał mu swoją pałkę typu tonfa i opuścił roletę na lustrze weneckim.

– Jedź, młody, zrobić rozpytanie – powiedział. – Nie było cię tu.

Maraszek odchrząknął. Ryś puścił do Chowańca oko.

Podkomisarz wszedł do pomieszczenia. Pysku uniósł głowę. Tułów pochylał nad stolikiem, ręce miał skute za oparciem krzesła. Twarz miał obitą tak, że trudno go było poznać. Oczy zamieniły się

mu w dwie wąskie szparki, na czole, całej łysinie i szczęce wykwitały sińce. Gdy otworzył usta, od razu dało się zauważyć, że jego tatuś będzie musiał wydać kilka tysięcy na protetyka.

– Potrzebuję lekarza! – wycharczał. – I chcę zadzwonić!

Chowaniec nie odpowiedział. Powoli obszedł jego krzesło, trzymając tonfę przy przedramieniu.

– Mówię do ciebie, psie! – krzyknął Pysku, oglądając się za nim niespokojnie.

Jędrek wyjął z kieszeni kluczyk od kajdanków. Otworzył je powoli. Upadły z brzękiem na ziemię. Pysku siedział przez chwilę zaskoczony. A potem wyprostował się, rozcierając nadgarstki.

– No, grzeczny piesek! – seplenił. – Nie nauczyłeś się poprzednim razem, że mnie się nie aresztuje? No to ci przypomnę…

Uniósł się z krzesła. Wtedy trzonek tonfy trafił go dokładnie w pokiereszowaną szczękę. Chrupnęło. Pysku zawył i chwycił się za twarz, kuląc się wpół.

Jędrek szybko zakręcił pałką. Krótkim łukiem wyrżnął Pyska w lędźwia. Poprawił chwyt, łapiąc za trzonek. Zamachnął się i uderzył w plecy. Osiłek z wyciem runął na stolik. Policjant wziął zamach od dołu, uderzając go tuż nad kolanem. Pysku klęknął. Jędrek odepchnął nogą stolik. Uderzył od przodu, pod żebra, szybko z jednej i drugiej strony.

A potem już nie patrzył, gdzie bije.

W pokoju przesłuchań po jednej stronie biurka siedziała aspirant Jadzia Kiciarz. Po drugiej stronie, ze wzrokiem wbitym w blat, siedział Józek Kalenica. Ręce opierał na kolanach. Podkomisarz Chowaniec stał z założonymi rękoma. Był rozczochrany, wyraźnie zmęczony, chodziła mu grdyka.

Policjantka podsunęła Józkowi wydruk stopklatki z kamery.

– Czy był pan wtedy w sklepie Rabies ze sprzętem AGD? – powtórzyła pytanie po raz trzeci. Za pierwszym i drugim razem Józek nie odpowiedział. – Panie Józefie, my musimy wyjaśnić tę okoliczność, a pan może nam pomóc. Nikt panu nie przedstawia zarzutów. Jest pan świadkiem.

– Nie pamiętam, może… – powiedział cicho.

– Kruca fuks, człowieku! – Jędrek grzmotnął obydwoma pięściami w stół. – Nie mamy już czasu na brandzlowanie się z twoimi zamglonymi wspomnieniami, jasne? Koledzy z Rabki już nam tu wiozą właściciela tego sklepu i idę o zakład, że gdy tylko cię zobaczy na okazaniu, powie: „Tak, to ten pan”. Więc może oszczędź nam i sobie czasu i po prostu gadaj! To ty, czy nie ty?! Kupowałeś tę mikrofalę, czy nie?

– Panie Józefie, musi nam pan pomóc – dodała łagodnie aspirantka.

Józek Kalenica zacisnął wargi. Diabeł uczepiony moich jaj właśnie ciągnie mnie w przepaść, pomyślał. Nie podnosząc wzroku pokręcił gwałtownie głową.

– Panie Józefie, niech się pan nie boi.

– A mnie kto pomoże? – wysyczał przez zęby.

– Jak nie zaczniesz gadać – Jędrek Chowaniec oparł się łokciami o stół i wychylił w stronę przesłuchiwanego – to ci nikt nie pomoże – cedził. – Dostaniesz zarzuty za pobicie Pyska, a sam dobrze wiesz, czyj to synuś, nie?

– Panie Józefie. – Tę samą oliwę, którą Jędrek dolewał do ognia, Jadzia Kiciarz wylewała na wzburzone fale. – Panie Józefie, jeśli pan złoży zeznania, nic panu nie będzie grozić.

Wtedy napięte od dawna nerwy Józka Kalenicy puściły, jak zużyte struny w skrzypcach. Podniósł na policjantów zmęczone oczy. Zakrył dłonią usta. A potem położył dłoń na wydruku stopklatki z kamery i pokiwał głową.

– Ale ja to tylko kupowałem, przysięgam – wyrzucił z siebie. – Tylko kupowałem.

– Józek – powiedział łagodnie podkomisarz Chowaniec. – Czy wiesz, skąd ta mikrofala się wzięła w szopie u starego Ślebody?

– Ja mu zawiozłem.

– Po co? – wtrąciła się Jadzia Kiciarz.

– Nie wiem! – Józek oparł się o stół i popatrzył jej prosto w oczy. – Kazał mi, płacił mi, to kupowałem ten cały szmelc, tak jak chciał, w różnych sklepach, i woziłem staremu na Kiecorę!

– Kto ci kazał? – Chowaniec zacisnął zęby.

Światło. Nad stolikiem altany w ogrodzie u Kaleniców w Murzasichlu pachniało kawą. Trawnik był mokry od rosy. Józek siedział sam po jednej stronie stołu. Po drugiej usiedli Anka i Bastian, zaplatając dłonie na rozgrzanych kubkach. Chłopaki z zespołu, którzy przed chwilą przywieźli ich tu wszystkich z Zakopanego, rozsiedli się na pieńkach wokół. Tylko Kaśka stała z daleka na schodach, zawinięta w kurtkę, spod której wystawała piżama, i paliła papierosa, mrużąc oczy.

– Ja tylko kupowałem i woziłem – opowiadał Józek. – Dostawałem gotówkę do ręki, miałem jechać do sklepu kawałek od Podhala kupić, co tam kazali, AGD, RTV, sprzęt ogrodniczy, czasem drogie flaszki, delikatesy i zawieźć staremu. Stary nawet nie patrzył, co dostawał, a to były drogie rzeczy! Nic nie mówił, ino kazywał to wnieść do szopy. Jak potem usłyszałem, co zrobili staremu Ślebodzie i jego rodzinie, to myślałem, że umrę ze strachu, że mnie będą podejrzewali, a ja przecież nic nie zrobiłem! Tylko kupowałem i woziłem, przysięgam. Mamo, ty mi wierzysz, co nie? – uniósł wzrok na ciotkę. Ta rozszlochała się znowu, stanęła nad nim i przytuliła jego głowę mocno do piersi.

– Józek – dziennikarz odchrząknął, gdy już młody góral wyswobodził się z matczynego uścisku. – Kto ci zlecał te zakupy? Od kogo dostawałeś pieniądze?

Bastian wiedział, jaka będzie odpowiedź. Zaraz kolejny kawałek układanki wskoczy na swoje miejsce. Bo to przecież już bardziej niż oczywiste, że odpowiedź Józka będzie brzmiała: „Wendelin Pysior”.

Ale kuzyn Anki odpowiedział tak, jak kilka godzin wcześniej Chowańcowi na komendzie.

– No Żur – wyrzucił z siebie. – Krzysztof Żur-Górzański.

Światło. Policjanci z grupy operacyjnej „Śleboda” siedzieli w pokoju Jędrka Chowańca i pili niedobrą kawę rozpuszczalną. Jędrek właśnie kończył mówić. Uzgodnili, że zaryzykują i rozpytają Żura o te fanty. Oczywiście bez sugerowania, że cokolwiek podejrzewają. Jadzia Kiciarz zapytała przytomnie, czy jeśli Żur jest winny, to po rozpytaniu nie ucieknie, na przykład do Kostaryki. Ale to był daleki strzał. Nie mieli motywu, tylko wątły trop ze sprzętem AGD.

Nagle trzasnęły drzwi i do pomieszczenia wpadł komendant.

– Wszyscy won za drzwi – warknął. – Chowaniec zostaje.

Pokój opustoszał. Podkomisarz wstał. Nagle uleciała z niego cała pewność siebie.

– Czyś ty, Jędrek, do reszty oszalał?! Co ja ci mówiłem ostatnio? Że cię już więcej nie będę wyciągał z gówna, tak? – darł się komendant. – Żeby mnie musieli budzić nad ranem, bo tobie się znowu we łbie popierdoliło?! Piłeś?!

– Nie, panie komendancie – powiedział cicho. – Czy mogę zapytać…

– Nie możesz, kurwa, zapytać! – każdą sylabę szef wyakcentował, waląc porwaną z biurka teczką z aktami w blat. – To ja się pytam, dlaczego siedzi u nas pod celą pan Bożydar Pysior?!

– Panie komendancie – Jędrek zacisnął powieki. Zrozumiał. – Pysku brał udział w pobiciu, były groźby karalne, są świadkowie, zatrzymany na gorąco – mówił szybko.

– A podstawa prawna do zatrzymania? – wąsy komendanta poruszały się jak szczękoczułki.

– Mówię przecież…

– Nie pouczaj mnie! – wrzeszczał szef. – Nie ma! Zwolnić i wzywać na ewentualne przesłuchania korespondencyjnie, a jak nie będzie zeznań, to umorzyć, jasne?! A teraz zwolnić!

– Panie komendancie, Pysku też dość ucierpiał w tej bójce – powiedział cicho Jędrek, patrząc w podłogę. – Dostał od nas pomoc ambulatoryjną, ale chyba nie jest w tej chwili za bardzo

mobilny…

Komendant umilkł z otwartymi ustami. W tej samej chwili znowu trzasnęły drzwi.

– Długo będę jeszcze czekał?! – rozległ się od wejścia mocny głos. – Nie zważając na żadne procedury dotyczące poruszania się cywili po obiekcie komendy powiatowej, w drzwiach stanął we własnej osobie Wendelin Pysior, ojciec Bożydara Pysiora znanego bardziej jako Pysku.

– Masz przejebane, Chowaniec – powiedział komendant półgłosem i wraz ze swoim gościem wyszedł.

Jędrek stał przez chwilę na środku pustego pokoju. Zacisnął pięści.

Wyszedł na korytarz, gdzie czekała grupa. Jadzia Kiciarz nie patrzyła mu w oczy. Wiesiek Rysiek pokiwał smutno głową.

– Jedziemy – powiedział tylko podkomisarz. – Szybko, zanim nas odsuną.

– Dlaczego nic nam o tym nie powiedziałeś? – zapytała Anka najdelikatniej jak umiała, podczas gdy Bastian wciąż jeszcze próbował się pogodzić z tym, że Józek wymienił inne nazwisko, niż się spodziewali.

– Nie mogłem, Anka! – Józek podniósł głos. – Żur powiedział, że to ma być tajemnica. A jakbym to powiedział tobie, to by się dowiedział twój koleżka – wskazał ruchem głowy na Bastiana – i wszystko by opisał. Byłoby od razu wiadomo, że wie to ode mnie. Kombinowałem, że Żur pewnie uprawia jakąś działalność, tą, charytatywną i nie stawiałem głupich pytań. Bo kiedy tacy faceci, jak Żur-Górzański, dają zarobić, to się im głupich pytań nie stawia, rozumiesz? Jak się chce dostawać zlecenia na samorządowe imprezy, to trzeba być wiarygodnym usługodawcą, proste?

Pokiwała głową. Obrzydliwie proste.

– A to syćko, co mom! Co umiym! Jak ja inaczej rodzinę utrzymam?! Tatuś mi na łożu śmierci pedzioł – nagle ściszył głos – że teraz jo tu jest chłop. Że za to syćko odpowiadam.

Przez dłuższą chwilę nikt nic nie mówił. Anka nie odważyła się podnieść oczu i sprawdzić, co się dzieje w spojrzeniach między Józkiem, Kaśką i ciotką. Wreszcie kuzyn głęboko westchnął i sam przerwał ciszę.

– Potem, jak wyszła ta sprawa z morderstwem, a pan Żur nic nie wyjaśniał, nic nie mówił o tym sprzęcie, to się zacząłem bać. Jezusicku, jak się bałem – podjął, na powrót spokojnym głosem. – A nie mogłem nic nikomu powiedzieć, bo nigdy bym już tutaj ani grosza nie zarobił. Wszystkie pozwolenia na działalność bym stracił, miałbym codziennie kontrol, jak nie sanepidu, to skarbówki, aż by mnie wyszczuli. Rozumiecie?

Rozumieli.

– A teraz wszystko i tak stracone. Przepadło – Józek pokręcił głową. – Na Podhalu jestem skończony. Zakapowałem glinom Żura, a Pysiorowi pobiłem syna.

Uniósł wzrok na Ankę.

– Jedź już stąd, kuzynka – powiedział cicho. – Jedź z Podhala, bo drugi raz możemy z chłopakami nie zdążyć.

– Już dawno miałaś stąd jechać – rzuciła sucho od schodów Kaśka. Wszystkie oczy skierowały się najpierw na nią, a potem na Ankę. – Gdyby nie ty, nie byłoby tej bójki i znowu nic by się nie stało.

Anka zerwała się gwałtownie zza stołu. Kubek z kawą potoczył się po blacie, zostawiając smolisty trop. Bastian wstał zaraz za nią.

– Dziękujemy za kawusię – uprzedził jej wybuch, kłaniając się z rewerencją. – I za uratowanie nam czterech liter, chłopaki. Już nigdy nie powiem złego słowa o góralskiej muzyce, serio. Ale już sobie idziemy, bo się zaraz zrobi nieprzyjemnie.

Puścił ją przodem. Odeszła, nie odwracając się ani razu.

Krzysztof Żur-Górzański wyszedł w wyciągniętym podkoszulku na werandę. Przy bramce stał podkomisarz Chowaniec z niską dziewczyną ubraną jak dziecko z ulicy. Polityk powoli zamknął za sobą drzwi i ruszył w dół podjazdu.

– Słucham – powiedział.

Ani myślał otwierać im bramki. Oparł się piegowatym, tłustym ramieniem o słupek ogrodzenia i czekał.

Jędrek przedstawił samorządowcowi Jadzię Kiciarz. Pozostali policjanci czekali w cywilnych samochodach zostawionych nieopodal. Podkomisarz najlżejszym tonem, na jaki było go stać, opowiedział o zabawnym zbiegu okoliczności. O tym, że na miejscu zbrodni znaleźli wartościowe przedmioty i w ich kontekście padło nazwisko Żura, dlatego teraz pozwalają go sobie niepokoić. Ha, ha.

Polityk patrzył przez dłuższą chwilę na przemian to w oczy Jędrka, to Jadźki.

– Tak, kazałem kupować te rzeczy – powiedział w końcu. – A co, nie wolno?

Policjanci wymienili spojrzenia.

– Kazałem, bo mi to dyktowało katolickie miłosierdzie – ciągnął polityk, dostrzegając ich zaskoczenie. – Bo to ubogi człowiek był i chciałem go wspomóc. Nic nie miał w tej swojej ubogiej chatce, to mu się kupiło to i owo.

– Dlaczego kazał pan kupować te rzeczy w sklepach daleko stąd? – próbował się przebić Jędrek.

– Żeby było dyskretnie! – warknął polityk. – Ewangelia mówi: „Niech nie wie lewica, co czyni prawica". Tak powinno być i w polityce, i w pomaganiu ludziom. Inaczej zaraz by się, panie, rozniosło po wsi, że się Żur z dobroczynnością obnosi jak jakiś faryzeusz. A mnie chodziło o chrześcijańskie miłosierdzie.

– Tylko że pan Śleboda jakoś z tej dobroczynności nie chciał korzystać – wtrąciła Jadźka Kiciarz.

– Tak? Nie miałem pojęcia – uśmiechnął się Żur.

– Drogie alkohole też pan mu kupował dobroczynnie? – przerwał mu Jędrek.

– A co, nie wolno? – powtórzył polityk. – Co, całe życie miał dziadek pijać mózgotrzepy? Dobra, chcecie coś więcej? – parsknął. – Jak nie, to jazda mi stąd, bo nie jadłem jeszcze śniadania. Wy zamiast robić dobre śledztwo, to tylko dziś porządnych ludzi nękacie!

Jednocześnie trzasnęli drzwiami auta.

Nic, kruca fuks, na niego nie mamy, myślał Chowaniec. Znowu nic nie mamy.

– Jadźka, zakładamy mu obserwację dwadzieścia cztery siedem – powiedział. – Filantrop się, kruca, znalazł.

– Raz Żur, raz Pysior – mruczał dziennikarz pod nosem, otwierając piwo. – Raz Pysior, raz Żur.

Wrócili do pensjonatu i zabarykadowali się na balkonie. Ostatni spacer okazał się zgubny, a pokazywać się na ulicy też nie powinni. Nie tylko dlatego, że twarze ich obojga, zwłaszcza Bastianowa, były miejscowym dobrze znane. Również dlatego, że przedstawiały dość opłakany widok.

– Z ksiąg wieczystych wyszedł nam Pysior. Pobił nas i próbował stąd wypłoszyć synuś Pysiora. Ale gdy już się wydaje, że mamy na widelcu Pysiora, jak królik z kapelusza wyskakuje Żur-Górzański. Znowu zmyła, maskarada i goła dupa.

Anka też próbowała ułożyć sobie wszystko w głowie, choć nie potrzebowała do tego paplania na głos. Myślała jednocześnie o tym, co zdarzyło się o świcie. Nie, nie miała już siły się wściekać, nie zamierzała się też obwiniać, miała dość. Było jej żal Józka, kuzyna o góralskim temperamencie i równie góralskim sercu, co miał ambicje być głową rodziny, jakkolwiek częściej wychodziło mu bycie – uśmiechnęła się do własnego skojarzenia – dupą. Biednego Józka, który przez ostatnie tygodnie trząsł się ze strachu, nie mając odwagi, żeby się wyrwać ze swoich uwikłań. Przypomniało

jej się, jak jeszcze niedawno czekał na nią pod chatą Baboński. Zmierzchało, on śmierdział wódką i zrobił jej krótki wykład zamiatania pod dywan, polewając wódę góralskim zwyczajem do jednego, wspólnego kieliszka.

Wstała gwałtownie.

Bastian umilkł, patrząc na nią z zaskoczeniem. A do niej już puszczała oko ze wspomnień Babońka, snująca swą przypowieść o Babońcynym tatusiu i etnologach, co się dali nabrać i jeszcze się cieszyli, zamiast patrzeć, co się wokół nich dzieje. Babońka się uśmiechała, nalewając sobie i Ance ajerkoniak do jednego, wspólnego kieliszka.

– Chowaniec nam opowiadał, że na miejscu zbrodni znaleźli flaszkę, kieliszek i dwie szklanki po kawie – zaczęła mówić bardzo powoli, jakby uważnie oglądała każde słowo. – Jeden kieliszek, dwie szklanki. Co to znaczy? Założyłam odruchowo, wszyscy tak założyliśmy, że przy stole tamtego dnia były dwie osoby. Zabójca i ofiara. Obaj pili kawę, a jeden z nich jeszcze wódkę. Czy stary Śleboda piłby kawę? I dlaczego tylko jeden z nich miałby pić wódkę? Wódki się nie pije bez towarzystwa.

– Może sprawca prowadził? – zasugerował dziennikarz i natychmiast się roześmiał. – Tak, że niby góral po wódce nigdy nie siądzie za kółkiem. Bez sensu. To dlaczego?

– Wódkę się tu pija inaczej, Bastian. To nie bankiet ani bar z szotami. Tutaj, na Podhalu, picie wódki pieczętuje porozumienie, integruje, definiuje braterskie więzi. Tu się wódkę pije wspólnotowo, Bastian. Z jednego kieliszka.

Dziennikarz też wstał.

– Mówisz, że…

– Trzeba o tym pomyśleć od nowa, nieszablonowo – mówiła coraz szybciej. – Lała się wódka, kieliszek krążył. Na stole były też dwie kawy. Taka na przykład Babońka nigdy kawy nie pijała. I trudno sobie wyobrazić starego Ślebodę, jak pije kawę, w dodatku, gdy na stole jest wódka. Ale Stary Śleboda ma w domu kawę. Dla kogo ją trzyma?

– Dla gości – wyszeptał Bastian.

– Dwie kawy. Dla dwóch gości – dokończyła Anka. – Ale Śleboda to odludek, więc jeśli ktoś do niego przychodzi, a on podaje kawę, to muszą to być wyjątkowi, znamienici goście.

– Pan Wendelin Pysior, lokalny biznesmen, który chce od niego kupić ziemię i zbudować na Kiecorze termy – mówił Bastian. – I pan Krzysztof Żur-Górzański, samorządowy politykier, który od dłuższego czasu obsypuje dziada podarkami, a ten bez odpakowywania wywala je do szopy. Po co Żur sponsoruje staremu Ślebodzie wszystkie te fanty? Dlaczego on ich nie przyjmuje?

– Próbują go przekupić, obłaskawić. Ale stary Śleboda ich podarki i namowy olewa, nie chce oddać ojcowizny. Bo ojcowizny się nie sprzedaje.

– Jeden moment – powiedział nagle Bastian.

W zawodzie dziennikarza śledczego najważniejszą sprawą jest mieć dobrych informatorów. Ale być może jeszcze ważniejsze jest mieć dobrych, wykształconych, poinformowanych albo pełniących właściwe stanowiska przyjaciół.

Strzygoń wybrał numer. Przełączył na głośnik.

– Cześć, Makary – wlał w swój głos podwójną porcję bezinteresownej sympatii. – Co tam słychać?

– Dobra, chłopie, jaką masz sprawę? – głos po drugiej stronie się zniecierpliwił. – Jeszcze nigdy nie zadzwoniłeś, żeby po prostu zapytać, co słychać.

Anka się uśmiechnęła.

– No, szczerze mówiąc, mam sprawę – bąknął zbity z pantałyku Bastian.

– To mów szybko, bo właśnie siedzę w Geyikbayiri, a konkretnie wiszę na linie. A tu jest drogi roaming. Mów, a potem gadaj wreszcie, kiedy idziemy na to obiecane rok temu piwo.

Makary był człowiekiem tysiąca talentów. Wspinał się, tańczył tango, jeździł wyczynowo

na rowerze, i – co stanowiło być może najbardziej ekstremalny z uprawianych przezeń sportów – był prawnikiem.

– Stary, co się dzieje z majątkiem do odziedziczenia, jeśli nie żyją żadne dzieci, wnuki, małżonkowie czy rodzice, po prostu żadni krewni zmarłego? – zapytał.

– Państwo dziedziczy – usłyszał natychmiast.

– To znaczy?

– A, to już zależy, czy ostatnie miejsce zamieszkania spadkodawcy znajdowało się na terenie najjaśniejszej Rzeczypospolitej i czy można je ustalić.

– Tak – odparł natychmiast dziennikarz.

– No to wtedy dziedziczy gmina ostatniego miejsca zamieszkania spadkodawcy. Sprawdź sobie w kodeksie cywilnym, to jest artykuł dziewięćset trzydzieści coś. Chyba pięć. Nara.

Nie musieli tego mówić głośno. Wiedzieli, komu wszyscy nisko się kłaniają w podhalańskich gminach, w powiecie, w urzędach i spółkach. Pan Krzysztof Żur-Górzański już pewnie wiedział, jak to zrobić, żeby odziedziczona przez gminę działka na Kiecorze raz dwa została sprzedana Wendelinowi Pysiorowi.

Bastianowi przychodził do głowy tylko jeden sposób, żeby to potwierdzić. Wrócił do swoich notatek, a potem znalazł w sieci adres zakopiańskiej kancelarii notarialnej Piotra Walczaka, gdzie sporządzono umowę sprzedaży gruntu z Kiecory.

Podkomisarz Chowaniec znowu patrzył na zdjęcie, na którym komendant w góralskim stroju klęczy przed Janem Pawłem II. Ale tym razem ten rzeczywisty komendant nie patrzył na niego. Nawet nie wstał zza biurka.

– Otóż uważam, że się całkowicie pogubiłeś – cedził szef. – Najpierw syn pana Pysiora, a teraz nagabywanie pana Krzysztofa? Co to ma być?

– Musiałem działać szybko – przełknął ślinę. – Nowe okoliczności… Przedstawię nowy plan czynności prokuratorowi i…

– Nic nie przedstawisz – uciął komendant. – Jak powiedziałem, w mojej ocenie nie dajesz sobie z tą sprawą rady. Więc cię od niej odsuwam.

Prawnik w okularach bez oprawek i stalowoszarym garniturze patrzył, ściągając brwi, na dwoje ludzi, którzy zastąpili mu drogę w przedsionku jego kancelarii. Miał się już zamiar zbierać, resztę roboty zostawić aplikantom i jak najszybciej zwinąć się do swojej willi na Spiszu, z daleka od zakopiańskiego Disneylandu. Tymczasem rudowłosa kobieta i chłopak z brzydko pokiereszowaną twarzą, wymachujący mu przed nosem legitymacją prasową, wyprowadzili go z równowagi już od progu.

Anka długo próbowała przekonać Bastiana, że to nie ma najmniejszego sensu. Że żaden szanujący się prawnik nie zdradzi im, ot tak, kto z panem Pysiorem podpisywał akt notarialny. Bastian się upierał, że takie dane muszą być jawne, że to jest państwo prawa, a on jest czwartą władzą. Odparła, że gdy ostatnio przedstawił się jako czwarta władza, skopano go do nieprzytomności.

– Panie mecenasie – skupił się, żeby jego słowa zabrzmiały wystarczająco prawniczo. – Nazywam się Strzygoń, jestem z „Flesza”. To jest doktor Anna Serafin. Proszę na potrzeby przygotowywanego przeze mnie materiału prasowego udostępnić mi akt notarialny nabycia nieruchomości na Kiecorze w Murzasichlu przez pana Wendelina Pysiora – zaszarżował – od pana Krzysztofa Żura-Górzańskiego występującego w imieniu lokalnego samorządu.

Zamilkł, starając się nie przeoczyć najmniejszego poruszenia któregokolwiek z muskułów na twarzy prawnika.

Notariusz ani nie pobladł, ani nie zapytał, jąkając się, „skąd pan o tym wie”, ani nie zakrzyknął „to

niemożliwe”. Po prostu, najzwyczajniej w świecie nie zaprzeczył.

– Miły panie – odparł. – Żeby obejrzeć ten akt notarialny, musi pan złożyć do przewodniczącego sądu ksiąg wieczystych stosowny wniosek z uzasadnieniem. Ja nie mogę udostępnić panu tego aktu.

Gdy szła przez Krupówki obok skupionego i wyjątkowo poważnego Bastiana, czuła, jakby się poruszali w tunelu. A co jest na drugim jego końcu, widzieli oboje, jasno i klarownie.

– Bastian, już raz to przerabialiśmy – powiedziała cicho. – Musimy z tym iść na policję. Do Jędrka. Teraz, zaraz.

Tym razem dziennikarz się nie wykłócał, nie próbował sobie zapewnić wyłączności, nie dyskutował. Skinął tylko głową. Bo cały czas myślał o tym, co stało się ostatnio, gdy w tutejszym urzędzie wymachiwał legitymacją prasową. O glanach, pięściach i groźbach. Zastanawiał się, czy właśnie nie popełnił po raz drugi tego samego błędu.

Mecenas Piotr Walczak sięgnął po telefon. Wybrał numer swojego najważniejszego klienta.

– Chyba jest problem – zaczął.

Podkomisarz Jędrek Chowaniec siedział wyprostowany na swojej sofie i od pół godziny patrzył na wyłączony telewizor. Ze wszystkich sił starał się nie pójść do kuchni i nie otworzyć lodówki. Nie wiedział, gdzie jest Ewa, ale w gruncie rzeczy go to nie obchodziło.

Co kilka minut jego telefon roztańczał się na stoliku w rytm melodii *Nokia Tune*. Na wyświetlaczu pojawiało się zdjęcie Anki. Nie odbierał. To też go nie obchodziło.

*

– Nie odbiera. – Zrezygnowana Anka wsunęła telefon do kieszeni.

– A ten tutejszy dzielnicowy? Albo po prostu 112? – próbował jeszcze Bastian.

– I co im powiemy? „Dzień dobry, jesteśmy kolegami pana Chowańca, tak nam się skojarzyły różne fakty i podejrzewamy dwóch lokalnych kacyków o morderstwo”?

Anka szybko wystukała esemesa. „Mogło być ich dwóch. Zadzwoń”. Wysłała.

Późnym popołudniem wrócili do swojej pensjonatowej twierdzy. Nie wiedzieli, co dalej, i choć Bastian nie chciał się do tego głośno przyznać, coraz bardziej się bali.

Melodyjką z *Domowego przedszkola* rozdzwonił się jego telefon. Numer zastrzeżony. Dziennikarz popatrzył na Ankę i odebrał.

– Panie Sebastianie – zabrzmiał niski głos – dzwonię od pana Chowańca, kazał mi państwa przywieźć na komendę. Sam jest teraz bardzo zajęty, ale mówił, że to pilne. Nie ma chwili do stracenia.

– Okej… – powiedział powoli dziennikarz. Przez głowę przebiegło mu tysiąc myśli. Żadna się nie zatrzymała.

– To gdzie po państwa przyjechać?

Przyszedł jeszcze esemes. Chwilę później drugi. A potem telefon przestał przeszkadzać. Cisza była jeszcze gorsza.

Podkomisarz Chowaniec wstał, ciężkim krokiem poszedł do kuchni. Otworzył zamrażarkę, gdzie po powrocie do domu umieścił kupione po drodze 0,7 Bolsa.

Postawił teraz oszronioną flaszkę na stoliku i usiadł z powrotem. Nie patrzył już na telewizor. Nie spuszczał oka z butelki.

ROZDZIAŁ 14

Byli to to chłopcy,
co to winko pili,
byli jeszcze lepsi,
co je zapłacili.

Słońce kładło się już nisko nad lasem i cienie wierzchołków drzew rysowały na asfalcie zębiasty wzór. W dolnej części wsi było o tej porze pusto. Grupy kolonijne wychodziły na poobiednie spacery wyżej, tam gdzie skupiły się sklepy i stoiska z pamiątkami.

Wyszli przed pensjonat. Kilkadziesiąt metrów od budynku grafitowy volkswagen Touareg o przyciemnianych szybach na ich widok zamrugał światłami. Szybkim krokiem ruszyli w jego stronę.

Za kierownicą siedział barczysty mężczyzna w okularach słonecznych, jakie na filmach noszą piloci myśliwców. Czarne włosy miał wysoko podgolone, na twarzy trzydniowy zarost.

– Nowak jestem – powiedział dźwięcznym basem. – Wsiadajcie do tyłu.

Uruchomił silnik. Bastian przeszedł na drugą stronę auta. Otworzyli drzwi. Anka popatrzyła nierozumiejąco na kierowcę.

– Dlaczego tylne fotele są złożone?

Ci dwaj wyskoczyli zza samochodu. Jeden złapał Ankę wpół i zasłonił jej usta, wpychając ją do środka. Drugi uderzył Bastiana między łopatki, chwycił za głowę i wcisnął go do auta. Jeszcze nie zdążyły trzasnąć drzwi, gdy wóz ruszył pełnym gazem.

Bastian wił się i wyrywał. Anka zdołała wrzasnąć, żylasta dłoń znów zatkała jej usta. Zagryzła zęby na twardej skórze. Rozległ się ryk.

Dostała pięścią w głowę. Poczuła, jak w skroń ktoś wciska jej zimny metal.

– Leżeć!

Trzymani pod bronią, znieruchomieli oboje, skuleni, z twarzami wtłoczonymi w podłogę bagażnika. Nie opierali się, gdy krępowano im ręce taśmą. Jeden z porywaczy zarzucił na nich śmierdzący olejem silnikowym koc.

Potem słyszeli tylko własne krótkie, rwane oddechy i ryk silnika.

Komórka rozdzwoniła się znowu. Chowaniec zagryzł wargi. Butelka stała cały czas na stoliku. Szron odparowywał. Wokół nie było już prawie ani pokoju z wyłączonym telewizorem, ani pustki po Ewie i Piotrusiu. Było 0,7 Bolsa, które wydawało się stać coraz bliżej.

Przeszkadzał tylko telefon. Znów się rozdzwonił.

Volkswagen Touareg zwolnił i skręcił łagodnie z szosy w wąską drogę. Nieniepokojony ruszył dalej, pod prąd rzadkich grupek ostatnich turystów chcących przed zmrokiem zdążyć na busa. Przestronny wylot doliny wydawał się oazą spokoju. Wśród starych bacówek stały gdzieniegdzie lśniące lakierem neogóralskie wille.

Na skraju polany auto zjechało z drogi aż pod potok i zatrzymało się.

Anka nabrała głęboko powietrza, gdy zerwali im z głów koc.

– Teraz sobie grzecznie wysiądziemy i pójdziemy na spacer. Jeśli krzykniesz albo chociaż piśniesz

– zwrócił się porywacz do Anki – zastrzelę jego. Jeśli ty krzykniesz – warknął do Bastiana – zastrzelę ją. Zrozumiano?

Żadne z nich nie mogło się zdobyć nawet na drobny ruch. Wtedy napastnik chwycił ją za włosy, uniósł jej głowę i przyłożył pistolet do policzka.

– Zrozumiano? Kiwnij głową.

Z szeroko otwartymi oczami skinęła.

Ci dwaj, którzy trzymali ich z tyłu, teraz rozcięli taśmę krępującą im ręce, by nie budzić podejrzeń, gdyby ktoś ich zobaczył, i wypchnęli z auta. Z miejsca pociągnęli ich w boczną ścieżkę, która odbijała stąd od pustoszejącej drogi. Ten trzeci, który prowadził, natychmiast odjechał.

Śpieszyli się, żeby jak najszybciej odejść od drogi. Zmusili ich do przejścia przez potok, na szczęście płytki. Gdy muskularny mężczyzna prowadził Ankę za ramię, z daleka mogło to wyglądać nawet, jakby doświadczony partner pomagał dziewczynie przejść po śliskich kamieniach.

Nie wyglądali ani trochę jak Pysku i jego banda. Żadnych obcisłych koszulek podkreślających napakowane sterydami mięśnie, żadnych łysych pał i tatuaży. Ten, który ciągnął za ramię Ankę, miał po wojskowemu obcięte blond włosy i wiele mówiącą bliznę na skroni. Nosił czarne bojówki i luźny czarny polar. Drugi ubrany był jak na polowanie, w spodnie, kurtkę i czapkę z daszkiem moro. Zbudowani byli nie jak kulturyści, raczej jak komandosi. To nie byli skini.

To byli zawodowcy.

Anka zamknęła na moment oczy. Wzięła szybki oddech. Musiała, po prostu musiała się skoncentrować.

Potknęła się. Porywacz szarpnął mocniej. Zatoczyła się i upadła w krzaki, wyrywając mu się na moment. Mężczyzna zaklął, skoczył za nią. Złapał ją za bluzę i postawił na nogi, przyciągając do siebie. Była bliska płaczu, patrzyła na niego przerażona.

Ale zdążyła wyrzucić w krzaki swoją komórkę.

Melodia *Nokia Tune* nie dawała spokoju. Wziął głęboki oddech. Złapał telefon w garść, jakby chciał go zmiażdżyć. Spojrzał na wyświetlacz. To nie Anka, ale zastrzeżony numer.

Odetchnął jeszcze raz.

– Chowaniec, słucham.

– Człowieku, i czego nie odbierasz od razu? Tu Makowski, delegatura CBŚ w Nowym Targu – zabrzmiał zadziwiająco spokojny głos. – Wyszły nam nazwiska na drutach. Jest na nie zlecenie. W systemie stoi, że może chodzić o twojego świadka. Kto to jest Anna Serafin?

Gdy wyszli na polanę, w pierwszym odruchu chciała krzyknąć z radości.

Łagodny garb pożółkłych od letniego słońca traw rozciągał się u stóp zalesionego wzniesienia i opadał na północ. Na polanie zobaczyli kilka, rozrzuconych w sporej odległości od siebie, szałasów. I to na ich widok tak się najpierw ucieszyła. Ale szałasy były puste. Wprowadzili ich do wnętrza jednego z nich, pachącego drewnem, sianem i owcą.

– Telefony – zakomenderował ten, który prowadził Ankę.

Bastian powoli wyjął iPhone'a z kieszeni. Mężczyzna wyrwał mu go, rzucił na ziemię i rozdeptał twardą podeszwą trapera. Spojrzał na Ankę.

– Ja nie mam – powiedziała cicho.

Złapał ją za podbródek. Zacisnęła powieki.

– Nie mam! – krzyknęła.

Nie odezwał się, tylko dokładnie ją przeszukał. Chłodno i metodycznie, każdy skrawek jej ciała traktując równie beznamiętnie. Bastian zacisnął mocno wargi, błagając w duchu wszystkie góralskie świątki, żeby nie przeszukali i jego.

Skuleni w kącie szałasu słuchali, jak ich porywacze naradzają się cicho.

– Poczekajmy do zmroku – mówił ten w moro.

– Nie – uciął ten z blizną. – Powiedzieli wyraźnie: najszybciej jak się da.

– To tylko godzina więcej, może dwie.

– Łaziłeś tam kiedyś po zmroku? – warknął ten z blizną, spoglądając z ukosa na Ankę i Bastiana. – Nie? To nie pierdol. Koniec. Idziemy.

– Zapłacą wam za nas – powiedział głośno Bastian, podnosząc głowę. – Dostaniecie okup. Moja redakcja da wam każdą kasę za taką historię. Przysięgam.

Ten z blizną złapał go za włosy i się roześmiał.

– Już nam za was płacą – powiedział mu prosto w twarz. – Ruszamy. Jazda!

Chowaniec cisnął gaz opla do dechy. Jedną ręką trzymał kierownicę, wymijając grupki odskakujących turystów. Drugą ściskał telefon.

Nowotarskie CBŚ od trzech dni prowadziło podsłuch telefonu lidera jednej z młodych grup przestępczych na Podhalu, o pseudonimie „Niedobry". Jego grupa działała od niedawna, ale szybko wypracowali sobie pod Tatrami pozycję wśród tutejszej przestępczości zorganizowanej. Biuro prowadziło sprawę egzekucji przedsiębiorcy z Podkarpacia i trop doprowadził ich pod Giewont. Dopiero co założyli Niedobremu podsłuch, a tu dzisiaj ktoś do gangstera dzwoni i składa zlecenie.

Zlecenie na Strzygonia i na Ankę. Z systemu wyszło, że niejaka Anna Serafin składała niedawno zeznania w sprawie o zabójstwo prowadzonej przez podkomisarza Andrzeja Chowańca z Zakopanego. Numer, z którego dzwoniono ze zleceniem, był nieznany, pewnie prepaid, ale CBŚ próbowało namierzyć miejsce, skąd dzwoniono.

„Ten ktoś polecił ich sprzątnąć natychmiast – przekazał Jędrkowi oficer CBŚ. – I żeby wyglądało na nieszczęśliwy wypadek".

Telefon Anki nie odpowiadał. Zobaczył esemesa. „Mogło być ich dwóch. Zadzwoń". Zaklął bezsilnie. To dlatego wcześniej do niego wydzwaniała, gdy on medytował nad butelką.

Wtedy zobaczył jeszcze jednego esemesa. Ten numer Jędrek znał bardzo dobrze, chociaż nie zapisał go w telefonie. To z niego kontaktował się z nim Kluczyk.

„Kierowniku zadzwoń" – napisał jego informator.

Ale zamiast do Kluczyka, zadzwonił do Kaleniców. Odebrała Kaśka.

– Chowaniec. Wiesz, gdzie jest Anka? – próbował mówić spokojnie.

– Nie – usłyszał. – Od rana jej nie widziałam. A co?

Rozłączył się. Zadzwonił na komendę.

– Prawdopodobnie mamy porwanie – rzucił. Przez chwilę słuchał znudzonej odpowiedzi. – Od sprawy Ślebody mnie, kruca fuks, odsunął! Ale dalej tu pracuję, jasne? – warknął.

Ostatnią rzeczą, której mógł się teraz spodziewać, było, że pozwolą mu się zająć akcją poszukiwawaczą. Zadzwonił więc do Wieśka Ryśka i do Jadźki Kiciarz. Im nie trzeba było dwa razy powtarzać, co tu jest grane. Anka i Bastian to świadkowie w sprawie o morderstwo. Właśnie ich uprowadzono, wcześniej ich zastraszano i pobito. Sprawcą pobicia był syn Pysiora, dobrego znajomego Żura-Górzańskiego, na którego wskazał Józek. A tymczasem Anka napisała: „Mogło być ich dwóch". Czyli na coś wpadli. I ktoś się zorientował.

– Ty się nie bój, Jędrek – powiedziała Jadźka Kiciarz. – Stary cię zdjął z tej sprawy, ale ja nie zdjęłam obserwacji Żurowi. Nie damy się. Kruca fuks.

Uśmiechnął się. Z piskiem opon skręcił na Zakopane. Zadzwonił telefon.

– Jędrek, czy coś się stało Ance? – usłyszał głos Kaśki Kalenicy. – Brzmiałeś, jakby…

– Nie dzwoń teraz, muszę mieć wolną linię – odparł i się rozłączył. Wybrał numer technika Wojtka.

– Możesz coś dla mnie dyskretnie zrobić? – powiedział. – Przekop się jeszcze raz przez akta Ślebodów i sprawdź, czy cokolwiek wskazuje na to, że sprawców mogło być dwóch, dobra? Idź z tym potem do Jadźki, ona to teraz ogarnia. I za żadne skarby nie mówcie szefowi.

Potem próbował już tylko dzwonić do Anki.

Modlił się, żeby odebrała. Modlił się, bezgłośnie poruszając ustami. Nie, żeby był szczególnie religijny. Był religijny, jak wszyscy. Chodził do kościoła i nie jadł mięsa w piątki. Pamiętał, co powtarzała mu matka, katechetka i ksiądz u spowiedzi. Że Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy. Że za dobre uczynki wynagradza, a za złe karze. To na Podhalu nie ulegało wątpliwości, odrębną kwestią pozostawała tylko definicja złego uczynku. Ten, który z Anką mieli na sumieniu, bez wątpienia podpadał pod boski paragraf.

Kazali im iść przodem. Poprowadzili przez las, pod górę. Powtórzyli: on spróbuje ucieczki – zastrzelą ją. Ona spróbuje – zastrzelą jego.

Było tu niewiarygodnie wręcz pięknie. Znajdowali się poza szlakami, nie kręcił się tu absolutnie nikt. Wieczorne ptaki kwiliły kojąco. Drzewa przesiewały ostatnie promienie słońca. Nietknięta darń chrzęściła pod stopami. Byłoby tu niewiarygodnie wręcz pięknie, gdyby nie to, co właśnie zaczynało do Anki i Bastiana docierać.

– Gdzie idziemy? – wychrypiał dziennikarz. Posłusznie wspinał się stromym podejściem przez las, ale z dużo większym niż Anka trudem. Czuł każde żebro i każdy mięsień, niedawno potraktowane skinowskimi glanami.

Zamiast odpowiedzi dostał mocny cios w plecy. Zatoczył się. Upadł na kolana. Zacisnął zęby. Anka podała mu dłoń. Pomogła wstać.

Wydało jej się wtedy, że z oddali słyszy pomruk.

Jędrek zahamował pod komendą powiatową. Po raz niewiadomo już który wybrał numer Anki. Słuchał długich, obojętnych sygnałów.

I wtedy ktoś odebrał.

– Halo? – Osłupiały policjant usłyszał młody męski głos. W pierwszym odruchu chciał krzyknąć: „Stać, policja!” albo coś równie niedorzecznego.

– To telefon mojej przyjaciółki – powiedział ostrożnie, zaciskając dłoń na drzwiach samochodu. – Kim pan jest?

– Jestem leśniczym – głos powiedział przepraszająco. – Idę i nagle słyszę, że wydzwania telefon w krzakach.

– Gdzie pan jest?

– W Chochołowskiej.

– Gdzie dokładnie? – spytał Jędrek z zamkniętymi oczami.

– Tu, zaraz na początku, jak się idzie na Molkówkę. Telefon leżał koło ścieżki, po drugiej stronie potoku.

Podkomisarz Chowaniec zrozumiał, że nie zdążą. Wydzwaniał już od kilkunastu minut, a telefon mógł tam leżeć dużo dłużej. To znaczyło, że Ankę mogli zabrać już daleko stamtąd. Potrwa, zanim policja tam dotrze. Przeczesywanie parku zajmie cały dzień albo dwa. Bo na noc i tak przerwą akcję.

Zmierzchało.

Nie zdążą.

Wskoczył do opla i ruszył z wyciem silnika. Pognał przed siebie ulicą Jagiellońską, przechodzącą dalej w Chramcówki.

W stronę szpitala.

*

Poczuła na twarzy mocniejszy powiew. Zdziwiła się, że tak szybko dotarli na kraniec lasu. Zobaczyła w prześwicie między drzewami słabe światło zmierzchu i niebo z wierzchołkami gór. Zrozumiała.

– Przed nami jest przepaść – powiedziała szeptem. – Chcą, żeby to wyglądało na wypadek. Dwoje głupich turystów, co zeszli ze szlaku i zastała ich noc. Łazili po ciemku i spadli.

Znowu jakby pomruk. Trochę głośniejszy.

Jadźka Kiciarz wbijała palec w mapę rozłożoną na stole. Drugą ręką trzymała komórkę.

– Od Chochołowskiej w prawo przez strumień idzie droga na polanę Molkówka – mówiła. – Stamtąd na północ aż po Witów ciągną się polany, na zachód jest już Słowacja, a na południe masz grzbiet Siwiańskich Turni. Znasz to miejsce? Tam nie ma szlaku. Od strony doliny sto metrów skalnej ściany, ale od grzbietu jest tam banalne podejście. Gdzie ty jesteś, Jędrek?

Chowaniec już jej nie słyszał.

– Ale po zmroku musimy się wycofać! – krzyknął jeszcze do niego ratownik TOPR. Zagłuszał go ryk silników, a w powietrzu zamłóciły łopaty biało-czerwonego „Sokoła”.

Tłumaczenie, o co chodzi, zajęło Jędrkowi raptem kilka sekund. Chłopaków nie trzeba było namawiać.

Słynny TOPR-owski śmigłowiec uniósł się, z początku ociężale, znad heliportu przy zakopiańskim szpitalu. Pochylił obły dziób lekko do przodu i wyrwał prosto ku ostatnim promieniom znikającego za górami słońca.

Bastian wyprostował się gwałtownie. Odwrócił się na pięcie.

– Ni chuja nie pójdę! – wykrzyczał. – Pierdolę!

Ten z blizną wyciągnął przed siebie pistolet.

– No, zastrzel mnie, ćwoku! – krzyczał Strzygoń. – Zastrzel mnie, bo sam nie pójdę!

Porywacz podszedł i wyrżnął go kolbą w szczękę. Bastian runął na ścieżkę z głuchym jękiem. Krew popłynęła mu z rozbitej na nowo wargi. A mężczyzna z blizną złapał Ankę ramieniem za szyję. Próbowała się wyrwać. Przycisnął chropowaty policzek do jej skroni. Już otwierał usta, żeby wycedzić groźbę.

Bastian uniósł się na łokciach. Ten w moro w niego wymierzył.

Wtedy obaj porywacze odwrócili się równocześnie. Bo nagle rozległ się pomruk, coraz silniejszy. W kilka sekund zmienił się w donośny warkot, wśród którego z leśnej przesieki nieco poniżej nich wypadł na ścieżkę quad. Zahamował gwałtownie naprzeciw nich. Obaj bandyci znieruchomieli, zaskoczeni. Chłopak w czerwonej kurtce patrzył zdumiony, zza szyby kolorowego kasku, na dwóch osiłków z bronią mierzących do leżącego na ziemi mężczyzny i szarpiącej się, rudej kobiety. A potem się zerwał, przekręcił do oporu manetkę gazu, naparł na kierownicę, wziął ostry zwrot i ruszył do ucieczki w dół ścieżki, ile fabryka dała.

Bandyta w moro wycelował za nim i pociągnął za spust. Chybił.

– Goń go! – wrzasnął ten z blizną, szarpiąc się z Anką. – Nie może uciec!!!

Zbir w moro popędził w ślad za quadem. W biegu znów wycelował i strzelił. Znów chybił. Quad zachwiał się niebezpiecznie, próbując zygzakować na wąskiej górskiej drodze. I przyspieszył. Bandyta zorientował się, że intruz zaraz mu umknie – choć nie mógł tu jechać zbyt szybko, pieszo marne z nim były szanse. Klął. Wybrali Chochołowską, bo to niby park, ale własność prywatna, więc panuje pełna wolnoamerykanka i straż parkowa się tu nie kręci. Nie przewidzieli, że z tego samego

powodu tutejsze ścieżki poza szlakami chętnie wybierają gówniarze urządzający sobie nielegalne rajdy na quadach. Jeśli pozwoli mu uciec, ten powiadomi gliny i cała akcja spalona. Zacisnął zęby i przyspieszył, bo quad znikał mu właśnie za zakrętem.

Porywacz z blizną odepchnął wyrywającą się mu Ankę, przewracając ją na ziemię. Wymierzył w nią z pistoletu, ale przez chwilę jeszcze patrzył niespokojnie w dół ścieżki, gdzie cichł warkot quada.

Odwrócił się. I zobaczył wyprostowanego Bastiana z gazem pieprzowym w wyciągniętej ręce. Chmura gryzącego gazu trysnęła mu prosto w oczy. Wrzasnął. Bastian z całej siły uderzył w jego dłoń trzymającą pistolet. Huknął strzał, z pnia pobliskiej sosny sypnęły się drzazgi. Broń upadła na ziemię, a dziennikarz w panice kopnął ją, byle dalej, jakby bronił się przed skorpionem, cały czas do oporu wciskając spray.

Anka złapała go za ramię i pociągnęła z całej siły.

– Biegnij!!!

Bandyta w moro wypadł za zakręt, zobaczył quada przed sobą na prostym, idącym ostro w dół odcinku ścieżki. Zatrzymał się. Wycelował. Strzelił trzy razy. Chłopak wygiął się w tył, puszczając kierownicę, quadem zakołysało, podskoczył mocno na kamieniu i runął między drzewa.

Zbir krzyknął triumfalnie i ruszył się upewnić, czy quadowiec nie żyje. Wtedy z góry usłyszał gardłowy krzyk i wystrzał. Zawahał się. Po czym zawrócił i popędził w górę.

– Biegnij!!!

Bastian zerwał się i popędził za Anką. Ile sił biegli w jedynym możliwym kierunku.

Pod górę. Ku mroczniejącej w zmierzchu przepaści.

„Sokół” huczał nad Doliną Chochołowską. Zataczali drugie koło. Nad Koryciskami, polaną Huciska, z powrotem ku Molkówce. Pod nimi, znad lasu, wystawały skaliste iglice. Białe ściany przewieszone nad szczytami drzew, wyglądające jak groty prehistorycznych oszczepów. Siwiańskie Turnie.

Ścigali się z nieubłaganą ciemnością. Chowaniec odrzucił bezużyteczną w mroku lornetkę. Wytężał wzrok przez otwarte drzwi burtowe śmigłowca. Z każdą sekundą tracił nadzieję.

Pilot dał sygnał, że trzeba zawracać. Nad górami zapadła noc.

– Anka! W las! W las! – krzyczał za nią. Nie słuchała. Pięła się na białą grań, wyrzynającą się z lasu niczym upiorne kły. Zrównał się z nią i krzyknął, stając jak wryty. Smagnął go chłód. Za wczepionym w skałę świerkiem ziała przepaść. Po prawej stronie bielała w mroku druga z iglic, niewzruszona jak rzeźba, samotna na tle granatowiejącego nieba. Wtedy Bastian usłyszał łopot. Pojął, dlaczego Anka nie skręciła w las. Nisko nad doliną sunął śmigłowiec. Dwa reflektory lizały przestrzeń. Zaczęli krzyczeć i machać. Wrzeszczeli ile sił w płucach. Całkowicie beznadziejnie. Śmigłowiec powoli, ale konsekwentnie ich mijał.

Technik Wojtek rzucił akta na biurko Jadźki. Zaskoczona aspirantka uniosła na niego wzrok. Żując gumę, wytłumaczył, co zlecił mu Chowaniec. A żuciu zdawał się poświęcać tyle samo emocji, co wyjaśnieniom.

– Jędrek pytał, czy zabójców mogło być więcej. W przypadku starego Ślebody trudno powiedzieć – powiedział Wojtek, otwierając teczkę. – Ale posiedziałem trochę czasu nad protokołami z sekcji Mieczysława z rodzinką. Coś przeoczyliśmy. Zobacz.

Jadźka Kiciarz pochyliła się nad formularzem.

– Rozstaw poparzeń od elektrod paralizatora na skórze ofiar – mruknął technik. – U ojca i córki pięćdziesiąt dwa milimetry. U matki czterdzieści osiem.

Podsunął jej fotografie torsu Mieczysława Ślebody, ramienia jego żony i brzucha córki Andżeli. W miejscach, gdzie widniały ślady po paralizatorze.

A ściślej – po paralizatorach.

Pomyślała, że zwariował ze strachu.

Dziennikarz nagle przestał machać i zaczął z siebie zdzierać wiatrówkę. Jakby to była najważniejsza czynność w życiu.

Uporał się z kurtką i sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej zapalniczkę. Skrzesał, nie chciała zapłonąć na wietrze. Otulił ją czule dłonią i skrzesał jeszcze raz. Zatańczył nikły płomień. Bastian, parząc sobie palce, zbliżył go do podszewki.

Anka przez łzy patrzyła, jak kurtka zajmuje się ogniem. Pomarańczowy płomień rozświetlił na chwilę zmrok wokół nich. Zagrał na ich twarzach. Zabłysnął w oczach.

A Bastian znowu zaczął wrzeszczeć i co sił machać do śmigłowca płonącą kurtką.

Za nimi zabrzmiał krzyk. Anka się odwróciła. Zbir z blizną miał poczerwieniałą twarz, nabiegłe krwią oczy, łzawił. Lewą ręką tarł oczodół. Prawą mierzył do nich z pistoletu.

Huragan. Łomot. Huk.

Zza krawędzi przepaści wynurzył się śmigłowiec. Rozbłysnęło halogenowe światło. Maszyna wzniosła się znad czeluści i zawisła nad ich głowami. Bandyta osłonił dłonią obolałe oczy przed oślepiającym błyskiem reflektora. Zawahał się i na chwilę przestał mierzyć w Ankę i Bastiana. Na grań wypadł z lasu drugi porywacz. Wycelował w maszynę.

W jej otwartych drzwiach burtowych, w białym świetle, stał podkomisarz Chowaniec. Był szybszy. Wymierzył raz po razie, bez wahania.

Łopot śmigieł zagłuszył dwa wystrzały.

Aspirant Jadźka Kiciarz i podkomisarz Wiesław Ryś siedzieli naprzeciw siebie nad nie wiedzieć już którymi kubkami kawy.

– Boję się, Wiesiu – powiedziała z rozbrajającą szczerością. – Widzisz przecież, co tu się dzieje.

– Masz taką podstawę prawną, że ja pierdzielę – odparł półgłosem pulchny dochodzeniowiec z komendy wojewódzkiej. – Zakładajcie obserwację, staremu na razie nie mów nic. Potem obronisz to bez problemu.

Przed chwilą dostali informację z CBŚ. Chłopcy z Biura ustalili, skąd dzwoniono ze zleceniem na Ankę Serafin i Sebastiana Strzygonia. Telefon komórkowy logował się do stacji bazowej, która znajdowała się kilkadziesiąt metrów od przypominającej połączenie szlacheckiego dworku z chińską pagodą willi Wendelina Pysiora. Serdecznego przyjaciela Krzysztofa Żura-Górzańskiego, na którego karku właśnie siedzieli po zeznaniach Józka Kalenicy. A poza tym dobrego znajomego komendanta.

– Obronię, czy nie, ale pracy będę potem szukać w Zamościu albo Lęborku – powiedziała smutno. – A ja, Wiesiu, jestem stąd.

Wstał.

– Ale ja nie jestem.

*

Nie wiedziała, co się z nią dzieje, gdy silne ręce wciągnęły ją przez drzwi burtowe śmigłowca. Ratownik opuścił się drugi raz, po Bastiana, a ona leżała plackiem na podłodze „Sokoła” i dopiero po chwili zorientowała się, że ktoś się nad nią pochyla.

Na bardzo krótko, na tyle tylko, żeby wszystko wyrazić, ale nie na tyle, by zacząć sobie cokolwiek obiecywać, Anka i Jędrek z całej siły się objęli i przytulili.

„Sokół” zwiększył obroty i odszedł w stronę Zakopanego. Dziennikarz miał minę, jakby zszedł z rollercoastra. Był napompowany adrenaliną do tego stopnia, że zapomniał, jaki ból jego pokiereszowanym wargom sprawia uśmiechanie się, i wiwatował jeszcze przez dłuższą chwilę. A może, myślała Anka, patrząc na jego obolałą, ale jaśniejącą twarz, on po prostu taki jest. Kompletnie nieprzemakalny. I nigdy się nie uczy. Może to sprawia, że jest w stanie przetrwać.

Pod nimi rozciągały się tonące w mroku regle, z wysokości widać jeszcze było resztki pomarańczowego światła za horyzontem, jak neon rozjaśniające skomplikowaną linię Tatr Zachodnich. Kiedyś dałaby wszystko za taki widok. Nie oderwałaby nosa od szyby, bezbłędnie rozpoznałaby łagodne piramidy Wołowca, Kończystego i Staroroboci ańskiego Wierchu, zadziorne czuby Rohaczy, grzebień Liliowych Turni. Cieszyłaby się jak mała dziewczynka.

Teraz niczego tak nie pragnęła jak tego, by góry zniknęły jej z oczu.

Kiedy dolecieli pod szpital, do Doliny Chochołowskiej wjeżdżała właśnie armia policji, straży granicznej i TOPR-u. Jechali po zwłoki porywaczy i po chłopaka z quada, o którym Jędrkowi opowiedzieli Anka i Bastian. Zaczynała się też obława na volkswagena Touarega i jego kierowcę.

Jeszcze na lądowisku, gdy chyląc głowy odbiegali od biało-czerwonego „Sokoła”, Jędrek bezskutecznie nalegał, by dali się najpierw porządnie zbadać, a potem zawieźć na komendę. Że może on spróbuje zorganizować jakąś pomoc psychologiczną. Anka ucięła dyskusję.

– Jędrek. Ja chcę, muszę wziąć prysznic – oświadczyła. – Zawieź mnie do domu. Do pensjonatu – poprawiła się szybko.

Uległ. Wioząc ich przez Kuźnice w stronę Murzasichla, jednocześnie próbował przez telefon negocjować dla nich ochronę. Usłyszał tylko, że ma ich przewieźć na komendę. Gdy odparł, że ofiary porwania nie wyrażają zgody, dowiedział się, że wobec tego biorą za siebie odpowiedzialność. Zaklął. Rozłączył się. Dobrze, że Anka tego nie słyszała. Ani dziennikarz.

– Powiedzieli ci coś o tym chłopaku na quadzie? – zapytała Anka.

– Żyje. Połamany i ranny, ale żyje. Dostał w rękę i rozbił się o drzewa.

Anka odetchnęła głęboko. Przykleiła czoło do szyby. Nagle opadło z niej całe napięcie. To było takie uczucie, jakby ktoś odłączył jej zasilanie. Słuchała, jak Bastian odpowiada na pytania Jędrka. Jak tłumaczy, co miało znaczyć owo „mogło być ich dwóch” z treści esemesa. I w jaki sposób, kruca fuks, do tego doszli.

Skręcili już z górnej drogi w stronę Murzasichla. Szumiało jej w uszach, nie miała siły nawet poruszyć dłonią, czuła się jak pijana. W głowie słyszała wszystkie dźwięki naraz – warknięcia porywaczy, ryk silnika quada, hurgot helikoptera. I strzały. Strzały z pistoletu, które brzmiały zupełnie inaczej niż na filmach. Dużo mniej dramatycznie i dużo bardziej bezwzględnie.

Jędrek jechał powoli przez wieś. O tej porze było już pusto, a większość świateł pogaszono. Zorientowała się, że minęli Capówkę. Zaraz miną drogę na Kalenice.

Zmrużyła oczy, widząc, że ktoś siedzi na krawężniku. Najpierw dostrzegła pomarańczowy ognik papierosa. Potem kontur szczupłej postaci.

– Jędrek, zatrzymaj się – poprosiła.

Opel podkomisarza zahamował, oświetlając czerwonymi światłami stopu zmierzwioną czuprynę i podkoszulek z napisem „Dezerter”.

W całkowitej ciszy, prutej tylko przez świerszcze i kontrapunktowanej basem silnika, chrupnęła klamka Jędrkowego auta. Anka wysiadła powoli. Zobaczyła, jak świetlik papierosa frunie łukiem na ziemię. Jak szczupła postać gwałtownie się podnosi. Jak staje naprzeciw niej bez ruchu. W świetle zobaczyła twarz swojej kuzynki. Jej oplecione przedwczesnymi zmarszczkami oczy i wyginającą się

w wąską podkówkę linię ust.

W dwóch skokach podbiegła do Anki i przywarła do niej kurczowo, wybuchając płaczem.

Nie wysiadł z auta, gdy dziennikarz, odczekawszy chwilę, dołączył do Anki i Kaśki. Został w samochodzie. Żadne z nich nie zawróciło, żeby mu powiedzieć, że znów są jedną wielką szczęśliwą rodziną, a on jest ich bohaterem. Uśmiechnął się kwaśno do swojego odbicia we wstecznym lusterku.

Jędrek Chowaniec odprowadził ich wzrokiem, gdy schodzili w dół drogą na Kalenice. Potem cofnął trochę i skręcił w tę samą drogę. Zatrzymał się przed bramą pensjonatu. Zgasił silnik i wyłączył światła. Wiedział, że dalsze starania o ochronę dla świadków nie mają sensu. Choćby dlatego, że policyjne siły z całego Podhala albo goniły volkswagena Touarega za milczącym przyzwoleniem komendanta, albo obstawiały Żura i Pysiora bez jego wiedzy, albo miały – za jego gorącą aprobatą – Chowańca głęboko w dupie. Jędrek rozłożył oparcie fotela. W końcu był odsunięty od sprawy, więc nie miał nic lepszego do roboty.

Patrzył, jak w pensjonacie Kaleniców gasną światła. Najpierw na klatce schodowej, potem na poddaszu. Jedno. Drugie. Odetchnął. Przynajmniej tyle, że Anka i Strzygoń nie śpią razem.

To byłoby teraz takie proste. Wejść tam po cichu, odnaleźć drzwi pokoju Ani, zapukać. Przecież by otworzyła. Przecież, kruca fuks, życie jej uratował. Pewnie niczego teraz tak nie potrzebowała, jak męskich ramion, czułego zapewniania, że już dobrze, że on przecież tu jest.

Podkomisarz Jędrek Chowaniec, w ciemnym wnętrzu własnego auta, kurczowo zaciskając dłonie na kierownicy, głośno się roześmiał.

Na szosie było całkowicie pusto. Pachniało świerkiem, wilgocią i dymem z papierosa. Kluczyk zaciągnął się łapczywie, siedząc w zaparkowanym na poboczu niebieskim subaru Impreza WRX. Czekał. Starał się opanować nerwy.

Chowaniec wreszcie oddzwonił. Nigdy nie kazał na siebie czekać tak długo. Głos miał znużony, jakby średnio go interesowało, co Kluczyk dla niego ma.

– Kierowniku, była mokra robota zlecona – powiedział. – Ale nie dla nas, tylko dla ludzi Niedobrego.

– Wiemy. Z tym do mnie dzwoniłeś?

– No. Ale teraz jest coś jeszcze lepszego – dodał Kluczyk. A Chowaniec dopiero wtedy się ożywił.

Zaledwie godzinę przed telefonem Chowańca przyjechał sam szef. Był świeżo po rozmowie z „Niedobrym” we własnej osobie. Konkurencyjny gangster zaproponował sojusz. Gwarantował, że nie będzie im wchodził w drogę, oni zajmą się swoim biznesem, a on swoim. W zamian chciał przysługi.

– Jakąś akcję zdupcyli, mają dwa trupy i umoczone auto – szef gestykulował, podzwaniając bransoletą. – Muszą je schować.

– U siebie nie mogą? – Kluczyk kręcił, czując pismo nosem. Szef się skrzywił.

– „Niedobry” jest nowy pod górami, Kluczyk, struktur ni mo. Zgodziłem się. Schowasz im to trefne auto u siebie w dziupli.

Kluczyk odczekał chwilę, intensywnie kalkulując.

– Szefie – powiedział wreszcie, ważąc słowa. – A jak oni mi psy na głowę ściągną?

Nie było odpowiedzi. Tylko spojrzenie. Mogło znaczyć wszystko. Na przykład: „sojusz jest cenniejszy niż ty”. Gdy szef odjeżdżał, Kluczyk podjął decyzję.

Teraz czekał w wygaszonym aucie, odpalając kolejnego papierosa. Pomruk diesla zza zakrętu usłyszał przez otwarte okno wcześniej, niż zobaczył światła reflektorów.

Volkswagen Touareg zatrzymał się naprzeciw. Mignął światłami. Kluczyk odpowiedział dwoma

mignięciami. Tamten podjechał, zrównał się z nim i otworzył przyciemnianą szybę. Za kierownicą siedział barczysty mężczyzna z wysoko podgolonymi włosami i trzydniowym zarostem. Oczy miał przekrwione, z gangsterskiej pozy nie zostało w nim wiele.

– Jesteśmy czyści? – zapytał.

– Ty mi powiedz – odparł Kluczyk.

Wtedy las się rozświetlił. Z piskiem wyhamowały przed nimi trzy auta. Jakby wyskoczyły znikąd. Z tyłu dojechała furgonetka. Grzechot broni, snopy świateł, krzyk.

– Policja!!! Nie ruszać się!!! Ręce na kierownicy!!!

Kluczyk grzmotnął szczęką o asfalt, wykręcili mu ręce, przycisnęli do ziemi kolanami. Obok powalili kierowcę Touarega. Skuli, podnieśli i wpakowali do furgonetki. Nawet się nie bronił. Kluczyka wcisnęli do czarnego BMW, między dwóch zamaskowanych policjantów w kamizelkach i z naszywką CBŚ na ramieniu.

BMW ruszyło dynamicznie, furgonetka za nim. Zniknęły za zakrętem. W lesie zrobiło się ciszej. Wiesiek Rysiek rozpiął opinającą go żółtą kamizelkę odblaskową i oparł się o otwarte drzwi Touarega. Zajrzał do środka i przyglądał się, jak Jadźka Kiciarz naciąga lateksowe rękawiczki. Otworzyła bagażnik. Stanął za nią i poświecił latarką. Makowski z CBŚ stanął nad jej drugim ramieniem.

– No no, chłopak nawet w aucie nie posprzątał – uśmiechnął się Wiesiek. W bagażniku wciąż leżały poskręcane kawałki srebrnej taśmy samoprzylepnej i jeszcze dwie rolki niezużytej. Była też naszykowana linka wspinaczkowa. Policjant wskazał na taśmę.

– Na tym się musiały pięknie zachować mikroślady naszych porwanych, dowodzik jak w mordę strzelił.

Aspirantka nachyliła się głęboko nad bagażnikiem, aż Wiesiek zamilkł, a Makowski zaczął pilnie studiować skraj lasu. Głębiej leżał łom, pręty i łańcuch. Odsunęła je delikatnie. Dwoma palcami wyciągnęła stamtąd podłużny czarny przedmiot i położyła go na skraju bagażnika. Potem drugi, podobny.

Takie coś można bardzo łatwo kupić przez internet albo w sklepie z bronią. Nie potrzeba żadnych zezwoleń. Nie byłoby nic nielegalnego w tym, co znaleźli, gdyby nie to, że oba przedmioty pasowały do układanki. Choć w zupełnie innym jej miejscu.

Były to paralizatory.

Wiesiek Rysiek słuchał uważnie, co się działo za taflą weneckiego lustra. Przed chwilą Maraszek dał znać z obserwacji, że Żur wsiadł do samochodu i przemieszcza się w stronę willi Pysiora. Dochodzeniowiec powiedział wtedy Jadźce, że zaczyna się zabawa w prawdziwych policjantów. Podobało mu się to, co zobaczył w jej oczach.

Łyknął kawy. Uśmiechnął się pod wąsem, przypomniawszy sobie minę tego Jędrkowego konfidenta, gdy chłopcy z zespołu realizacyjnego przetarli nim jezdnię. Trzeba było go zwinąć, żeby go nie spalić. Rękami CBŚ, żeby się nie pogniewał na Jędrka. Pomiętoszą go teraz trochę dla niepoznaki i puszczą.

Tak, Wiesiek Rysiek wiedział doskonale, że dochodzeniowcowi powinna przy takich kombinacjach cierpnąć skóra, że powinien łapać za kodeks postępowania karnego i machać nim jak cepem. Ale Wiesiek nie od zawsze był dochodzeniowcem.

Teraz oglądał przez szybę, jak Makowski z CBŚ pochyla się nad stołem w stronę podgolonego kierowcy Touarega i coś mu długo tłumaczy. Jadźka Kiciarz stała za plecami gangstera. Właśnie krzyczała mu prosto do ucha. Góralki są stworzone do roli złego gliny, pomyślał Wiesiek Rysiek.

Do udziału w porwaniu Serafin i Strzygonia facet już się przyznał. Ale to nie wszystko. Technik Wojtek sprawdził ich znalezisko z bagażnika. Potwierdził, że rozstawy elektrod zgadzały się

z poparzeniami na zwłokach. Teraz szukali na elektrodach śladów biologicznych. Sprawa rozsupływała się na ich oczach.

– Ja tylko byłem kierowcą – powtarzał przesłuchiwany. – Tylko prowadziłem.

Jadźka energicznie położyła na stole oba paralizatory w workach foliowych.

– Miałeś to w bagażniku – syknęła. – Byłeś tam? Zrobiłeś to? Zabiłeś Ślebodów?

– Twoi kumple nie żyją, będzie na ciebie – pokręcił smutno głową Makowski.

– Ja tylko byłem kierowcą! – tamtemu zaczynał się łamać głos. Wbijał wzrok w paralizatory. – Ja tego nie zrobiłem!

– Byłeś tam? – krzyknęła Jadźka.

– Jak z nami ładnie porozmawiasz – mruczał kojąco Makowski – może dostaniesz status koronnego.

– Przecież wiesz, że i tak się dowiemy – przerwała aspirantka. – Byłeś tam?

– Byłem – wycharczał. – Ale ja byłem tylko kierowcą. Przysięgam. To oni.

Z rezygnacją, prawie szeptem opowiadał, że uderzyli w nocy. Że kazali mu stać na czatach, a sami weszli. Widział, jak otworzył tamten mężczyzna, jak ogłuszyli go paralizatorem w drzwiach i wciągnęli do środka. Nie słyszał krzyków. Nie widział, co się działo w chałupie. Ale widział krew na ich ubraniach, gdy wyszli.

– Skurwysynu, troje niewinnych ludzi, dziewiętnastoletnia dziewczyna, zaszlachtowaliście ich jak świnie! Dostaniesz współudział w zbrodni! – krzyczała mu zza pleców Jadźka Kiciarz.

– Albo status koronnego – dokończył Makowski.

– Kto wam to zlecił? Kto wam to kazał zrobić? Mów!

Wiesiek Rysiek za weneckim lustrem dopijał kawę, przyglądając się, jak gangster od Niedobrego ostatecznie pęka.

Melodyjka *Nokia Tune* wdarła się piskiem w półsen Chowańca. Zerwał się, zaklął i odebrał. Spojrzał na zegarek. Było wpół do czwartej.

– Jędrek! – krzyknęła do telefonu Jadźka Kiciarz. – Realizujemy ich.

Zdecydował się w jednej chwili. Miał gdzieś procedury. I tak był odsunięty od sprawy, zamierzał się tam pojawić całkowicie przypadkowo i w charakterze gapia. Nic więc nie stało na przeszkodzie, by przywiózł ze sobą cywilów. Należało się im.

Wyskoczył z auta. Pomyślał, że Anka się naprawdę wścieknie, gdy ją obudzi. Ale na wysypianie się będzie miała czas w Krakowie. Teraz pora na inne atrakcje.

Nad lasem majaczył brzask. Przed bramą posiadłości Wendelina Pysiora stało lśniąco czarne BMW X6 Krzysztofa Żura-Górzańskiego. Zaraz za nim policyjna kia i dwa radiowozy, których niebiesko-czerwone światła ślizgały się po ścianach willi, po wiacie z grillem, po garażach i drzewach.

Jędrek Chowaniec stał podparty pod boki. Obok niego Bastian palił vogue'a i czuł się jak Charlie w fabryce czekolady. Anka, oparta o dach opla, trzymała się na dystans. Wsłuchiwała się w dobiegające od strony domu pokrzykiwania.

Jędrek z ukosa spojrzał na Bastiana.

– Daj papierosa, redaktor – powiedział.

Strzygoń wyciągnął w jego stronę paczkę slimów.

– Z tą analizą DNA to się na razie musimy wstrzymać. Oszczędności – powiedział, patrząc w stronę hacjendy.

– Cieszę się, że bzykanie wciąż jest w Polsce legalne – mruknął dziennikarz.

Chowaniec westchnął ciężko. W gruncie rzeczy też go to cieszyło.

– Dobrze wymyśliłeś z tą kurtką.

– A ty z helikopterem.

Podkomisarz Jędrek Chowaniec i redaktor Sebastian Strzygoń podali sobie ręce. Nie był to wprawdzie początek pięknej przyjaźni, ale z pewnością początek sojuszu. Dla policji bezcenna pomoc w śledztwie. A dla Strzygonia wyłączność.

A więc to już koniec, myślała Anka. To się naprawdę kończy. Tu, w tym miejscu. Zupełnie nie mogło to do niej dotrzeć. Bo jak to, już? I w taki sposób?

– Ale tak po prostu? – zapytała, patrząc w przestrzeń. – Zabójstwo na zlecenie? Wynajęte bandziory?

– A co ty, Aniu, myślałaś? – uśmiechnął się Jędrek. – Że panowie w garniturkach sami będą sobie brudzić rączki mokrą robotą? Ci faceci przyzwyczajeni są do wydawania poleceń. Oni by nawet nie wiedzieli, jak się do tego zabrać. Więc wynajęli za grubą kasę profesjonalny serwis. Szybka akcja, zero śladów, dyskrecja gwarantowana.

– Nie taniej by im było nasłać na nich Pyska z kolegami?

– Tego idiotę? Pysku na prochach i odpowiednio wkurzony może by i kogoś skopał na śmierć, ale taką robotę mógł łatwo spaprać. Krzyki, ktoś by uciekł, nazostawialiby śladów, a do tego nie utrzymaliby języka za zębami. To na was Żur z Pysiorem chcieli oszczędzić, nasyłając Pyska. To, co wam zrobili, to właśnie poziom Bożydara, pożal się Boże, Pysiora i jego bandy.

Wtedy wyszedł z hacjendy Wiesiek Rysiek. Rude wąsy rozciągnął w szerokim uśmiechu. Strzygoń pomyślał, że policjant wyglądał jak stary redaktor, który po latach wyszedł zza biurka, pojechał w teren na reportaż i przypomniała mu się młodość. Dochodzeniowiec miał na dłoniach lateksowe rękawiczki. Niósł plastikowy woreczek z czymś w środku.

– Kartę SIM wyrzucił, pewnie się naoglądał filmów – powiedział policjant z komendy wojewódzkiej, oglądając przez folię nowiutką komórkę. – Ale, wyobraźcie sobie, pazernemu ciulowi żal było telefonu. Więc sobie zostawił. Numer IMEI się zgadza. To z tej komórki poszło na was zlecenie.

Chowaniec i Strzygoń popatrzyli na zawartość woreczka. Ale Anka od dłuższej chwili spoglądała w inną stronę. Nie na policjantów, nie na dom biznesmena. Patrzyła na zaparkowany przed bramą samochód.

Samochód to mało powiedziane. Czarny potwór z przyciemnianymi szybami, jeden z tych absurdalnych crossoverów służących do leczenia kompleksów. Stała przed autem jak zahipnotyzowana. Nie mogła oderwać wzroku od atletycznego, przedłużonego tyłu z reflektorami wyglądającymi jak zmrużone oczy. Ale patrzyła nie na reflektory, lecz na tablicę rejestracyjną.

– Czyje to auto? – zapytała. Wszyscy trzej spojrzeli na nią uważnie.

– Żura – odpowiedział Wiesiek Rysiek. – Przyjechał godzinę temu.

– Zobaczcie – Anka wskazała na rejestrację. Numery z powiatu tatrzańskiego. KTT 22282.

W ciszy, która zapadła, słychać było tylko od strony domu gardłowe, wściekłe, bezsilne głosy.

Wreszcie Bastian się połapał.

– O żeż w pytkę rysia, z przeproszeniem pana oficera! Romuś, a to ci przechuj!

– To jest samochód, który zapamiętał i wskazał nam Romuś – przetłumaczyła Anka. – Być może widział go w noc, kiedy zamordowano starego Ślebodę. Może kręcił się wtedy po Kiecorze, może nawet zobaczył, jak wynoszą zwłoki. Może wywieźli je właśnie tym samochodem. – Czuła, jak z każdym wypowiadanym słowem spływa z niej kolejna kropla oblepiającej ją dotąd smoły. Czuła, że staje się coraz lżejsza. – Romuś ma ciężką postać autyzmu. Wydawało się nam, że nie ma z nim kontaktu. Ale Romuś widzi, zapamiętuje i komunikuje się po swojemu. Gdy zobaczył samochód, zapamiętał sekwencję liczb. Zobaczył BMW X6 o numerach rejestracyjnych KTT 22282. Zapamiętał…

– Sześć, dwa, dwa, dwa, osiem, dwa – dokończył dziennikarz.

– Na waszym miejscu porządnie bym sobie ten samochód obejrzała – dokończyła Anka. – Tam mogą być ślady.

Wtedy trzasnęły drzwi Pysiorowej willi. Podniesione głosy zabrzmiały donośniej. Na schodach werandy pojawiło się dwóch mundurowych trzymających pod ręce Żura-Górzańskiego. Za nimi kolejnych dwóch z Wendelinem Pysiorem. I polityk, i biznesmen najwyraźniej ciągle jeszcze nie mogli uwierzyć w to, co się dzieje.

Bastian wyglądał na zrozpaczonego.

– Nie mam aparatu! – jęknął.

Wiesiek Rysiek puścił do dziennikarza oko i podał mu smartfona. Bastian rzucił się w fotoreporterski taniec.

– Będziemy mogli powtórzyć tę scenę przy lepszym świetle? – marudził. – Strasznie poruszone wychodzą.

– Nie eskaluj żądań, Strzygoń – mruknął podkomisarz Chowaniec.

Korowód zbliżał się do bramy. Anka podeszła do Jędrka. Policjant poczuł delikatne dotknięcie w przedramię.

– Nie wiecie, kto ja jestem! – krzyczał Pysior. – Nie wiecie, kurwa, z kim żeście zadarli!

– Chowaniec! Ja cię zniszczę! Zniszczę cię, Chowaniec! – wydzierał się Żur-Górzański.

Trzasnęły drzwi. Zawyły syreny i cichły stopniowo, w miarę jak się oddalały. Aż dookoła posiadłości Pysiora na powrót zapanowała cisza starego murzasichlańskiego boru.

– Co teraz będzie? – zapytała Anka.

Policjant drgnął i odwrócił się do niej.

– Z nami? – wyrwało mu się. Popatrzyła mu prosto w oczy i uśmiechnęła się, bez śladu złośliwości czy nawet przekory. Anka po prostu się uśmiechnęła. Delikanie, obiema dłońmi, ujęła go za ramię. Ścisnęła.

– Nie, Jędruś – szepnęła. – Nie ma żadnych „nas”. Wakacje się kończą – urwała.

– Zawsze, jak wyjeżdżałaś – odszepnął – czekałem, jak znowu przyjedziesz.

– Nie jesteśmy już dziećmi, Jędruś. A ja – mówiła miękko – już nie przyjadę.

– Dlaczego?

– Bo to wszystko tutaj też się już skończyło.

– To było dla ciebie nieważne? – Odwrócił się na chwilę.

– To było dla mnie bardzo ważne. – Dotknęła opuszkami palców jego policzka. Znowu na nią popatrzył. – Ale ja nie jestem stąd. Jestem tu niepila, Jędruś.

Stali tak jeszcze, ciesząc się własnym ciepłem i dotykiem, zatrzymani w kadrze, dwie sylwetki na tle rozświetlonej mgły podnoszącej się z traw przed świtem. Nie było już krzyków, wycia syren, we mgle rozwiewała się i roztapiała też trwoga, groza, niepewność. To był już koniec.

– Ja – zająknął się – ja miałem na myśli tamto, w lesie.

Zachichotała. Spogodniał. Ścisnęła mocniej jego ramię.

– To było świetne.

– Nie chciałabyś…

– Nie.

– Żałujesz?

– Nie.

Objął ją ramieniem. Na krótką chwilę. Puściła jego łokieć. To był już koniec, powtórzyła w myślach Anka. I nagle, ze wszystkich sił, zapragnęła wrócić do siebie.

Odwrócili się w stronę bramy, ruszyli nieśpiesznie.

– To co teraz będzie, Jędrek? Ja miałam na myśli ciebie. Żur krzyczał, że cię zniszczy.

Milczał przez chwilę.

– E dyj ón pewnikiem i mie zniscy – odparł wreszcie. Twarz miał pogodną. Patrzył, jak nad otaczającym ich lasem powoli wstaje dzień. – Ba co ci powiym, to ci powiym, ale ci powiym – odwrócił się do Anki. W oczach zagrały mu ogniki. – Ja to, kurwa mać, dojmentnie pierdolę.

* * *

Ćtyry łokci ziemi,
siedmi łokci sata,
tem cała zapłata
mizernego świata.

5 sierpnia 1994 roku, godzina 10.20
Kiecora

Listonosz zamknął za sobą chybotliwą bramkę, zabrał oparty o płot rower i poprowadził go w stronę asfaltu. Po wczorajszym deszczu ścieżka przypominała bajoro. Łyse opony ślizgały się i grzęzły.

Starszy mężczyzna stał jeszcze w ledwo uchylonych drzwiach chałupy. Listonosze byli ostatnimi ludźmi, którzy jeszcze czasem tu zaglądali, żeby przynieść śmiesznie niską emeryturę. Syna nie widział od siedmiu lat. Sąsiedzi trzymali się z daleka. Esbecy przestali przychodzić dwadzieścia cztery lata temu. Oni też go nie chcieli.

Przez chwilę słuchał, jak cichnie pobrzękiwanie dzwonka roweru. Powłócząc nogami, przeszedł do kuchni. Stanął przy oknie, przez którego brudne szyby ledwie sączyło się światło. Rozgarnął zalegającą na stole stertę naczyń, gazet i butelek, sięgnął po sklejone taśmą okulary i ostrożnie włożył je na krzywy, orli nos. Otrzymany przed chwilą telegram podsunął bliżej okna, do światła.

Telegram przyszedł z Radomia. Od Hanny – synowej, której prawie nie znał. Syn poznał tę dziewczynę na studiach. Raz przywiózł ją do Murzasichla, gdzie wytrzymali pół dnia. Krzyki ojca i syna niosły się po całej wsi, ona płakała. Mietek zabrał się wtedy, wsiadł z nią do trabanta i już nigdy nie wrócił. Srał go pies, machnął ręką stary.

Później wiele razy rozmyślał o tym, dlaczego Hanna przysłała ten telegram. Może i w dobrym odruchu. Bo ludzie, jak się im dzieci rodzą, na jakiś czas próbują się zrobić lepsi, pamiętał to. Potem im przechodzi. A może zrobiła to ze świętoszkowatej babskiej litości. A może z okrucieństwa.

„Masz wnuczkę. Mietek nie wie, że ci mówię” – przeczytał.

Odłożył telegram na parapet. Opadł ciężko na zydel. Sięgnął po jedną z butelek, w której było jeszcze trochę na dnie. Pociągnął. Rękawem swetra przetarł najpierw usta, potem szybę. Na zewnątrz, przez gałęzie świerków, połyskiwało letnie przedpołudnie. Światło lśniło w kałużach i pełgało w wartkim nurcie strumienia. Zmrużył stare oczy.

Wnuczka. Ślebodzianka.

Ona nie będzie wiedziała, myślał, nikt jej nie opowie. Jego historia pójdzie z nim do grobu. Oby niedługo, bo nawet ubeckie kazamaty nie cuchną tak, jak los dziada, któremu za pokutę zadano zapomnienie za życia. Ale kiedy on i jego historia pójdą do grobu, myślał, ta ziemia będzie dla niej.

Rysy twarzy Jana Ślebody na jedną chwilę zmiękły. Wyjrzał przez okno.

Ta ziemia będzie dla niej, obiecał sobie. Może się jej tu spodoba, wśród smreków, z widokiem na Hawrań. Po nim nie zostanie żadna historia. Ale ostanie sie hawta ziym, choć to ino młaka i bór.

EPILOG

Zatonie, zatonie piórecko na wodzie,
ale nie zaginie nuta o ślebodzie.

Chatka Babońki wydawała się teraz taka malutka. Na środku kuchni stały wielki, wypełniony do połowy worek na śmieci, obok pudło na to, co nadawało się jeszcze do Caritasu. Mało co stało na swoim miejscu. Przesmażone patelnie, wyliniałe garnki spoczywały na dnie worka. Tak jak przetarte ze starości bluzki i spódnice. Po podłodze poniewierały się stare gazety, wycięte z kolorowych magazynów artykuły i przepisy. Kilka łyżek i widelców, każde z innego kompletu. Dookoła dreptał, nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca, kot Maciek.

– I co teraz będzie? – zapytała Anka.

– Z czym? – odpowiedziała pytaniem na pytanie jej kuzynka, wywieszając w otwartym na oścież oknie kolorowy kilim.

– Z tą chatką.

– Zburzymy ją – odparła Kaśka.

Anka nie odpowiedziała od razu.

– Nie szkoda ci? – spytała wreszcie. – Moglibyście ją przerobić na ekskluzywną kwaterę dla hipsterów.

– Pewnie, że mi szkoda. Ale bez Babońki to nie ma sensu. W tym jednym się zgadzamy z Józkiem, finansowo to się kupy nie trzyma.

– Tak ci nagle zależy na tym, co się opłaca? – Anka uniosła brwi.

– Wiesz, mnie się już sprzykrzyło mycie kibli i pranie pościeli po letnikach. I choćbym się miała z tym sietniokiem zatraconym do usranej śmierci procesować, to wydrę od niego, co moje, i zacznę coś swojego na tym spłachetku ziemi, co mi go Babońka zostawiła.

– Testament Babońki był niejasny… – zaczęła Anka.

– Daj spokój! I ty przeciwko mnie? – Kaśka z furią wrzuciła kubek do worka, aż zagrzechotała jego zawartość. – Naprawdę wierzysz, że Babońka by chciała, żeby on położył łapę na jej ziemi?

– A nie możecie się podzielić? Jak brat i siostra?

– On się ze mną nie podzieli. No to ja z nim też. Jak diabeł Sabale, tak Sabała diabłu.

– I co tu zrobisz, jeśli wygrasz proces? – zapytała Anka, żeby zmienić temat.

– Knajpę, pole namiotowe, jeszcze nie wiem. Ale wiem jedno: to będzie wreszcie w stu procentach moje. Moje.

Tytuł: Śleboda

Autor: Sebastian Strzygoń

Uśmiechnął się znad klawiatury. Ten tytuł nie przejdzie, był tego pewien. Redaktor zapyta, co to znaczy. Ale to i tak ostatni raz, więc zrobi to po swojemu.

Tej nocy w chałupie Jana Ś. na Kiecorze w Murzasichlu gościli ważni panowie. Nie pierwszy raz. Nachodzili go już od dawna, przekupywali podarkami. Ale Ś. nawet ich nie otwierał. Był tylko jeden przedmiot wyjęty z kartonu – kosztowny ekspres do kawy. Później prezenty przywoził pośrednik, ale ten ekspres przyniósł osobiście darczyńca, jako pierwszy podarek. Pewnie sam go odpakował, pokazał,

zachwalał. Bo na ekspresie policja znajdzie później jego odcisk palca. Odcisk palca Krzysztofa Ż.-G., znanego podhalańskiego polityka.

Współcześnie, 5 lipca, godzina 22.56
Kiecora

– Jak to nie?

Krzysztof Żur-Górzański uniósł się z krzesła i naparł na stół. Twarz miał poczerwieniałą. Trochę od wódki, głównie z wściekłości.

Siedzący naprzeciwko starzec uniósł na niego wodniste oczy. Nie drgnęła żadna z jego zmarszczek. Ale z tych oczu i tak dało się wyczytać szyderstwo.

Siedzieli przy tym stole już ponad godzinę. Na gazecie stała prawie całkiem osuszona butelka po absolucie i wspólna literatka. Dalej dwie szklanki po kawie, które starzec niezręcznie przed nimi postawił, gdy przyszli. W kuchennej izbie, niewietrzonej i wionącej stęchlizną, od lat nikt nie sprzątał. Meble lepiły się od tłustego brudu. Na parapecie i w kątach piętrzyły się puste flaszki, na kuchni stały garnki, przy popielniku na podłodze leżało kilka szczap drewna i siekiera. Na zewnątrz szczekał pies. Polityk i biznesmen długo mówili, grzecznie, uprzejmie i głównie o pogodzie. Gospodarz głównie milczał. Aż w końcu przeszli do sedna. I wszystko poszło nie tak.

– Panie Śleboda – wychrypiał Wendelin Pysior, zaciskając pięści. – Toć żeśmy przecie dogadani byli. Coś pan? No coś pan?!

Stary góral sięgnął po butelkę, manifestacyjnie nalał sobie resztę wódki i przechylił literatkę. Otarł usta rękawem swetra i rozparł się na krześle, wciąż patrząc obu gościom prosto w oczy.

Żur-Górzański wstał gwałtownie. Wycelował w Ślebodę palec.

– To ja ci tyle dobra darowałem, tyle żem dla ciebie zrobił, a ty nam tak odpłacasz? – ryknął. – Tak nam odpłacasz?!

– Hawta ziym niy jest na przedanie – odparł beznamiętnie góral. – Juzem wom telo godoł.

– Czego jeszcze chcesz?! – Pysior zerwał się z krzesła. – Tyleśmy razy prosili, złote góry obiecywali! Pieniędzy żeś nie chciał, cośmy ci je na początku dawali, tak? Tośmy pomyśleli, żeby ci ten twój obesrany dziadowski żywot ułatwić i do tej twojej biédy nakupić sprzętu…

– To se go biercie stela. Haw syćko jest w sopie.

– Kurwa! – ryknął Pysior i runął na górala. Żur złapał go za ubranie i pociągnął w tył. Góral odchylił się niedbale, gdy pięści biznesmena o milimetry minęły jego twarz. – Kurwa, słyszałeś go, Krzysiek?! Słyszałeś go?! Zajebię dziada, zajebię, kurwa!!!

– Zostaw, przestań! – Żur mocował się z Pysiorem, aż wreszcie mu się udało go odciągnąć. Pysior odskoczył gwałtownie. Szarpnął się. Odwrócił się tyłem, oparł o rant pieca. Dyszał ciężko, jego szerokie plecy unosiły się szybko. Żur poprawił marynarkę i nachylił się nad starym Ślebodą.

– Słuchaj no, Śleboda – wysapał otyły polityk. – Jak nam tę ziemię sprzedasz, dostaniesz mnóstwo forsy, dutków, rozumiesz? Damy ci dwa razy tyle, ile to twoje bagno jest warte. Ale jak nie sprzedasz, to cię tak urządzimy, tak cię urządzimy, Śleboda, że do końca życia…

– Hawta ziym – starzec przymknął oczy, kiwając głową. Spod zmrużonych powiek rzucił politykowi wzgardliwe spojrzenie – niy jest na przedanie.

Żur ciężko opadł na krzesło. Zrobiło się całkowicie cicho, z zewnątrz dobiegał, niczym szyderczy kontrapunkt, rechot żab. I skomlenie psa przechodzące w żałosny szczek. Wendelin Pysior oddychał ciężko.

– Wszystko… – biznesmen dyszał, wciąż stojąc tyłem, oparty o piec – …wszystko przepadło. Koniec. Kurwa, koniec.

Żur-Górzański oparł się łokciami o stół i skrył twarz w dłoniach.

– Nie uda się, Krzysiek – Pysior cedził przez zęby, kurczowo zaciskając pięści. – Przepadło. Przez

jednego upartego dziada przepadło! Kurwa! Żeż ty kutafonie sflaczały, tyyy!!!

Żur uniósł głowę, gdy usłyszał ryk i spostrzegł gwałtowny ruch. Choć widział wszystko, widział jak w zwolnionym tempie, nie od razu zrozumiał, co się stało. Widział, jak Wendelin Pysior, szczerząc zęby i wytrzeszczając oczy, zwija się w szale, okręca i uderza, trzymając coś oburącz, jak przez jego wrzask przebija się głuche chrupnięcie, jak starzec nagle się chwieje, pluje krwią prosto w niego, i jak bezwładnie, niczym odcięta od sznurków marionetka, wali się z krzesła na podłogę.

Biznesmen znieruchomiał w rozkroku na środku izby. Krzysztof Żur-Górzański otworzył usta. Patrzył to na kompana, to na bezwładne ciało o nienaturalnie skręconej głowie. Resztki siwych włosów na skroni wsiąkały w krwawą miazgę.

A Wendelin Pysior stał bez ruchu, wpatrzony, jakby z niedowierzaniem, we wciąż trzymaną oburącz siekierę, co ją porwał spod pieca.

*

Strzygoń zatarł ręce, przekartkował notatki i zamłócił w klawiaturę.

Wendelin P. to biznesmen, który zrobił na Podhalu karierę od pucybuta do milionera. Jeszcze na początku lat 90. sprzedawał regionalne kapcie, a już na przełomie wieków eksportował domy z bali na całą Polskę i organizował pod Tatrami działki dla zachłannych deweloperów. Potem udzielał się chyba we wszystkich dziedzinach podhalańskiego przemysłu, handlu i usług.

Krzysztof Ż.-G. od lat piął się po szczeblach politycznej kariery, zawierał sojusze z wszelkimi opcjami politycznymi. Ustawiał się w drugim rzędzie za aktualnymi władzami, a to żeby paść pod Wielką Krokwią na kolana przed Janem Pawłem II, to znów żeby wprowadzić Podhale do Unii Europejskiej. Przecinał wstęgi, głaskał dzieci po główkach, otwierał supermarkety, termy, orliki. Aż w końcu nie było takiego politycznego przedsięwzięcia, w którym nie maczałby palców.

Tego wieczora, gdy to się stało, długo zastanawiali się, co zrobić.

Współcześnie, 5 lipca, godzina 23.17
Kiecora

– Jezuuu! Jezuuu! O Jezuuu!!!

– Wendel! Cicho! Kurwa! Wendeeel!!!

Pysior miotał się po izbie, wpijając sobie rozcapierzone palce w policzki, wyrywał się Żurowi, który wisiał na nim, próbował nim potrząsać, zatrzymać go w obłędnym tańcu, uciszyć go dłonią. Krępy biznesmen i tłusty polityk, spleceni, przetoczyli się pod ścianę. Upadli. Żur przydusił kompana do podłogi. Złapał za przeguby dłoni.

Patrzyli na siebie. Pysior skrzywił się, zacisnął oczy, zakwilił.

– Skończeni… jesteśmy skończeni! Krzysiek!

– Cicho, Wendel, cicho! Słuchaj! Cicho!

Podniósł się niezgrabnie. Odetchnął głęboko. Pomógł wstać Pysiorowi. Obaj wbili wzrok w trupa.

– Nikt nie musi wiedzieć – wymamrotał polityk.

Biznesmen popatrzył na niego nierozumiejąco.

– Stary żył sam, z nikim się nie zadawał. – Żur nerwowo oblizywał wąsy i obcierał je dłonią. – Nikt nie musi się dowiedzieć.

– Jak?

– Wywieziemy. Zakopiemy w lesie. Wysprzątamy tu, wytrzemy. Nikt nie musi się dowiedzieć.

– Gdzie? – Pysior mówił już spokojnie. Przełykał tylko głośno ślinę. – Gdzie go zakopiemy? Znasz te lasy?

– A ja wiem?

– Tam, gdzie żeśmy chłopaków z delegacji ostatnio autem zabrali, to gdzie to było?
– Sucha Woda.
– Krzysiek, tu są domy zaraz, ktoś zobaczy, jak go wynosimy.
Zamilkli i równocześnie spojrzeli na porzuconą pośrodku izby siekierę.
– Nikt nie musi się dowiedzieć – wyszeptał Żur-Górzański.

Wendelin P. i Krzysztof Ż.-G. sądzili, że nikt ich wtedy na Kiecorze nie widział. Mylili się. Kręcił się tam wtedy…
Zawahał się. Lump? Żul? Wiejski głupek?
…cierpiący…
Poprawił.
…chorujący na ciężką postać autyzmu mieszkaniec Murzasichla o imieniu Roman. Widział ich. I na swój sposób zapamiętał. To dzięki jego świadectwu śledczy przyjrzeli się samochodowi Krzysztofa Ż.-G. Gdy eksperci kryminalistyki rozpruli tapicerkę i zdemontowali siedzenia, bez trudu znaleźli zakrzepłe ślady krwi. Analiza DNA wykazała, że krew należała do Jana Ś. Dzięki autystycznemu Romanowi policja znalazła koronny dowód.
Dzięki niemu, ale także dzięki osobie, która potrafiła się z Romanem porozumieć. Była to ekspertka od kultury…
Bastian posłał monitorowi całusa i zmienił na „antropolożka kultury". Niech się dziewczyna ucieszy.

– Chciałabym też, żebyś sobie wybrała jakąś pamiątkę po niej – powiedziała cicho Kaśka, obracając w dłoniach wyblakłe ślubne zdjęcie w plastikowej ramce. – Możesz wziąć, co chcesz. Babońka miała różne ładne rzeczy. Obrusy, pościele ręcznie haftowane, jest też trochę zdjęć.
Anka od razu pomyślała o wystraszonej dziewczynie z fotografii, na której przybito pieczątkę z hitlerowską wroną. Góralska kenkarta Babońki gdzieś tu była. Wśród gazet sprzed lat, rachunków za prąd i świętych obrazków.
Już wiedziała, co zabierze ze sobą.
Pamiątkę, która będzie jej towarzyszyć, gdy z krzykiem budzić się będzie w środku nocy, czując, jak ciemność spod Siwiańskich Turni ciągnie ją w otchłań niczym wytatuowane w swastyki, muskularne ręce. Gdy na widok hałaśliwej młodzieży przechodzić będzie na drugą stronę ulicy, starając się uspokoić kołatanie w żołądku. Gdy w gorący dzień poczuje na podwórku fetor gnijących śmieci i obiad podejdzie jej do gardła. Gdy budując karkołomną interpretację sugestywnego zestawu symboli, nagle zamilknie i, ku zaskoczeniu studentów, pierwszy raz przerwie wykład. Gdy oglądając zdjęcia ze szkolnych wakacji u Kaleniców, pomyśli, że to musiało być w inym życiu. W innym świecie.

Zabójstwo Jana Ś. szybko przestało być tajemnicą. Ale zabójcy wiedzieli, że wszyscy sądzą, iż zabito go z zemsty za jego sprawki z czasów okupacji. Za zdradę narodu.
Skrzywił się. Nie znosił używać słowa „naród". Zwłaszcza po tym, jak go potraktowali podhalańscy narodowcy z krzyżykami niespodzianymi wytatuowanymi na mocarnych, piastowskich ramionach.
Do Murzasichla przyjechał Mieczysław Ś. z rodziną – spadkobiercy starego Ślebody. P. i Ż.-G. próbowali z nim negocjować sprzedaż ziemi. Jak dowiedział się „Flesz", syn Jana Ś. gdzieś znikał, wracał zdenerwowany, konsultował się w sprawie wyceny gruntów. Łatwo się domyślić, co się wydarzyło. P. i Ż.-G. podali swoją cenę, ale Mieczysław Ś. był nie w ciemię bity, zorientował się, że działka musi być warta wiele więcej.

Bastian uśmiechnął się do siebie. Rano dzwonił jeszcze do asystentki Mieczysława Ślebody w Radomiu, żeby potwierdzić kilka detali. Rozmiękczył ją, pociągnął trochę za język. Dowiedział się, że syn starego Jaśka z Kiecory potrafił być niezłym kutwą, a gdy poczuł kasę, walczył o nią zębami i pazurami. Tak musiało być i wtedy, gdy przyszli do niego Żur z Pysiorem. Cwany prawnik poczuł pismo nosem, a pazerny góral poczuł nosem dutki. I nie odpuścił. Zabawne, pomyślał dziennikarz. Facet od lat nie mieszkał w górach, odciął się od swoich korzeni. A jednak, charakteru tak łatwo zmienić się nie da.

Można ich sobie wyobrazić, jak się naradzają. Pewnie nad flaszką. Rozwiązanie wydaje się idealne. Gdyby udało się sprzątnąć całą rodzinę tak, żeby wyglądało na zemstę, wszyscy pójdą fałszywym tropem. A tymczasem oni pozbędą się jedynych spadkobierców Jana Ś. i drogocenna ziemia trafi na własność gminy. Wtedy bez trudu ją przejmą. Tak sobie to tłumaczyli nad wódeczką, przekonując się nawzajem, że tak trzeba, że jak jest już jeden trup, to dalsze trzy nie robią różnicy. Dziś obaj wmawiają prokuratorowi, że do zbrodni popychał ten drugi.

Teraz był dobry moment na moralizatorski przerywnik.

Niewyobrażalne – napisał i po tym jednym słowie postawił kropkę. – *Dwóch szanowanych, dobrze sytuowanych miejscowych notabli organizuje taką zbrodnię. Chciwość? Przekonanie o swojej władzy i bezkarności? – To szok. Niedowierzanie. Wielki wstrząs – mówią „Fleszowi" mężczyźni spotkani pod tutejszym sklepem spożywczym „Pokusa".*

Faktem jest, że Wendelin P. i Krzysztof Ż.-G. skontaktowali się z gangsterem ps. „Niedobry". I wynajęli płatnych zabójców. Kazali wymalować krwią ofiar swastykę, żeby nie było wątpliwości, że dokonała się tam zemsta.

Zatrzymał się na chwilę. Wydawało się mu, że wszystko wydarzyło się już tak dawno. Że zdoła zapomnieć tamten widok, że to przepracuje, że pisanie mu pomoże.

Nie pomagało.

Na Podhalu wszyscy odetchnęli z ulgą. – Panie, to trza Bogu dziękować, ze sie syćko tak okazało – mówi nam pani K., mieszkanka Kiecory, przez wiele lat sąsiadka Jana Ś. – Bo kieby sie okazało, ze to było za dawne casy, toby, panie, strach godać, co sie na Podholu działo.

Temat Goralenvolku wraca tam, gdzie jego miejsce. Pod dywan.

– Obiecaj mi jedno – powiedziała Anka, zaglądając do izby. – Weźcie ten malowany kufer tak, jak stoi, i wynieście na strych. Ktoś go kiedyś znajdzie, może twoja córka – zobaczyła, jak kuzynka odwraca twarz i powstrzymuje westchnienie – albo Józka. Znajdzie i będzie bardzo szczęśliwa. Możesz tam dołożyć nasze zdjęcia, te, które przywiozłam, i swoje pancurskie koszulki.

– Z Kalenicowymi babami nie sposób się nudzić – Kaśka się uśmiechnęła. – Co jedna, to lepsze ziółko. Biedna Babońka kochała się całe życie w naziście i wzięła góralską kenkartę nie jak inni – ze strachu, oportunizmu czy głupoty – tylko z miłości. Mnie chcieli spalić na stosie za romans z niedoszłym mordercą. A ty się puściłaś ze świeżo upieczonym mężem i ojcem. Ciekawe, co by było, gdyby Babońka miała córkę.

Anka obracała w dłoniach pociemniałą ze starości drewnianą łyżkę.

– Tylko że ja nie jestem Kalenicowa baba – odparła w końcu. – Byłam Anią od Kaleniców, co przyjeżdżała tu na wakacje. Ale Anka Serafin jest z blokowiska, z kamienicy na krakowskim Podgórzu, Anka nie jest Kalenicową babą.

Kaśka patrzyła tylko z ukosa na kuzynkę, uśmiechając się kącikiem ust. A Anka, powiedziawszy to wszystko na głos, aż się zdziwiła. Bo nie poczuła żadnej goryczy. Żadnego braku. Poczuła się dobrze. Na swoim miejscu.

– Zawsze możesz za to do Kaleniców przyjechać, do tych góralskich Corleone z przypadku – podjęła kuzynka. – Czy to nie ciekawe, że tak się to wszystko u nas skumulowało? Że każdy, oprócz

chyba mamy i pań w kuchni, jakoś był uwikłany w tę historię?

– A może wy jesteście – Anka zatoczyła łyżką łuk w powietrzu – soczewką góralszczyzny?

– Że niby wszystko, co najlepsze i co najgorsze, skupia się w naszej rodzinie? – podchwyciła Kaśka. – Może masz rację.

– Nie wiem, czy dokładnie to chciałam powiedzieć.

– Daj spokój, to przecież nie żaden zarzut. Wszyscy wiedzą, jacy są górale. A zwłaszcza, jacy są Kalenice.

Na koniec *happy end*, pomyślał Bastian.

Jak podają nasze źródła, sytuacja w zakopiańskiej komendzie policji jest pod lupą wydziału wewnętrznego komendy wojewódzkiej. – Ale sam pan rozumie, panie redaktorze – dodaje nasz pragnący zachować anonimowość informator, i kiedy to mówi, ciężko wzdycha – czy gdzie indziej jest lepiej?

Dziennikarz się przeciągnął. Z Wiesiem Rysiem szybko przeszli na „ty". Byli już umówieni na piwo, gdy obaj wrócą do Krakowa. Czuł, że w karierze freelancera ten kontakt może mu się przydać.

Zamknął laptopa i wrzucił go do plecaka, do którego przytroczone miał kijki i termos. Zarzucił bagaż na ramię i pobiegł na busa jadącego do Kuźnic.

Zostało mu jeszcze ostatnie zdanie. I coś do zrobienia.

– A gdzie Bastian? – rzuciła kuzynka.

– Nie uwierzysz. Wybiera się w góry.

Kaśka wybuchnęła radosnym, niepohamowanym śmiechem.

– Serio? Lektykę wynajmie jak pani Chałubińska?

– Coś w tym stylu. Pojechał kolejką na Kasprowy. Stwierdził, że przez ten cały czas spędzony tutaj nie widział prawdziwych gór, a górali ma dosyć.

– A Jędrek?

– Na wakacjach. Zabrał małego i Ewę. I psa, bo mu się szkoda zrobiło tego zabidzonego owczarka od starego Ślebody i go przygarnął. Pojechali na wakacje nad morze, przeczekać burzę na komendzie. A ty i – zawahała się – Wojtek?

– Groń? – Kaśka wzięła do ręki wałek i zważyła go w dłoni, jak pałkę. – Odlatuje w siną dal, hej, daleko za wielką wodę. Żonka szczęśliwa, że wraca do motherlandu i ma go tylko dla siebie. Jak się o nas dowiedziała, to od razu zaczęło jej z powrotem na nim zależeć. A Wojtek to taki porządny chłop – skrzywiła się. – Zrozumiał – przewracając oczami naśladowała akcent polonusa – jakim grzechem było wejście w pozamałżeńskie stosunki. Że rodzina jest najważniejsza. Strząsa kurz z sandałów i opuszcza Podhale, które go nie przyjęło. Czyli, po naszemu, po prostu ucieka, bo tak mu najwygodniej. I pies go trącał.

Wdusił jeszcze raz przycisk domofonu przy bramce. Egzemplarz wczorajszego „Flesza" ściskał w spoconej dłoni. Przez chwilę mu się wydawało, że ma szczęście, bo gospodarz nie otwiera, może już wyjechali. Przez chwilę chciał odejść.

Wtedy drzwi willi otworzyły się gwałtownie. Właściciel domu ruszył prosto na niego, jak do ataku. Był w czarnej koszuli. Miał podkrążone oczy, trochę więcej siwych włosów. Zatrzymał się tuż przed bramką.

– Czego tu jeszcze chcesz? – wysyczał.

– Panie Groń – odchrząknął Bastian. – Mówiłem panu, że to nie Ameryka. Jak pan pozwie redakcję, to pewnie pan przegra, a jak pan wygra, to oni zapłacą odszkodowanie, opublikują

przeprosiny drobnym druczkiem i pies z kulawą nogą tego nie zauważy. Zrobi pan, jak pan będzie chciał – dziennikarz nie dawał sobie przerwać. Przymknął oczy i powiedział coś, czego jeszcze nigdy wcześniej nie mówił.

– Ale chcę, żeby pan wiedział, że ja wiem, że popełniłem błąd.

Dziennikarz podał mu gazetę. Na pierwszej stronie, wielkimi, żółtymi literami napisane było: „Niewinny!".

Anka wdrapała się na piec, jak kiedyś wdrapywała się tam podglądać kocicę karmiącą kocięta. Zaczęła ściągać zalegające tam graty. Makutrę. Wiecheć lawendy na mole. Kilka pustych słoików.

– Jezu, siostra, jak ja się o ciebie wystraszyłam, wtedy – powiedziała Kaśka, zupełnie poważnie.

– Mhm – mruknęła Anka.

– Nie mogę sobie wybaczyć, że ja, durna, myślałam tylko o tym, co będzie: z rodziną, z naszym pensjonatem, ze mną, z Wojtkiem – zamilkła na chwilę. – Przepraszam.

Anka odwróciła się do niej.

– Ja też przepraszam. Za wszystko, co mogłoby się nie stać, gdyby mnie tu nie było.

*

Przysiadł na skale wyrzynającej się spośród pożółkłej trawy na grzbiecie Kasprowego Wierchu. Uśmiechnął się. No, te góry to jednak wypas, pomyślał, patrząc w dół. Z szarymi skałami mocowały się rachityczne kępki traw. Dalej olbrzymie połacie lasu wyglądały na górskich zboczach jak omszałe kamyki. Wszystko, co w oddali, w dole, traciło na skali i znaczeniu.

Ale jemu zostało do napisania jedno zdanie. Wyjął z plecaka laptopa. Zapalił papierosa.

Przymierzał się do tego zdania już wiele razy. Wiele razy je napisał i skasował. Dobrze wiedział, że nie potrafi go ułożyć. Ale wiedział też, że musi. Czytelnicy tego oczekują: że pozwoli im się powzburzać i powzruszać, odczuć zgrozę i doznać tabloidowego katharsis.

Andżela stała na progu życia. Była piękną, kwitnącą dziewczyną. Miała plany, marzenia. Ale zbrodniarze też mieli plany. Stała im na przeszkodzie. Nie zawahali się, gdy…

Podniósł gwałtownie głowę. Zawiesił wzrok na ostrym garbie Długiego Giewontu. Zagryzł zęby na pięści.

… gdy kazali przeciągnąć nożem przez delikatną skórę jej szyi, stworzoną do składania na niej pocałunków.

Spektakl musi się toczyć.

Zamknął pokrywę laptopa i zaczął powoli schodzić. Ze szczytu w doliny, pomyślał. Co za tania symbolika. Swój ostatni artykuł do „Flesza" niósł w plecaku, chłodny, górski wiatr wiał mu prosto w oczy, a ścieżka była, jakże inaczej, usłana kamieniami.

Co teraz będzie? – tłukło mu się w głowie. Freelanserka, bo z wilczym biletem, który dostał od szefa, nikt go nie przygarnie na stałe. Może wreszcie założy bloga. Żegnaj Bali, niech żyją Białystok, Bydgoszcz i Bytom!

Krótki oddech palacza zmusił go do przystanięcia. Oparł ręce na udach i chwilę oddychał miarowo. Za ten artykuł nikt go nie będzie w redakcji klepał po plecach, żadna wydekoltowana praktykantka nie piśnie: „wow", szef nie da premii, koledzy nie postawią kolejki w barze z wódką i zakąską. Ale za to pierwszy raz napisał prawdę. Nie prawdę, którą się znajduje w Wikipedii, wyciąga od zaskoczonego przechodnia czy wynosi z konferencji prasowej, ale taką prawdziwą prawdę, za którą się zapłaciło karierą.

Pewnie dlatego ten plecak tak ciąży.

– Zastanawiam się cały czas, dlaczego Babońka mi nigdy nie powiedziała – podjęła Kaśka. – Dlaczego powiedziała właśnie tobie, tyle lat dusiła to głęboko, aż ją to zabiło. Widać to taki stary góralski sposób na trudne tematy.

– To tak, jak z całym Goralenvolkiem – odpowiedziała Anka. – Im bardziej duszony w sobie, zapomniany, nieprzepowiedziany, tym bardziej niebezpieczny. Póki ktoś tego wreszcie nie wyciągnie z szafy i nie przewietrzy, to zawsze się będzie mógł przytrafić jakiś Żur z jakimś Pysiorem, co go użyją, żeby mieszać ludziom w głowach.

– Że niby prawda nas wyzwoli? – Kuzynka się roześmiała. Otworzyła na oścież kredens i wyjęła z niego do połowy opróżnioną butelkę śliwowicy. Chwilę ważyła w dłoniach kieliszek i postawiła go na stole. Z kredensu wygrzebała jeszcze napoczęte opakowanie ptasiego mleczka. Paczkę ciastek. Starannie zawiązany woreczek cukierków. Babońcyne grzeszki. – A może to wszystko nie ma znaczenia? Przecież koniec końców nie poszło o Goralenvolk, tylko o kasę. Janicka nie porubali za grzechy młodości, tylko po prostu, po góralsku, hej, za owiecki, za barany, takie tam zwykłe zbójnikowanie, jak od wieków na Podhalu. Tu i teraz, byle przetrwać. To się zawsze liczyło. Dla tych, co brali kenkarty, byle przeżyć do wiosny. A dla nas dzisiaj następny turnus, raty za remont czy samochód…

– Naszych ojców piłą rżnęli, myśmy wszystko zapomnieli – mruknęła Anka do siebie.

– Góral będzie chciał, to zapamięta. Będzie chciał, to zapomni. Zrobi, co zechce. Taka to, widzisz, nasza góralska, nomen omen, śleboda. Żeby się martwić tylko o siebie.

– Bo góral to człek niepojęty… – przypomniało się Ance.

– To za co wypijemy? – Kaśka napełniła kieliszek śliwowicą.

– Za Babońkę?

– Za Babońkę – powtórzyła kuzynka. – I jej Janicka, żeby się spotkali na niebieskiej jaworzynie i powiedzieli sobie to, czego nigdy nie powiedzieli sobie za życia.

Kaśka łyknęła, napełniła kieliszek, podała Ance i zakrztusiła się śmiechem.

– O Jezu, ależ ona mu nawrzuca! Aż mi chłopa żal.

OD AUTORÓW

Wszystkie postacie, wydarzenia i dialogi zawarte w naszej książce są fikcyjne, a ich ewentualna zbieżność z autentycznymi postaciami, wydarzeniami i dialogami może być jedynie przypadkowa.

Na początek podziękowania należą się Murzasichlu. Miejscu, gdzie dla nas obojga, dawno temu, gdy się jeszcze nie znaliśmy, zaczęło się zakochanie w Tatrach. Wszystko, co napisaliśmy o Murzasichlu, napisaliśmy z tego zakochania.

Ta historia nie mogłaby powstać bez pomocy wspaniałych ludzi, którzy obdarzyli nas swoim zaufaniem i życzliwością, uwierzyli w nasz pomysł i podzielili się z nami swoją wiedzą, doświadczeniem, historią.

Dziękujemy Dziadkowi Leszkowi, rodowitemu murzasichlaninowi, który spędził z nami długie godziny, snując swoją opowieść o Murzasichlu, tym dawnym i tym obecnym. Dziękujemy też, że kazał nam się nazywać Dziadkiem Leszkiem.

Wyrazy wdzięczności składamy pani Jadwidze Smolińskiej, która opowiedziała nam o Zakopanem czasów okupacji.

Bartkowi Dobrochowi – dziennikarzowi, przewodnikowi tatrzańskiemu, miłośnikowi gór – serdeczne dzięki za wiarę, zaangażowanie, wszystkie uwagi i pomysły oraz uważną lekturę. Prawdziwego przyjaciela poznaje się po tym, że zapytany, gdzie w Tatrach najłatwiej pozbyć się dwojga ludzi, tak żeby wyglądało to na wypadek, bez mrugnięcia okiem i zbędnych pytań odpowiada „Siwiańskie Turnie”.

Pawłowi Leskiemu winni jesteśmy wielką wdzięczność za to, że wprowadził nas w tajniki policyjnych procedur, języka i zwyczajów, że książkę od deski do deski przeczytał, dzieląc się bezcennymi uwagami, ratując nas od błędów i dodając otuchy.

Iwonnie Trenkner, Andrzejowi Franaszkowi i Filipowi Modrzejewskiemu bardzo dziękujemy za wnikliwą lekturę, długie rozmowy oraz wszystkie uwagi, zastrzeżenia i podpowiedzi, niezwykle ważne dla tej książki.

Przed Wojtkiem Pięciakiem chylimy czoło w podzięce za podzielenie się ekspercką wiedzą o dokumentach komunistycznej bezpieki, działaniu archiwów i czytaniu teczek.

Mateuszowi Sarapacie pięknie dziękujemy za wyjaśnienie, co według polskiego prawa dzieje się z majątkiem w przypadku braku spadkobierców.

Za wszystkie wrażenia i uwagi z pierwszej lektury wielka podzięka należy się Justynie i Kamilowi Górkom oraz Kasi Kuźmińskiej. Jesteście niezawodni.

Jackowi Ślusarczykowi i Wojtkowi Bonowiczowi dzięki za nieocenioną pomoc i entuzjazm.

Wszystkim Wam, naszym mentorom, ekspertom i przyjaciołom, wyrażamy głęboką wdzięczność. Za ewentualne omyłki odpowiadamy wyłącznie my.

Spośród licznych źródeł, z których korzystaliśmy, gromadząc wiedzę niezbędną do napisania tej książki, chcemy wymienić kilka najważniejszych.

Historię Goralenvolku zgłębialiśmy przede wszystkim dzięki bezcennemu opracowaniu Wojciecha Szatkowskiego *Goralenvolk. Historia zdrady*. Pozwoliliśmy sobie też zajrzeć do teczek procesu góralskiego zgromadzonych w krakowskim oddziale Instytutu Pamięci Narodowej.

W świat gwary górali skalnego Podhala mogliśmy zajrzeć za sprawą m.in.: gawęd Andrzeja Skupnia Florka, zgromadzonych w tomie *O Tatry wy moje*, w opracowaniu Janiny i Franciszka

Sichelskich, dzięki którym powstała gawęda Babońki o Sabale i diable; *Historii filozofii po góralsku* ks. Józefa Tischnera; *Słownika gwary Zakopanego i okolic* Juliusza Zborowskiego; a nawet *Nowego Testamentu w przekładzie na gwarę górali skalnopodhalańskich z Zakopanego* dokonanym przez Marię Matejową Torbiarz.

Zapomniane przyśpiewki z Podhala, które posłużyły jako motta rozdziałów oraz jako repertuar Romusia, zaczerpnęliśmy z tomów 44 i 45 dzieł Oskara Kolberga pt. *Góry i Pogórze*.

Nieustannym źródłem inspiracji, fascynacji, motywacji, a przede wszystkim radości była dla nas lektura wspaniałego *Sklepu potrzeb kulturalnych* Antoniego Kroha, dzieła założycielskiego dla wszystkich tych, którzy o góralszczyźnie chcą pisać na dobre i na złe.

Dziękujemy Wydawnictwu Dolnośląskiemu za wiarę w nasz projekt i znakomitą współpracę.

Małgorzata i Michał Kuźmińscy

Przypisy

[1] (ang.) Nieźle. Jak w Alpach, tylko z reklamami (przyp. red.).
[2] (łac.) Tajemnica groźna i pociągająca (przyp. red.).
[3] (niem.) Przeklęte góralskie ścierwo! Stać! (przyp. red.).
[4] (niem.) I co teraz zrobimy, sierżancie? (przyp. red.).
[5] Godka Babońki o Sabale i diable, wraz z niektórymi sformułowaniami gwarowymi, jest luźno oparta na motywach gawędy *O Sabale i diable* Andrzeja Skupnia Florka (w: *O Tatry wy moje*, oprac. Janina i Franciszek Sichelscy).

ŚLADY ZBRODNI

ŚLEBODA

Anka Serafin, młoda doktor antropologii z Krakowa, jedzie w Tatry, by szukać własnej tożsamości. Znajduje trupa. Zmasakrowane zwłoki z Doliny Suchej Wody należą do starego górala. Historia zamordowanego Jana Ślebody wiedzie ku skrzętnie ukrywanej podhalańskiej przeszłości. To zabójstwo jest dopiero pierwszą ze zbrodni, które zdają się karą za stare grzechy. Czy Anka i tabloidowy dziennikarz Sebastian Strzygoń odkryją, kto zabija w Murzasichlu i dlaczego krwią ofiar maluje swastykę? Czy przekonają się, ile dla górali warta jest śleboda, czyli wolność?

Powieść Małgorzaty i Michała Kuźmińskich nie ma nic wspólnego z turystyczną sielanką. To rasowy kryminał z obrazem gór dusznych, nasyconych chciwością i krwią, pełnych współczesnych urazów i tajemnic z przeszłości.

Mariusz Czubaj

Małgorzata i Michał Kuźmińscy w 2009 roku zostali nominowani do **Nagrody Wielkiego Kalibru**.



Patronat medialny

lubimyczytać.pl

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-5318-0

EAN 9788327153180

U.WD.KRW049.1.01.01